

MAREK ZYCHLA
STRYCHNICA



MAREK ZYCHLA

STRYCHNICA



Redakcja: Dorota Pacyńska
Korekta: Justyna Żebrowska, Bernadeta Lekacz

Projekt okładki i stron tytułowych, grafika
wykorzystana w książce: Dawid Boldys
Zdjęcie autora: archiwum prywatne

Skład i łamanie: Dariusz Ziach
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m. 3
biuro@wydawnictwomieta.pl
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67690-92-8
Copyright © Marek Zychla, 2024
Wydanie I
Warszawa MMXXIV

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

CZEŚĆ I

John

Kelly

Bartek

Samantha

Bartosz

Nino

Bart

CZEŚĆ II

Miłość?

Vincent

Da Derga

Amy

EPILOG

OD AUTORA

The background of the cover is a dark, monochromatic landscape. The sky is filled with heavy, dark clouds, with faint, wispy patterns suggesting a storm or a night sky. In the middle ground, there are dark, rolling hills or mountains. In the foreground, a dark, rectangular structure, possibly a building or a bridge, is visible, partially obscured by shadows and mist. The overall mood is somber and mysterious.

CZEŚĆ I
PLACÓWKA

*Cicho, cicho, dzieci. To nie demony, nie diabły...
Gorzej. To ludzie.*

Andrzej Sapkowski, Wieża Jaskółki

JOHN



*Prawdziwej przyjaźni nie przeszkadza roztargnienie,
wzrost, odstające uszy, okulary, rude włosy
czy jakaś tam trisomia chromosomu.*

Katarzyna Kielecka, Gieśki. Księga przygód

1

W sypialni Johna pachniało lasem. Zapach unosił się ze stosów książek, z przepoconego łóżka czy z wiklinowego kosza na pranie stawianego za drzwiami. Jesienią zapach się nasilał, kiedy pleśń pożerała biel sufitu. Smugi czerni traktowano wybielaczem, po czym na wiosnę pokrywano kolejną warstwą farby.

Najstarsze z książek powstrzymywano przed rozpadem pasami taśmy klejącej. Niezależnie jednak od stanu sczytania każdy wolumin miał dla gospodarza wysoką wartość. Książki zajmowały większość powierzchni płaskich, łącznie z biurkiem, krzesłami oraz łóżkiem. Mężczyzna najchętniej przykleiłby też kilka do sufitu, żeby móc patrzeć na nie i przed snem, i zaraz po przebudzeniu.

Biblioteczek tu nie stawiano. John twierdził, sepleniąc i przekręcając słowa, że na półkach książki się duszą. Papier powinien oddychać! Papier potrzebuje tlenu! Słuchano go niczym generała ze skłonnościami do bezzwłocznie realizowanych gróźb. W tych czterech ścianach John sprawował absolutną władzę. Po przekroczeniu progu wymagano, by podporządkowywał się regulaminom. Czasami nawet się to zdarzało, ale podporządkowywanie się nie leżało w jego naturze.

Podwójne łóżko zarezerwowane było dla Johna oraz dla jego najnowszych zdobyczy literackich. Te dorabiały się tam pierwszych zagięć, ponieważ John wiercił się każdej nocy, śniąc o dzieciństwie pełnym deszczowych dni oraz traum. Koszmary często

wyprowadzały go z równowagi na cały dzień. Potrafił pomieszać prawdę z fikcją, wspomnienia z teraźniejszością czy złość z agresją.

Łóżko zamontowano pod oknem, a okno zamykano wieczorami, by do pokoju nie wlatywały ćmy – John nie wyłączał lampki nocnej, bo nie ufał ciemności, a ćmy go przerażały. Łączyło się to z „przeszłością”, z czasami „przed placówką”, kiedy dawał się jeszcze nastraszyć byle komu oraz byle czemu.

John potrafił obudzić cały dom trzaskaniem drzwiami, jeśli dostrzegł w sypialni choćby najmniejszego owada, a widział dobrze dzięki kompulsywnie czyszczonym okularom. Dlatego opiekunowie nocnej zmiany pamiętali o zamykaniu okien podczas obchodu, zwykle po modlitwie, tuż przed złożeniem szczerego życzenia spokojnej nocy.

Opiekun po wyłapaniu intruzów, po upewnieniu się, że John gotów jest zapaść w koszmar, przesuwał się ku drzwiom, ostrożnie omijając biblioteczne stosy. Przewrócenie którejś z wieżyczek groziło wybuchem gniewu i niecierpiącym zwłoki jej odbudowywaniem. Nocka wtedy schodziła na uspokajaniu podopiecznego oraz na porządkach, bo korzystając z okazji – zgodnie z protokołem placówki – należało odkurzyć uwolniony fragment podłogi.

Tak, John kochał książki bardziej od ludzi, chociaż nie potrafił czytać. Z nauką nigdy nie było mu po drodze.

2

Placówkę zamieszkiwała już tylko czwórka rezydentów wymagających stałej opieki personelu. Pracownicy ciągnęli zwykle dwunasto- lub dwudziestoczwierogodzinne zmiany po kilka razy w tygodniu. John wiedział, kto i kiedy przyjdzie na nockę, a kogo znów czeka dniówka czy dłuższa zmiana – sprawdzał wszystko na tablicy zawieszanej na ścianie w kuchni, tablicy z przyklejanymi na rzepy zdjęciami załogi. Niektórych pracowników John tolerował, jednak większość opiekunów irytowała mieszkańców. Szczególnie alergicznie reagowali na tych tchórzliwych albo traktujących opóźnionych – tego słowa nie cierpieli nie mniej od surowych warzyw – niczym przygłuche dzieci, paplających do nich zdrobienia podniesionym głosem. Rozkazów nie akceptowali, ograniczeń również, w dodatku John na najdrobniejsze zmiany w rozkładzie dnia reagował agresją. Dlatego szkolenie dla nowo zatrudnionych trwało aż trzy dni, z czego przez dwa omawiano złożone charaktery podopiecznych i prezentowano możliwe scenariusze wydarzeń, od których włos się jeżył na karkach słuchaczy.

– Ostatnio bywa lepiej – zapewniała dość życzeniowo Amy, koordynatorka placówki, na każdym ze szkoleń. – John potrafi i przez tydzień niczym w nikogo nie rzucić, poza tym nie ma już takiego celu. To dobry człowiek – przekonywała szczerze. – Wcześniej źle mu się życie układało. Cieszymy się, że do nas trafił.

John rzeczywiście zawsze z każdym grzecznie się witał, po czym zapominał lub przekręcał nawet najprostsze imiona, więc nadawał opiekunom numery: w zależności od humoru. Bycie numerem jeden zapewniało relatywnie spokojną zmianę, skoro wiązało się ze sporym kredytem zaufania u podopiecznego. Dalszym numerom groziły wybuchy gniewu i wprowadzenie w życie placówki poznanych na szkoleniu scenariuszy. Wypadnięcie opiekuna z pierwszej piątki oznaczało bezsenną noc lub dniówkę pełną dramaturgii i krzyków, bo kiedy rzeczy źle szły, to zwykle na całego... Latały po sypialni czy po kuchni coraz cięższe przedmioty, w najpoważniejszych przypadkach z meblami włącznie. Tłukły się naczynia, rozbijały szyby, drewno pękało z trzaskiem, plastik odbijał się od ścian czy od ludzi.

Wtedy opuszczano pomieszczenie i wracano po kilkudziesięciu minutach, by zaproponować Johnowi tabletkę uspokajającego xanaksu. John zwykle odmawiał, bo traktował złość jak każde inne uczucie, równie ważne co radość czy smutek. Zbyt silnym był jednak mężczyzną, by pracownicy dzielali jego zdrowe podejście do rozładowywania stresów. Dlatego co poniedziałek odbywał również dłuższe rozmowy z koordynatorką placówki, surową kobietą o dobrym sercu.

Lubili się, szanowali, zatem rozmowy te przynosiły krótkotrwały spokój. Krótkotrwały, ponieważ takiego temperamentu nie dało się okiełznać słowami pełnymi zarówno miłości, jak i próśb czy gróźb.

Meble reperowano, szyby wymieniano na nowe – placówka należała do ulubionych klientów lokalnego szklarza – a plastikowych naczyń przybywało. Placówkowa skrzynka z narzędziami utyla od

zestawów śrubokrętów, tak często bywały w użyciu. Sztukę prostych napraw opanował każdy z opiekunów.

Niesienie pierwszej pomocy również.

3

Dzień Johna w domu kończono modlitwą, ale modlono się także rano i przed posiłkami, skoro placówka funkcjonowała w katolickim kraju. Rezydenci odmawiali blisko stuletni irlandzki hymn *Aniós Stróż*. Opiekunowie czytali go z kartek, życząc przy tym dobrej nocy lub dobrego dnia – ważne, żeby życzyli, równie ważne co pozostałe składowe planu dnia zapisywanego przez nich każdego wieczoru długopisem w dzienniku Johna. Długopisem o numerze dopasowanym do dnia miesiąca.

Opiekunowie odczytywali hymn bez namysłu, byle mieć tę nudną czynność z głowy, lecz John i tak nie słuchał, bo z całej modlitwy lubił tylko znak krzyża, w którego wykonywaniu nie wybaczał błędów. Szczęśliwie te jednak praktycznie się nie zdarzały, odkąd cisnął przed laty w gapiowatego pracownika ceramicznym kubkiem zrobionym na jakichś warsztatach – z czasów, kiedy na warsztaty jeszcze go wysyłano... Po tym incydencie wszystkie kubki wymieniono na plastikowe, a graficzna instrukcja robienia ręką znaku krzyża trafiła do folderu, z którym zapoznawali się szczególnie ci najmniej religijni wolontariusze z całej Europy.

Tak, z racji okrojonego dofinansowania coraz większą część kadry stanowiła młodzież – zwykle studenci psychologii z zagranicy lub ludzie zawieszeni pomiędzy studiowaniem właśnie a liceum – często nieprzygotowani do pracy w tak wymagającym zawodzie.

Roczny staż w ośrodku kosztował ich mnóstwo nerwów, dając w zamian solidne podszkolenie z języka angielskiego.

Z młodymi John grywał w piłkę albo w planszówki i traktował ich pomyłki z większą wyrozumiałością niż błędy opiekunów z dłuższym stażem. Wszyscy czytali mu stopy książek czy włączali filmy, które przeżywał całym sobą. John wcielał się w Harry'ego Pottera z charyzmą, jakiej Daniel Radcliffe mógłby mu pozazdrościć. Naśladował Piękną lub Bestię, walczył w salonie niczym Jack Reacher i wspinał się na skórzany fotel w stylu Jasia, tego od magicznej fasoli. Zwinny, silny i głośny mężczyzna wzbudzał respekt. Młodym idealnie pasowałby do roli Hagrida, która Johna jakoś nie pociągała. Hagrida – którego uwielbiał – nazywał Amy, czyli imieniem koordynatorki.

John wykrzykiwał zaklęcia i podkradał olbrzymowi kurę znoszącą złote jaja, szczęśliwy niczym dziecko, chociaż dzieciństwo kojarzyło mu się z porzuceniem przez rodzinę, z lekarzami o mroźnych spojrzeniach i o ustach pełnych długich wyrazów. Wreszcie z rówieśnikami, którym złośliwości pozazdrościłby lord Voldemort.

Ostatnio w placówce przeważali wolontariusze, a opiekunów – jeśli zachodziła taka potrzeba – najmowano z agencji, byle tylko nie podpisywać z nikim umowy o pracę. Niestety, krajowych stawek nie można było ignorować, ale krajowe stawki nie tyczyły się wolontariatu. Młodzieży płacono kilkaset euro miesięcznie plus nocleg i wyżywienie, gdy dla porównania opiekunowi medycznemu z prawdziwego zdarzenia trzeba było zapłacić nawet siedmiokrotnie więcej. Opłacało się wolontariuszom jeszcze przelot, co

w porównaniu z kosztami ponoszonymi przy najmowaniu opiekunów z agencji wciąż wypadało wręcz śmiesznie tanio.

Tracono jednak przy tym na jakości, z czego Amy zdawała sobie sprawę. Proszono się wręcz o kłopoty, szczególnie przy temperamencie Johna. Koordynatorka nie potrafiła jednak znaleźć innego wyjścia. Matematyka budżetu bywała ostatnio bezlitosna.

4

Czasami Johna bolały „słodkie” zęby, bo nie każdy pracownik potrafił wyegzekwować ich umycie czy utrzymać rezydenta z daleka od cukru. Zestaw szczoteczek na każdy dzień tygodnia prosił się o popełnienie błędu, dlatego część początkujących opiekunów unikała ryzyka. Kończyło się to wizytą Johna u dentysty, który przepisywał antybiotyki, byle mieć pacjenta z głowy. Borowanie lub usuwanie ubytków, jeśli było naprawdę konieczne, wykonywano bez znieczulenia, bo na widok strzykawek John dostawał białej gorączki, a w gabinetach stomatologicznych było czym rzucać...

Rezydenci generalnie mężnie znosili ból, znając się z nim dobrze z racji wielu przypadłości. Ból niczym złość stanowił nierozzerwalny element bycia Johnem. Nigdy nie rozstawali się na dłużej niż kilka chwil, chociaż o tęsknocie nie mogło być mowy. Na skutek chorób rezydenci rodzili się i umierali w alarmującym bólu, jakby nie wystarczało, że każdy napotkany człowiek – szczególnie ci najbliżsi – przypominał im ciągle o ich ułomnościach.

Zęby znane są jednak z bezlitości, jakby nie potrafiły zaakceptować faktu, że da się jednak bez nich żyć.

Samo szczotkowanie również wprawiało nowych pracowników w zdumienie. John sprawnie radził sobie z myciem zębów, wystarczyło tylko nałożyć mu na szczoteczkę pastę i po wszystkim opłukać włosie. Mężczyzna szorował zęby zgodnie ze schematem: góra, dół, lewa, prawa, a na koniec wykonywał zgodną z dniem

miesiąca liczbę splunień do zlewu. Trzydziestojednokrotne splunięcie w krótkich odstępach czasu potrafi wykończyć najtwardszego mężczyznę, ale u Johna pojawiała się zaledwie zadyszka, w trakcie której mył zlew z podbarwionej krwią śliny.

Czasami rezydenta swędziała skóra. Należało wtedy posmarować ją maścią przepisaną przez lekarza. W takie dni trwoga wśród kadry rosła, bowiem wyczuwali pod zaczerwienionym naskórkiem zwoje mięśni twardych niczym impregnowane drewno.

Poza tym podopieczny kiepsko słyszał, w zasadzie coraz gorzej, więc zakrapiano mu dwa razy w tygodniu uszy, co skutkowało „napięciem”. Rezydent dzielnie znosił pierwszą kroplę, dwie potrafił jeszcze wybaczyć, ale trzy potwornie psuły mu humor. A zdarzały się, kiedy ręka opiekuna nerwowo drgnęła.

Tabletki popijał wodą, na jednym wdechu opróżniając do dna plastikowy kubek – zielony lub niebieski, odpowiednio dla parzystych i nieparzystych dni miesiąca. Wody nie powinno być ani za dużo, ani za mało – najlepiej, gdy jej linia zatrzymywała się nieco poniżej połowy kubka.

Poza tym przytrafiła mu się trisomia dwudziestego pierwszego chromosomu, czyli wiódł życie z zespołem Downa. John podatny był więc na infekcje i został dotknięty niewielkim opóźnieniem umysłowym. Tęczówki Johna zdobiły jasne plamki Brushfielda, nos zaś miał krótki i płaski, lekko zadarty. Nisko osadzone małżowiny uszne wyglądały na niezupełnie rozwinięte. W oczy rzucały się również jego krótkie dłonie, a ponieważ lubił chodzić po domu boso, łatwo dało się dostrzec spory odstęp pomiędzy paluchami a drugimi palcami u stóp. Posiadał też po bruździe sandałowej na stopach oraz po pojedynczej zgięciowej na dłoniach, ale o takich cechach zespołu

Downa – łącznie z podniebieniem gotyckim czy dobrze widoczną zmarszczką nakątną – większość wolontariuszy nie miała pojęcia i nic ich to też nie interesowało.

Dla nich John był po pierwsze Johnem. Nic więcej nie miało – bo i nie powinno mieć – znaczenia.

5

Po śniadaniu John zostawał w kuchni, aby pooglądać na tablecie filmiki z YouTube'a. Pięć filmików stanowiło normę, jednak czasem zdarzał się wśród nich dłuższy, nawet godzinny, włączony niby przypadkowo, ale tak naprawdę z premedytacją. Opiekun stawał wtedy przed dylematem: czy pozwolić rezydentowi na ślęczenie przed ekranem, czy rozpocząć pertraktacje, by nie naruszyć dalszego planu dnia.

Jeśli opiekunowi sprzyjało szczęście, kończyło się na żartach, ewentualnie na zabrudzonej ubikacji, co niekoniecznie musiało wynikać ze złośliwości. Jeśli pech, po placówce latały przedmioty napędzane siłą mięśni Johna – ten potrafił nawet solidnemu biurku zafundować dłuższy lot. Tabletem nigdy nie rzucał, bo nie był głupi. Za nowy tablet musiałby zapłacić z własnych pieniędzy.

– Kiedy rzuca czym popadnie – przemawiała uparcie na szkoleniach koordynatorka spokojnym głosem – należy opuścić pomieszczenie i wrócić co najmniej pół godziny później. Wysilek daje ujście emocjom; wysilek męczy. Kiedy jest w stanie aż takiego wzburzenia, i tak nic się nie zrobi, a można niechcący – opiekunowie to słowo akurat by pominęli – oberwać. Takie są procedury, kochani – podkreślała. – Kiedy zobaczycie, że John się uspokoił, zapewnijcie go, że jest dobrym człowiekiem i nikt nie ma do niego pretensji – dodawała. – Powinniście po wszystkim posprzątać i wypełnić formularz dotyczący wypadków, który znajdziecie

w odpowiednim folderze na komputerze w moim biurze. Tutaj nie może być mowy o opóźnieniach, kochani. Zgłaszajcie każdy taki przypadek od razu do mnie, żebyśmy mogli na bieżąco aktualizować jego osobisty plan ochrony. – Tak nazywali obszerny dokument, gdzie można było znaleźć szereg wyciąganych po przeróżnych incydentach wniosków. – Starajcie się go zawsze pocieszyć.

Starali się, bo John był dobrym człowiekiem, tylko dobro w człowieku najtrudniej dostrzec.

6

Matka Johna twierdziła, że „syn należy do trudnych przypadków”. Ciągłe dokuczaly mu wiatry, bekał, dłubał w uszach i w nosie, co uważała za obrzydliwe i niegodne cywilizowanego człowieka. Podług jej słów to „opóźnione dziecko” – powtarzała każdemu i wszędzie – „wysało z niej wszelkie siły”. Święcie wierzyła, że nie powinna syna w ogóle urodzić, skoro zwiększyła tym tylko ilość nieszczęścia na świecie. „Czymś pewnie zgrzeszyłam” – twierdziła często, aż w końcu w to uwierzyła, ponieważ grzeszyła w zasadzie nieustannie, ale John oczywiście nie został nikomu zesłany jako kara, a już tym bardziej za grzechy.

„Takie dziecko wymaga troski, ma specjalne potrzeby” – przekonywała matka z miną cierpiętnicy (również przy Johnie, który nie rozumiał, co takiego specjalnego jest w tych jego potrzebach, bo przecież zjeść musi jak każdy inny, no i żeby mu troszkę poczytać lub pozwolić obejrzeć film). John nie rozumiał, że mama myli troskę ze wstydem, chociaż wyczuwał jej wstyd szóstym zmysłem, jedynym, którego nie dotknęła niepełnosprawność.

Zwykle widywali się dwa razy w miesiącu, co stanowiło kompromis pomiędzy wzajemną niechęcią a tym, co wypada. John wracał ze spotkań podenerwowany, jeszcze trudniejszy we współpracy, przekonany o swojej niższości, ponieważ matka twierdziła za każdym razem, że jest gruby, głośny i nie powinien wszystkiego liczyć – koordynatorka wielokrotnie zapewniała kobietę,

że krzyki nikomu nie przeszkadzają, dom ma solidne ściany i szczelne drzwi przeciwpożarowe, natomiast waga syna wcale nie odbiega od normy u ludzi z zespołem Downa.

Na święta John pozostawał w placówce, bo matka jeździła do brata, którego żona nie życzyła sobie „takich dodatkowych gości”. Johnowi nie przeszkadzała ta niechęć. W placówce czuł się lepiej niż w domu, a święta kojarzyły mu się ze sprezentowanymi przez opiekunów nowymi książkami oraz filmami na płytach DVD, których mógł obejrzeć więcej niż zwykle, przy dodatkowej porcji ciastek, szczególnie ulubionych bożonarodzeniowych minitart jabłkowo-rodzynkowych.

Świąteczny dzień John zaczynał od rozpakowywania prezentów, konsumpcji przepysznego śniadania i długiej kąpieli, bo zmycie z siebie grzechów traktował aż nazbyt dosłownie. Ręczniki miał dwa: mniejszym wycierał dłonie, kark i twarz, większym ciało poniżej szyi. I nie tolerował koloru czerwonego, czym zresztą zaraził pozostałych rezydentów.

Nigdy nie brał prysznic, wolał długą kąpiel co trzeci dzień w samo południe, dlatego czasami brzydko pachniał, co również wypadało przemilczeć. Oczywiście mama Johna nie słyszała z małomówności i zwyzywała go niejednokrotnie od śmierdzieli.

Rezydentowi myło się pod koniec kąpieli włosy – sam zakładał opaskę na oczy, bo jeśli dostała się do nich woda, to wpadał w złość, co w śliskiej łazience mogło się skończyć wypadkiem. Z dobrze założoną opaską wyraźnie się uspokajał, traktując kąpiel jako przyjemność.

Po skończonej ablucji należało przypomnieć Johnowi o założeniu ubrań, bo w przeciwnym razie opuszczał łazienkę nagi.

W placówce grzano na okrągło przez sporą część roku, a John traktował nagość z dziecięcą naturalnością.

Wracając do sypialni czy idąc do salonu lub kuchni, natykał się na korytarzach na symbole. W ten graficzny sposób próbowano przypomnieć niepiśmiennemu mężczyźnie o pożądanym zachowaniu.

Symboli nie znosił. W głowie wrzucał je do worka z czerwienią.

7

W czwartki i piątki John pracował na niewielkiej farmie w pobliskim miasteczku, gdzie pomagał karmić zwierzęta najmniej podobne do koni, czyli zajmował się głównie drobiem. W soboty, jeśli humor oraz pogoda dopisywały, wybierał się wraz z opiekunem do Kilkenny, do parku zamkowego, by pospacerować po zjedzeniu na ławce wcześniej przygotowanego lunchu.

W parku należało uważać, bo rezydent bał się psów. Ponoć przypominały mu konie, jednak nigdy nie zechciał powiedzieć, dlaczego bał się koni. W Irlandii oba z gatunków darzono przecież powszechną miłością. Psiaki oczywiście lgnęły do Johna, wyczuwając dobrego człowieka. Wtedy należało osłonić rezydenta ramieniem i jak najprędzej wracać do samochodu.

Podczas parkowych wypraw John bywał szczęśliwy. Niestety, kosztowały go również sporo nerwów, a i dla opiekunów stanowiły często nie lada wyzwanie.

W czwartki dzwonił wujek Johna, brat matki. Wujek mówił głośno, ale rezydent i tak często czegoś nie dosłyszał. Wujek uwielbiał pouczać albo doradzać. Pragnął widzieć w Johnie innego człowieka, niekoniecznie lepszego, za to podobnego sobie.

John nie cierpiał tych rozmów, szczególnie kiedy wchodzili na trudne tematy (rodziców lub dzieciństwa), ale udawał, że się z wujkiem zgadza. Były to jedyne chwile, kiedy udawał, bo na

świecie zdarzają się ludzie tak ograniczeni, że nawet złość Johna temu nie zaradzi.

Z wujkiem spotykał się raz w roku, w marcu, na Świętego Patryka. Wybierali się na dublińską paradę w otoczeniu opiekunów. Zwykle rezydent długo wspominał wspólne chwile spędzone z wujkiem, kiedy tak stali obok siebie w milczeniu, rodzinnie, jak równy z równym.

Tych ryzykownych parad czy wypadów do Kilkenny nie można było Johnowi zabraniać, bo przecież każdy człowiek ma również prawa, a nie tylko obowiązki.

Szczęśliwie dobroduszna Amy kładła szczególny nacisk na prawa człowieka.

8

Pomimo miłości do książek John nie nauczył się płynnie czytać i tylko przepisywał tytuły na wycięte z notesu paski papieru. Przygryzał przy tym koniec języka, po czym ozdabiał zakładki rysunkami wybranych kwiatów. Dzięki przepisywaniu poznał większość liter, jednak łączenie ich w słowa denerwowało go, więc podsuwał paski opiekunom pod nos do odczytywania, by upewnić się, że nie popełnił błędu, do czego oczywiście – dzięki skrupulatności Johna – praktycznie nie dochodziło. Oprócz serii o Harrym Potterze (stokrotka) uwielbiał *Igrzyska śmierci* (róża), *Władcę Pierścieni* (mak), *Opowieści z Narnii* (dzwoneczek) oraz kryminały i powieści sensacyjne (paleta różnokolorowych tulipanów). Romansów wraz z erotykami nie tolerował, bo nijak miały się do jego rzeczywistości.

Bywało, że po mocniejszej lekturze John próbował opuścić nocą pokój, mieszkanie czy nawet placówkę. Dlatego od kilku lat na każde otwarcie przez rezydenta sypialnianych drzwi reagował pager zaczepiany przy szlufce spodni opiekuna, a drzwi wejściowe oraz kuchenne, prowadzące na zewnątrz, zamykano nocą na klucz.

John lubił ten alarm przy paskach opiekunów, ponieważ wystarczyło pociągnąć w nocy za klamkę, żeby sobie z kimś porozmawiać – opiekunowie zjawiali się zwykle już po kilkunastu sekundach, choćby o czwartej nad ranem. Wyjść z placówki oczywiście mógł choćby i nocą – zgodnie z propagowanymi przez

Amy prawami człowieka – wtedy jednak opiekun zobowiązany był mu towarzyszyć.

W domu trzymano także białą kotkę o imieniu Śnieżka, chociaż symbol kota na rysunkach przedstawianych Johnowi był zawsze czarny, co strasznie go denerwowało, skoro Śnieżka miała czarną jedynie tylną łapę. John kotów nie lubił i źle się o zwierzaku wypowiadał, ale ta symboliczna czerń najbardziej go niepokoiła. Śnieżka nie mogła wchodzić do jego sypialni i nawet nie próbowała.

Według symboli kota nie wolno było łapać za ogon, bo wtedy drapał, ale Johna bardzo ta czynność... pociągała, chociaż musiał to sobie raczej wyobrażać, bo kotka należała do piekielnie szybkich, a i ogon miała szczęśliwie krótki.

Śnieżce powinno się otwierać co jakiś czas okno i nie można było na nią krzyczeć, bo i tak niczego nie zrozumie. Rezydent twierdził, że kotka rozumie, ale nauczył się przez lata, że opiekunowie są czasem dziecinnie naiwni.

Kotka, jak zresztą wszyscy w tym domu, była mądrzejsza, niż się to wielu wydawało.

9

Kiedy ktoś w placówce umierał, John wyczekiwał przylotu świetlika. Choćby na zewnątrz królowało zimno – szczęśliwie mokra irlandzka pogoda nie słyęła z przymrozków – siadał na metalowej ławce pod domem i całymi godzinami tkwił w milczeniu. Tam jadł i nawet drzemał, chociaż nie zapadał w głęboki sen. Przynoszono mu koce i ciepłe mleko, tablet z filmikami na YouTube lub przysyłano wolontariusza z książką do poczytania. Koce wymieniano co pół godziny na suche, jeśli akurat lało, a mleko wypijał po swojemu, duszkiem.

Przerwy robił sobie jedynie na ubikację, ale i z tym nie zawsze zdążył... Posiłki noszono mu gorące, ale ich nie dojadał, chociaż kochał jeść. Żadne groźby czy prośby nie wchodziły w grę. Musiał minąć dzień lub dwa, by John wrócił do mieszkania i przez kolejny tydzień opowiadał wszystkim o świetlikach, przemawiając również do samego siebie.

Świetliki i śmierć, śmierć i świetliki – o tym mówił, o takie filmiki prosił, chociaż internet podsylał jakieś adaptacje przeróżnych książek; nawet internet wypadał czasami przy Johnie głupio. I John wyglądał na zadowolonego, chociaż w placówce, z powodu śmierci właśnie, panowała ponura atmosfera.

Amy najbardziej się wtedy o niego martwiła, z drugiej strony myśl o, choćby i cudacznym, radzeniu sobie rezydenta ze stratą napawała ją dumą. Ten schorowany, opóźniony mężczyzna potrafił

odnaleźć sposób na pokonanie smutku – kosztem co najwyżej przeziębienia z niewyspaniem. Sposób, który niewiele się różnił od jakiegokolwiek wiary. Umieramy i rodzimy się jako świetliki, to głosił podopieczny. Pięknie, zgrabnie, romantycznie wręcz, a przy tym prosto, w miarę logicznie... Szkoda tylko, że żadnego świetlika Amy od lat na oczy nie widziała, żeby móc znaleźć w twierdzeniach Johna ukojenie. Nocami – szczególnie wokół placówki, ale dostawało się z grubsza całej Irlandii – rozlewał się szaroczarny mrok, wiało równie kolorowym mokrym wiatrem, siąpiło lub przynajmniej mżyło. Nawet świetlikom odechciałoby się świecić.

– Jakbym miała skrzydła – komentowała żałobne rytuały Johna, oczywiście nigdy w jego obecności – to poleciałabym na południe. Grecja, Włochy lub Hiszpania. – Wpadała w rozmarzenie, bo tak naprawdę w życiu nie opuściła Wysp Brytyjskich, a i nieczęsto jeździła poza granice hrabstwa.

Ostatnio stracili aż dwójkę podopiecznych. Dawało to kobiecie nieustannie do myślenia. Gryzło ją poza tym sumienie.

John ponoć te świetliki przepędzał, co w ogóle nie miało dla nikogo sensu. Opowiadał o jakichś łąkach i metalowych siatkach śmierci, czyli o częstym dla niego śnie. Opowiadał, o dziwo, z zachwytem, jakby ten koszmar działał na niego uspokajająco.

– Kopuła, świetliki, łąka – powtarzał całymi dniami, szczególnie po czyjejś śmierci.



KELLY

Moim rakiem jest morfina.

Barbara Rosiek, *Pamiętnik narkomanki*

1

Kelly umarła nagle, chociaż zanosilo się na to od miesięcy. Pracownicy nie kryli zdumienia, skoro nazywali rezydentkę wojowniczką. Kobieta od dziecka toczyła batalie z tuzinem poważnych chorób – skoncentrowanych głównie na układzie ruchu i krążenia – wychodząc z nich zwycięsko przez przeszło pięćdziesiąt lat.

Rezydentka odeszła, co łączyło się z uczuciem ulgi u pracowników placówki. Z jednej strony Kelly wreszcie przestała cierpieć, z drugiej nawet najbardziej doświadczeni opiekunowie przyznawali, że dniówka z nią trąciła niekiedy koszmarem – Kelly sprawiała masę problemów, ale odkąd zaczęto przepisywać jej oramorph w płynie wraz z opioidowym oxycontinem w tabletkach, zmieniła się w ulubionego rezydenta pracowników. Już prawie nigdy nie szły w ruch jej ciężkie pięści, stroniła również od obelg, rozmowność zastępując milczeniem. Dzięki lekom wykreślono z równania ból, a wraz z bólem odeszła w niepamięć nadmierna agresja.

Kelly głównie spała, a jak nie spała, to jadła lub układała wieże z klocków Lego Duplo – byle nie czerwonych, ponieważ podobnie jak John czerwien akceptowała jedynie pod postacią ognia. I właśnie przez zamiłowanie do ognia nie zostawiano Kelly samej. Jeśli nadarzyła się tylko okazja, to szperała po szafkach w poszukiwaniu

zapałek lub zapalniczki, grożąc każdemu, według Kelly dla żartów, śmiercią.

Ponoć zamierzała puścić placówkę z dymem, nawet jeśli sama miałaby przy tym zginąć. Dom nazywała bramą do piekieł, opiekunów zaś diabłami na usługach karczmarza! Przypuszczano, że miesza rzeczywistość ze snami lub z jakimiś wspomnieniami czy obejrzanym filmem – czyżby podpatrzyła coś oglądanego przez Johna? Niestety, niewiele wiadano o dzieciństwie Kelly poza tym, że przez kilkanaście lat spotykała się z przemocą ze strony ojca, zanim ten wreszcie umarł. Wtedy dobijającą do pełnoletności dziewczynę wysłano tutaj, do placówki w miasteczku Coolcull. Wkrótce zaczęły się problemy ze skłonnością do przemocy u rezydentki oraz z zamiłowaniem do rozniecania ognia.

Amy, wsparta jeszcze wtedy zespołem doświadczonych opiekunów, sama zaproponowała – podczas rozmowy telefonicznej z dalszymi członkami rodziny osieroczonej nastolatki – by przenieśli Kelly właśnie do nich, skoro jedna z sypialni stała wtedy pusta. Koordynatorce z wielu powodów zależało na szybkim wypełnieniu pokoi. Według ówczesnej kadry bywała przy tym strasznie wybredna, jakby wręcz złośliwie stawiała na silnych i krnąbrnych rezydentów, za to o dobrym sercu.

Dzięki dotacji wdzięcznego wujostwa dziewczynę przeniesiono błyskawicznie, papierkową robotę ogarniając zaledwie w kilka dni. Nowa rezydentka, mimo młodego wieku, od początku dbała o współmieszkańców, ale niekoniecznie o pracowników placówki. Kiedy ból zaczynał grać w jej ciele pierwsze skrzypce, stawała się dla opiekunów wrogiem. Zostawiano wtedy Kelly w spokoju, prosząc wszystkich o opuszczenie pomieszczenia, w którym akurat wpadała

w furie. Z bezpiecznej odległości miano na nią oko. W odróżnieniu od Johna raczej uderzała w przedmioty, niż serwowała im dłuższy lot. Poobijała głównie kuchenne blaty i ściany.

Tak poza tym nie dało się jej nie kochać. Potrafiła jednym uśmiechem odesłać wszelkie przewinienia w niepamięć, a cichutko wypowiedzianym dobrym słowem odegnąć wszelkie chmury. Potrafiła wreszcie przytulić jak mało kto, szczerze, mocno i z bezwarunkową miłością do drugiego człowieka.

Jednak lata mijały i serce rezydentki testowano coraz większymi dawkami leków, co skończyło się jej śmiercią. Placówkę czekały zmiany, włącznie ze zwolnieniami lub odejściem najbardziej doświadczonych opiekunów. Ze zgonem rezydenta zawsze szło w parze natychmiastowe wstrzymanie otrzymywanych na niego dotacji, a do kosztów opieki nad Kelly dorzucała się – poza ministerstwem zdrowia – zmobilizowana wyrzutami sumienia przez wujostwo rezydentki dalsza rodzina Kelly.

Nie potrzeba już było trzeciego pracownika na dziennej zmianie czy drugiego na nocnej. Od teraz wypadało postawić na opiekunów z agencji oraz na wolontariuszy, bezcennych, bo tanich. Nadszedł czas na rozsądniejsze zakupy spożywcze oraz na odwlekanie napraw na zamożniejsze czasy.

Zachwiała się równowaga miejsca, podupadło morale załogi, podłamali się też mieszkańcy, jak i sama Amy, coraz częściej wspominająca swoją matkę, kobietę, po której podobno odziedziczyła troskliwość.

– Mamo, gdybyś tu tylko była... – wzdychała przy podobnych sytuacjach.

A pewni intruzi tylko czekali na takie osłabienie placówki. Od lat unikali jawnej konfrontacji z Kelly, która świeżo po przybyciu w te strony w pojedynkę porządnie przetrzepała im okrwawione skóry.

Wierzyli, że los wreszcie się do nich uśmiechnął.

2

John nie akceptował śmierci współmieszkanki, chociaż odczekał swoje na ławeczce przy domu, tym razem jednak nie mówiąc nikomu za wiele o świetlikach, o łąkach, kopułach czy metalowych siatkach. Twierdził uparcie, że Kelly zabrano do szpitala, skąd niedługo wróci, bo szpitali nie cierpiała niczym on wiedźm (przynajmniej raz w tygodniu nazywał kotkę Śnieżkę wiedźmą). Powtarzał, że Kelly zachorowała, bo nie zamknięto u niej okna. Że trzeba zamykać okna, bo wlatują ćmy i włączają pająki! Złościł się nawet na Amy, a ta schodziła mu z drogi, ponieważ nie miała na kłótnie siły.

I coś w tych zarzutach Johna mogło być na rzeczy, skoro Kelly zawsze prosiła o sprawdzenie okien. Tamtego wieczoru panowała w placówce duchota, poza tym podano kobiecie płynną morfinę, więc zasnęła głęboko, a na nocnej zmianie pozostali akurat wolontariusze, niekoniecznie pamiętający o każdym szczególe. Przecież po lekach Kelly i tak nie obudziłaby się aż do rana, więc nie powinna jej zaszkodzić odrobina świeżego powietrza.

– Bała się – mruczał pod nosem John, insynuując, że Kelly umarła ze strachu.

– Nikt jeszcze nie umarł w Irlandii od otwartego okna! – Koordynatorka ucięła rozmowę z rezydentem, jednym zdaniem lekceważąc zapalenia płuc czy napaści. – Umarła od leków! Żaden morderca nie będzie się czaił na odludziu po krzakach, żeby

wskoczyć oknem i... – Opuściła sobie krzyki. – Kelly odeszła, bo była bardzo chora.

Po raz pierwszy od dawna ktoś odważył się podnieść na Johna głos i po raz pierwszy nie spotkało się to z odwetem.

– Przepraszam, że się uniosłam – dodała koordynatorka na widok smutnej miny podopiecznego. – Masz sporo racji. Otwarte okna to przeciągi, a przeciągi to przeziębienia. Słuchaj – często nadużywała tego słowa – wszystkim nam jej brakuje. Dla mnie Kelly była i jest jak rodzina.

John wybaczył, bo wyczuł, że koordynatorkę Amy zżerało poczucie winy, znane mu z relacji z matką. Nie wiedział tylko, że nie z powodu niedomkniętego okna, lecz przez przyzwalanie na zbyt częste podawanie podopiecznej leków morfinopochodnych. Kelly łąkała oxycontin zgodnie z zaleceniami lekarza, ale płynny oramorph dostawała jedynie w przypadkach silnego bólu, wyłącznie po konsultacji z koordynatorką właśnie. Z przyzwalania na raz w miesiącu szybko zrobiło się raz w tygodniu, raz dziennie, aż wreszcie po lunchu, a potem często też wieczorem, na dobry sen.

Bo Kelly była po nich taka spokojna i kochana, a przecież sporo już wycierpiała...

John dopiero po tygodniu zgodził się na wspólną modlitwę oraz rozbijanie wraz z opiekunem szklanych butelek – nieakceptowane przez dotującą placówkę ministerstwo zdrowia. Rozwalał je w swoim stylu, praktycznie w drobny mak.

Według koordynatorki inspektorzy nie musieli o wszystkim wiedzieć, a wolontariuszom ufała. Młodzi zawsze bezproblemowo wypełniali powierzone im zadania, wykazując się lojalnością wobec przełożonej. Zwykle robili wszystko bez pytań i bez potrzebnych

odpowiedzi, udawając mądrzejszych, niż byli. To z opiekunami o dłuższym stażu trzeba było toczyć boje o byle głupstwo. Wszędzie doszukiwali się zagrożeń.

3

Ósmej nocy od śmierci koleżanki John aktywował drzwiami pager zawieszony przy pasku wolontariusza. Zaspany opiekun próbował uspokoić wyraźnie pobudzonego rezydenta, uchylił się nawet przed lecącym krzesłem, ale już przed drewnianym piórnikiem nie zdołał. Piórnikiem John nigdy nie chybiał...

Wolontariusz stracił przytomność, a rezydent opuścił sypialnię, więc ponownie rozpikał się pager, co nie miało większego znaczenia. Dwóch opiekunów może by coś działo, ale odkąd Kelly odeszła, na nocną zmianę przychodził jeden.

John przebiegł się po obu piętrach, by pozrywać ze ścian pokryte symbolami kartki. Na koniec wkroczył do sypialni Kelly, gdzie niczego jeszcze nie ruszono, ponieważ sentymentalna koordynatorka nie wyraziła zgody nawet na porządki. Poza tym miała ważniejsze sprawy na głowie, na przykład wujostwo rezydentki domagające się od niej, po rozmowach z lekarzami, szczegółowych wyjaśnień.

John obejrzał łóżko, którego pozazdrościł. Miało masę przycisków sprawiających, że podnosiło się lub opuszczało, a nawet przechylało niczym statek piracki. W takim łóżku dopiero słuchałoby się książek!

Na materac jednak nie wszedł, tylko pobawił się dłuższą chwilę przyciskami. Obejrzał później skromniutką kolekcję filmów DVD na półce przy oknie, natrafiając na perełkę, na animowanego *Króla Lwa*,

którego jakimś cudem jeszcze nie posiadał! Posiadać zapragnął; nie odrywał od okładki oczu. Kraść jednak nie zamierzał, nie silnej Kelly, choćby i martwej. Tylko ona potrafiła ustawić Johna do pionu. Widział, do czego była zdolna podczas bitwy sprzed laty!

Poza tym John nie znalazł w pokoju nic ciekawego, bo nie interesowały go ani lalki, ani skromny zbiór nudnych przewodników podróżniczych – Kelly czytała o różnych kuchniach świata, a John wolał siedzieć w placówce, nad ciastem lub pływającą we frytkach smażoną rybą. Cokolwiek wykwintniejszego zwykle zalatywało mu trawą.

– Odłóż – usłyszał głos Michaela i aż podskoczył, tak bardzo nie spodziewał się współmieszkańca. – Chcę spać. Fiona też.

Nadciągnęli Fiona i Michael, dwójka pozostałych rezydentów, których nie można było zostawiać bez dozoru razem, bo zbyt blisko siebie.

– Spierdalaj – rzucił John, bo i takie rzeczy podchwycił z filmów.

– Odłóż! – Michael nie zamierzał odpuścić, nie w obecności Fiony.

– Spierdalaj!

I tak w kółko, dopóki Fiona nie westchnęła przeciągle, dzięki czemu nieco się uspokoili.

Fionę często bolała głowa i zarywanie nocek nie pomagało w walce z migrenami. Poza tym kochała rozmowy o koronawirusie i długie spacerunki po okolicy, dzięki czemu nie brakowało jej siły oraz szybkości. I zazdrościła Kelly jej wcześniejszych podróży, nawet tych krótszych, krajowych, ponieważ Kelly miała na tyle rozumu, żeby na zewnątrz nie zaproszać ognia, a Fionie zdarzało się zalewać wodą

hotelowe łazienki. Obie o geografii świata wiedziały więcej niż przeciętny zjadacz chleba.

– Hej – odezwała się do współmieszkańców, długo przeciągając samogłoskę. – Czemu nie śpicie? – Okręcała przy tym pasemko włosów wokół umięśnionego palca wskazującego.

Michael skupił się na koleżance i jej niedopiętej górze od pizamy, zapominając o kłótni. John również się uspokoił i odpuścił sobie brzydkie słownictwo, lecz wciąż nie odłożył na miejsce pudełka z filmem. Michael zaczął nerwowo chrząkać i uśmiechać się do Fiony, śliniąc się niezbyt estetycznie.

– Rysunki są złe. – John przerwał te zaloty, po czym rzucił w ich stronę zerwanymi kartkami. – Brzydko mówią. Przy oknie jest czerwono.

Parapet rzeczywiście pokryły smugi jakichś glonów regularnie pojonych deszczem.

– Glony nie od nich – podsumowała Fiona.

– Skąd wiesz, najdroższa? – Michael nie odpuszczał z flirtem.

– Od nich tylko krew.

Całą trójką przyjrzeni się wreszcie kartkom. Wyglądało na to, że John miał co do symboli rację. Posmutnieli i wzięli się do zrywania kolejnych, ponieważ ostrzeżenie przed bazgraniem po ścianach pojawiało się w niejasnych wspomnieniach Michaela oraz Fiony.

Król Lew pozostał na łóżku wraz z trudem tłumioną zazdrością.

John przy wyjściu obiecał filmowi, że kiedyś po niego wróci.

4

Odzyskanie przytomności nie szło w parze z odzyskiwaniem chęci do pracy. Wolontariusz usiadł z trudem, opuszkami palców rozmasowując guza na czole. Rozmasowywanie bolało jak diabli, ale przynajmniej pozwalało chłopakowi zachować przytomność. Głowa zdawała się kilkakrotnie cięższa od reszty ciała, a w mięśniach ktoś wlał chyba płynny ołów, piekący skórę i kości. Opiekun najchętniej ponownie zanurzyłby się w błogim omdleniu.

Chłopak sięgnął do kieszeni po telefon i zdziwił się jego brakiem. Zdenerwował się nawet, bo nie po to ciężko pracował, by stracić teraz zabawkę wartą dwie tygodniówki.

– John – odgadł i spróbował wstać, co udało się mu dopiero przy trzeciej próbie. – John – powtórzył z większym smutkiem oraz dopasowanym do sytuacji przekleństwem.

Wolontariusz opuścił pokój, przebiegł długi korytarz oraz pokonał schody prowadzące na dół, by dopaść w biurze telefon stacjonarny. Wiedział, że należy wszcząć alarm, ponieważ obawiał się, że John zdołał uciec. Nie martwił się o podopiecznego, twardszego od niejednej skały – a już na pewno od telefonu, którym pewnie gdzieś cisnął – lecz zamierzał dopełnić obowiązków.

Miał nadzieję, że przynajmniej Fiona z Michaeliem pozostali w swoich łóżkach.

Oczywiście nie pozostali, o czym dowiedział się, kiedy przeszedł do salonu, bo Amy w rozmowie telefonicznej kazała mu przeszukać

dokładnie dom. Leżący na salonowej sofie Michael z Fioną zdecydowanie świata poza sobą nie widzieli, zaś John palił w kominku kartkami z symbolami, mrużąc przekleństwa pod nosem. Wyglądał groźnie, groźniej niż zwykle. Roztańczone światło padało na jego masywne przedramiona, na wykrzywioną złością twarz.

– Zostańcie tutaj – jęknął opiekun, po czym oparł się o framugę drzwi, bo placówkowy świat postanowił sobie zawirować.

Po złapaniu kilku oddechów wolontariusz pomógł w paleniu kartek, nie mając ochoty na konfrontację z siłaczem ani tym bardziej na zapasy z dwójką kochanków. Chłopak miał dopiero dziewiętnaście lat i bał się Johna, jednak nie spuszczał z niego wzroku, byle nie patrzeć na Michaela oraz Fionę, którzy nijak nie zareagowali na jego prośby o zaniechanie obściskiwania.

Sprowadzona na miejsce koordynatorka próbowała wycisnąć cokolwiek z podopiecznych, ale nie dowiedziała się niczego sensownego. Rezydenci opowiadali o symbolach, o niebazgraniu po ścianach, o tym, że kartki przemawiały „brzydkim” językiem i trzeba było je spalić. Noc przechodziła w ranek, dlatego kobieta skierowała wreszcie mieszkańców do łóżek. Na wpół przytomnego wolontariusza zabrała karetka z podejrzeniem wstrząśnienia mózgu. Wyraźnie osłabiony chłopak opowiadał ratownikowi medycznemu po niemiecku o utraconym, zapewne w kominku, telefonie. Ten oczywiście nic z tego nie rozumiał, ale korzystał z wyraźnie nadużywanego w jego zawodzie zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

Fiona z Michaeliem cieszyli się, że nikt nie wypytuje o ich igraszki. Chętnie opowiadali o rozmownych kartkach i zrzucali,

raczej półświadomie, winę na Johna, który ponoć „się uparł!” i „wyciągnął ich z łóżek!”. John zaś wściekał się podczas przesłuchania, bo pierwszy raz od dawna zasugerowano, że taki dobry to on wcale nie jest, jeżeli opiekun wylądował na obserwacji i nie zamierza wrócić do pracy. Rezydenta odprowadzono wreszcie do sypialni i poinformowano, że meble zostaną zastąpione plastikowymi, a o drewnianym piórniku od wujka może zapomnieć.

Koordynatorka zabrała się jeszcze do wypisywania w dzienniku planów na kolejny dzień. Napomknęła mimochodem o koniecznej wizycie policji, bo atak na wolontariusza podlegał co najmniej śledztwu, a kto wie, czy nie karze.

– Nie odpuszczają. – Kiwała na Johna palcem. – Słuchaj, mogą cię wysłać do więzienia!

John jednak tym razem zdusił emocje w sobie, całą zmagazynowaną siłę pozostawiając na kolejny dzień. Więzienia się nie bał, bo w filmach zwykle za kratkami ciekawie się działo – grano tam w karty, dużo spano i czasami dochodziło do jakichś przepychanek, szybko tłumionych interwencjami strażników. Uspokoił się wręcz, bo przynajmniej żaden z policjantów nie będzie chciał do niego strzelać – broń palną John szanował; pociskom nie brakowało szybkości oraz siły. Zbyttno przypominały mu pięści Kelly.

Koordynatorka skróciła modlitwę do dwóch wersów i czmychnęła chyżo, mimo sporej nadwagi, by w kuchni doczekać dziennej zmiany nad parującym kubkiem kawy. W kawie maczała herbatniki znalezione w spizarce, bo w tym domu zawsze odczuwała wzmożony głód. Wchodząc tu, już czuła się, jakby z tydzień nie jadła.

– Poddałabym się – westchnęła w kawową parę – gdybym ich tak nie kochała. I gdyby nie matka... – Matka Amy ponoć nalegała, by córka karierę zawodową związała z placówką.

To prawda. Przed rzuceniem tej posady powstrzymywała koordynatorkę obietnicą, miłością do podopiecznych oraz przywiązaniem do tego kawałka świata.

– Gdybym знаła kogoś, kto mógłby mnie zastąpić... – Znała, lecz takich osób wyszukała zaledwie garstkę i każda z nich znalazła już zatrudnienie w podobnym miejscu. Poza tym Amy rzeczywiście obiecała to kiedyś mamie, i to wielokrotnie, przed jej śmiercią, a obietnicę dotrzymywała.

– Zrodzeni z grzechu – mruknęła pod nosem, przysypiając nad coraz zimniejszym kubkiem. – Mamo, że też musiaś się w ogóle urodzić.

5

Policja nie zadawała rezydentom pytań, skoro nie roilo się od niewiadomych. Dwójka funkcjonariuszy dość długo debatowała z przemęczoną koordynatorką oraz jej przełożonym z ministerstwa zdrowia – który odwiedził placówkę po raz pierwszy od osiemnastu lat, takich rozsypanych po wyspie ośrodków mając pod swoją kuratelą przeszło dwadzieścia.

Policjanci powtarzali, jak ważna jest troska o dobre imię placówki utrzymującej się z dotacji. Niedawny nakaz redukcji personelu przemilczano. Z początku nikt nie wspomniał nawet słowem o śmierci Kelly i o wciąż toczącym się postępowaniu w tej sprawie – koordynatorka modliła się w duchu, żeby nic nie wyciekło do telewizji czy gazet, a wcześniejszy incydent z Kelly niech zostanie wreszcie oficjalnie zakwalifikowany jako zaniedbanie. Amy skorzystała z okazji, by jednak pociągnąć funkcjonariuszy, jak i szefa za język.

– Z Kelly już coś ustalono? – spytała mimochodem, chociaż nie zdołała opanować drżenia głosu.

– Zaniedbanie. Nie zamierzamy wszczynać postępowania, ale poleciliśmy ministerstwu przeprowadzić osobne śledztwo – uspokoił i nieco zaniepokoił koordynatorkę policjant. – Leki przepisał lekarz. Podawano je częściej, niż wypada, ale i tak w zasadzie zgodnie z jego zaleceniami.

– Gdybyśmy podejrzewali cię o morderstwo, już byś została zwolniona z pracy i odprowadzona do aresztu – burknął szef, jak zwykle oschle. – Wraz z detektywem Marnellem sprawdziliśmy – dodał sobie powagi, bo tak naprawdę detektyw sam się wszystkim zajął – czy kiedykolwiek dopuściłaś się uchybień, ale poza incydentem z wczorajszej nocy, który biorę na siebie – ogłosił łaskawie i zgodnie z prawdą, skoro to ministerstwo zarządziło cięcia personelu i kosztów – jesteś kryształowo czysta. Dwadzieścia pięć lat w zawodzie i zero potknięć. Z Kelly działałaś w dobrej wierze i tylko zabrakło ci wiedzy medycznej. Pewne rzeczy stają się oczywiste dopiero po fakcie. Lekarz potwierdził, że przepisując jej morfinę, liczył się z... efektami ubocznymi zażywania leku. Potwierdził, że postępowałaś zgodnie z jego zaleceniami, a osłabienie serca brał od początku pod uwagę.

Jeden z policjantów uśmiechnął się pocieszająco do Amy, bo zrobiło się mu jej żal. Kobieta winiła się za coś, za co odpowiadał w zasadzie lekarz, a przełożony jeszcze wykorzystywał całą sytuację, by umocnić swoją pozycję. Znał się na takich ludziach, co to nosa nie wychylają zza biurka, sam przecież też miał szefa.

– Nikt nie przekroczył uprawnień – uspokoił Amy. – W żadnym z obu przypadków. Nie zawsze daje się uniknąć ryzyka czy skutków ubocznych leków. Proszę się tym nie obwiniać. Przynajmniej ostatnie miesiące chora przeżyła bez bólu.

Urzędnik z ministerstwa wysłuchał raz jeszcze wskazówek funkcjonariuszy i podziękował im za przybycie, ponownie zapewniając, że nie ma co drążyć tematu i mogą najwyżej nieco opóźnionych postraszyć. Amy odpuściła sobie typową reakcję na traktowanie podopiecznych z góry, czyli długi wykład na temat

szacunku do każdego, kto miał w życiu trochę mniej szczęścia niż osoby z ministerstwa właśnie. Koordynatorka wierzyła, że w różnorodności siła i każdy, ale to każdy człowiek potrafi być wart więcej od gór złota.

Na koniec policyjnej wizyty zwołano mieszkańców do salonu i poinformowano ich o stanie zdrowia zaatakowanego wolontariusza.

– Daniel wciąż znajduje się pod obserwacją, ale wygląda na zdrowego kawalera. Jutro zostanie zawieziony prosto na lotnisko. Do pracy – dodał funkcjonariusz – nie wraca. Nie wnosi rozczeń, zatem nasza wizyta zakończy się na pouczeniu oraz upewnieniu się, że jako placówka wdrożycie odpowiedni plan, by uniknąć podobnych incydentów.

– Już leci do nas ktoś na zastępstwo – uspokajała Amy, chociaż trochę się zapędziła, bo z nikim jeszcze dzisiaj nie rozmawiała, ale wiedziała, że chętni na wolontariat zawsze się znajdują. W końcu oferowała pracę w anglojęzycznym środowisku i jedną z najwyższych ze wszystkich krajów biorących udział w projektach Erasmus tygodniówkę. – To się nie powtórzy – zapewniła policjantów, oka nie spuszczając z Johna. – Dzisiaj wymieniamy stoliki i krzesła w sypialni prowodyra. Kuchenny stół przykręcimy śrubami do podłogi, a sofy nikt przecież nie uniesie. – Pewności nie miała, ale wsparła wypowiedź uśmiechem.

– Młodzi ludzie przyjeżdżają tu dla was, więc nie przynoście Irlandii wstydu. Chcą pomagać opóźnionym. – Policjant zwrócił się do rezydentów, ale podobnie do Amy spoglądał jedynie na Johna; koordynatorka ponownie ugryzła się w język, by nie zareagować oburzeniem na wypominanie mieszkańcom placówki

niepełnosprawności. – Nie wolno podnosić na nich ręki. To nie jest ring pięściarski, na Boga! – Uniósł się, za co nie zamierzał przeproszać. – Tak się nie odpłaca za dobro. Pomyślcie, gdzie byście byli, gdyby nie takie placówki! – Podniósł jeszcze bardziej głos, a koordynatorka siedziała cicho niczym podczas wcześniejszej rozmowy z szefem, chociaż w środku się gotowała (nie podobało jej się wszechobecne protekcyjne podejście do rezydentów, ale w ciągu swojej długiej kariery powoli przyzwyczajała się do ignorancji). – Jeśli wydarzy się kolejny incydent, nawet mniej poważny, wtedy zakończymy postępowanie sprawą sądową i więzieniem – postraszył nieco na wyrost, na wcześniejszą prośbę szefa koordynatorki, o której ta prawie zdążyła zapomnieć. – Więzieniem o najsurowszym rygorze!

John wybąkał przeprosiny, bo bał się policyjnych pałek. O gadających kartkach nie zamierzał teraz przypominać, bo swoje wiedział: skończyłoby się zwiększeniem dawek leków pewnie dla całej ich trójki. Myślał, czy nie powiedzieć o świetlikach, łąkach i metalowych siatkach, ale i z tym dał sobie spokój. Z doświadczenia wiedział, że ludzie nie lubią rozmawiać o śmierci.

W kolejnych dniach koordynatorka podwoiła wysiłki. Sięgnęła po nowych wolontariuszy, co zostało zaaprobowane przez urzędnika jako kompromis pomiędzy cięciami kosztów a ilością personelu.

– Masz teraz o parę więcej, w dodatku tanio – pochwalił, ale najbardziej siebie. – Resztę bierz z najtańszej agencji. Sama też musisz wkroczyć na parkiet.

– Wkroczyć na parkiet...? – zmieszała się Amy, bo nie wiedziała, czy szef się przypadkiem do niej nie podwała, a na mężczyźni u władzy miała szczególną alergię.

– Zacziesz ciągnąć nocki. W tym czasie niewiele się dzieje. – Urzędnik raz jeszcze popisał się ignorancją w zakresie wiedzy o zawodzie opiekuna. – Będziesz mogła pracować przy biurku wtedy, kiedy śpią.

– A kiedy powinnam spać?

– W dzień – odparł szef i zakończył rozmowę. Coraz częściej miał kierowników ośrodków za skończonych durniów.

Amy postanowiła działać po swojemu, czym nie zamierzała się z mężczyzną podzielić. Przytakiwała, ale wiedziała swoje, wiedziała wiele i co jest dobre, a co wygląda dobrze jedynie na papierze. Po wizycie zabrała się do jeszcze cięższej pracy.

Meble w sypialni Johna wymieniono lub poprzykręcano do podłogi, bo nie wszystko dało się jednak zastąpić plastikiem. Zakupiono więcej aparatów telefonicznych, przeszkolono wolontariuszy – Polaka, Francuza oraz Niemkę – kursem bardziej doprecyzowanym do ich potrzeb, czyli w zakresie ochrony osób dorosłych specjalnej troski (trzygodzinna męczarnia online zakończona w miarę trudnym do zaliczenia testem). Amy nakazano przeszkolić ich również tuż po przylocie z radzenia sobie z agresywnym zachowaniem podopiecznych. Przyznano jej na to nadgodziny, ale ucięto przy tym nieznacznie stawkę.

Pozwolono tymczasowo nie rozwieszać kartek z symbolami, chociaż brakowało pomysłu, czym je zastąpić, a czymś zastąpić je należało. Ostrzeżenia powinny wisieć, bo to nie tylko dom, ale i placówka zdrowia.

– John! – Czwartego dnia koordynatorka wezwała podopiecznego do biura. – Niektórzy z was nie potrafią czytać, dlatego posługujemy się symbolami. Wiem, że nasze szczerwieniały,

choć naprawdę tylko wyblakły. – Uderzyła pięścią w blat, zła na siebie za dobór słów, ale po chwili ochłonęła. – John, obrazkami mówimy wam, co jest dobre, a co złe. Coś wisieć musi. Może sam symbole narysujesz? Czarną kredką.

John miał talent plastyczny, rysował skrupulatnie, chociaż dość dziecinnie, co jednak akurat w kontekście prostych symboli nie powinno razić niczyich oczu. Denerwował się, że kobieta nie widzi problemu w wywieszaniu tych proszących się o kłopoty głupot, ale ci ludzie zbyt wielu rzeczy nie rozumieli lub nie dostrzegali, by ciągle się z nimi o to wykłócać.

Zgodził się, wbrew wrodzonemu lenistwu, byle tylko udobruchać Amy. Według niego koordynatorka wciąż nie rozumiała całej tej sytuacji, a przecież nadciągali jeźdźcy.

Zrobiłby wiele, byle tylko znów powiedziała, że jest dobrym człowiekiem.

BARTEK



*Zostałaś stworzona, żeby opiekować się mną,
a ja będę opiekował się tobą.*

Jodi Picoult, *Jak z obrazka*, tłum. Alina Siewior-Kuś

1

Bartek przyleciał do placówki z Polski, z wioski pod Poznaniem, aby po tygodniowym wprowadzeniu (oraz po lekturze opasłych segregatorów z informacjami na temat rezydentów) skoczyć na głęboką wodę, czyli wylądować na nocnej zmianie w placówce Johna, w dodatku z samą koordynatorką do towarzystwa. Skoczyć musiał, ponieważ Daniel, poprzedni wolontariusz, już dawno poleciał do domu, a o opiekunów z agencji było coraz trudniej, bo zaczęli domagać się jeszcze wyższych stawek. Francuz z Niemką wciąż mieli jakieś szkolenie do nadrobienia, coś związanego z covidem, więc padło na Bartka.

Polakowi placówka się spodobała. Wyglądała tak, jakby zatrzymał się w niej czas. W środku pachniało czystością i trochę szpitalem, czyli lekami, syropami, rękawiczkami jednorazowymi oraz chorymi ludźmi. Bartek nos miał wyczulony, więc postanowił często tu gotować, by dołożyć do zestawu zapachów woń potraw. Z tego stresu miał ochotę ciągle jeść.

– Mogę przyrządzać obiady. – Ubrał myśli w słowa podczas pierwszej nocki z koordynatorką.

– Oby tanie... – mruknęła bardziej do siebie kobieta, trochę zła na młodego stażystę, ponieważ przypomniał jej o głodzie.

Chłopak gotował znośnie, bo należał do samodzielnych młodych ludzi, czyli pichcenie prostych dań nie było mu obce. Szczególnie

takich z ziemniakami, z kurczakiem czy z mielonym mięsem, na wskroś polskich.

Amy ostatnio pracowała za dwóch, byle tylko przywrócić w placówce porządek, więc przytaknęła wreszcie ochoczo i dodała:

– Kochany, podczas nocnych zmian śpisz na górze, po prawej, w pokoju obok sypialni Michaela. W szafie znajdziesz pościel. Znieś ją rano do pralni, czyli do przybudówki na tyłach. Łazienkę dzielisz z Michaeliem, a on chodzi do niej czasem nawet kilka razy w ciągu nocy, czym się, mój drogi, nie przejmuj nic a nic. Słuchaj, Michael dużo pije, bo dużo wypaca. Prawdopodobnie do ciebie zajrzy, przede wszystkim z ciekawości, czy nie przyszła na nockę jakaś ładna dziewczyna. Zawsze liczy na to, że przyjmiemy na staż jakieś nieziemskie piękności... Na twój widok powie, że jest spragniony, wtedy zaoferuj mu butelkę wody z kuchni. Postawi ją sobie przy łóżku, obok pozostałych, ale do sypialni nie pozwoli ci wejść, więc nawet nie nalegaj. Ma tam niezłą kolekcję swoją drogą, ale i tak zawsze prosi o więcej – dodała rozbawiona. – I poproś, żeby nie budził pracowników w nocy, inaczej nigdy ci nie da spokoju. Ja będę spała na dole, na sofie. W razie czego zejdz i poradzimy sobie wspólnie z każdym problemem, bo na kolejnej nocce zostajesz już sam.

– A John? – Mężczyzna wyczytał z akt, że z tym rezydentem może mieć najwięcej problemów. – Również śpi na górze?

– Tak, ale na przeciwległym końcu korytarza, na lewo od schodów – przyznała Amy, chociaż miała nadzieję, że o Johnie porozmawiają dopiero jutro, po tym jak Bartosz poradzi sobie z łatwiejszym w opiece Michaeliem. – Może czasami krzyczeć, szczególnie po obejrzeniu filmu akcji, ale tym się nie przejmuj, mój

drogi. Biedak tak odreagowuje. John ogląda filmy z zaangażowaniem! – Uśmiechnęła się z wręcz rodzicielską dumą. – Idź do niego, dopiero kiedy zaczniesz walić drzwiami o framugę. Słuchaj, może mieć ćmy w pokoju. Sprawdź to, gdy tam będziesz. Zero owadów, pajaków. On takich rzeczy nie toleruje. Lubi tylko świetliki, ale to dłuższa historia.

– I co wtedy zrobić?

– Wyłapać, ale nie zabijać – odparła koordynatorka, starając się nie parsknąć śmiechem, bo pytanie wydało jej się dość infantylne. – Zostawić ich tam nie możesz, głuptasie. I upewnij się, że okna są pozamykane! – Prawie zapomniałaby o najważniejszym. – Rezydenci wariują na punkcie otwartych okien, nawet podczas upałów – dorzuciła po chwili zadumy. – W dzień możemy nawet wyburzać ściany, ale w nocy najchętniej owinęliby budynek kokonem.

Chłopakowi zrzędała mina, kiedy nic nie wskazywało na to, że zdoła się zdrzemnąć podczas nocek, a po nich trzeba będzie często pozostać na dniówce i ponoć czasami, z racji braków kadrowych, na kolejnej nocce. Właśnie zauważył, że wpisano mu na przyszły tydzień sześćdziesiąt dwie godziny dyżurów, na sam przecież początek rocznego stażu za średnie pieniądze i wyżywienie. Pozostałą dwójkę wolontariuszy najwidoczniej oszczędzano.

– Bartosz – wyrwała go z zadumy Amy. – W domu też cię tak nazywają?

Polak przewidywał, że prędzej niż później padnie to pytanie. Lubił swoje imię otrzymane po pradziadku, ukochanym przez ojca członku rodziny. Zdawał sobie sprawę, że anglojęzyczni przyjaciele mogą połamać sobie na nim języki.

– Może być Bart. – Zdecydował się zachęcić koordynatorkę do uproszczeń, z których i tak już korzystała, odpuszczając sobie Bartosza. – Dla przyjaciół, dla rodziny, dla znajomych.

– Więc, Bart, sypialnia Fiony znajduje się na dole, mój drogi, tam, gdzie podłoga najgłośniej skrzypi. Później oprowadzę cię po domu. Fiona to nasz aniołek, nasze słoneczko. Kobieta o wielkim sercu, niewymagająca specjalnie opieki, chociaż lubi rozmawiać na tematy katastroficzne. Może zagadywać o wirusie – musiała dodać zgodnie z procedurami, zresztą Bartosz i tak wyczytał o tym w segregatorach. – Bardzo przeżyła medialne zastraszanie i odizolowanie naszej placówki.

– Trochę się boję. – Chłopak postawił na szczerość i tylko słowo „trochę” miało się z prawdą.

– Niepotrzebnie, kochany! – Amy głośno klasnęła w dłonie, co jednak nie ukoilo lęków rozmówcy. – Słuchaj, mam co do ciebie dobre przeczucie. A pewność siebie pojawi się z czasem, taki już jest charakter tego zawodu. Przynajmniej doświadczenie zdobywa się szybko.

– Tyle godzin...

– Jeszcze odpoczniesz, a przynajmniej będziesz wiedział, co z czym się je, kto czego potrzebuje. Tak najlepiej, uwierz mi. Mniej czasu na rozdmuchane obawy. Naczytałeś się o ewentualnych problemach, ale w tych raportach nikt nawet słowem nie wspomniał, jak wspaniali są to ludzie.

Bart pokiwał głową, co Amy uznała za dobry znak. Zabrali się zatem do pracy. Pierwsza zmiana ciągnęła się opiekunowi niczym wieczność, wręcz czuł, jak czas spowalnia, jak sekundy zaczynają przypominać minuty, chociaż zajęć nie brakowało i często nie miał

nawet chwili, żeby odetchnąć. Zapoznawano go z domem, z mieszkańcami, z regulaminowym praniem, gotowaniem, sprzątaniami oraz z podawaniem leków. Nie obyło się bez wyczerpujących gier i zabaw, podczas których należało zawsze przegrywać. Na dodatkową serię szkoleń zamierzano wysłać całą trójkę dopiero w kolejnym tygodniu, jeśli „się sprawdzą” i zaliczą wszystkie darmowe kursy online, ponieważ szkolenia z instruktorami kosztują, a nie można wyrzucać pieniędzy w błoto.

2

Najtrudniejsze okazało się podawanie leków. W niczym nie przypominało scenariusza znanego z filmów, kiedy pacjenci podchodzą do okienka, z tacki znika kubeczek z wodą oraz ceramiczna lub plastikowa miseczka, której zawartość ląduje na języku. Po popiciu otwierają usta, by pielęgniarz upewnił się, że tabletki zostały połknięte, i wracają do swoich nudnych spraw, zwykle gdzieś w zaburzonej kiwnięciami krzesel ciszy, przy metalowym stoliku o średnicy talerzyka.

Przede wszystkim w placówce przestrzegano przed pomyłkami. Podwojenie dawki leku mogło okazać się tragiczne w skutkach, a spóźnienie się z podaniem syropu na kaszel już raczej nie. W obu przypadkach otrzymywało się do wypełnienia stosik papierzysek. Rezydenci także nie ułatwiali opiekunom zadania, skoro przyjmowanie leków nie należy do przyjemności. Szczególnie boczyli się na krople do uszu czy oczu, a Fiona również na sprawdzanie poziomu cukru. Czasami odmawiali przyjęcia leku lub upuszczali tabletkę, co kończyło się telefonem do lekarza rodzinnego, by ten zatwierdził wydanie dodatkowej.

Bartosz podziwiał skuteczność Amy, spokojnie tłumaczącej, nalegającej, proszącej, zawsze w odpowiednich proporcjach, z wyczuciem nabytym przez lata. Ponownie w sobie zwątpił i zatęsknił za ojczyzną, za porzuconym tam życiem nastolatka o

śmiesznych wręcz, w porównaniu z życiorysami rezydentów, problemach.

Wziął się zatem w garść i skupił na porządkach oraz na pracach kuchennych, byle tylko odegnąć nieprzyjemne myśli. Mył podłogi oraz prał we wszystkich trzech pralkach pamiętających czasy, kiedy w placówce rezydowało więcej osób: nie tylko Kelly, ale też Jason, zmarły zaledwie kilka miesięcy przed koleżanką, również nocą, w szpitalu, przy otwartym oknie o poczerwieniałym parapecie.

O Jasonie wiedział, ponieważ dokładnie obejrzał sobie porozwieszane w salonie w przeróżnych ramkach zdjęcia rezydentów. Jason wyglądał na kawał chłopca, niewiele mniejszego od samego Johna, lecz zachowywał się podobno niczym pięciolatek. Amy lubiła o nim opowiadać. Bez wątpienia darzyła go szczególnym uczuciem.

Dlatego Bartek też zapragnął pokochać rezydentów, wierząc, że miłość odegna strach.

– Jason dumny był ze swojego okazałego brzucha, no i łatwo się zawstydział – wspominała Amy nad szarawą ramką, w którą ktoś włożył czarno-białe zdjęcie uśmiechniętego mężczyzny. – Mówił rzadko, niewyraźnie, podobnie do Kelly, dlatego bardzo się zaprzyjaźnili i nigdy nie podniosła na niego ręki, mój drogi, nawet przed wyładowaniem na morfinie, kiedy każdy bał się do niej zbliżyć, łącznie ze mną. Słuchaj, łączyła ich więź mocniejsza od więzów krwi, bo chyba nic tak nie scala jak wspólne cierpienie.

– Niesamowite... – To wszystko, na co zdobył się Bartek.

– Jason dostawał najmniej leków, silniej fluorowaną pastę do zębów oraz witaminy. – Amy zmieniła temat. – Sporadycznie sięgaliśmy po xanax na uspokojenie czy przeciwbólowy paracetamol,

ale nigdy na nic poważnie nie zachorował. Wiadomo, borykał się z opóźnieniem umysłowym – dodała na jednym wydechu – ale to nie choroba, to się przydarza. Każdy jest opóźniony względem największych umysłów świata.

Bart pokiwał głową. Żałował, że nie było mu dane poznać wspomnianego rezydenta, a o lekach już się naczytał dzięki szkoleniu. Szczególnie zainteresował go wspomniany xanax. Jak zawsze, kiedy czytał o chorobach lub lekach, dumał nad swoim zdrowiem, a że potrafił wpadać w złość, szczególnie na rodziców, to poczytał nieco więcej o xanaksie. Nie rozumiał, że od porywczosci do nerwicy lękowej daleka droga.

– Jason zwykle wałęsał się po domu w kombinezonach roboczych, chociaż do pracy, poza pomaganiem czasami na farmie, nie chodził i nie dałby się na to namówić za wszelkie słodycze świata. – Amy wyrwała Polaka z zamyślenia. – Uwielbiał kombinezony w nietypowych kolorach, w pomarańczach, błękitach lub żółciach, najlepiej z fluorescencyjnymi paskami na ramionach. Tylko czerwień nie wchodziła w grę, ale tu nikt jej nie toleruje, już o tym rozmawialiśmy. – Spojrzała na pracownika, żeby upewnić się, że zrozumiał ostrzeżenie. – Z czerwienią ci nie odpuszczą, dopóki jej nie wyniesiesz. Żadnych koszulek, skarpetek czy kwiatów w tym kolorze. Nie wybaczą ci tego do końca stażu, a pewnie i dłużej. Niewykluczone, że musiałabym cię nawet zwolnić i odesłać do domu.

Bartek obiecał, że będzie o tym pamiętał. Zresztą nie przepadał za tym kolorem. Wolał zieleni i błękit. Dlatego czuł się w Irlandii jak w domu.

– Jason nie wadził opiekunom, nie sprawiał najmniejszych problemów, nigdy też nie upuścił tabletki, kochany chłopak... – Amy wróciła jeszcze na moment do wspomnień. – Przenigdy niczego nie zdemolował, nie spalił, nie zalał czy... Potwornie mi go brakuje. Gdyby wszyscy tacy byli, to świat... – Nie dokończyła, bo po policzku pociekła jej łza, a nie chciała rozklejać się przy podwładnym. – Słuchaj, ugotujmy coś! – zarządziła i czmychnęła do kuchni.

Z czasem Bartosz dowiedział się, że Jasona wysłała do szpitala zaniepokojona Amy. Narzekał na ból kolana.

Oderwanie skrzepliny i zator, stwierdzili lekarze. Udar – o ile dobrze zrozumiał wciąż nowy dla niego język angielski w otocze akcentu z południa wyspy.

Ponoć John prawie dwie doby czekał na zewnątrz na świetlika, a Kelly ciężko to odchorowała. Nie odzywała się do nikogo przez kilka tygodni i dopiero niedługo przed własną śmiercią, być może pod wpływem silnych leków, pozwoliła sobie zapomnieć o przyjacielu.

3

Ostatnio John coraz częściej przesiadywał w swoim pokoju, gdzie wykrzyknikami okraszał zasłyszane od symboli słowa, bo te kartki, które zrywał, ponoć ciągle do niego mówiły.

– Idziemy po was! Zabijemy! – powtarzał, wydzierając się w czterech ścianach sypialni.

– Kto? – dopytywał Bartosz, ale nie otrzymał odpowiedzi, zrzucił więc wszystko na film akcji z Bruce'em Willisem, jaki oglądali.

Amy nie dopytywała, bo Amy przywykła do hałaśliwego zachowania rezydentów (tym bardziej że John krzyczał często) i zazwyczaj na nie zezwalała, dopóki nie niosło to szkody dla placówki lub zagrożenia zdrowia pracowników lub podopiecznych.

– Jeżeli chcą pokrzyczeć, niech krzyczą – powtarzała. – Krzyk dobrze robi, a nie każdy potrafi się rozpłakać.

John dość szybko zakolegował się z nowym opiekunem, który miał do niego zdrowsze podejście od pozostałych pracowników. Od Francuza z Niemką – ci zamieszkali w tym samym domu – trzymał się wciąż na dystans, tym bardziej że tamci zajmowali się głównie sobą. Bart nie przymuszał rezydenta do niczego ani też niczego mu nie zabraniał, tylko czekał cierpliwie – nawet pół nocy – aż John będzie gotowy na umycie zębów czy położenie się do łóżka. Chłopak rozumiał, że rezydenci są u siebie, a u siebie każdy powinien móc

kłaść się spać lub przesiadywać przed telewizorem wedle uznania, choćby o najpóźniejszych porach.

Za dnia grali w gry planszowe lub sportowe, zrywali kwiaty w ogrodzie, ustawiali książki w nowe, odkurzone stosy. Bart nigdy się nie pomylił, czym zasłużył na szacunek Johna, poza tym przykładał wagę do numerów, do dni tygodnia, rozkładu dnia. To uspokajało rezydenta, bo wreszcie nie musiał sam wszystkiego pilnować. Nie czuł się przy tym tak dziwnie, jak przy pozostałych pracownikach.

Bartosz stał się dość szybko numerem jeden u Johna. Na dzień, na tydzień, wyglądało na to, że na dłużej, dzięki czemu pewność siebie chłopaka wzrosła, wypierając nieco tę uroczą nieśmiałość, z jaką niektórzy przychodzą na świat. Tak, zaczynała zawiązywać się między nimi przyjaźń. I chociaż obu zdarzyło się na przyjaźni sparzyć, to pozwalali tej nowej rozkwitać.

Opiekun polubił wspólne czytanie *Harry'ego Pottera* (wcześniej unikał powieści fantastycznych, zbyt i niepotrzebnie według niego oderwanych od rzeczywistości) i podczas lektur zmieniał bohaterom głosy. Piskliwość Hermiony najbardziej bawiła Johna, więc zaśmiewali się do łez, wycieranych przez Bartka chustką, a przez Johna rękawem. A kiedy czytali w kuchni, to coraz częściej dołączali do nich Michael z Fioną, by zarazić się radością, chociaż nie przepadali za beletrystyką. Może słuchaliby uważniej, gdyby John z Bartem czytali erotyki...

Poza tym sprawy między kochankami miały się dobrze, chociaż stanęły w zasadzie w miejscu. Po pamiętnej nocy przeprowadzono z nimi serię pogadank o związkach oraz o seksie, ale rezydenci ostatecznie postanowili nie zostawać parą, na co Amy odetchnęła z ulgą. Większość kadry kibicowała tej miłości, lecz większość kadry

nie musiała informować o sekscesach rodzin rezydentów ani tym bardziej urzędników służby zdrowia dotującej placówkę wprawdzie symbolicznie, ale i tak wystarczająco, by wysyłać kontrole. Niestety, namiętność ludzi niepełnosprawnych umyślowo wciąż dla wielu pozostawała nieakceptowalna.

Mijały tygodnie, wolontariusze już całą trójką ruszyli do pracy, a na ścianach pojawiały się nowe symbole, tym razem wyrysowane przez Johna z Bartkiem; Johna wciąż marudzącego, że takie bazgranie jest bee i że nie wolno robić tego cukrem (choć Bartosz tłumaczył rezydentowi, że cukier jest biały i nikt by nim nic nie nabazgrał). John przygotował już te dotyczące jedzenia oraz opieki nad kotką Śnieżką, wreszcie białą z czarną łapą, na żółtawym tle, i zaczął pracować nad postaciami, nakazami, zakazami.

Wpierw wyrysował ludzika, któremu zbyt zaokrąglił się brzuch, co rozbawiło Bartka, Johna również, więc dorysowali ludzikowi wąsy, bardzo podobne do tych, które nosił Jason na zajęczej wardze.

I ludzik przemówił krótko:

– Wróć.

Bartosz osłupiał, po czym spanikował i zemdłał. Ocknął się po niepełnej minucie błogiej nieświadomości. Wytłumaczył sobie wszystko przemęceniem.

– Chyba zasnąłem... – Zamierzał przeprosić podopiecznego, jednak wciąż zbyt kręciło mu się w głowie, by mógł dłużej przemawiać w obcym języku. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się zasnąć, ale ostatnio tak ciężko pracował... – Nie wysypiam się – przyznał szeptem. Ratował się serią uszczypnięć, głównie z poczucia obowiązku; byle nie zostawić rezydentów nawet na moment bez

opieki, chociaż najchętniej wybiegłby teraz z placówki, najlepiej wprost do Polski, do wioski, gdzie pozostawił rodziców. – Przyśniło mi się, że ta kartka gada... – jęknął, a strach sparaliżował mu nogi.

Bart nie dowierzał zmysłom, ale w pokoju miał przecież jeszcze do dyspozycji słabiutki słuch Johna. Bał się zapytać, a w zasadzie bał się ewentualnej odpowiedzi twierdzącej.

– Jason ostrzega – potwierdził najgorsze obawy Polaka podopieczny.

Czyli to słowo padło?! Nie były to jedynie urojenia przemęczonego organizmu?! Bartek wybrał numer koordynatorki i zdołał jeszcze poprosić o pomoc, zanim ponownie stracił przytomność.

– Wcześniej straszili – przemawiał do niego John, niezrażony stanem opiekuna. – Czerwoni jeźdźcy straszili. „Wrócimy! Zabijemy!” – cytował wspomnianych jeźdźców. – Brudzą parapety. Chcą zabić. – Wzruszył ramionami, jakby mówił o czymś najzupełniej normalnym. – Kelly się bali.

Bartosz momentami dochodził do siebie, by ponownie zapadać w niebyt. Wreszcie zdecydował się przeczołgać do pokoju wydawania leków i wspomógł się połową tabletki xanaxu. Lek zaczął dość szybko działać i już po kwadransie Polakowi przestało szumieć w głowie. Siedział na krzeselku, gdzie zwykle sprawdzano Fionie ciśnienie krwi, i w spokoju czekał na przyjazd Amy. Koordynatorka wysłała mu wiadomość tekstową wśród kilkunastu nieodebranych połączeń: „Jadę!”.

Rysunek niczego więcej już nie powiedział. John jęczał nad nim słabiutko, wyraźnie stęskniony za Jasonem.

Opiekun podniósł się wreszcie z krzesła i przeszedł do kuchni, gdzie John nalewał mleka do plastikowego kubka.

– Hostel Da Dergi – mrucał rezydent wyjątkowo wyraźnie. – Zapytaj wiedźmy. – Powtarzał te zdania co kilka sekund.

Bart tym razem nie spanikował, wręcz przeciwnie, wziął się w garść, czym zaskoczył samego siebie. John bacznie się mu przyglądał znad kubka.

– Ciastka? – zapytał, prosząc o herbatniki, które lubił maczać w coraz słodszy mleku.

Polak spowolnił oddech, po czym nalał i sobie kubek napoju. Przyniósł ze spiżarki ciastka i chwycił kawałek papieru oraz długopis numer dwadzieścia trzy, aby zapisać słowa rezydenta. Chciał wklepać je później w odmęty internetu.

– Wiem, że mówiłeś brzuchem, przyjacielu. – Chłopak próbował rozgryźć zagadkę rozgadane symbolu. – Pewnie nawet nie wiesz, że tak potrafisz. – Spojrzał na podopiecznego, który zbyt był zajęty pochłanianiem rozmiękczonej łąkoci. – Coś cię niepokoi – zrozumiał. – Próbujesz mi o tym powiedzieć, chociaż wybrałeś sobie idiotyczny sposób... Co ci strzeliło do głowy, żeby mnie tak nastraszyć? W życiu się tak nie bałem, a bałem się często.

– Symbole mówią! – John uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły oba kubki, na szczęście prawie już opróżnione. Ci „normalni” ludzie bywali tacy głusi i ślepi!

– Oczywiście. – Bart rozłożył ręce, a rezydent wrócił do dojadania ostatnich ciastek. – Czemu miałyby nie mówić...

Hostel Da Dergi. Nic mu to nie mówiło, ale wierzył, że ktoś gdzieś musiał coś o tym napisać, że było o nim w którejś z Johna książek lub w oglądanych wieczorami filmach. Być może przeczytano

Johnowi jakąś makabryczną historię albo rezydent usłyszał o czymś w wieczornych wiadomościach? W tym kraju kochano się w bajkach i ponoć wciąż wierzono w rzeczy wprost ze średniowiecza! Bartek wyczytał ostatnio w gazecie „Irish Sun” – gazety cieszyły się na wyspach niesłabnącą popularnością od dekad, dlatego nie brakowało ich w placówkowej kuchni – że ponoć właśnie wstrzymano budowę jednej z autostrad, ponieważ natknięto się po drodze na drzewo, którego lokalni mieszkańcy nie zezwolili ściąć, tłumacząc, że należy do wrózek. Ostatecznie autostradę zamierzano położyć szerszym łukiem...

Polak miał nadzieję, że wiele zdoła wyjaśnić: albo za pomocą nauki, albo grzebania w przeszłości Johna, ewentualnie w przeszłości miasteczka Coolcull. Wciąż obstawiał brzuchomówstwo, mówienie z niedomkniętymi ustami czy swoje przemęczenie.

– A może to ten durny Francuz mu czegoś nagadał? – Bartek, delikatnie mówiąc, nie darzył sympatią wolontariusza z Bordeaux. Tamten tylko uganiał się za Niemką, a na Polaka spoglądał z góry.

Ale poszukiwania odpowiedzi Bart pozostawił na później, na nockę, o ile Amy nie pośle go – miał nadzieję, że jednak nie pośle – do domu, bo teraz czekały go jeszcze obowiązki, a obowiązki traktował poważniej od lęków.

– Wszystko w porządku?! – Koordynatorka wpadła do placówki niczym olimpijczyk, niemalże wyważając przy tym drzwi. Uspokoila się dopiero na widok spokojnie siedzących w kuchni mężczyzn. – Dzwoniłam... – dodała przez zadyszkę, prawie bez wyrzutów. – Mogłeś odebrać, to bym tak nie pędziła.

– Źle się poczułem. – Bart wolał nie przyznawać się do strachliwości. – Zemdlałem na trochę, ale zjadłem ciastka i czuję się

lepiej – skłamał, czym ucieszył Johna, nagle przestraszonego, że Amy zacznie wytykać mu obżarstwo. – Często dopada mnie tu głód, chyba ze stresu... – dodał, co nie mijало się akurat z prawdą. – Powiniennem więcej i zdrowiej jeść.

– Daję ci za dużo godzin – przyznała koordynatorka, siadając na ławie przy Johnie, trochę smutna, że nie został dla niej ani jeden herbatnik. – Rozłożę obowiązki równo na całą trójkę, tylko widzisz, jesteś od tamtych użyteczniejszy...

– Amy? Czy John mówi brzuchem? – przerwał pochwały Bart.

Kobieta wpierw nie zrozumiała, o co pracownikowi chodzi, a po chwili spojrzała na niego z czujnością drapieżnika.

– Raczej nie, ale mógł coś mrużyć pod nosem. Sam wiesz, że dobry z niego aktor i lubi naśladować głosy. Poza tym samotni ludzie potrafią rozmawiać ze sobą na wyższym poziomie. Coś usłyszałeś? – Nie chciała za bardzo naciskać, ale wołała wiedzieć, że z psychiką opiekuna jest wszystko w porządku.

Bart pokręcił głową. Opuścił wzrok na kubek z resztkami mleka.

– Idź do domu – zarządziła Amy. – Odpocznij. Mogłeś mieć omamy słuchowe z przemęczenia. Zdarza się, kiedy prawie zasypiasz, ale jeszcze nie zasnąłeś. Szczególnie w starych domach...

– Co z nocką?

– Nie masz. – Uśmiechnęła się do niego. – Biorę zmianę na siebie. Wyśpij się i wróć na dniówkę, jeśli będziesz w lepszej formie. A na przyszłość dawaj znać, jeśli zbytnio cię wymęczymy. Wiem, że dajesz z siebie wszystko.

– Wziąłem xanax. – Bartek przyznał się do kradzieży. – Zbytnio się nakręciłem zasłabnięciem. Mogę pójść do lekarza rodzinnego i

poprosić, by mi coś przepisał. Mam ubezpieczenie na całą Unię Europejską... jakąś kartę Cigna nam dali...

Amy spojrzała na chłopaka podejrzliwie, ale nie wyglądał jej na narkomana, a od zawsze znała się na ludziach.

– Nie przejmuj się, ale więcej nie sięgaj do naszych zapasów. Umów się na wizytę z doktorem Ryanem i poproś o farmaceutyczne wsparcie na czarną godzinę. Powiedz, że cię podesłałam.

Kobieta przeszła do pokoju z lekami i uzupełniła braki ze skromnych zapasów, jakie nosiła w torebce. Pozostawioną połówkę tabletki połknęła na „spokojny sen”.

– Pomogę – szepnął na pożegnanie Bart rezydentowi na ucho, chociaż wciąż zwał wszystko na przesłyszenia; chciał jednak uspokoić przyjaciela.

John, o dziwo, ten szept usłyszał i przytulił Bartka jak nie on, delikatnie. Z miłością, której Polak się wreszcie doczekał.

Amy wróciła do kuchni, by przyjrzeć się tej wzruszającej scenie, tracąc wszelkie wątpliwości co do dobroduszości opiekuna.

– Zaprzyjaźniliście się tak szybko – westchnęła, wreszcie od tak dawna odrobinę szczęśliwa. – Niesamowite...

4

Po nakarmieniu kotki – kolejnym tego dnia, ponieważ Śnieżka żarła niczym lew – Bart opuścił placówkę i poszedł prosto, chociaż nieco chwiejnym wciąż krokiem, do domu. Kilkunastominutowy spacer w deszczu dobrze mu zrobił. Ostudził policzki, a przy tym orzeźwił, dotlenił i zmusił serce do szybszej pracy. Świat odzyskał swoją szarozieloną, charakterystyczną dla tej jego części wyrazistość.

W domu Bartosz nie natknął się na mieszkających wraz z nim wolontariuszy, więc wziął szybki prysznic, po czym zamknął się w sypialni, by przeprowadzić laptopowe śledztwo. Zapalił lampkę nocną, zgasił górne światło, postawił talerzyk z kanapkami na poduszce i czekał na połączenie z internetem, co na tym odludziu czasami graniczyło z cudem.

Chłopak uważał się za ateistę i w duchy po prostu nie wierzył. Wydarzenia ostatnich godzin zmusiły go jednak do głębszej refleksji nad ewentualnym życiem po życiu. Znowu powrócił strach, czyli xanax najwyraźniej odpuszczał. Tym razem lęk zadziałał motywacyjnie i Bartek zanurzył się w odmętach internetu.

Zgodnie ze swoimi przekonaniem postanowił zwalczyć zło, choćby wyimaginowane, by przywrócić w placówce ład i porządek, by uspokoić znerwicowanego Johna. Na tym postanowił się skupić, a to skupienie ukoło nerwy. Wyszukiwał, otwierał strony, kopiował fragmenty tekstu do pliku w Wordzie – cały pakiet Microsoft otrzymał od placówki wraz z adresem e-mail. Postanowił dobrze

poznać opowieść, do jakiej nawiązywał podopieczny, bo okazało się, że choć hostel Da Dergi nie trafił do rankingu wyszukiwarek, to jednak udało się nazbierać całkiem sporo informacji.

Z każdą kolejną wyświetloną stroną zagłębiał się w treści irlandzkich mitów. Ten najważniejszy dla przyszłości relacji z Johnem opowiadał o spaleniu wspomnianego hostelu. Opowieść pod wieloma względami nie pasowała mu do pradawnych czasów, skoro mówiono w niej o wydarzeniach, które i dzisiaj wzbudzałyby oburzenie. Nawet nie podejrzewał, jak bulwersujące mogły być te stare irlandzkie historie!

Bart przeczytał mit dwukrotnie, po czym wrzucił go w translator, jednak w dalszym ciągu nie potrafił w pełni połączyć opowieści z domem, w którym przyszło mu pracować. Doszukał się jednak wielu podobieństw, dzięki czemu zrozumiał, skąd komuś przyszedł pomysł, by nastraszyć rezydentów tą legendą.

Gdzieś na południu Irlandii (ich Coolcull leżało tak właściwie na południowym wschodzie) niejaki Da Derga prowadził hostel. No i super, zdarzało się pewnie w całej Europie.

A może karczmę?, zastanawiał się Bart, bo czasami drobna pomyłka w tłumaczeniu zmieniała postać rzeczy. Kto tobie lub wam o tym czytał, biedaku?, dumiał sobie nad lekturą. Ktoś was dręczył taką historią. Pewnie Nino, raz jeszcze posądził kolegę z Francji. Nie wiadomo, skąd niektórych biorą...

W opowieści kilkakrotnie wspomniano o trzech niebezpiecznych jeźdźcach, upiornych oraz na wskroś złych. W niektórych wersjach twierdzono, że byli to rycerze łaknący zemsty. Przy ich opisie nie szczędzono czerwieni, szczególnie tej krwistej. Poprzez szereg

rozbieżności w źródłach odkrycie pierwotnego brzmienia tej historii zdawało się wręcz niemożliwe.

– Absurd... – westchnął, kiedy dotarł wreszcie do szczegółowych opisów, które z początku przebiegał jedynie wzrokiem.

Spokój opuścił go na dłużej, a pod ręką brakowało jakichkolwiek leków.

Tak jak w domu rezydentów, tak i w karczmie Da Dergi nie brakowało żelastwa. Rury, blachy czy pręty wystawały ze ścian szczególnie w spiżarce, ale i w ubikacjach potrafiły piąć się pod sufit czy biec pod nim nie zawsze prostym torem. Kawałków blachy widział w placówce tyle, ile w starych chatach desek.

Ponoć to przede wszystkim właśnie z jakichś żelaznych płyt postawiono mityczną... karczmę. Bartek w życiu nie parał się budowlanką, ale ten fragment uznał za kompletną bzdurę. Blaszane dachy, siding czy drzwi to jedno, ale ściany? Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Z drugiej strony co kraj, to obyczaj. Lasów tu jak na lekarstwo, czyli zostawał kamień i może metalurgia właśnie?, dumał.

Spokoju nie dawali mu ci diaboliczni jeźdźcy. Z jakiegoś powodu nazywano ich w tekstach demonami, bestiami czy prosto z mostu mordercami. Bartosz zdawał sobie sprawę, że mity służyły ówczesnym ludziom ku przestrodze, podobnie jak Biblia, w której też nie brakuje okropieństw, jednak dzisiaj, w dobie komputerów, takie straszenie niepełnosprawnych wydawało mu się co najmniej niesmaczne.

Komu by się w ogóle chciało gnębić tym rezydentów?, dumał, chociaż widział w spiżarce pod skruszałym tynkiem jakieś blaszane płyty, czyli dla opiekuna zaznajomionego z pogańskimi – jak określał je Bart – historiami placówka była wodą na jego młyn.

Pewnie zabezpieczali stary budynek przed zawaleniem. Tu czy tam wsparli żelastwem, a teraz to miejscami wychodzi.

Skorzystał z ubikacji, po czym wrócił do sypialni, by czytać dalej: „Do środka można się było dostać jednym z siedmiu wejść”. Bartosz przymknął oczy, po czym policzył w pamięci liczbę placówkowych drzwi. Naliczył wprawdzie jedynie trzy pary wciąż używane, ale odgadł, gdzie znajdowały się kolejne cztery: dwie w sypialniach na dole (zamurowane cegłą i otynkowane jedynie od wewnątrz) oraz dwie zasłonięte dobudowaną z boku domu pralniosuszarnią.

Komuś wasz dom idealnie przypasował do mitu, padł uspokajający werdykt. Jakiemuś wariatowi – wciąż podejrzewał Francuza.

Pod koniec lektury dowiedział się, że w karczmie zawsze było ciepło, a w siedmiu przestronnych sypialniach miało się dobrze wypoczywać. „W powietrzu powinna unosić się usypiająca, delikatna woń dymu”.

Chłopak wreszcie wyodrębnił ten zapach z tyłu pozostałych, jakimi przesiąkł tynk budynku.

Tam pachnie jak w podwędzonym przedszkolu! Ale przecież używają kominka.

Wyłączył laptop, zjadł kanapkę, wymył zęby i długo nie mógł zasnąć, starając się poukładać sobie wszystko w głowie.

Gdy wreszcie zapadł w sen, śnił o skąpanym w posoce trio rycerskich, jedynie z wyglądu, jeźdźców.

5

Śnieżka nie wiadomo kiedy opróżniła miskę, ponieważ ostatnio Bart jej nie widywał. Nie kręciła się już po domu, nie zaglądała do sypialni Fiony i nie zostawała na dłużej w kuchni. Opiekun zatęsknił nawet trochę za jej pomrukami, lecz zbyt dużo miał na głowie, żeby pochylać się jeszcze nad losem zwierzaka. Miskę napełniał, ona opróżniała, więcej nie musiał wiedzieć; niech chadza sobie własnymi ścieżkami.

Tego poranka ziewał jak najęty, wyczerpany brakiem snu i gapieniem się przez pół nocy w ekran laptopa. John zszedł na śniadanie o dziesiątej, porządnie wypoczęty, bo wreszcie ktoś mu uwierzył i nie brał za dzieciaka czy, co gorsza, za opóźnionego.

– Numer jeden – potwierdził na widok Barta. – Zmęczony – dodał po przyjrzeniu się opiekunowi.

– Dziękuję. Ty moim również – dodał chłopak grzecznościowo, chociaż po chwili dotarło doń, że mówi prawdę i że ten postrach większości wolontariuszy jest jego ulubionym rezydentem. – John, słyszałeś kiedyś coś więcej o karczmie lub hostelu Da Dergi? – Bartosz przeszedł do konkretów, kiedy smażył przyjacielowi jajecznicę na słonym irlandzkim maśle, które sam bardzo polubił. – Może pamiętasz, kto ci o nim opowiadał? Nino? Z nowymi wolontariuszami ponoć trzeba uważać... Dużo czytałem, ale każda informacja...

John pokiwał głową, bo swoje w życiu wiedział.

– Trójka jeźdźców – potwierdził internetowe rewelacje, a głos mu drżał, bardziej z emocji niż ze strachu. – Czerwoni – ciągnął, skoro opiekun wsłuchiwał się w jego słowa z uwagą, jakiej rezydent nie zaznawał od innych. – Kelly silniejsza. Lała ich.

– Chyba uwierzyłeś, że mieszkasz w karczmie – stwierdził Bartek dość bezpośrednio, klepiąc podopiecznego po ramieniu i ignorując fragment o sile Kelly. – Brzmi to jeszcze głupiej wypowiedziane na głos... – szepnął do samego siebie, po czym zwrócił się do Johna: – Rozumiem, że zbyt wiele rzeczy się zgadza, ale te stare bajki nijak się mają do rzeczywistości. Czy Nino ci o tym opowiadał? Dlatego kiwałeś głową? Jeśli tak, to pogadam z Amy i wyślą go z powrotem do Francji.

John spoglądał na niego wyraźnie zagubiony w przydługich zdaniach, wypowiedzianych z twardym akcentem.

– Placówka nie jest karczmą Da Dergi. – Bartosz uprościł przekaz. – Ktoś wam nakłamał. Chciałbym wiedzieć, kto. Nino?

Do kuchni wszedł Michael rozziewany niczym hipopotam. Zwykle sypiał doskonale, pod warunkiem że w nocy nie padało. Jeśli dodatkowo grzmiało, opiekun mógł zapomnieć o zmrużeniu oka. Tym razem dokuczała mu pełnia, bo i na takie rzeczy był wrażliwy.

– Wiedźma opowiadała – rzucił jak to on, wolno, niewyraźnie, z kropelkami śliny doklejonymi do słów. – Jeźdźcy żyją – dodał na tyle cicho, by John tego nie usłyszał. – Oni nie pamiętają. – Skinął na Johna. – Ja pamiętam. Wiedźma ładna. Sexy!

Fiona pojawiła się tuż za niedawnym kochankiem i od razu zabrała się do nawijania włosów na palec. Guziki w piżamie znowu miała pozapinane na chybił trafił, czym oczywiście przykuła uwagę Michaela.

– Pamiętam wiedźmę – zaprzeczyła słowom adoratora o niepamięci, lekceważąc jego dwuznaczne spojrzenia. – Mówiła, że Czerwoni sięgają po ogień. Dziwiła się. Powinni unikać ognia. – Kobieta ewidentnie chciała wziąć udział w rozmowie. – Dlatego zalewam łazienki. To ważne.

– Siadajcie. – Bart gestem zaprosił rezydentów do stołu, coraz bardziej zaintrygowany tematem i zdezorientowany rzekomymi rozmowami podopiecznych z wiedźmami.

Postanowił dać się wkręcić w narzuconą przez kogoś zabawę i zrobić przy tym wszystko, by podopieczni przestali się bać tych jeźdźców.

– Posłuchajcie, co wyczytałem w internecie.

6

Chłopak sięgnął po notatki, które wydrukował w biurze Amy. Opowiedział o siedmiu drzwiach, żelastwie w ścianach, z których wciąż ostały się gdzieś płyty. Opowiedział również o najbardziej oburzającym nawet dzisiaj sednie mitu: o irlandzkim królu, który podróżował na południe, wzdłuż wschodniego wybrzeża, natrafiając na hostel czy karczmę.

– Król zesłał przybranych braci na wygnanie do Anglii – dorzucił, bo miało to kluczowe znaczenie dla dalszej części opowieści. – Najwidoczniej się nie lubili.

– Kiedy zesłał? – zapytała Fiona, po czym mruknęła coś o pięknym Londynie.

– Nie wiem, pewnie przed podróżą wzdłuż wybrzeża. – Takie wyjaśnienie pasowało Bartowi na logikę. – Nic więcej o tym zesłaniu nie pisali. Powiedzmy, że kilka lat wcześniej.

– Niefajnie – podsumował poczynania króla Michael.

– Kilka lat w Londynie... – Na tym skupiła się rozmarzona Fiona.

– Król był dobrym człowiekiem – zapewnił opiekun – tylko czasami nawet ktoś dobry musi... Trzeba się bronić. I tyle.

– Wysyłać braci do Anglii? – Fiona nie była przekonana. – Opłacił hotel?

– Musiał ich zesłać i nie, nie opłacił hotelu. Chyba... Prawdopodobnie narozrabiali. Niegrzeczni byli! Nie to co wy. – Skorzystał z okazji, żeby przypodobać się rezydentom i wytłumaczyć

z podniesionego głosu. – Poddanym wiodło się przyzwoicie, mówi mit. Niestety, król urodził się ze związku ojca z córką, dlatego ciążyła na nim klątwa. Dlatego bracia go tak nie lubili i pewnie próbowali pozbawić tronu.

– Obrzydliwe. – Michael podsumował fragment o związku ojca z córką.

– Klątwa – powtórzył kilkakrotnie John najciekawsze według niego słowo, wreszcie zainteresowany wywodem opiekuna. – Piekielna klątwa króla zrodzonego z grzechu – wypowiadał te słowa wolno, jak na siebie w miarę wyraźnie; widać było, że ktoś postarał się, by dobrze zapamiętał to zdanie.

– Klątwa. I tyle! – Bartosz nie zamierzał dolewać oliwy do ognia; jakoś niespecjalnie mu szło to uspokajanie podopiecznych. – W mitach zdarzają się klątwy i nieszczęścia. Śmierć, wygnanie czy podróże to coś normalnego. Dzięki nim czyta się je z ciekawością! Żeby było wciągająco. – Ponownie puszczały mu nerwy. – Nawet seks między członkami rodziny się zdarza. Zgadzam się, że obrzydliwe.

– Klątwa? – zapytał Michael współmieszkańca.

– Wciąż działa – potwierdził John takim głosem, że opiekunowi wyskoczyła na ramiona gęsia skórka i pognęła na kark.

– Klątw nie ma. Są tylko w bajkach! – Bartosz trwał jednak uparcie przy swojej tezie. – Samym gadaniem nic się nie działo. Można komuś źle życzyć, można się nawet modlić o karę boską, ale to nie zadziało.

Przynajmniej żadnego ze słuchaczy wspomniany związek ojca z córką jakoś bardziej nie poruszył, więc Bartek uspokoił się trochę i wrócił do notatek.

– Jego bracia, ci wygnani do Anglii, zawarli sojusz z tamtejszym królem. Nie wiem z kim, ale nie z Karolem. – Powstrzymał Fionę od wplecenia w historię najnowszych wydarzeń.

– Innym królem niż Karol i ten Irlandczyk? – Fiona próbowała nadażyć, ale ta historia wydawała jej się nudnawa. Żadnej normalnej miłości, tylko kłątwy, zboczenie i kłótnie.

– Tak, innym królem. Królem z Anglii kiedyś. – Bart przetarł dłonią twarz. – I bracia wrócili z grupą wojowników z tej Anglii do Irlandii – tłumaczył najprościej, jak potrafił. – Wrócili, żeby zemścić się za wygnanie.

– Na ich bracie? – upewnił się tym razem Michael. – Za wycieczkę do Londynu z hotelem?

– Tak. – Bartosz ponownie przetarł twarz. – Na ich przyrodnim bracie zrodzonym z grzechu, za wycieczkę do Londynu.

– Atakują dom – stwierdził John bez cienia wątpliwości. – Chcą nas zabić. Kelly ich łała.

– Czerwoni. – Michael pokiwał głową.

– O czym wy teraz mówicie...? Kogo łała Kelly? – zapytał Bart, choć wiedział, że lepiej było spytać, kogo Kelly nie łała, odpowiedź trwałaby krócej.

– Zdechną! – John uderzył pięścią w stół. – Zdechną, zdechną, zdechną!

– Poradzimy sobie i bez Kelly – zapewniła współmieszkańców Fiona.

Bartek przyrządził dla wszystkich po kubku czekolady oraz przyniósł ze spiżarki paczkę herbatników, dzięki czemu mógł dokończyć opowieść o micie. Cieszył się, że gruby na kilkanaście centymetrów drewniany blat stał aż na ośmiu solidnych nogach.

Pewnie placówka dawno już wyciągnęła wnioski i zainwestowała w nieliczne meble.

Opiekun wrócił do dzielenia się wyczytaną wiedzą.

– Raz jeszcze: megawaleczny król Irlandii zatrzymał się w karczmie Da Dergi, gdzieś na południu Irlandii, czyli mogłoby to być tutaj, u nas, w Coolcull. Uciekał, zmęczył się ucieczką i trafił do karczmy, łapiecie?

Przytaknęli, że nadążają.

– I tutaj go wracający z Anglii bracia dopadli. Bracia wraz z wojskiem, też z Anglii. Niestety, w mowie jest od razu o potyczce. Ani słowa o tym, czy zapukali do drzwi, czy dogadali się z karczmarzem, czy karczmarz zdradził.

– Karczmarz zdrajca – szepnął John, co zostało generalnie zignorowane.

– Król irlandzki pokonał sześciuset wojowników, zanim w ogóle dobył broni. – Bart był pewien, że w takie bajdurzenie nie uwierzą nawet rezydenci, ale przekazując treść mitu, nie mógł tego pominąć. – Kolejnych sześć setek rozniósł z bronią w rękę. Tysiąc dwieście chłopów padło! Chyba bzdura, bo jeśliby zużył – nie potrafił znaleźć trafniejszego słowa – na każdego trzydzieści sekund, to walczyłyby z dziesięć godzin! – Miał nadzieję, że nie pomylił się w szybkich kalkulacjach.

– Silny – mruknął John, mimowolnie napinając mięśnie przedramion.

– Szybki – mruknął Michael, uśmiechając się zalotnie do Fiony.

– Mądry. – Uśmiech zagościł też na kobiecym obliczu.

Fiona pierwsza dopiła czekoladę i skorzystała z ciszy, by opowiedzieć o Kelly, a dokładniej o pożarze w jej sypialni. Mówiła

głównie o tym, jak bardzo tęskni za koleżanką, lecz podała również garstkę interesujących Barta szczegółów: coś o niedomkniętych oknach, o powrocie pokonanego przez rezydentkę zła czy o konieczności obrony placówki.

– Podpalono zasłony. – John przypomniał najważniejszy z incydentów.

– I tylko one spłonęły – dodała dla jasności Fiona.

To Barta mocno zdziwiło, bo przecież na niedawnym szkoleniu przeciwpożarowym puszczano film, jak niebezpieczny bywa w takich domach ogień. Powtarzano w kółko, żeby unikać nawet świeczek, od których zajmują się właśnie zasłony czy rolety, a po chwili cały budynek staje w płomieniach.

– Ten dom się nie pali! – odgadł chłopak. – Pod tynkami jest naszpikowany stalą! Karczmarz pomyślał o wszystkim... – dodał wolniej, po raz pierwszy mieszając mit z rzeczywistością. – Być może w tamtych czasach podpalanie karczm było w modzie?

– Żelazo w ścianach – stwierdził John, ale nie zamierzał wchodzić w szczegóły, a Bart nie naciskał, szczęśliwy, że rezydentowi przeszła niedawna złość.

– Ciekawe, czy możemy to jakoś sprawdzić? – pomyślał na głos Polak.

Wtedy John wstał, okrążył stół i podszedł do ściany, po czym uderzył w nią pięścią. Bartek nie zdążył nawet zareagować. Tynk odpadł solidnym kawałkiem, odsłaniając kawał metalowej tarczy, jakie widuje się w filmach o rycerzach.

– Musimy to jakoś przykleić... – wydukał opiekun, podnosząc ścienny odprysk. – Dostyc mieliśmy ostatnio wypadków. Amy mnie zabije...

– Sypie się. – Wzruszył ramionami John, który nie chciał więcej rozmawiać o Da Derdze, skoro przestrzegał planu dnia i nadszedł czas na YouTube, na leciwe już zwiastuny ekranizacji serii o Igrzyskach Śmierci.

– Ugotuję coś na obiad – rzucił Bartek, pogrążony coraz bardziej w rozmyślaniach nad daleką przeszłością. – I napełnię kocią miskę.

Ten cały Nino zaintrygował go sprytem. Dobra! idealną opowieść do tego starego domu. A kiedyś budowano pewnie, z czego się dało, i stal mogła tkwić w ścianach wielu równie leciwych budynków.

7

Po jedenastej do pachnącej smażonym jedzeniem placówki weszła dwójka wolontariuszy, by pomagać Bartkowi na dziennej zmianie. Nielubiany przez chłopaka Francuz Nino oraz urocza Sammy z Niemiec – czyli chyba Samantha, tak podejrzewał Bartosz (ciągle wstydział się ją o to zapytać, a na rozkładzie w kuchni wpisywano jedynie inicjały). Dziewczyna miała w sobie charyzmę, której jemu zawsze brakowało. Pewność siebie, jakiej zazdrościł, oraz wdzięk wraz ze świeżością kwiecistych łąk.

Poza tym przepięknie się rumieniła i pachniała niczym świeża pościel.

Na szczęście wolontariusze nie zauważyli przyklejonego kilkunastoma gumami do żucia odprysku, więc chłopak odetchnął z ulgą. Zadecydował, że przyniesie na kolejną zmianę odrobinę cementu, sprzedawanego tu głównie w tubkach, i naprawi szkodę.

Zamienił z wolontariuszami kilka słów, przede wszystkim o pogodzie, jak zwykle paskudnej. Dłużej porozmawiał z Sammy, ale również bez większych fajerwerków. Sammy potrafiła pomówić z każdym o wszystkim, lecz Bart nawet dla niej stanowił nie lada wyzwanie. Niestety, myśli chłopaka błędziły po mitycznej przeszłości tego miejsca, w którą może i nie wierzył, ale która zaczynała go na poważnie wciągać. Starał się cokolwiek zrozumieć, by móc jak najlepiej pomóc rezydentom w poradzeniu sobie z – zapewne wyimaginowaną – traumą.

– Bujasz w obłokach? – podsumowała konwersację Niemka.
– Mało spałem... Wczoraj źle się poczułem.
– Amy pisała na grupie, żeby na ciebie uważać. – Placówka korzystała z dobrodziejstw aplikacji WhatsApp. – Co nawywijałeś? Niełatwo jest podpaść Amy.

– Zemdlałem – przyznał się Bart do słabości, dzięki czemu poczuł się paradoksalnie silniejszy. – Chyba... Albo wyłączyło mnie na krótko. Nigdy wcześniej nie straciłem przytomności. To z przemęczenia.

Sammy pokiwała głową, po czym przytuliła Polaka. Niby po przyjacielsku, ale i z uczuciem, które dodało Bartoszowi sił. Nino przyglądał się temu z zazdrością, bo i jemu podobała się dziewczyna, ale coś się między nimi ostatnio popsuło i najwidoczniej wołała takich ciapowatych głupków bez grosza.

– Bierzemy się do pracy. – Sammy puściła do Barta oczko. – Odpocznij przy garach. Chętnie bym coś dobrego zjadła.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Michael opuścił kuchnię i zamknął się po śniadaniu w swojej sypialni, a Fiona poszła na spacer, tak jakby deszcz z wiatrem, które dziś zdecydowały się namiętnie współżyć, nie stanowiły najmniejszego problemu. Fiona kochała spacerować, ponieważ na zewnątrz zwykle bywało mokro i ewentualne pożary nie wydawały się tam aż tak groźne. W dodatku chciała dziś sprawdzić okolicę i upewnić się, że wokół nie ma jeźdźców, o których przypomniał im przy niezdrowym śniadaniu ten cudowny opiekun o smutnych oczach. Przystojny nawet, tylko zadurzony najwidoczniej w tej bladej Niemce, która sypiała z Francuzem – Fiona takie rzeczy wyczuwała szóstym zmysłem.

A Bart kroił warzywa do sałatki i dumał nad końcem historii o odwiedzinach u irlandzkiego króla z kazirodczego łoża. Według zapisków spragniony po pokonaniu dwunastu setek przeciwników władca poprosił gospodarza Da Dergę o kubek wody. Ta się jednak skończyła, ponieważ została zużyta do gaszenia pożarów wzniesionych przez braci władcy. Czyli nie pukali do drzwi, wydedukował. Chcieli wypłoszyć króla ogniem.

– Fiona – mruczał pod nosem chłopak, próbując dopasować opowieść do ich rzeczywistości – to woda, a Kelly to ogień. Tylko po co aż takie kombinacje? – Obrócona w kostkę marchewka trafiła do miski z groszkiem. Chłopak wkręcił się w porównywanie mitu z teraźniejszością, w zabawę intelektualną, jaką zaserwował im wszystkim prawdopodobnie Nino. – Czy wmówiono rezydentom, że są potomkami irlandzkiego króla? Czy nakazano im utożsamić się z różnymi bohaterami mitu? A może wierzą, że to na nich spadła klątwa? – Bartek czuł, że paradoksalnie coraz bardziej się w tym gubi. Był już nawet bliski ataku słownego na Nino, ale doszedł do wniosku, że tylko by się wygłupił, Francuz wyparłby się z łatwością wszystkiego.

– Nastraszył ich – burknął więc tylko pod nosem.

Bart wstawił garnek na kuchenkę i zabrał się do przyprawiania mięsa na kolejny dzień, niejako z rozpędu oraz z potrzeby zajęcia czymś rozedrganych rąk. Francuz wraz z Niemką radzili sobie z Johnem doskonale, a nawet zabrali się do porządków. Bartosz przesolił kurczaka, ale wiedział, że rezydenci i tak zjedzą obiad ze smakiem, żeby nie sprawiać mu przykrości, a wolontariusze pewnie tylko podziobią trochę, bo żywią się głównie słodczymi, regularnie

opróżniając spizarkę z ciastek, uzupełnianych coraz hojniej przez koordynatorkę.

– W razie czego wszystko pożre wiecznie głodna kotka – skomentował przesolenie Bartek. – John to królewska siła, a Michael? – Wrócił do rozmyślań, ale z Michaelem miał największy problem; nie dostrzegał w nim nic bohaterskiego.

Szybkość nie pasowała mu do ślamazarnego rezydenta, który nawet schody pokonywał w tempie schorowanego emeryta. Myślami odbiegł na chwilę ku Sammy, ku jej różowym policzkom, pełnym ustom, prawie zawsze wygiętym w zalotny łuk uśmiechu. Ku przytuleni, jakże wymownym, choć zdecydowanie zbyt krótkim.

Czyżbym się jej podobał?, dumiał z niewiarą, jak każdy w jego wieku, kto nie miał jeszcze chłopaka czy dziewczyny.

Sammy podeszła i wyrwała go z zamyślenia. Zarumieniła się tak prześlicznie, tak ciemnoróżowo (niemal czerwienią), ale nawet rezydenci nie mogli mieć jej tego za złe.

SAMANTHA



*Uprzejmość zastawiła wiele pułapek,
w które można wpaść. Ludzie z autyzmem żadnej
nie ominą; są w tym mistrzami.*

*Axel Brauns, Barwne cienie i nietoperze.
Życie w autystycznym świecie,
tłum. Izabela Czyżewska-Dyrała*

1

Sammy kochała zwierzęta zdecydowanie bardziej od ludzi. Zazwyczaj przytulała się do każdej psiny, kociaka czy choćby jaszczurki, jaka wpadała w jej ciepłe dłonie, chociaż sama nie lubiła być przez nikogo dotykana. Tolerowała nawet płazy i tylko do pajaków nie zdołała się przekonać, co zrzucała na arachnofobię odziedziczoną po matce – ta reagowała histerycznie na byle pajęczka; wystarczyło zdjęcie czy program telewizyjny o ptasznikach, by opuszczała pokój lub nawet mieszkanie. Denerwowała córkę na każdym kroku.

Dlatego, według Sammy, jej starsi bracia mieli więcej szczęścia. Autyzm, o ile w ogóle, musnął ich niemal niezauważalnie, pomagając odnosić sukcesy, nie przeszkadzając przy tym w nawiązywaniu przyjaźni. Przystojni i inteligentni bliźniacy postanowili się młodo ustatkować. Pokończyli studia, znaleźli dobrze płatne posady i wynieśli się z domu, by zająć się płodzeniem pierwszych potomków. Uwinęli się ze wszystkim błyskawicznie jak na standardy ich pokolenia. Obu wadziła bowiem niezdrowa, według nich, relacja matki z córką.

Twierdzili, że niegdyś konserwatywna wychowawczo kobieta pozwalała urodzonej dziesięć lat później od braci Samancie na wiele, często wprowadzając synów w zdumienie. Mała od dziecka mogła hodować zwierzęta, a im nie pozwolono nawet na chomika. Doczekała się własnego pokoju – specjalnie pod nią urządzonej

dobudówki, a im przypadła na spólkę najmniejsza z sypialń. Pościel kupowano jej satynową i pilnowano, by w sypialni nie było ani za jasno, ani za ciemno, czyli zamontowano jej ściemniacz dotykowy zamiast zwykłego kontaktu. Nawet sufit pomalowali dziewczynce na niebiesko, bo tak sobie zażyczyła! Tu miękki dywanik, a tam półka, później kolejna i kolejna, a wszystkie drogie, solidne, robione na wymiar przez lokalnego stolarza.

Samantha w dzieciństwie podnosiła głos i tupąła po podłogach do woli, kiedy im nie wolno było choćby krzywo spojrzeć na rodziców. Nie jadła skórek od chleba i pewnie z tysiąca paskudztw, jakie w nich wmuszano. Piła tylko herbatę, nie za zimną, nie za ciepłą, ewentualnie niegazowaną wodę jednej tylko marki. Wreszcie zamontowano dla niej szybki internet – o który nawet oni na studiach nie mogli się doprosić – żeby mogła sobie zamawiać spersonalizowane buty i przeróżne kolekcjonerskie cuda, bo kolekcjonować lubiła, to ją uspokajało.

Według braci rodzice świata poza córunią nie widzieli, dlatego jeden z bliźniaków zamieszkał w Hamburgu, a drugi w stolicy, nawet ze sobą nawzajem nie utrzymywali kontaktu. Szczęście oraz sprawiedliwość implementowali w swoich domach.

Kiedy już przyjeżdżali na święta, głównie dla dobra wnuków, za nic na świecie nie daliby się zaprowadzić do przybudówki i tego pokoju, który mieli za upiorny, gdzie na grubych na łokieć półkach dziewczyna trzymała każde ze zwierzątek, które pod jej opieką zdechło.

Sporo się ich przez lata nazbierało...

2

Ojciec zapłacił za formalinę kartą, przez internet. Ten blisko czterdziestoprocentowy roztwór wodny formaldehydu dostarczono w czterech dwudziestopięciolitrowych butlach, z czego mężczyzna przyrządzał pięcioprocentowe roztwory idealne do konserwacji zwierzęcych tkanek – zapasu mieli zatem pod dostatkiem. Rodzicom nie przeszkadzało, że dziewczyna trzyma w pokoju słoje pełne rozcieńczonej trucizny ścinającej białka. Przynajmniej znalazła sobie ciekawe zajęcie, zbliżając się wreszcie do taty. Zdarzało się nawet, że z radości przytuliła ojca, na co ten czekał przez wiele długich lat.

Sammy podświetlała słoje lampkami LED-owymi i ogólnie całość wyglądała wręcz estetycznie, nieco muzealnie, lekko tylko trąciła koszmarem.

Przed zanurzeniem w płynie dziewczyna ustawiała zwierzątka na plastikowych podestach, w jak najnaturalniejszych dla danych gatunków formach. Wybierała słoiki minimum czterolitrowe – dla najmniejszych zwierząt, kiedy chomików się nazbierało, poza tym nie brakowało w kolekcji i myszek. Młodziutka Samantha zatopiała w formalinie kilka tuzinów tych gryzoni, każdą sztukę w nieco innej pozie. Oglądane ciągiem tworzyły martwą „animację” podnoszącej się na tylne łapki myszy, co spodobało się bardzo samej Śmierci.

Akka, bo o niej mowa, odwiedzała sypialnię dziewczyny od czasu do czasu, by nacieszyć się, stworzoną jakby specjalnie pod nią, sztuką. Nigdy jednak nie pokazała się gospodyni na oczy, chociaż

pozwalała sobie sporadycznie coś ociupinkę przesunąć czy pobrudzić palcami pokrytymi głównie ludzkim prochem. Pozostawała niewidoczna w pewnym stopniu z szacunku do talentu artystki – Akka poważnie wstydziła się Sammy, co zdarza się zagorzałym fanom. W takim pokoju pragnęła kiedyś zamieszkać. I nie, nie wyglądała niczym Kostucha z horrorów. Akka była istotą na swój sposób piękną – fizycznie, jak i charakterem.

Dziewczyna inspirowała się pracami Damiena Hirsta, awangardowego artysty z Wysp Brytyjskich, którego instalacje obejrzała w internecie, skoro nikt znany nie zamierzał do Naumburga przyjeżdżać. Dowiedziała się o Hirście przypadkiem, kiedy w którymś z clickbaitowych artykułów wyczytała o najdroższym dziele w historii sztuki, o inkrustowanej blisko dziesięcioma tysiącami diamentów czaszce *Na miłość boską!*

Wtedy pojęła, że coś upiornego może być bezkresnie... powabne. Hirst zaimponował jej nie tylko kunsztem, pomysłowością czy kontrowersyjnością, ale i odwagą. Za młodu złodziej, budowlaniec, wreszcie pracownik kostnicy – oraz artysta posądzany o wielokrotne plagiaty – wpadł wreszcie na genialny pomysł, by dorobić się niebagatelnej fortuny na... estetycznym zanurzaniu zwierząt w formaldehydzie!

Sammy pokochała dzieła Hirsta. Ciała zwierząt wyglądały na zamrożone, jakby wyrwane z rąk śmierci. Tam, gdzie w grę wchodził skalpel, już odwracała wzrok. Jego przeciętą na pół krowę z cielakiem uważała za odrażającą – Akka zgadzała się z Sammy w stu procentach. Samantha stawiała na uwiecznianie śmierci oraz na drwinę z rozkładu. Zachwyty nad makabrą pozostawiała innym.

Jedno z dzieł zrobiło na nich szczególne wrażenie. Sammy marzyła o zobaczeniu na żywo *Fizycznej niemożliwości śmierci w umyśle istoty żyjącej*, instalacji wielkości ich przedpokoju, z przeszło czterometrowym żarłaczem tygrysim zamkniętym w wypełnionym formaliną szkłe. Pokochała to wrażenie ruchu w śmiertelnym zastoju bestii! Swoimi pracami oddawała Hirstowi jedynie skromny, żalony wręcz w jej mniemaniu hołd.

Akka uważała inaczej. Wolała minimalizm młodej dziewczyny, jak i przywiązywanie wagi do szczegółów. U Samantha każdy włoski sierści znajdował się na właściwym miejscu, każdy pazurek został równiutko spiłowany. Kiedy tylko mogła – niestety, czasami miała pełne ręce roboty – zjawiała się w Naumburgu, żeby przypatrywać się zanurzaniu ciałek w formalinie, kiedy te z truchel stawały się sztuką.

W poszerzaniu kolekcji pomagał wciąż ojciec, biotechnolog z wykształcenia, księgowy z zawodu. Dostrzegał uwięzione w tych słojach piękno. Matkę przekonali dopiero tysiącami serduszek na instagramowym profilu – ten budził przy tym sporo kontrowersji, prowokując do interesujących wymian zdań, dlatego kontaktowała się i z prasą, ale dbano o anonimowość nieletniej artystki.

Sama autorka nikomu nie odpowiadała na wiadomości. Za nią przemawiały prace. Nawet Śmierć nigdy nie odważyła się o nic pytać.

Konto usunęli pół roku później, kiedy Sammy władowała do okrągłej butli ciało ich zmarłego kota Rittera. Wylało się wtedy na dziewczynę przeszło dwieście komentarzy hejtu, jakby psów i kotów nie należało ruszać, za to z myszami można było robić, co dusza zapagnie.

Posypały się nieprzyjemne zdania wsparte wykrzyknikami oraz emotami. Nie zabrakło wyzwisk czy gróźb.

Wtedy też, w dzień zlikwidowania profilu i niedługo po szesnastych urodzinach artystki, przyśnił się jej niepokojący sen.

3

Śniła o bezbolesnym przebudzeniu, o siadaniu na łóżku po rzuceniu okiem na sufitowe niebo. Błękit wyglądał coraz gorzej, oceniła, jakby prosił się o odmalowanie, być może nawet o dodanie kilku kiczowatych białych chmurek, co uznała jednak za zbyt infantylne jak na artystkę jej pokroju.

Nikt mnie zresztą i tak nie odwiedza, a miło byłoby popatrzeć na chmurki, zadecydowała jednak po namyśle, bo przecież nie wiedziała o regularnych już odwiedzinach Śmierci.

Usiadła, oparta o miękkie wezgi łóżka, które sama sporządziła z przymocowanych do ściany samoprzylepnymi rzepami szesnastu pomarańczowych poduszek. Ziewnęła i przejechała po lekko zarumienionej twarzy dłońmi. Pościel pachniała snem, a półki...

– Tato! – krzyknęła, ale ojciec nie zerwał się, by niezwłocznie przybiec do córki, jak miał w zwyczaju. – Tato...! – Mniej pewnie powtórzyła wołanie.

Matki nie chciała teraz oglądać, bo ta wpadłaby co najwyżej w histerię i jeszcze trzeba by się nią zająć. Sammy bała się wprawdzie tego, co zobaczyła, ale zamierzała rozwikłać zagadkę, jaką jakiś kiepski dowcipniś – raczej nie tata – jej tutaj zgotował.

Słoiki dalej stały na półkach, które utrzymałyby pewnie i samego rekina Hirsta. Półki obłożono jednak skórkami, przynajmniej na tyle, na ile tych skórek wystarczyło. A wszystkie artystyczne

rekwizyty Sammy, czyli myszki, chomiki, świnki morskie czy kot, zostały... oskórowane! Poza tym słoików naliczyła mniej niż zwykle, a po dokładniejszych oględzinach zwymiotowała żółcią na ukochany puszysty dywan.

Do pierwszego z pojemników powkładano tylko serca zwierzątek, do drugiego mózgi, w kolejnym pływały kończyny, w następnym głowy i tak upiornie dalej, w zaledwie dziesięciu słojach. Dekalog Akki, dekalog Śmierci.

– To nie jest śmieszne, tato! – Samantha podniosła się z łóżka, strach zagłuszając wściekłością. – Usunięcie konta powinno wystarczyć! – Wściekła się na rodziców.

Opuściła przybudówkę i przebiegła przez pokój świnek morskich – jak nazywała pomieszczenie z pralką i suszarką oraz świnkami właśnie – przedostając się do domu. W sypialniach na górze zastała jednak tylko idealnie, w mamy stylu, pościelone łóżka. Wściekłość jeszcze w niej wzrosła, podobnie jak i strach, czyli telepało ją z obu stron, dla równowagi. Sprawdziła wszystkie pozostałe pomieszczenia, każdą łazienkę czy schowek, ale nikogo nie odnalazła. Pokusiła się nawet o wspinaczkę na strych, gdzie pociągnięciem za sznureczek włączyła światło.

Światło działało, sznureczek – o co się zawsze bała – nie pękł, a strych wyglądał schludnie, czyli matczyne zamiłowanie do czystości sięgnęło wyżyn. Kartony z ozdobami świątecznymi stały po lewej stronie, po prawej zaś ciążył podłódze zamykany zbiornik na wodę. W tle buczała wentylacja i dopiero na końcu pomieszczenia, gdzie dach opadał, trzymali zapasowe słoje oraz butle z potrzebną im chemią. Tata nie pozwalał jej tam samej chodzić.

Zakazane kusilo.

– Tato... – Zabrakło jej sił na złość. – To nie jest ani trochę śmieszne.

Dziewczyna zastanawiała się, kto mógłby taki żart uznać za zabawny. Poza tym oskórowanie oraz poćwiartowanie tych kilkudziesięciu zwierzątek – praca została wykonana z chirurgiczną precyzją – wymagało czasu i wprawy.

– Samo otwieranie tych uszczelnianych słoii... – Nic z tego nie rozumiała. – Obudziłabym się. Nawet z zatyczkami do uszu byle ruch mnie budzi.

Któż znowu fatygowałby się potem w oklejanie skórami półek? Tego typu dowcipy wymagały schorowanego umysłu, a zarówno ojciec, jak i matka woleli spędzać wieczór przed telewizorem, na oglądaniu któregoś z seriali na Prime (Netflix uważali za dziecinny), niż na babraniu się w przesiąkniętych formaliną truchłach.

Artystycznie nawet pojęła zamysł przedsięwzięcia i była pod wrażeniem perfekcyjności jego wykonania, chociaż sama unikała takiej makabry.

– Skóra spłynęła z martwych ciał, by rozlać się po podtrzymującym lub odgradzającym ciała od ziemi drewnie – dumiała na głos. – Doszło do złośliwych podziałów i pojednań. – Miała na myśli narządy w osobnych słojach.

Jakby sama Śmierć zechciała zademonstrować Samancie swój kunszt.

4

Sammy pokonywała ostatnie stopnie drabiny z coraz cięższą duszą na ramieniu oraz z nadzieją, że jej się to wszystko jedynie śni. Nie znosiła piwnic czy strychów, a z czasem do tej wyliczanki dojdzie i strychnica.

– Obudź się – prosiła swój mózg z każdym krokiem przybliżającym ją do oddalonego od łysej żarówki celu. – Śniesz koszmar. Każdemu się zdarza, ale już pora wstać.

Pozwoliła sobie na serię niezbyt mocnych uszczyptnięć, ale szybko przestała, mając za sobą epizod z samookaleczaniem się – w chwilach wzmożonego stresu potrafiła uderzać pięściami w ścianę, te jednak nie broczyły krwią niczym w filmach, lecz bardzo mocno puchły.

Wtedy pomógł jej ojciec, który zauważył, że córka obciąża rękawy przydużego kardiganu. Nie krzyczał. Nie wylewał łez, ale podszedł do tematu ze zrozumieniem.

– Sam przez to przeszedłem. Pamiętam, że robiłem sobie kółka... Nieważne – zakończył wstydlive wspominki.

– Robiłeś? – Sammy chciała dowiedzieć się więcej, ponieważ od urodzenia czuła potrzebę, by wszystko zrozumieć.

– Dziadek jest emerytowanym wojskowym, ale takie zawody wchodzi w krew – westchnął tata. – Niby nic szczególnego, ale jemu w armii chyba nie za bardzo szło. Żadne tam wymaganie od nas dyscypliny, raczej wręcz przeciwnie, zamiast musztrowania pociech

kompletnie się nami nie przejmował. Pamiętam, kiedy moja nierozgarnięta siostra... – Zmienił temat, w obliczu krzywdy dziecka nie czując się na siłach, by opowiadać o sobie.

– Ciocia Pauline? – zdziwiła się Sammy, bo miała ciocię za bardzo mądrą kobietę.

– Tak. Wiem, trudno uwierzyć, ale jako dzieciak ładowała się ciągle w tarapaty. Chciała więcej... – Wreszcie zrozumiał zachowanie siostry. – Próbowwała zwrócić na siebie uwagę taty. Do dzisiaj tak ma, tylko nie mów jej tego, proszę. – W trakcie rozmowy podciągnął córce rękawy i przyjrzał się dłoniom. Nie ścisnął opuchniętych kłykci, nie oceniał, tylko poprosił, by dziewczyna poruszała palcami. – Żaden ze mnie lekarz – rzucił, co zawsze robił, kiedy brał się do oceny czegokolwiek, na czym się nie znał – ale wyjdiesz z tego. Niestety, jeśli nie przestaniesz, dorobisz się piąstek niczym pięściarz. Poobijasz sobie kłykcie. Piąstki będą gładkie, okrągłe.

– Co ciocia zrobiła? – Sammy nie chciała rozmawiać o piąstkach. Najadła się już wystarczająco wstydu.

Mężczyzna pozwolił jej zakryć rękawami dłonie. Podniósł z nich wzrok na twarz córki.

– Siadaliśmy w kuchni na ciężkiej drewnianej ławie. Ta ława się kolebała, bo albo z drewnem po latach było już coś nie tak, albo z podłogą. – Ojciec zawsze szukał wyjaśnienia, w czym przypominała go córka. – Pauline kochała się na niej bujać, śmiem sądzić, że raczej rodzicom na złość. Szczególnie mamę irytował stukot drewna o drewno, ale i tacie to trochę przeszkadzało, więc siostra korzystała z okazji, kiedy oboje coś w kuchni pichcili, siadała na ławie po turecku i chwytła za kawałek... Za taką deskę poprzeczną, montowaną tuż pod tą do siedzenia.

– Chyba mówisz o poprzecznej listwie wzmacniającej lub konstrukcyjnej – pomogła mu córka, która zdecydowała się jednak wyszukać schemat budowy podobnych ław i pokazywała ojcu znaleziony obrazek.

– Chyba tak – zaśmiał się mężczyzna. – Z dłońmi nie najgorzej, jeśli możesz...

– Kciuki nie boją.

– No i Pauline siadała, chwyciła za listwę i bujała się na całego, w tył aż do ściany, stuk, i w przód, aż do takiego zawieszenia pomiędzy wywrotką a nagłym powrotem w tył. Dobra w tym była. Do czasu. Raz rozbijała się za daleko, popisując się przed tatą, który pił kawę w kuchni i nawet nie raczył na Pauline spojrzeć. Stukała więc coraz głośniej i głośniej, aż przewróciła ławkę i wszyscy usłyszeliśmy jej krzyk.

– Coś sobie zrobiła – odgadła Sammy. – Coś paskudnego?

– Prawą ręką puściła listwę i próbowała się asekurować, ale z jakiegoś powodu drugą dłonią wciąż ścisnęła drewno.

– Ze strachu – odgadła dziewczyna. – Bała się upadku. Każdy chce się czegoś w takiej chwili złapać.

– No i ta deska siedzenia uderzyła w przedramię, w sam jego środek. Pauline złamała sobie rękę. Paskudnie. – Wciąż pamiętał, jak jako najstarszy z rodzeństwa wbiegł do kuchni i omal nie zemdlał na widok otwartego złamania.

– Twój ojciec pomógł?

– Niespecjalnie. Raczej się zdenerwował, ale zawiózł małą do szpitala, chociaż ponoć mdlała mu co chwilę... – Otrząsnął się z tamtych wspomnień. – Krwi nie było dużo, ale tego bólu, który musiała czuć, nie jestem sobie w stanie nawet wyobrazić.

– Co z ławą? – Dziewczyna często zadawała cudaczne pytania, do czego tata zdążył się już przyzwyczaić.

– Nic. To były inne czasy. Nie wyrzucało się w miarę dobrej ławy... ale zakazano nam się na niej bujać.

– Dobrej ławy? – zdziwiła się córka. – Raczej niewypoziomowanej pułapki na dzieci.

– Nieważne. – Ojciec zakończył temat z uśmiechem. – Ważne, że się wtedy zestresowałem i nic mi na ten stres nie pomagało. Czułem się winny jej wypadku, bo wiedziałem, że w końcu coś złego sobie zrobi, ale tata tam był... Miałem nadzieję, że Pauline się wywróci i on ją spierze na kwaśne...

– Bił was?! – Samantha nie kryła zdziwienia. – Dziadek was bił?!

Małą dziwiło takie podejście do dzieci, tym bardziej że rodzice nigdy nawet nie podnieśli na nią głosu, nie wspominając o ręce. Generalnie przemoc, szczególnie fizyczną, uznawała za skrajne zezwierżenie – bez obrazy dla zwierząt.

– To były inne czasy, kochanie – odparł mężczyzna smutno, bez przekonania. – Wszystkim dzieciom zdarzało się dostać w skórę. Na kuchennych drzwiach wisiał pas, a na framudze leżała witka.

– Nigdy więcej się do niego nie odezwę – zdecydowała Sammy i dotzymała słowa.

– Twój wybór. – Mężczyzna wiedział, że z córką nie ma sensu się kłócić. – Z tego poczucia winy zacząłem sobie robić krzywdę. Znalazłem metalową zakrętkę od jakiejś butelki. Aluminiową. Kiedyś walało się ich po domach na pęczki. Głupie to było... – rzucił i skarcił się w myślach, bo takim gadaniem nikomu nie pomoże. – Ta nakrętka miała kilka ostrych kawałków tam, gdzie wcześniej łączyła się z... – Nie miał pojęcia, jak opisać budowę takiej nakrętki, ale

wiedział, że córka nie odpuści, dopóki nie znajdzie odpowiednich słów. – Po odkręceniu, jak i w plastikowych nakrętkach, zawsze zostaje na butelce wąski pasek.

– Obwódka – pomogła dziewczyna, bo kiedyś już się nad tym zastanawiała.

– I w miejscach, w których się łączyły te dwie części, są takie ostre wypustki.

– Przykładałeś do skóry i kręciłeś? Tato...

Mężczyzna zląkł się, że podsunął dziewczynie ciekawszy sposób na ukojenie stresów od obijania ściany. Podwinął rękaw koszuli i pokazał jej ledwo widoczne bliznowate okręgi, jakie pozostały mu po tamtych czasach.

– Takie same mam na udach, od wewnątrz. Przyciskałem nakrętkę mocno i kręciłem. Cięcia piekły, ale jedno kółko wystarczało na kilka dni. Koilo nerwy. Bolało przy chodzeniu jak diabli. Pomagało, ale są lepsze metody radzenia sobie z bezsilnością od samookaleczania.

– Po co to robimy? Nie czuję się bezsilna... – Dziewczyna troszeczkę minęła się z prawdą.

– Mogę mówić za siebie, skarbie. Ból niósł ukojenie. Na tym nieprzyjemnym odczuciu mogłem skupić całą uwagę. Ból pomagał rozładować napięcie, zmniejszał też poczucie winy, bo trochę życzyłem Pauline wypadku... Ale płynęło to z bezsilności. Widzisz, nie miałem się do kogo zwrócić o pomoc, a ty masz. Nikt nie rozmawiał ze mną na poważne tematy, a z tobą rozmawiamy. Masz mnie, kochanie, oraz mamę. – O dziadkach postanowił nie wspominać. – Albo znajdziemy ci jakąś kompetentną psycholog.

– Albo jakiegoś – uśmiechnęła się Sammy. – Tobie też się przyda. Pójdziemy tam razem – zdecydowała.

– Zgoda! – Nie uścisnął obolałej dłoni córki, ale ją delikatnie pocałował.

5

Sammy regularnie spotykała się z psychologiem, przynajmniej raz w miesiącu, na krótkich trzydziestominutowych sesjach. Tata znalazł kogoś kompetentnego i dla siebie, kogoś, kto słuchał o tym, o czym powinien posłuchać kiedyś dziadek z babką. Pozbywali się w gabinetach poczucia winy wraz z naliczonymi odsetkami.

Terapeuta Samantha próbował rozgryźć dziewczynę, ale niespecjalnie mu się to udawało. Ta wczesna nastolatka nijak nie dawała się podejść, wręcz przeciwnie, często wyglądało na to, że analizowała psychologa! Za każdym razem, kiedy ten pokierował rozmowę na kwestie dalsze od samookaleczania się, milczała lub odbijała piłeczkę jakimś zgrabnym pytaniem domagającym się natychmiastowej odpowiedzi. Sammy przychodziła na spotkania, ponieważ zbierała informacje oraz potrzebowała odrobiny zrozumienia. Nie zamierzała się wywnętrzać przed kimś obcym. Wystarczyła jej rozmowa z tatą.

Po roku dziewczyna podziękowała za sesje terapeutyczne, a problem z boksowaniem ścian zniknął, jakby go nigdy nie było. Mała dowiedziała się przy okazji sporo o psychologu, który miał powody, żeby wybrać takie studia. Wtedy też uwierzyła, że warto pomagać choćby samą obecnością, przychylnym uchem.

– O wszystko pytał – wytłumaczyła się przed ojcem z niechęcią do kontynuowania terapii.

Matce oświadczyła, że dalsze sesje pogorszyłyby sprawę. Zapewniła, że da znać, jeśli będzie potrzebowała pomocy.

A teraz szła po tym strychu, rozmyślając o ojcu i o tym, jak wiele dla niej robił; tłumaczył rzeczy dla innych proste – kiedy trzeba było wykazać się zrozumieniem natury ludzkiej, Sammy gubiła się więcej niż trochę. W zamian dzieliła się z tatą mądrością, czyli miliardami faktów. Bawiło ją, jak często zapominał jakiegoś słowa.

Pomimo rodzicielskich starań wciąż czuła się nieco wybrakowana. Dzięki ojcu wypracowała pewne schematy i radziła sobie coraz śmieiej w kontaktach międzyludzkich, ale jej miłość do człowieka, jako gatunku, z każdym rokiem malała. Wreszcie marzyła tylko, by dać jej spokój zarówno w szkole, w rodzinie, jak i na osiedlu.

Sammy nie potrafiła rozmawiać o pogodzie czy serialach telewizyjnych dla mas. Nie interesowała ją żadna z religii, a tematy polityczne odpuszczała, bo ludzie, którzy lubili na nie rozmawiać, zbyt często paplali bzdury lub zachowywali się agresywnie, bez nawet cienia pasywności. Chłopców tolerowała bardziej od dziewczyn, ale nie zakochiwała się w pierwszym lepszym, jak to zdarzało się niektórym koleżankom z klasy. Miłość nieszczególnie ją zresztą interesowała, może poza seksem, ale i to dopiero w ostatniej klasie liceum.

– Nie boję się, tato. – Szła po drewnianych płytach, jakimi ojciec przykrył ocieplenie strychu.

Płyty skrzypiały cichutko. Pachniało sucho, kurzem.

Dziewczyna kucnęła dopiero na końcu pomieszczenia, żeby przyjrzeć się pustce po słojach oraz chemikaliach. Zdziwiła się, bo

po zapasach nie pozostał ani ślad, nie było ani jednej plamki na podłodze.

– Śnię...? – Sammy spróbowała raz jeszcze ze szczygnięciami, trochę żałując, że nie ma pod ręką żadnej aluminiowej nakrętki ani solidnych ścian, żeby móc w którąś uderzyć i wybudzić się z tego koszmaru.

Odwróciła się w stronę zbiornika, z którego zaczęło dobiegać rytmiczne stukanie. Dodatkowo z zewnątrz narastał szum.

– To sen, tak na logikę – pocieszyła się. – Oglądam za dużo horrorów. Za moment wszystko się zdrowo posra! – Podniesionym głosem dodała sobie odwagi, licząc, że może krzyk ją obudzi. – Po co wchodziłam na strych? W filmach też leżą do góry, zamiast uciekać na zewnątrz.

Wiedziała, że stukanie w zbiorniku nie ucichnie, i zgodnie z przewidywaniami wzmogło się tylko, aż pokrywa zaczęła podskakiwać niczym nad garnkiem pełnym gotujących się ziemniaków.

– I tak tam nie podejść! – zdecydowała Sammy. – Głupi mózgu!

W odpowiedzi wyrzuciło pokrywę w powietrze. Plastik wylądował pod nogami dziewczyny. Sammy poczuła drażniący i dobrze jej znany zapach formaliny, który kiedyś kojarzył jej się z drożdżówkami (tylko wtedy nie miała przed sobą kilkusetlitrowego – miłująca precyzję Samantha obstawiłaby co najmniej dwieście litrów – zbiornika z tym świństwem).

Podeszła jednak, okrążając pokrywę łukiem.

– Może to ostrzeżenie – zachęcała stopy do stawiania kroków – jeden z tych istotnych snów, po których pewne sprawy nabierają

sensu.

W zbiorniku ujrzała rodziców, oczywiście martwych, nagich, bladych i wtulonych w siebie. Powinna się przerazić, ale w zasadzie tego właśnie oczekiwała. Wprawdzie miała nadzieję, że zamiast nich ujrzy tu jedno z dokuczających jej dzieci, ale wiedziała, że od koszmarów nie należy oczekiwać miłych niespodzianek.

Zrobiło się jej nagle potwornie smutno, bo zrozumiała, jak bardzo rodziców kocha.

– Ochronię was! – Dodawała sobie sił krzykiem.

Podbiegła do wjazdu, żeby jak najszybciej opuścić strych i dowiedzieć się, co też dzieje się ze światem, według niej wyśnionym.

Nachyliła się nad otworem i zaniemówiła. Dom do połowy tonął już w formalinie, której poziom pożerał szybko kolejne ze schodków prowadzących na piętro. Drabina i sypialnie na górze wciąż pozostawały suche, ale wyglądało na to, że schodzić nie było sensu.

– Nie chcę umierać. – Sammy znienawidziła ten koszmar, który odczuwała wszystkimi zmysłami. – Zaraz! Czytałam, jak się upewnić, że śnimy.

Sam koszmar chyba się tym zaciekawiał, bo napływ formaliny chwilowo ustał, szum również nieznacznie odpuścił, ale podłogi na piętrze już były zalane płynem.

Mówili, żeby krytycznie spojrzeć na otaczającą nas rzeczywistość. Tak, mamy do czynienia ze scenariuszem sennym! Przypomniała sobie i przeszła do przeprowadzenia testów.

Wpierw należało odnaleźć, co wskazywałoby na to, że śni. Z tym nie miała problemu, bo nie spuszczała z formaliny wzroku, a przez zakryty koszulą nos chemiczny smród wciąż docierał do mózgu.

Sięgnęła więc do drugiego testu, czyli zaczęła sobie przypominać, co takiego robiła przed snem.

Pewnie kładłam się do łóżka!, zezłościła się na te zapamiętane rady. A w ciągu dnia? Uspokoila się trochę. Tata ze mną rozmawiał. Sugerował przeniesienie części słoików na strych właśnie. Kolekcja nam się rozrosła po chorobie u myszy. Mieliśmy złożyć zamówienie...

Dziewczyna zauważyła, że w formalinie przy schodach – wychyliła głowę przez właz – pływają meble i różne inne przedmioty, które wcześniej stały przez całe lata na swoich miejscach. Wydawało się, że mignęła jej tam kobieca postać, ale nie mama, zbyt ładna i młoda na mamę.

Cała reszta ma sens. Zasnęłam i obudziłam się nad ranem, główkowałam. Sen nie zaczął się bezsensownie, od środka jakichś wydarzeń. A może nie śnię...?, zwątpiła, więc przeszła do ostatniego z testów, do próby zrobienia czegoś niesamowitego, niemożliwego.

– No to lecimy! – rzuciła i wstała, starając się unieść w powietrze.

Nie pomogły najszczęśliwsze chęci. Wciąż twardo stąpała po strychu.

Spróbowała jeszcze przesunąć rękę przez najbliższy z drewnianych filarów dachu. Próba zakończyła się bólem. Dziewczyna walnęła w drewno przedramieniem, aż łzy zapiekły ją w oczach.

Wróciła więc do oglądania włazu, tym bardziej że szum ponownie narastał.

– Widziałam cię! – próbowała jeszcze bezowocnie przywołać kobiecą postać. – To ty zniszczyłaś moją sztukę!

Tym uraziła uczucia Akki. Poziom formaliny wzrósł zatem szybciej niż przed testami.

Przerażona dziewczyna odgadła, że pewnie trucizna zalewa całe miasto, jeśli nie świat, ale wciąż próbowała podeprzeć się logiką.

– Poziom nie powinien podnosić się bez końca. Musi zacząć wreszcie opadać. Objętość do wypełnienia wokół kuli ziemskiej rośnie kolosalnie z każdym centymetrem... – Na zdrowy rozsądek nic nie miało tu sensu. – Nie da się oceanów przerobić na formalinę...

Sammy ruszyła po pokrywę i zamknęła rodziców w ciemności.

– Przepraszam – rzuciła szczerze. – Nie wiem, co tu się dzieje, ale nie chcę, żebyście... – No właśnie. Nie wiedziała, po co ich w ogóle zamknęła. – Nie chcę, żebyście stamtąd teraz wyszli albo wypłynęli. Boję się was – przyznała ze łzami w oczach. – Okradziono was z życia.

Przez właz zaczął wlewać się płyn, a Samantha wspięła się na zbiornik, gdzie ze strachem patrzyła, jak formalina konserwuje drewno i wełnę skalną. Kucała i drżała z przerażenia, coraz mocniej przyciskając koszulę do nosa.

Poziom trucizny podniósł się już pod sznurek do włączania światła i cały dom zaczynał trzeszczeć, jakby miał za moment rozerwać się na kawałki.

Fale w nas uderzają, no i ciśnienie... Sammy próbowała logicznie myśleć, co tylko pogarszało sprawę, bo na logikę już dawno powinna umrzeć.

Wtedy zobaczyła, że na strych wpłynęła kobieca postać. Chuda, a przy tym umięśniona niczym lekkoatletka, blada, jednak na swój sposób piękna. Kobieta ta czuła się w formalinie niczym ryba w

wodzie, a za ubranie służyły jej jedynie sznury zwierzęcych czaszeczek i korale z kości.

– Nie oddychasz – odgadła mądra Sammy. – Jesteś Śmiercią. – Wraz z tą konstatacją przyszło zrozumienie i zapach liter układający się w imię: Akka. – Przyciągnęłam cię sztuką. Mam nadzieję, że ci się podobała...

Kobieta nie wyglądała upiornie, a raczej jak dzieła sztuki Hirsta: intrygująco, kontrowersyjnie, martwo i żywo zarazem. Wreszcie podpłynęła pod zbiornik i wynurzyła głowę.

– Nie masz oczu – szepnęła dziewczyna, ale jej stwierdzenie nie było do końca prawdą. – Jesteś Śmiercią.

Oczu jedynie nie było widać, bo przysłaniała je opaska z gęstego szarego dymu, drwiącego sobie z formaliny. Skórę zdobiły jasnoczerwone pasy, jakby wytatuowano je krwią tętniczą. Sammy nie dopatrzyła się jednak śladu żył, nawet na kobiecych dłoniach. Brakowało również znamion czy jakichkolwiek przebarwień.

– Wyglądasz niczym manekin lub lalka. Piękna jesteś... – dodała Sammy, żeby w rozmowie z kimś tak potężnym uniknąć niedopowiedzeń.

– Ty też. – Padły słowa, ale nie zostały wypowiedziane.

Jakby Sammy wywęszyła je w zapachach. Taki sposób komunikacji przypadł dziewczynie do gustu i pasował idealnie do Śmierci.

6

Koszmar odpłynął, jakby go nigdy nie było. Po przebudzeniu zawołała ojca, przytuliła go i jęknęła z bólu, jakim promieniowało jej przedramię. Porządnie ją to przestraszyło, bo przecież uderzenie w belkę nie działa się naprawdę...

Pewnie przez sen przywalałam w część łóżka, pomyślała.

Sama w to nie wierzyła, skoro u niej w pokoju, poza półkami, wszystko było takie puszyste i miękkie. Nawet zamiast wezgłowia miała przecież ściankę poduszek.

– Pozbywamy się kolekcji – szepnęła.

– Co z...? – Wskazał na półki.

– Półki zostawimy, bo nazbierało się trochę książek.

Poza czytaniem w sieci Sammy sięgała również po papier, zarówno po beletrystykę – nie za często – jak i po słowniki czy encyklopedie. Największym jej skarbem, który czytywała w soboty rano z lupą w ręce, było dwutomowe, kompaktowe i mikrograficzne wydanie słownika angielskiego Oxford, należące do książkowej wagi ciężkiej. Ojciec martwił się, czy półki wytrzymają aż takie cegły.

– Pochowamy zwierzęta w ziemi, w ogrodzie – zarządziła. – Miejsca pochówków zasypujemy kamieniami, żeby nic ich nie wykopało. Nie robimy nowych zamówień, a słoje wystawimy na sprzedaż.

Ojciec odetchnął z ulgą, bo już dzięki mediom społecznościowym zrozumiał, że trochę się chyba ze wszystkim

zagalopowali.

– Co cię nagle naszło? Za dużo rozmyślałaś? Nie przejmuj się ludźmi z Instagrama. W większości wywnętrzają się tam niedojdy. Pewnie nie mogłaś zasnąć? – Zmartwił się, bo niewyspana córka stawała się... problematyczna. – Możesz jeszcze pospać.

Dziewczynka wzruszyła tylko ramionami, skoro wszystko, co istotne, zostało powiedziane. Zabrała się do opróżniania półek. Ojciec poszedł do szopy w ogrodzie po łopatę.

Zaczęli pochówek od chomików. Akka odwróciła od dziewczynki wzrok, co nie znaczy, że przestała się nią interesować.

Trochę się jednak na Samancie zawiodła.

BARTOSZ



*Świat staje się bardzo mały,
kiedy nie masz się gdzie podziać.*

Carlos Ruiz Zafón, *Więzień nieba*, tłum. Katarzyna
Okrasko, Carlos Marrodán Casas

1

Bartosz pozostawił w Polsce rodziców, ale nikt za nim specjalnie nie tęsknił; bliscy zdążyli przyzwyczać się do ciągłych nieobecności nastolatka. Poza tym chłopak nie pasował do wiejskiego życia, gdzie należało i wypić, i czasami postawić się sąsiadom, a na inną niż fizyczna pracę patrzono z pogardą. W Wieszczyźnie miano go za dziwaka, który pomagał nawet obcym i uśmiechał się głupio do każdego, czym wpędzał matkę w nerwicę.

Ojca irytował lub tylko drażnił. Mężczyzna wprawdzie próbował stworzyć jakąś więź z synem, ale szybko zrozumiał, że nadają na różnych falach. Często czuł się przy tym dzieciaku głupi, jakby rozmawiał z wielotomową encyklopedią.

Młody świetnie sobie radził w podstawówce, po której bezproblemowo dostał się do liceum w Poznaniu – placówki o rozszerzonym angielskim – znikając na większą część tygodnia w opłacanym szczęśliwie przez państwo internacie. W podstawówce tata z dumą chodził na zebrania rodziców, skoro Bartek nieustannie błyszczał. Do Poznania jednak jeździć nie zamierzał. Bał się postawić stopę w tak wielkim mieście.

O dziwo, i ku lekkiemu zaniepokojeniu ojca, Bartosz nie rozpił się w stolicy Wielkopolski ani nie zmajstrował żadnego dziecka, tylko ukończył szkołę z przyzwoitymi ocenami. Po triumfalnym powrocie ze świadectwem maturalnym do Wieszczyzna nie

spoczął na laurach i zdecydował się polecieć do Irlandii. Znalazł tam – w internecie! – pracę.

– Coś tu śmierdzi – powtarzał ojciec przed wylotem. – Jesteś pewien, że nie oszukali? Powiedz mu coś, kobieto! Niech lepiej zostanie, to załatwimy mu robotę w chlewie.

– A co ja mogę? – odpowiadała matka zdaniem, które od lat pomagało jej przeczłogiwać się przez życie. – Chce jechać, niech jedzie. Nie będziesz go w domu na siłę trzymał.

Kobieta coraz częściej zachodziła w głowę, dlaczego lubiła, kiedy Bartka nie było. Ostatnio ciągle poruszał wiele dziwnych tematów, jak ten o niejedzeniu mięsa czy zrzucaniu na jej pokolenie winy za plastik w oceanach, chociaż w życiu żadnego oceanu na żywo nie widziała, a na zakupy od zawsze chodziła z tą samą torbą z bawełnianego sznurka. Jej synek przemykał ostatnio po domu zezłoszczony, znudzony wioską, uśmiechy pozostawiając dla obcych.

– Byleby był szczęśliwy – powtarzała wieczorami do męża. – Poradzimy sobie – dodawała, wyczuwając lęki ukochanego.

– Tata jeszcze zobaczy, że nie oszukali! – pyskował Bartosz przy śniadaniach i zwykle zamykał się w swoim pokoju, nie tylko oburzony, ale i zawstydzony ignorancją rodziców.

Chłopak czuł, że nie pasuje do Wieszczyzna, chociaż kocha te urokliwe tereny miłością trudną. Praca w chlewie zdecydowanie nie była dla niego, nie po to uczył się języków obcych, żeby wylądować w fakturach lub jeszcze gorzej, oporządzać świnie. Znów pobliski Śrem czy Dolsk niewiele miały młodym do zaoferowania. Starym również szczydziły atrakcji, ale starzy – według Bartka – woleli nade wszystko spokój.

Bartosz w liceum polubił język angielski za prostotę i podjął decyzję, że chciałby kiedyś pracować w Poznaniu jako tłumacz, więc wpadł na pomysł rocznego stażu w Coolcull. Po takim roku na obczyźnie z łatwością dostałby się na anglistykę, twierdził, jeszcze bardziej niepokojąc ojca.

– Co ty masz z tym angielskim? – dziwiła się matka. – Polski niedobry?

Chłopak nie starał się im nawet tego tłumaczyć. Odkąd opanował drugi język, drzwi na świat nie tylko się przed nim uchylły, ale praktycznie stanęły otworem. Mógł czytywać książki w oryginale czy poszerzać wiedzę z wielu dziedzin, nie czekając na tłumaczenia. Zdołał oglądać filmy i słuchać zachodniej muzyki popularnej ze zrozumieniem, czyli czerpać garściami z wielu kultur, skoro po angielsku porozumiewał się współczesny świat. Z nosem w książkach jednak Bartek nie przesiadywał, nawet niespecjalnie ciągnęło go do muzyki czy internetu, za to uwielbiał nawiązywać znajomości z ludźmi – ze wskazaniem na płęć piękną – z najcudniejszych zakątków świata. Język zdecydowanie ułatwił mu komunikację. Wreszcie mógł zostawić Wieszczyzyn za sobą. Czuł, że stał się pełnoprawnym obywatelem świata, a tak naprawdę ciągle próbował zagłuszyć doskwierający mu kompleks Polaka pochodzącego z wioski.

Młody był. Młodym ponoć należy głupotę wybaczać.

– Czego się tam nauczysz, pracując z takimi porobionymi? – Tego nie potrafił pojąć rodzic. – Jaki angielski doszlifujesz? Będą bełkotać, zobaczysz! Co ty w ogóle wiesz o downach. W życiu żadnego nie spotkałeś! – zgadywał ojciec, chociaż pewności nie

miał; w takim postępowym Poznaniu mogli przecież i chodzić do liceów.

Chłopak niewiele wiedział, to fakt, dlatego tym bardziej ciągnęło go ku nieznanemu. Nigdy nawet nie rozmawiał z nikim opóźnionym w rozwoju, bo paranoicznej ciotki chyba nie powinien pod to podciągać.

– Nauczę się – twierdził, skoro tyle się już w życiu nauczył. – Nawet angielskiego bełkotania.

– No nie wiem – komentowała matka drugim z ulubionych poręcznych zdań.

– Nie będziesz aby za nikim tęsknił? – Ojciec chwycił się nawet tego, bo miał nadzieję, że dzieciak jednak zostanie, znajdzie pracę – choćby jedną z tych cudaczkich, za biurkiem – i dołoży się do czynszu. Ojcu marzyły się wolne niedziele, bo harował jak wół przez siedem dni w tygodniu praktycznie od narodzin dziecka. Spozrzegawczy chłopak jakoś tego nie dostrzegł, zaś dumnemu mężczyźnie nie przyszłoby na myśl, żeby prosić o wsparcie.

Bartoszowi brakowało w Wieszczyźnie przyjaciół, skoro młodzież ciągnęło do większych skupisk ludzkich. Rodzice zaczęli go drażnić, chociaż drażnili go w sumie od zawsze, tylko ostatnio zrobił sobie od nich przerwę. W Poznaniu dawano mu przynajmniej spokój. W szkole traktowano go może nie z pogardą, ale z wyższością, jak to w takich liceach bywa. Pewnie dałoby się z kimś skumplować, nie był przecież jedynym dzieckiem spoza miasta czy z internatu, ale wymagało to znowu pewności siebie, której nie posiadał. Bartek zaczął stronić od rówieśników z Polski, za to coraz częściej czatował z dziewczynami z zagranicy. Odkąd przyjął taką strategię, żyło mu się może nie lepiej, ale spokojniej.

– Kto za to zapłaci?! Bilety są drogie! – Wreszcie i o to zapytał ojciec. – Nie licz na moje wsparcie. Z ledwością wiążemy koniec z końcem.

– Erasmus zapłaci. – Chłopak rzucił słowem kluczem, którym zamykał im już niejednokrotnie usta. – Nic was to nie będzie kosztować.

Erasmus, Fundusze Europejskie i tym podobne unijne organizacje pomogły nastolatkowi zrealizować i wcześniejsze cele. Samorząd dorzucił sporo od siebie – ministerstwo edukacji również, odkąd Bartek zdobył dyplom laureata konkursu Politechniki Warszawskiej na pracę naukową. Chłopak był świetny w wyszukiwaniu grantów. Stypendia, o które się ubiegał, pokryły koszty wielu kursów językowych, jak i dwóch krótkich wyjazdów za granicę, wielokrotnie wytrącając rodzicom z rąk ostatnie argumenty.

– Płacą za wszystko? – nie wierzyła matka, której nic nigdy się za darmo nie dostało, chociaż kiedyś była przecież taka ładna i niegłupia. – Wystarczy poprosić?

– Tak – potwierdził Bartek, któremu nie chciało się tłumaczyć, że to nie jest tak naprawdę za darmo. – Finansują przelot, płacą za wyżywienie, za dach nad głową i jeszcze coś wpadnie do kieszeni. Płacą i szkolą, żebym nie wyszedł na durnia. Szykuje się intensywny rok.

Ojciec odpuścił. Zaczął bać się o syna, ale jak zwykle musiał już iść do pracy.

2

Dziadek Bartka umarł rok po śmierci babci. Trzeba było wracać chwilowo z Poznania na pogrzeb, chociaż prawie nikt w rodzinie za dziadkami nie przepadał – prawdopodobnie dlatego, że świata poza sobą nie widzieli, a jeśli już zdecydowali się cokolwiek skomentować, to robili to bez cienia litości czy miłości w głosie.

Bartosz próbował się wykręcić nauką i jakże stresującą niedawną przeprowadzką do internatu, jednak ojciec był nieugięty.

– Mądry szanuje, głupi opluje – rzucił podczas rozmowy telefonicznej jednym z durnych według chłopaka powiedzonek, których wymyślaniem zajmował się właśnie dziadek.

– Poważnie, tato, odpuściłbyś sobie. Miałem nadzieję, że już nie będziemy musieli tego nigdy słuchać.

– Bartoszu! – szczeknął głośniczek telefonu. – Jak ty to sobie wyobrażasz, że nie będzie cię na pogrzebie?!

– Przyjadę... – poddał się licealista. – Chowacie dziadka w Wieszczyzynie?

– Tak, tu się urodził i tu spocznie. Nigdy nigdzie nie wyjeżdżał... Masz autobus o...

– Wiem, w jakich godzinach jeżdżą autobusy. – Chłopak nie lubił, kiedy traktowano go niczym dziecko, a przecież niedawno skończył szesnaście lat i czuł się tak bardzo samodzielny. – Ktoś mnie odbierze ze Śremu czy mam dojechać do Dolska?

Miał dojechać do Dolska, przesiąść się na autobus do Drzonka, po czym przejść się kolejne niecałe trzy kilometry polami, skoro pogoda dopisuje. Wszyscy byli ponoć zbyt zajęci, żeby teraz po niego jeździć. Chłopak wiedział, że tak naprawdę poza rodzicami nikomu z krewnych na nim nie zależało. Tu każdy pilnował swojego nosa.

Bartosz nie mógł się doczekać pełnoletności. Już zbierał na kurs prawa jazdy.

– Jak znosisz autobus? – Ojciec zawsze o to pytał, bo za dziecka Bartek często cierpiał na chorobę lokomocyjną.

– Znoszę. Widzimy się wieczorem – odparł chłopak, któremu niepotrzebna była taka troska. „I przykro mi, że straciłeś tatę” – zamierzał dodać, ale nie znalazł odwagi.

Wieczór w zasadzie trącił nocą. Szybko zrobiło się ciemno, chłodno i odludnie. Nawet gwiazdy nie raczyły podzielić się z wioską światłem. Bartosz doszedł do Wieszczyczyna po dwudziestej drugiej, wyczerpany i zły na rodzinę, którą bardziej obchodził gburowaty zmarły dziadek niż uczeń prestiżowego liceum. Na wioskę zresztą także spoglądał już inaczej, z lekką pogardą, bo gdzie jej było do Poznania! Dwie uliczki, karłowate dwa bloki i garść domków, w których życie toczy się wokół telewizyjnych hitów.

W liceum Bartek nawet nie zamierzał chłopakom opowiadać o Wieszczyczynie, bo poznaniacy potrafili dokuczać z banalniejszych niż pochodzenie powodów. Tak, w Poznaniu mówił, że pochodzi z powiatowego Śremu, co już wystarczało do słownej agresji.

Przynajmniej w internacie Zespołu Szkół Przyrodniczych – gdzie zamieszkał, bo było tanio – znalazło się więcej dzieciaków z przeróżnych zakątków Wielkopolski i przynajmniej tam nie trzeba się było wstydzić wiejskiego pochodzenia, a wręcz żartowano z

poznaniaków, którzy pewnie uciekaliby na widok konia, a do traktora nie wiedzieliby, jak się wchodzi.

W tym samym pokoju zamieszkał i sąsiad Bartka – chłopak, z którym niegdyś się przyjaźnili, więc rodzice nalegali, żeby dzielili pokój, chociaż od kilku lat ich kontakt ograniczał się do powiedzenia sobie „cześć” pod blokiem. Bardzo zdawkowego i cichutkiego „cześć”.

Za łóżko w internacie płacono się miesięcznie sto sześćdziesiąt złotych, w całości pokryte przez dofinansowania, jakie załatwił sobie chłopak. Łóżka w pokoju stawiano po dwa, czyli z kimś trzeba było zamieszkać, a lepsze już dobrze poznane zło... Rozmawiać ze sobą nie raczyli.

Bartosz uniezależnił się finansowo od rodziców, chociaż matka wciskała mu czasami jakieś mniejsze banknoty w kieszeń, a i nie posyłała do Poznania bez torby pełnej jedzenia, głównie wędlin oraz serów, za które przepłacała w tym ich wiejskim sklepiku. Tłumaczył jej, że nie ma to sensu, ale jedzenie brał.

– Hej! – Bartosz przywitał się z ojcem, jakby nic się nie stało, bo i nie wiedział, jak się powinien zachować. Udawanie smutku nie miało według niego sensu, szczególnie przed kimś tak zwykle twardym. Poza tym tata wiedział, że syn nie lubił dziadka, zresztą z wzajemnością. Dzieliło ich całe półwiecze zmian.

– Przyjechałeś – rzucił ojciec, żeby coś powiedzieć. – Jak w autobusie?

Syn wzruszył ramionami, chociaż tata nie podniósł jeszcze nawet na niego wzroku, zbyt ciężką miał dzisiaj głowę. I stali tak w przedpokoju, aż Bartek zrozumiał, że stał się w tym domu gościem. Czekał w ciszy na pozwolenie, by przejść dalej, chociaż zdecydował

się ściągnąć buty. Zrobiło mu się nagle bardzo smutno, westchnął nawet, co ojciec wziął za dobrą monetę – być może syn wreszcie przestawał myśleć tylko o sobie.

– Mama czeka na ciebie w kuchni z kolacją. Tak długo szedłeś, że prawie ją przypaliła. – Mężczyzna poklepał syna po ramieniu i przeniósł się do dużego pokoju, którego według chłopaka nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby przecież salonem.

Nawet przy słabym świetle w przedpokoju Bartek zauważył, że tata wyglądał, jakby postarzał się nagle o kilka lat. Zapadł się w sobie, zgarbił. Słowa raczej doklejał do wydechów, choć wcześniej zawsze miał donośny głos.

Mam nadzieję, że przynajmniej wreszcie dostał jakieś wolne, pomyślał chłopak o pracodawcy ojca i wkroczył do kuchni, by zabrać się do jedzenia.

Mamy nawet nie przytulił. Zbyt była podenerwowana, zbyt obca. Coś w jego rodzicach pękło.

3

Z mamą nie siedział długo, ponieważ trzeba było wstać wczesnym rankiem i pomagać przy organizacji stypy. Pocałował ją w policzek, ale czuł się, jakby całował trupa. Zasnął przynajmniej szybko, wymęczony podróżą i rozleniwiony wciśniętymi w siebie kaloriami.

Budzik w telefonie nastawił na siódmą, niepotrzebnie zresztą, bo w domu i tak trzaskano drzwiami. Rodzice prasowali obrusy, ponieważ zaplanowali po pogrzebie nieskromny poczęstunek w przyprzedszkolnej świetlicy, zawsze wynajmowanej na takie okazje. Trzeba było poustawiać stoły, krzesła, zamieść podłogę i sprawdzić, czy kucharka nie zasnęła. Ze wszystkim uwinęli się w niecałą godzinę i tylko dosuwali czy przesuwali jeszcze niektóre ze stołów, dla pewności. Krzesła policzono kilkakrotnie, wypytano i kucharkę, czy na pewno ze wszystkim zdąży, jakby nie zajmowała się cateringiem od czasów, kiedy nazywano to tylko gotowaniem.

– Rosół, roladki, kotlety i ciasta – uspokajała kobieta matkę Bartka. – Tak, będą i owoce. Przywiozą jeszcze przed mszą. Po dwa i pół kawałka mięsa na głowę – zapewniała, bo ponoć to najlepiej się przy takich okazjach sprawdzało.

– Napoje? – Nagle matkę dopadł niepokój i zaczęła się rozglądać, jakby zgrzewki z napojami zdołały się schować gdzieś w kącie.

– Są w samochodzie, pani droga. Proszę się niczym nie martwić i dołączyć do męża. – Wskazała na stojącego już na zewnątrz i

wpatrzonego w dal mężczyznę.

Pomiędzy rodzicami krążył Bartek, dla wszystkich wciąż niewidoczny.

Niewielu gości przybyło na stypę, bo rzeczywiście dziadek nie miał przyjaciół, a tych znajomych, co jeszcze żyli, zaniedbał. Przyjechała jednak rodzina, rozrzucona po całej gminie. Bartosz cieszył się nawet na spotkanie z większością z nich. Wreszcie będzie mógł poopowiadać o życiu w wielkim mieście i zyskać u niektórych szacunek. Tych nielicznych wyjątkowo rozpitych, więc przez większość unikanych, nie powinno być, skoro stypę urządzono bezalkoholową. Konkurencyjna garstka, która odniosła sukces, raczej także się na stypie nie pojawi, rozumował zresztą słusznie chłopak.

Bartek podziwiał tatę za wytrwałość, z jaką ten przyjmował raz jeszcze kondolencje. Wcześniej przyglądał się rodzicom podczas mszy, kiedy na resztę smutnych twarzy nie wypadało patrzeć. Ojciec nie uronił ani jednej łzy, tylko kilkukrotnie zachwiał się tak, że mama musiała go przytrzymać. Bartosz nie miał pojęcia, w jaki sposób to się kobiecie udało, ponieważ dla odmiany jej oczy zalane wręcz były łzami. Żałował nawet, że tam z nimi nie stał, tylko poszedł na tyły kościoła, do kuzynów. Ci ciągle żartowali, ale Bartek nie miał nastroju do śmiechu. Z chęcią wysłałby ich na trochę do Poznania, żeby nabrali chociaż odrobinę ogłady.

Żeńska część rodziny poszła śladem matki Bartka zarówno w kościele, jak i jeszcze trochę na stypie. Chusteczki mokły i zwijały się w dłoniach w celulozowe kulki. Tu i tam wyrwał się komuś szloch, co szczególnie zaskoczyło chłopaka. Dziadek przecież był nudny, nieprzyjemny w obyciu, w dodatku uwielbiał toczyć polityczno-religijne dyskusje z każdym, nawet z nastoletnimi wnukami, których

ani PiS, ani kościół nie interesowały. Denerwował się z byle powodu i potrafił nawet sprać wnukom skórę – tylko niepełnosprawnego Bartosza nie tykał.

– Z Bogiem w drogę – powtarzał jednak, kiedy opuszczało się jego dom, a każdy powinien odpowiedzieć: „Z Bogiem”, inaczej groziło to obrazą dziadkowego majestatu i w przypadku dzieci kłapsem. – Nie po to wychowywałem synów zgodnie z treściami Biblii! – mawiał, jakby to nie babka wzięła na siebie lwią część tego wychowawczego ciężaru.

Poza tym dziadek lubił wypić, czym zresztą zaraził synów, a i z wolna ta pijacka klątwa spadała na wnuków. Jeden ze starszych kuzynów już rozbił się motorem pod Dolskiem, a w jego łokieć lekarze władowali sporo metalu. Niby wypił tylko piwko, ale musiało być naprawdę spore, skoro osiągnął półtora promila w wydychanym powietrzu, i to po przewiezieniu do szpitala.

Tym bardziej bezalkoholowa stypa bawiła Bartosza. Nie sądził, żeby dziadkowi była w smak, ale ten pierwszy raz od blisko siedmiu dekad nie miał nic do powiedzenia. Odszedł, dotarło do Bartka. Zniknął wraz ze swoimi poglądami, wspomnieniami czy nałogiem. Jeszcze zajmował odrobinę przestrzeni, ale wkrótce robaki z bakteriami zabiorą się do pracy.

Na zmarłego – trumnę w kościele otwarto – chłopak nie patrzył. Rzucił wprawdzie raz czy dwa razy okiem, ale trupy przerażały go podobnie do duchów, czyli znajdowały się na szczycie listy strachów. Chłopak lubił co prawda oglądać serial *The Walking Dead*, ale w zombiakach kryło się przecież sporo życia; jakaś marna, bo marna (ale jednak) próba przechytrzenia śmierci.

Nawet młodość Bartka drżała ze strachu na widok trupów. Nastolatek ostatnio coraz częściej myślał o śmierci, w końcu te jego szesnaście lat przeleciało piorunem. Czasy podstawówki mógłby streścić w kilku zdaniach, a przedszkola już nawet za bardzo nie pamiętał. Zsikał się raz, to pamiętał. Pobił się też z późniejszym przyjacielem.

Bartosz najgorzej poczuł się na samym cmentarzu, gdzie wyspany ze zmarłych przez rzędy żywotników smutek spływał wraz z deszczem na ludzi. Chłopak ledwo zniósł rzewną grę na trąbce, kiedy opuszczano trumnę planecie do gardła. Oglądał się za muzykiem, ale ten stał chyba za którymś z nielicznych drzew. Bartek pomyślał, że tylko na wsi ktoś mógł wpaść na tak kiczowaty pomysł.

Atmosfera poprawiła się dopiero na stypie, gdzie jednak zagościł alkohol przyniesiony przez wujków o nagle uśmiechniętych obliczach. Szczęśliwie w ilościach jak na nich skromnych, więc nie doszło ani do kłótni, ani do żenujących upojeń. Nawet trąbkarz pojawił się, by zjeść rosół, bo tata chciał, żeby ludzie zobaczyli, że muzyka nie leciała z taśmy...

– Schował się, kurwa – marudził przez kolejne lata, rozpamiętując wynajęcie artysty podczas coraz rzadszych rozmów o pogrzebie dziadka. – Dwieście złotych, a stał za drzewem. – Nie rozumiał, że muzyk usunął się w cień z szacunku do zmarłego.

Na stypie oczywiście ciągle wspomniano dziadka, a podpitym wujkom usta się nie zamykały. Bartosz posłuchał o młodości przodka, o tym, jakim był zdolnym uczniem i dobrym kolegą. Jak kochał babcię, chociaż ta była miastowa i nie nadawała się do wiejskiego życia. Opisywana młodość kogoś tak starego trąciła kłamstwem. Z zasłyszanych opowieści wynikało, że dziadek zaznał w

życiu sporo szczęścia i miłości. Marzył i część marzeń nawet zdołał spełnić. W głowie się to chłopakowi z trudem mieściło.

Babcię akurat Bartosz w miarę lubił, ponieważ – tak myślał – była bardziej miastowa. Ten wieszczyczyński spokój, ta cisza wiejska przerywana rechotaniem żab od zawsze działały mu na nerwy. Babci ponoć również, przez to dochodziło w ich małżeństwie do scysji. Dziadek kochał babcię jak nikogo innego na świecie. Dziadek kochał jednak też i wieś.

Bartek pochylał się nad dewolajem – o którym mama mówiła właśnie siostrze, że zrobiony jest z kurczaka, pewnie nie wiedząc (w takich chwilach zdecydowanie czuł się od krewnych mądrzejszy), że w sumie sama nazwa *de volaille* już to zdradza. Młodsze kuzynostwo wypytywało chłopaka o szkołę, czy nie gnębią pierwszorzoczników i jak się tam w tym Poznaniu żyje, bo sami z chęcią wyrwaliby się już z Wieszczyczyzna, najlepiej od razu za granicę. Starsi zapytali, czy dziewczynę ma i kto mu gotuje obiady.

– Stołówka jest – burknął, ponieważ obiady wykupił i tylko śniadania oraz kolacje przyrządzał we własnym zakresie. Mama zresztą ładowała mu tyle jedzenia w plecak, że poza chlebem i napojami nie musiał niczego kupować.

– A daleko masz do centrum? – spytała osiemnastoletnia kuzynka, którą posadzili na samym brzegu, przynajmniej tym razem nie przy stoliku dzieci. Sam kuzyn jej nie obchodził, ale ewentualna miejscówka na wypad do Poznania już jak najbardziej.

– Mieszkam na Gołęcińskiej – rzucił, chociaż większości nic to nie mówiło. – Do szkoły dojeżdżam autobusem i jeszcze dwa przystanki tramwajem. Jedenastką – dodał, skoro słuchano, chociaż wiedział, że nikogo to nie interesuje, równie dobrze mógłby

opowiadać o mieszkaniu na Marsie. Nawet kuzynka zawiodła się odpowiedzią, bo dłubała w cieście widelcem, prawdopodobnie już rozdarta pomiędzy chęcią spałaszowania słodkiego a wysoką kalorycznością przekładańca, popisowego wypieku w rodzinie.

– A internet fajny? – Wujek zawsze mylił internet z internatem, być może dla kiepskiego żartu.

Niektóre z ciotek nazywały internat bursą, ale i tych subtelnych różnic Bartosz nie zamierzał nikomu tłumaczyć, bo i tak już miano go za kujona.

– Przypomina mi nasz wieszczyczyński blok – przyznał. – Pokoje małe, ja mieszkam w dwójce razem z Michałem.

O Michała nikt nigdy nie pytał, nie pociągnięto i tym razem tematu. Matka wręcz skarciła Bartosza wzrokiem za przypominanie w takiej chwili tego Michała.

– Dogadujemy się – rzucił mimo wszystko, co mijало się trochę z prawdą.

Na koniec chwalono księdza, który powiedział o zmarłym wiele dobrego, przy czym nie przeciągał niepotrzebnie ceremonii. Pochwalono i sam pogrzeb ze stypą, za co dziękowała mama Bartka. Ściskano sobie drżące dłonie, klepano się po plecach i wracano do swoich domów, by tam – często przy akompaniamencie telewizorów, gdy nikt już nie miał sił na rozmowy – zapadać w sen.

Bartoszowi przyśnił się tej nocy koszmar.

4

Bartek miał kiedyś przyjaciela, Michała, rówieśnika z tej samej klatki niskiego bloku mieszkalnego, jednego z dwóch, gdzie upchnięto prawie połowę z blisko trzystu ludzi zameldowanych w Wieszczyźnie.

Mały Barteczek bawił się zwykle z kolegą za neorenesansowym kościołem świętego Rocha, na placyku wielkości kortu tenisowego, za to przynajmniej z trzepakiem pośrodku. Stąd zawsze blisko mieli do sklepiku, gdzie nigdy nie brakowało słodyczy dla dzieci, warzyw dla matek czy alkoholu dla ojców. Pieniędzy chłopczyk nigdy nie miał, za to Michałowi ich nie brakowało, a już samo towarzyszenie mu przy zakupach stanowiło jakąś odskocznnię od nudy.

We wsi uważano, że ojcem Michała był ksiądz, a matka urodziła go, będąc nieletnią samotną panną. Oczywiście dzieci zdołały te plotki podsłuchać i dokuczały malcowi na całego. Przynajmniej nie obwiniano księdza z ich parafii, którego przecież szanowano, nie tylko z powodu zdecydowanie podeszłego wieku.

Barteczek również dokuczał Michałowi, ale jedynie z początku, przy innych dzieciach i nie aż tak zawzięcie, gdy polubił sąsiada. Kiedy zostawali sami, zajmowali się jedynie zabawą lub konsumpcją zakupionych w sklepiku łakoci. Często kopali piłkę, siedzieli na trzepaku, grali w karty pod blokiem, a z czasem w gry wideo na telefonach. Przynajmniej raz w tygodniu spotykali się u Michała, by

połupać na konsoli. Michał miał najnowsze gry, a najostrzejsze potyczki toczyli w *Fifę*.

Gospodarz zwykle przegrywał, więc ugodowy Bartek wybierał mniej znane drużyny, żeby wyrównać szanse. Michał zwycięski stawał się Michałem nieznośnym, jednak czasami trzeba mu było dać wygrać, by móc na meczyki w ogóle przychodzić.

Właśnie przy koledze Bartosz nauczył się trudnej sztuki kompromisu.

*

Sprzątanie po stypie ciągnęło się do drugiej w nocy, bo „świetlica na rano powinna wyglądać nieskazitelnie!”, zarządziła matka. Klucze należało oddać do przedszkola o świcie i nie przynosić rodzinie wstydu! Kucharce zapłacono dopiero po ogarnięciu przez nią kuchni, a resztkami – okazało się, że te dwie i pół sztuki mięsa na głowę to zbyt dużo – zapchano lodówkę z zamrażarką oraz wciskano je gościom na wynos.

Pod koniec porządków chłopak słańiał się na nogach, skoro przez cały wieczór robił za kelnera. Posiedział tylko trochę przy rosole i schabowych, a tak nawet ciasto jadł z doskoku. Dlatego na Bartosza spadł gęsty sen, z którego nie wyrwie człowieka nawet alarm budzików.

We śnie Bartek przechadzał się po wyludnionej wsi niczym pierwszy w historii Wieszczyzna turysta. Zapadał mrok i robiło się coraz chłodniej, tak chłodno, że nawet żaby przestały kumkać, a już tym bardziej rechotać. Co jakiś czas powietrze przeszywała mżawka, jakby pochmurnemu niebu zachciało się kichnąć.

Nastolatek schował głowę w ramionach i spojrzał bykiem na blok mieszkalny. W żadnym oknie nie paliły się światła, nigdzie też

nie migotał błękit telewizorów. Blok wyglądał martwo – jakby beton kiedykolwiek kojarzył się z życiem.

– Pójdę do Drzonka – zdecydował, coraz bardziej zziębnięty i przestraszony.

Uspokoił się, słysząc dźwięk własnego głosu, nie zrobiło mu się jednak ani odrobinę cieplej. Wręcz przeciwnie. Zaczął szcząkać zębami i dygotać. Zimno przeszywało go na wskroś, jakby chciało się dostać do samego szpiku.

W Drzonku przynajmniej zdołałby złapać ciepły autobus do Śremu, a może i pokusić się o autostopową podwózkę do samego Poznania. Bartosz z chęcią uciekłby jak najdalej od śmierci dziadka i tego równie martwego skrawka ziemi wprost w tętniący życiem gwar wielkomiejskich ulic. Ku anonimowości, jaką ofiarowywał Poznań, wraz z brakiem rozkazów od matki czy smutno-wzgardliwych spojrzeń od ojca.

– Tata nigdy nie przestanie mną gardzić. – Doszedł do skrzyżowania, minął sklepik na rogu, rzucił jeszcze okiem na kościół, ale mżawka znowu zrosiła powietrze, więc opuścił głowę, ręce zaplótł na klatce piersiowej i przyśpieszył kroku. – Choćbym został prezydentem Ameryki.

Przy cmentarzu zapachniało mokrą ziemią. Bartek jeszcze przyśpieszył, bo nie należał do miłośników grobów czy ogrodnictwa. Chłopak odetchnął głęboko po kilku minutach, a uspokoił się nieco dopiero po przekroczeniu granicy wsi, co trochę go zdziwiło, bo kiedyś bezpiecznie czuł się jedynie w Wieszczyźnie.

– Teraz sobie zatęsknicie! – rzucił z wyrzutem, jednak nie przyniosło to żadnej ulgi, wręcz przeciwnie, Bartek zaczął się martwić o rodziców oraz złościć na siebie za tchórzliwą ucieczkę. –

Poradźcie sobie... – Raczej gdybał, niż stwierdził. – Tylko was irytowałem.

Zwolnił kroku, ale nie odwrócił się jeszcze w stronę wsi.

– Nic im nie jest. Tam nikt nawet nie zakłucza drzwi.

Odwrócił się jednak i zdziwił, jak daleko odszedł już od Wieszczyzna. Jedyne wysoka wieża kościoła wciąż pozostawała doskonale widoczna, jakby nie tykały się jej deszcz, czernie oraz szarości.

– Tyle przeszedłem? – zdziwił się, bo wyglądało na to, że stał już w połowie drogi do Drzonka.

Starł krople z twarzy i zaczął klepać się po kieszeniach spodni w poszukiwaniu telefonu.

– Pięknie, zostawiłem komórkę w kuchni. – Jak to w snach bywa, szybko znalazł wytłumaczenie.

Chłopak mówił coraz częściej do siebie, byle nie czuć się tak bardzo osamotniony w niekomfortowej sytuacji. Moknięcie w geograficznym zawieszeniu pomiędzy Poznaniem a Wieszczyznem mogłoby jeszcze znieść, w końcu należało ostatecznie do codzienności, jednak przypuszczał, że wydarzy się za moment coś potwornego, prawdopodobnie o wiele gorszego od śmierci dziadka. Nie czuł tego w kościach czy stopach, w korzonkach czy szóstym zmysłem; nawet dreszcze przechodziły go jedynie z zimna, ale umysł wiedział swoje.

– To się tak zwyczajnie nie skończy – paplał chłopak pod wilgotnym nosem.

Nagle zatęsknił za rodzicami, do których nie mógł nawet zadzwonić. Poczł się rozdarty pomiędzy szkołą a domem, w dodatku nigdzie w pełni nie przynależąc. W mieście zostanie kiedyś co najwyżej studentem. Przecież talent do wyszukiwania grantów

nie przyda się na cokolwiek w dorosłym życiu. Niewykluczone, że załapie się do jakiejś pracy, znajdzie partnerkę i z nią gdzieś zamieszka, jednak na razie wizja dorosłości przerażała Bartka, chociaż dosyć miał dzieciństwa.

W rodzinnej wsi także nie widział dla siebie przyszłości, nie po tym spektaklu pogardy, jaki serwował bliskim ostatnimi czasy. W dodatku zaboląło go to, że tata naznosił już sobie do jego – czy jeszcze jego? – pokoju sprzętu wędkarskiego, a biurko zarzucił czasopismami, chociaż na same ryby jeździł przecież tylko od święta, tak bardzo był zapracowany.

– Przyłaziliście do mnie z byle pierdołą – narzekał. – Zainstaluj mi Windowsa, podłącz drukarkę, ściągnij film! Nigdy nie zapłaciliście za to ani złotówki – marudził na skąpstwo krewnych. – Bo rodzina! – przedrzeźniał wujostwo.

Wtedy zalały go wspomnienia z najmłodszych lat.

5

Bartek radził sobie z komputerami lepiej niż ktokolwiek w wiosce. Jeszcze w podstawówce postarał się o dofinansowanie – pierwszy sukces – na zakup porządnego laptopa do gier. Nie kręciła go elektronika, jednak zamierzał uniezależnić się od konsol Michała, a przy okazji pokazać koledze, że i biednemu nie zawsze wiatr w oczy wieje. Dość szybko potrafił zrobić przy użyciu klawiatury o wiele więcej niż przeciętny użytkownik pecetów, w życiu jednak nie programował czy nie próbował żadnych hakerskich sztuczek.

PFRON wsparł chłopca finansowo. PFRON, czyli Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, o którym Bartosz dowiedział się podczas jednej z wielu szpitalnych wizyt. Później wystarczyło trochę doczytać i dopytać dorosłych w Powiatowym Centrum Pomocy Rodzinie. Bartek postawił na wsparcie w związku z „likwidacją barier w komunikowaniu się”. Z tym jednak nie wyszło, skoro z komunikowaniem się nie miał problemu. Panie z Centrum zaproponowały natomiast szereg programów edukacyjnych, w tym ten najistotniejszy, pilotażowy: „Uczeń na wsi”.

Chłopak podpadał pod PFRON, ponieważ urodził się z wadą wrodzoną prawej stopy, w której opis zaangażowano aż cztery łacińskie słowa: *cavus*, *adductus*, *varus* oraz *equinus*, każde wymagające długotrwałego leczenia. Wróciły do Bartka powidoki tamtego bólu, ale też wdzięczność dla członków rodziny za wsparcie, jakim obdarzyli szczególnie matkę. Wożono go wszędzie, od lekarza

do lekarza, od fizjoterapeuty do fizjoterapeuty, a nawet składano się na pierwsze buty czy wkładki ortopedyczne. To całe wujostwo jednak nie było aż takie złe...

– Stopa końsko-szpotawa drugiego typu – poinformował pediatra rodziców niedługo po porodzie, a ci bali się dopytać o szczegóły. – Idiopatyczna – dodał, czego nie rozumieli, ale brzmiało na tyle poważnie, że matka całymi tygodniami zalewała się łzami, biorąc winę na siebie.

Niepotrzebnie, ponieważ maluch wyglądał zdrowo (poza nienaturalnie wykręconą nóżką). Radosny i pulchny dzieciak podobał się sąsiadkom, przynajmniej dopóki nie zaczęto go leczyć... Leczenie wiązało się z bólem oraz z utratą apetytu. Spoglądanie na cierpiącego, coraz mniej pulchnego brzdąca przychodziło wieszczyczynianom z trudem. Kobiety potrafiły uronić nad łóżeczkiem łzę, ponieważ nie widziały do tej pory, by tak małą stópkę ładowano w gips.

Z czasem rodzice dowiedzieli się więcej o wadach wrodzonych chłopca, głównie dzięki znajomej lekarce ze Śremu. Poznali również nieco łaciny, nie rozumiejąc, czemu nie można nazywać rzeczy po imieniu, po polsku, po ludzku, prosto z mostu i w cztery oczy. Bartkowi założono gips korekcyjny, zmieniany odtąd co tydzień, a z czasem co dwa tygodnie. Sąsiedzi zaglądali do wózeczka z brzdącem zawsze ze smutną miną, która zostawała im na kolejne lata. Maluch tyle wycierpiał, że nikt nie potrafił się do niego uśmiechać. Powszechnie wierzono, że w szpitalu Bartkowi tę nóżkę łamano.

Po prawdzie przecięto mu jedynie ścięgno Achillesa. Kiedy to zregenerowało się trochę, założono dziecku szynę korekcyjną. Z szyną chwiejnie wkroczył w trzecie urodziny, po których nastąpiła

rehabilitacja, ćwiczenia rozciągające ścięgna oraz zakup drogich butów Mitchella, przypominających obuwie narciarskie – właśnie wtedy ojciec zaczął pracować także w niedziele. Na koniec zdrowienia czekała malca operacja za operacją, bo wada postanowiła wracać, tym bardziej że za pierwszym razem nie wszystko poszło lekarzom zgodnie z planem.

Dzięki wujkom, wożącym Bartka regularnie do Poznania, nastoletni Bartosz nie kulał. Niepełnosprawność dziecka zbliżyła rodzinę do siebie, zaczęto się częściej spotykać na kawie, cieście czy wódeczce. Nikt nie liczył za paliwo, to i później za naprawy komputerów nie spodziewano się żądania zapłaty. Chłopak dorósł i kuśtykał jedynie przy większym zmęczeniu. Prawa łydka pozostała smuklejsza od lewej, dlatego nie zakładał szortów, szczęśliwie średnio przydatnych w deszczowej Irlandii.

Poza tym krótkie spodenki nie pasowałyby do robionych na zamówienie butów – jednego klasycznego, podobnego wojskowym glanom, a drugiego z serią spersonalizowanych przeróbek. Chodzenie w traperach latem dawało w kość, zdarzały się i odparzenia. Z bólem Bartosz nauczył się żyć, ze wstydem również, bo wujkowie czy ciotki ciągle pytali, jak tam ta jego noga.

Nazwy „stopa końsko-szpotawa” unikał jednak; kojarzyła mu się z czymś demonicznym. Przyłapany na kuśtykaniu opowiadał o deformacji oraz o dzieciństwie spędzonym w szpitalach, co zniechęcało do dalszych pytań, a już tym bardziej do żartów.

– Rodzice... – Bartosz docenił wreszcie we śnie troskę, jaką ci wykazywali się przez lata. Nawet ojciec wciąż spoglądał na jego finansowane przez państwo buty z takim żalem w oczach, że od razu

chciało się go przytulić, tylko synek nigdy nie nauczył się przytulania.

Tknięty niepokojem chłopak zdecydował się zawrócić do Wieszczyczyna, by sprawdzić, czy bliskim nie przydarzyło się nic złego.

– Może mieszkańcy biorą udział w późnowieczornej mszy za dziadka? – zaczął rozmyślać na głos, bo msze traktowano tu bardzo poważnie. – Katotaliban... – zamarudził, przyśpieszając nieznacznie.

Nagle usłyszał stuknięcie, jakby ktoś wbijał gwóźdź w suche drewno. Stukot bez żadnego chlupnięcia, chociaż drogę pokrywała wilgoć. Bartosz zatrzymał się i rozejrzał po okolicy, ale oprócz czerni asfaltu oraz szarości rozciągniętych po obu stronach drogi pól nie dopatrzył się żywej duszy. Niepewnie postawił kolejny krok i ponownie, jakby odrobinę bliżej, coś donośnie stuknęło. Kolejne dwa kroki i kolejne, jeszcze bliższe stuknięcia. Obrót na pięcie i nerwowe rozglądanie się wokół nie ujawniły sprawcy hałasów. Okoliczne pola tonęły w coraz gęstszych ciemnościach.

– Tata?! – krzyknął w nadziei, że ojciec stroi sobie żarty, żeby odpłacić synowi za Poznań.

Cisza. Bartosz oddychał głęboko, aż po uda, byle tylko nie spanikować. Powietrze coraz mocniej pachniało ziemią, dało się też wyczuć zapach grzybów, smród zgnilizny, kiedy wiało od strony cmentarza.

– Czy ktoś tu jest?! – spytał Bartek niczym cycata blondynka z horrorów, ale wierzył, że nauką wiele można wytłumaczyć i nawet taki duch, jeśli to duch stuka, nie musi oznaczać od razu utraty zmysłów.

Jedynym żartownisiem we wsi był Michał, a ten nie raczył przecież przyjechać na pogrzeb. Wieszczyznian miał, jak to wielokrotnie powtarzał, za hejterów w obesranych butach. Poza tym Michał nie znosił spacerów, a już szczególnie do równie według niego zapyziałego co Wieszczyzyn Drzonka, skoro wynaleziono rowery czy samochody.

Z braku odpowiedzi Bartek ruszył przed siebie, chociaż stukot narastał z każdym krokiem. Coś uderzało coraz szybciej w asfalt tuż za jego plecami. Chłopiec stanął przesyty dreszczem, po czym skulił się przestraszony, jęcząc przeprosiny w miejsce modlitw. Wtedy jakaś cuchnąca masa przeleciała nad chłopakiem z szybkością afrykańskiego drapieźnika.

Nastolatek zaklął rozedrganym głosem, choć prawie nigdy nie klął. Zęby Bartka szczękały o siebie, jakby odgryzał ziarna z kolby kukurydzy na czas, a całe ciało szykowało się do ucieczki, wciąż stawiając jednak na paraliż.

– Co jest? – Spojrzał jeszcze tam, gdzie drapieźnik powinien wylądować, ale wzrok znów natrafił jedynie na czerń asfaltu; chłopak powstrzymał się zatem od biegu.

Sekundy mijały i nie doszło do kolejnego ataku. Cisza szła w parze z bezruchem, a Bartek zaczął wierzyć życzeniowo, że jedynie mu się wydawało.

– Wilk albo zwidy z przejedzenia. – Nie miał pojęcia, co mogłoby napaść na człowieka na takim odludziu.

Za duże to było na lisa, za szybkie na psa, ale kto wie, jakie ich rasy ludzie hodowali po domach?!

– Może ktoś ściągnął sobie tygrysa? – Bartek naoglądał się programów na Netfliksie. – Może uciekł komuś pies? – Postawił na

najprawdopodobniejszą opcję.

Chłopak rozejrzał się za kijem lub kamieniem, ale w tych ciemnościach nie dopisało mu szczęście. Wyprostował się i odwrócił, by jednak pobiec w stronę Drzonka, skoro to bydlę czai się gdzieś pomiędzy nim a Wieszczyzynom i raczej nie odpuści.

Drapieżnik tylko na to czekał. Skoczył ofierze na plecy.

Tym razem nie chybił.

6

Z pewnością żaden wilk, pies czy którykolwiek ze znanych świata kocich bestii aż tak nie cuchnęła, chyba że w miesiąc po śmierci. Drapieżnik przewrócił ofiarę, przylgnął do pleców Bartka, wsunął mu łapy pod klatkę piersiową, po czym wbił pazury w skórę, przy okazji zębami chwytając boleśnie za ucho. Jęczał, a raczej rzeźił przy tym niemiłosiernie.

Strach sparaliżował chłopca na dobre. Odjął mu mowę, uwięził krzyk w gardle; Bartek utracił kontrolę nad zwieraczami, jeszcze bardziej przemaczając i tak mokre spodnie. Bolało, tak bardzo bolało, że chłopak przypomniał sobie o wczesnym dzieciństwie. Przed omdleniem powstrzymywał go tylko smród stwora – takim odorem wypełniały się zapchane studzienki odpływowe.

Pokonany Bartosz dobre kilka minut leżał pośrodku drogi. Sztywny, oniemiały, przekonany, że znalazł się o krok od śmierci, chociaż przed sobą miał mieć całe życie. Wreszcie odetchnął głęboko i powoli odzyskał kontrolę nad ciałem. Wciąż żył i nawet ból nieco odpuścił, zatem serce wypełniła nadzieja.

Chłopak spróbował zobaczyć, co za szpony wbijają mu się przez mokrą koszulkę w klatkę piersiową. Niestety, poruszanie głową nie wchodziło w grę, a co dopiero walka z napastnikiem. Nawet lekkie drgnięcie motywowało bestię do mocniejszego zaciskania zębów. Bartosz zrozumiał, że musi czekać na rozwój wypadków, ale też że nie zginie, skoro wciąż niespokojnie oddycha.

Od asfaltu ciągnęło trumiennym, kojącym nerwy chłodem, poza tym rozpadało się na dobre, więc chłopakiem wstrząsały dreszcze. Od bestii na plecach nie płynęło żadne ciepło, wręcz przeciwnie, Bartek czuł, jakby nałożył plecak wypchany lodem! Szczękał zębami, ale wciąż nie odważył się ruszyć.

– Czego ode mnie chcesz? – jęknął wreszcie. – Zostaw mnie w spokoju. Nic nie zrobiłem.

Drapieżnik rozluźnił szczęki. Nagle jedna z... łap drapiąca po żebrach chłopca wystrzeliła w bok. Bartosz przekręcił głowę, na co najwidoczniej otrzymał pozwolenie. Zobaczył kościstą rękę wskazującą na wieżę kościoła. Ludzką, przegniłą rękę o długich, zakręconych paznokciach.

Panika zagrała wreszcie pierwsze skrzypce, drwiąc sobie z zagrożenia czy z wcześniejszego paraliżu. Nastolatek zerwał się na nogi w olimpijskim stylu. Zaczął skakać i obracać się energicznie, byle zrzucić agresora z pleców. Wyglądał, jakby toczył batalię z rojem pszczoł.

Napastnik zareagował. Paznokcie prawej dłoni wbiły się nieco głębiej, aczkolwiek powoli, aż zatrzymały się przy galopującym sercu. Zęby ponownie chwyciły za ucho, tym razem nadgryzając je trochę. Bartek przestał się wrywać, podskakiwać czy obracać. Pocięły mu po policzku krew oraz łzy. Zaczął bać się nie tylko śmierci, ale i zakażenia, skoro to podgniłe coś musiało nosić na zębach czy pod paznokciami cały ekosystem złożony głównie z glonów, grzybów, porostów, wirusów i bakterii – z biologii Bartek dostawał zawsze co najmniej piątkę.

– Czego chcesz? – zapytał raz jeszcze, a w odpowiedzi ręka wskazująca na Wieszczyczyn drgnęła. – Zanieść cię do wioski? – To

jakoś nie pasowało chłopakowi, bo zombiak potrafił poruszać się szybciej bez jego pomocy. – Na pewno zażadasz, żebym coś jeszcze dla ciebie zrobił – odgadł. – Z kimś porozmawiał? – Łudził się naiwnie.

Ręka raz jeszcze uniosła się nieco i opadła.

Bartosz postanowił pomóc, skoro nie miał innego wyjścia. Długo już stali na drodze, a w tym czasie nie przejechał ani jeden samochód, czyli znikąd ratunku.

Ludzi gdzieś wcięło, utwierdził się we wcześniejszych przemyśleniach nastolatek i uwierzył, że prawie na pewno śni. Wcześniej zbytnio się bał, żeby dojść do takiego wniosku, ale przecież Wieszczyczyn nigdy się tak nie wyludniał, a i sam pomysł z truposzem zbytnio trącił koszmarem, żeby brać tu cokolwiek za rzeczywistość.

Pocieszony ruszył asfaltem, ale na to bagaż jęknął przeciągle.

– Mam leżeć przez pole? – zdziwił się Bartek, wściekły coraz bardziej na swój mózg za durne koszmary. – Przecież tędy wygodniej. – Szczęki zacisnęły się trochę mocniej na uchu. – Dobra! – jęknął chłopak. – Idziemy polem! Zyskamy dwie minuty... – zamarudził, bo droga może i szła półkolem, za to kroczyło się po niej zdecydowanie szybciej, szczególnie po zmroku. – Przemoczone skarpetki nie są niczym przyjemnym nawet we śnie – próbował jeszcze przekonać zombiaka, chociaż po prawdzie już dawno cały przemókł. Narzekanie dodawało mu jednak odwagi.

Był młody, więc szedł w miarę szybko; ręka wskazywała na kościół, ale obniżała się nieznacznie z każdym krokiem. Bartek przyglądał się jej coraz wnikliwiej, nagle zadowolony ze swojej bujnej wyobraźni, bo przecież wyśnił te bzdury. Rozkład u trupa miał

się dobrze, w zasadzie umarlaki z *The Walking Dead* wyglądały przy tej kończynie na zdrowo odżywione. Na kościach i ścięgnach zachowało się wprawdzie sporo skóry, ale mięśnie wyżarto praktycznie do nitek. Na pozostałościach skóry rosły włosy przypominające sierść. Gdzieś tam całość „zdobiła” gałązka czy korzeń lub wyściubiające aparaty gębowe larwy much, nazbyt odkarmione jak na rzeczywistość. Brudne paznokcie polakierowano krwią Bartka.

– Dawno umarłeś? – rzucił Bartek, jakby chciał zagadać, za co od razu skarcił się w myślach. Po cholere staram się być miły dla tego trupa?! Zostałem zaatakowany, zamiast odsypiać stypę! Poobijał mnie i pokaleczył! Pieprzona podświadomość i wyrzuty sumienia! – Bardzo dawno? – dodał jednak wbrew sobie.

Truposz jęknął coś niezrozumiałego, z czego nie dało się ulepić słów. Struny głosowe pewnie także miał w zaawansowanym rozkładzie, zgadywał chłopak. Ręka zeszła za to już poniżej linii horyzontu, chociaż do kościoła pozostało jeszcze kilkaset metrów.

– Wskazujesz na pole za plebanią? – zdziwił się Bartek. – Czego ty ode mnie chcesz?

– Grób. – Szczęki puściły ucho.

Słowo brzmiało, jakby wyrwało się zaspanemu niedźwiedziowi z gardła.

Bartka zdumiało, że nie obudził się od czegoś tak upiornego.

7

Wyczerpany fizycznie i psychicznie Bartek nie wiedział, jak zabrać się do kopania grobu. Przecież nie miał przy sobie łopaty czy choćby łyżki.

– Zejdiesz? – zapytał truposza, ale ten nie raczył posłuchać. – Nie dam rady kopać z tobą na plecach! Przecież nigdzie nie ucieknę – dodał po chwili. – Jesteś ode mnie silniejszy i szybszy, a ten sen się nie skończy, aż czegoś sobie nie uświadomię!

Truposz posłuchał. Wpierw odpuścił uchu, a po chwili wyciągnął powoli pazury, co potwornie bolało, bo krew wokół ran zdążyła już zakrzepnąć. Chłopak upadł na kolana, a zombiak spełzył z niego, by przeturlać się niczym wielki robak zaledwie o kilka metrów. Nie wydawał się już groźny, jakby osłabiało go sąsiedztwo kościoła. Nastolatek rażony bólem nie zauważył jednak tego.

Bartek próbował opanować drżenie kończyn i przyspieszony płytki oddech.

– Jestem w szoku i to tylko sen – powtarzał sobie, aż zdołał się w miarę uspokoić. – W życiu już nie obejrzę horrorów. Od teraz wciągamy same komedie.

Palce grzęzły mu w podmokłej ziemi, w błocie wręcz, w którym dziury żłobiły też stopy i kolana nastolatka. Wszystko wyglądało tak realnie... Orka późniwna sprawiła, że odgarnianie skruszonej, odwróconej i rozmiękłej gleby szło dość sprawnie. Ręce pracowały, chociaż od wykopania grobu dzieliło chłopaka wiele godzin.

– Co ty robisz? – pytał siebie Bartek pochylony w coraz głębszym dole i nie potrafił udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi.
– Psycholog miała rację. Oszalałeś... Znajdą cię rano kompletnie sfiksowanego w zalanym potem i szczynami łóżku.

Przypomniął sobie o wizytach w poradni pedagogicznej w Poznaniu, dokąd wysłała go nauczycielka historii, a zarazem wychowawczyni klasy. Bartosz świetnie radził sobie bowiem z każdego przedmiotu poza historią właśnie, co zaniepokoiło ambitną kobietę (z lekcji wychowania fizycznego został z powodu niepełnosprawności zwolniony, co wytłumaczył kolegom astmą).

Nauczycielka obrzydziła całej klasie wkuwanie dat. Przedłużała lekcje, kradnąc im cenne minuty przerw, robiła kartkówki z samych nazwisk, klasówki z treści porozumień pokojowych i sprawdziany z królewskich życiorysów. Niczym się nie emocjonowała, do podręczników podchodząc niczym księża do Biblii; przy czym znała je na wrywki.

Historyczce dokuczał brak zainteresowania ze strony najzdolniejszego ucznia w szkole. W pokoju nauczycielskim nie milkły zachwyty nad Bartoszem i tylko ona nie miała nic ciekawego do dorzucenia. Już zapisywano go na olimpiady szkolne, sprawdzając, czy te nie kolidują ze sobą datami. Kobieta także chciałyby mieć wreszcie olimpijczyka na poziomie wojewódzkim... Uważała, że naucza porządnie, szczegółowo, z pasją. Niczego nie pomija, a wręcz przeciwnie, wymaga od młodzieży poszerzonego zakresu wiedzy. Wierzyła, że niezajomość historii prowadzi do powtarzania błędów tejże.

Wychowawczyni bezproblemowo namówiła rodziców Bartka do wysłania syna na wizytę u psychologa. Zaczęła grozić niepewną

przyszłością podopiecznego w tym jakże okrutnym świecie. Ojcu chłopak i tak wydawał się dziwny, więc podziękował za sugestie i poprosił o pomoc w znalezieniu specjalisty, tym bardziej po zapewnieniu ze strony nauczycielki, że nie będzie mowy o ponoszeniu kosztów.

W jednej z poznańskich poradni psychologiczno-pedagogicznych atrakcyjna psycholożka zajęła się Bartkiem, samym wyglądem motywując nastolatka do wizyt. Zaczęli od luźnej rozmowy. Psycholożce udało się pociągnąć chłopaka kilkakrotnie za język, przy czym na tyle delikatnie, by nie zniechęcić ucznia. Dowiedziała się o wstydzie płynącym z wiejskiego pochodzenia czy o dotkliwej zwyczajności rodziców. Usłyszała o jedynej przyjaźni, tej z Michałem, która umarła śmiercią naturalną, jak to się przyjaźniom zdarza. Bartosz zwierzył się również ze szpitalnych przeżyć w dzieciństwie, a wszystko to podczas pierwszej wizyty.

I chyba zauroczył się bardziej niż trochę.

8

Psycholożka odzyskała radość z pracy, wciąż pozostawała jednak niezadowolona z życia. Nareszcie trafiła na wolnego od poważniejszych traum nastolatka, nieskalanego alkoholową patologią rodziców – przez blisko dwa lata stażu wysłuchiwała zbyt wielu opowieści o przemocy, molestowaniu czy o zaniedbywaniu; często z trudem dociągała do końca sesji. Przy niektórych historiach nawet policjantom rzedłyby miny, zwykle i tak niewesołe.

Kobieta dziękowała historyczce, że pojawił się taki Bartosz, zapatrzony w nią młody intelektualista! W końcu mogła pomóc dzieciakowi, który zdoła się wyrwać z tego piekiełka, za co pozostanie jej dożgonnie wdzięczny. Marzyła o przyjaźni na lata, o odwiedzinach u podopiecznego gdzieś w zamorskich krajach, oby ciepłych.

Pierwsze trzy wizyty zleciały na poznawaniu przeszłości nastolatka. Przez połowę czasu rozmawiali dość swobodnie o traumie częstych hospitalizacji oraz o wstydzie, jaki niosła za sobą niepełnosprawność. Dojrzały jak na swój wiek uczeń wysławiał się mile dla ucha, przy czym nie trzeba go było ciągnąć za język. Jak nikt potrafił opowiadać o pokonywaniu bólu.

Podczas czwartej wizyty przetestowali wreszcie inteligencję nastolatka. Bartek podszedł do zadania z charakterystycznym dla siebie, nieco lekceważącym otoczenie uśmiechem, ale i z ochotą, po

czym uzyskał najwyższy wynik, jaki kiedykolwiek odnotowano w tej poradni!

– Ten dzieciak nie powinien mieć problemów ani z historią, ani z chemią, ani nawet z fizyką kwantową – zameldowała telefonicznie wychowawczynie jeszcze tego samego dnia. – Pozwólcie mu wybrać każdą uczelnię albo podjąć się jakiegokolwiek pracy. Śmiem twierdzić – zawsze lubiła ten zwrot – że jeszcze nas wszystkich pozytywnie zaskoczy. Jeśli z jakiegoś powodu nie odnajduje się na zajęciach, to zaleciłabym indywidualne podejście do tej genialnej przecież jednostki. Nie zaprzepaście tego. – Pozwoliła sobie potraktować nie tylko historyczkę, ale i całą szkołę z góry.

Wychowawczynie przyjęła te słowa do wiadomości, ale – co zdziwiło psycholożkę – zareagowała wręcz oschle. Nawet nie podziękowała, tylko rozłączyła się w milczeniu, półgębkiem rzucając słowem, jakiego spodziewać się można było raczej po wuefście. A szkoda, ponieważ nie wszystko zostało powiedziane.

Według ambitnej pracownicy poradni w Bartku kryła się tajemnica, o czym nie zamierzała już – głęboko urażona prostactwem wychowawczynie – informować szkoły. Otwierał się aż miło, fakt, przy czym podczas poruszania najważniejszych spraw wciąż nagminnie uciekał w żart, zamiast zaufać jej całkowicie. Pomimo że uzyskali odpowiedź na dręczące nauczycielkę oraz rodziców pytanie, nie potrafiła go tak na zawsze wypuścić z gabinetu.

– Z twoimi wynikami mógłbyś pokusić się o stypendium prestiżowych uczelni, również zagranicznych – zapewniała Bartka, oferując pomoc. – Mnie nigdy się nie udało, ale dla ciebie powinna to być bułka z masłem. Mogłabym napisać ci referencje, tylko

popraw wyniki z tej historii. Poproś o egzamin komisyjny, jeśli będzie trzeba – nie do końca wiedziała, jak się takie sprawy załatwia. – Dla ciebie to nic takiego, kilka poświęconych nauce wieczorów. Poproszę nawet dyrektorkę poradni, żeby się za tobą wstawiła, bo jeszcze nigdy jej o nic nie prosiłam. Szkoda, żebyś przez jedną nauczycielkę nie zdołał rozwinąć skrzydeł.

Dlatego zaprosiła nastolatka na piątą wizytę, podczas której przetestowała ucznia na całego!

Zaczęła od testu MBTI – a konkretnie od jego bezpłatnego odpowiednika online, bo dyrektorka nie wyraziła zgody ani na pisanie żadnych referencji, ani na tak ekscentryczne wydatki. Wyszło z niego, że Bartek ma osobowość „obrońcy”, typową dla trzynastu procent społeczeństwa. Terapeutka była lekko tym zawiedziona, bo znaczyło to mniej więcej tyle, że świata raczej nie zbawi, a i ciepłe kraje poradzą sobie bez niego.

– „Obrońcy” wybierają ścieżki kariery w branży medycznej czy pozostają na uczelniach jako pracownicy naukowci – tłumaczyła nastolatkowi z zawodem w głosie. – Wielu z nich podejmuje się wolontariatu, prac charytatywnych czy społecznych. Dbacie o innych – zakończyła bez entuzjazmu.

Uczniowi najbardziej spodobały się wnikliwe analizy jego osobowości, często okraszone procentami. Okazało się, że skłania się ku introwertyzmowi, spostrzegawczości i uczuciowości. Wprawnie ocenia wszystko oraz wszystkich, a przy tym można dość szybko wyprowadzić go z równowagi, ale nikt nie jest bez wad!

Szczególnie nad naduczuciowością postanowił od tej pory pracować, bo z ocenianiem innych, szczególnie rodziców, rzeczywiście nie miał problemów...

Najdziwniejsze, że opinia zgadzała się niemal co do słowa. Ta zmiana perspektywy, to spojrzenie na siebie nieco z boku, oczami analiz, działy cuda. Zrozumiał siebie zakłętą w procentach! Dowiedział się, nad czym pracować, a z czym wychodzić do ludzi. Dodatkowo bycie jednym z trzynastu procent społeczeństwa pozwoliło mu okiełznać poczucie samotności oraz pozbyć się części kompleksów. Przy okazji nabrał pewności siebie, gdy pobił lokalny rekord tym testem; domyślał się wprawdzie, że do placówki nie przysyłano przyszłych noblistów, lecz i tak cieszył się byciem gdzieś z czegoś najlepszym.

Na koniec psycholożka sięgnęła po tablice testów Rorschacha, których praktycznie nie stosowano podczas terapii z młodzieżą. Testy te służyły psychoanalitikom do diagnoz klinicznych, konkretnie przy wykrywaniu zaburzeń psychicznych, w dodatku raczej kilkadziesiąt lat temu. Bartek jednak o nie poprosił, a nieczęsto zdarza się pracować z kimś tak inteligentnym, przy kim można wyjść znacznie poza zakres obowiązków.

Dziesięć poplamionych tablic wylądowało na stole: pięć szaroczarnych, trzy kolorowe oraz dwie szaroczerwone, jej ulubione ze studiów. Na podstawie odpowiedzi chłopca kobieta zamierzała przygotować tak zwany psychogram, czyli opis psychologiczny młodzieńca.

Uczeń przeleciał przez pierwsze tablice z szybkością prymusa, bezproblemowo podając najczęściej wybierane skojarzenia, takie jak motyl, nietoperz czy ćma. Nic nie wskazywało na to, żeby czymś psycholożkę zaskoczył albo by błysnął tym wcześniej wykrytym geniuszem. Dopiero przy ostatniej karcie, kolorowej i być może najtrudniejszej do interpretacji, bo wymagającej popuszczenia

wodzy fantazji, zamilkł na dłużej. Tchnął nadzieję w coraz bardziej zawiedzione kobiece serce.

– Po co mi to pani pokazuje? – zapytał z nutą agresji w głosie. – To nie jest zabawne. Podmieniła pani tablice? Czy ta tablica jest zawsze w zestawie?! – Zakipiał momentalnie złością, chociaż o mało co nie parsknął śmiechem, skoro wszystko sobie wcześniej zaplanował.

Kobieta już zamierzała zareagować, stanąć w obronie zawodu psychologa, jednak postawiła na profesjonalizm.

– Powiedz mi najpierw, co zobaczyłeś. Czym ta karta wyprowadziła cię z równowagi? Zapewniam, że nie została przez nikogo podmieniona. Tylko ja korzystam z tego gabinetu – skłamała. – Pamiętaj, że skojarzenia są bardzo osobiste. Na pewno nie widzę na niej tego, co ty, dlatego proszę, powiedz mi, co zobaczyłeś.

Chłopak uspokoił się trochę. Czerwień z jego policzków przeszła w plamisty róż. Rozejrzał się nawet po jasnych ścianach oklejonych plakatami próbującymi jednym zdaniem rozwiązać życiowe problemy nastolatków. Odetchnął głęboko, po sam żołądek.

– W Wieszczyźnie stoi kościół świętego Rocha – mówiąc, pokazywał na plamy rozmieszczone przy bokach tablicy. – Nic specjalnego dla kogoś z Poznania, ale dla nas to najważniejszy budynek pod słońcem. Tam żegnamy bliskich, tam spotykamy się całymi rodzinami, nie tylko na ślubach czy niedzielnych mszach. Życie się wokół tego kościoła toczy. Śmierć również, bo cmentarz jest niedaleko, wielkości boiska do nogi.

– Rozumiem – rzuciła kobieta, wykorzystując chwilę ciszy, chociaż wciąż nie odgadła, do czego Bartek zmierza. – Zobaczyłeś wasz kościół – rozpoczęła tłumaczenia, gdy zamilkł, a zamilkł, bo

zamiast żartu, postraszenia lekko psycholożki i być może zaproszenia jej ostatecznie na przyjacielską randkę, władował się w poważną rozmowę. – Zareagowałeś poprawnie. Pewnie widywałeś ten budynek przez całe dzieciństwo, a teraz trochę tęsknisz za... Przepraszam, czy mógłbyś powtórzyć nazwę wioski, z której pochodzisz?

Bartosz zamierzał snuć sfabrykowaną historyjkę związaną z kościołem, by po wszystkim wybuchnąć śmiechem i podziękować za poprzednie sesje, proponując wypad do klimatycznego kina Rialto w Poznaniu, jednak wyprowadziła go z równowagi. To, że zapomniała nazwę wsi, nie miało znaczenia, jeśli komuś kiedyś przyszło na myśl tak cudacznie ją nazwać. Bartosz nie potrafił sobie jednak poradzić z wypomnieniem mu tęsknoty za domem. Poczował nagle zapachy, które same ułożyły się w słowa, wznosząc treść żartu na makabryczny wręcz poziom.

– Słyszała pani o świętym Rochu? – zmienił temat, zadając pytanie ostrym tonem.

– Nie, ponieważ wychowywałam się w rodzinie ateistycznej – odparła terapeutka bez cienia przeprosin w głosie. – Opowiedz mi o nim?

Bartosz postanowił pójść na całość, by utrzyć nosa tej miastowej dziewczynie.

– Czternasty wiek, dżuma – rozpoczął. – Roch był nieznacznie ode mnie starszy, kiedy stracił oboje rodziców. Szczęściarz – dorzucił, a kobieta coś zanotowała. – Jego ojciec, w odróżnieniu od mojego, przynajmniej się dorobił. Roch odziedziczył sporo, ale rozdał potrzebującym.

– Jesteś inteligentny i zaradny. – Psycholożka postanowiła mu przerwać, bo i czas wizyty dobiegał końca. – Twoi rodzice z pewnością wyznaczyli sobie za młodu jakieś cele. Część z nich najprawdopodobniej zrealizowali. Niestety, wypada nam pamiętać, że czasy mogły być mniej przychylne od terażniejszości. Rozważ, czy nie jesteś dla nich zbyt surowy.

– Roch wyniósł się z Francji do Rzymu. – Bartek rozumiał argumenty terapeutki, lecz i tak zamierzał dokończyć opowieść; poza tym pachnące słowa same składały się w jego głowie w zdania. – I to kilkaset lat temu! – Pozwolił sobie podnieść nieco głos, na co psycholożka zareagowała uniesieniem dłoni. – Przepraszam. Poważnie, uważam, że wystarczy chcieć, a moi rodzice nie zdołali nawet opuścić Wieszczyzna, skąd powinno się wynosić biegiem.

– Świat stanął dla młodych otworem i to nie banał, tylko szczerą prawdą. Za dwa lata będziesz pełnoletni i wiele ograniczeń zniknie z twojego życia. Nie ma sensu chować urazy do rodziców o to, że wychowali cię na wsi. Wielu ludzi z miasta przenosi się na wieś, płacąc za to ogromne pieniądze. Wierzę, że miałeś w dzieciństwie spokój. – Tego oczywiście nie mogła być pewna, ale wolała zakończyć sesję optymistycznym akcentem. – Sporo twoich rówieśników, którymi się zajmuję, nie może tego powiedzieć.

– Podczas podróży Roch pomagał zarażonym dżumą. – Bartek zdecydował się pociągnąć wątek, kiwając przy tym głową na znak, że rozumie jej argumenty. – Pomagał i pomagał, aż wreszcie sam zachorował. Nie umarł, chociaż zaszył się w jakimś lesie, gdzie pies przynosił mu chleb.

Kobietę nużył ten religijny wywód, tym bardziej że nie zapowiadało się na ciekawszą od boskiego uzdrowienia puentę. Nie

przeszkadzała jednak uczniowi, któremu już nie wróżyła świetlanej przyszłości.

– Na każdym obrazie Roch paraduje z łydkami na wierzchu, z psem u boku, podparty o kij. Radosny i spokojny, chociaż nic nie miał i niczego nie osiągnął poza wyjściem z choroby. A na tym rysunku – wskazał na tablicę – widzę wielu z moich sąsiadów leżących bez życia na zewnątrz kościoła. Tu jest Milczyński, a tam Adamczykowa – kładł palec wskazujący delikatnie na kolejnych plamkach – a tutaj bliźniaki Malinowskiej, te o smutnym śmiechu, a tam – podniósł wzrok – za kościołem, tak trochę z boku...

– Twoi rodzice – odgadła psycholożka, po czym zakończyła sesję i kazała chłopakowi wrócić do szkoły.

Szkoda, bo chciał jej jeszcze opowiedzieć o atrakcyjnej postaci Śmierci spoglądającej na nich z tej tablicy, chociaż oczy przesłaniała kobiecie dymna opaska.

I zapachniało mu imieniem: Akka.

9

Bartosz kopał dalej, wciąż rozmyślając o wizycie w poradni przesłodka pachnącej rezydującą w niej od poniedziałku do piątku pięknnością. Pamiętał, że dzień później siedział w szkole jak na szpilkach. Żart mu nie wyszedł, w dodatku poniosło go z jakimś Rochem, chociaż nie znosił historii, a i do religii miał jakże odmienne od rodziców podejście. W ogóle nie zamierzał paplać o pieprzonym Rochu... Do tego te zapachy, co zamieniały się w słowa!

– Naopowiadaliście mi czegoś za dziecka i wyszło – marudził pod nosem, przestraszony ewentualnością kiełkującej w jego umyśle choroby psychicznej.

Nastolatek zwał winę na psycholog, która nie powinna go aż tak denerwować. Zawiódł się na tablicach Rorschacha i przestał się dziwić, że dzisiejsza praktyka zrezygnowała z tych testów. Podejrzewał, że podobne reakcje pacjentów na widok kleksów zdarzały się i wcześniej – obstawiał, że cała sceneria, czyli gabinet paralekarski, obecność terapeuty, idiotyczne plakaty, stres, jak i pozornie zabawowy charakter testu, miała wpływ na szokujące wyniki.

– Dlatego odpuścili. – Uspokoił się trochę. – Nie moja wina. Powinna być mądrzejsza.

Wierzył, że terapeutka zastosowała ponadto techniki, o których nawet nie słyszał, by dopuścić do głosu jego podświadomość. Głównie te dziwne zapachy, wcześniej mu nieznane; pewnie

kadzidełka. Niestety, z zaimponowania kobiecie wyszedł klops, a o jakimkolwiek związku, przyjacielskim lub wykraczającym z czasem poza przyjaźń, postanowił zapomnieć. Czekał na prawdopodobne poważniejsze konsekwencje, skoro wyproszono go z gabinetu w zasadzie bez słowa wyjaśnienia.

No i ta ostatnia tablica i umarli sąsiedzi, których naprawdę ujrzał, nie dawały mu spokoju. Rzeczywiście ich w tamtych plamach przez moment wypatrzył. Nie potrafił tego zignorować, ponieważ pod sam koniec sesji zobaczył nawet Śmierć.

Kto tam był...?, dumał nad kobiecą postacią o przesłoniętym wzroku, materializującą się z jednej z pomniejszych plam. Czego ode mnie chciała ta Akka? Nie wiedział, ale potrafił rozpoznać groźbę, a właśnie groźbą mu tam przede wszystkim zapachniało.

Przez kilka kolejnych dni niewiele się działo, a w piątek, tuż przed końcem lekcji, wezwano Bartka do dyrektora, z wyglądu najsmutniejszego mężczyzny, jakiego nastolatek kiedykolwiek widział – co nie jest łatwe do osiągnięcia w kraju wypełnionym przez stada pochmurnych ludzi.

– Twoje sesje w poradni psychologiczno-pedagogicznej dobiegły końca – rozpoczął dyrektor, a każde słowo wypowiadał z wysiłkiem.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć – dodał, chociaż nie było to pytanie, a raczej żądanie.

– Czy pani Śmigielska wniosła skargę? – Bartek pocił się z nerwów, chociaż dyrektor zawsze otwierał okno, nadwrażliwy na zapach szkoły. – Spróbowałem zażartować, ale wyszło dziwnie... Kiepski ze mnie komediant.

– Psycholog nie wnosi skarg, to tak nie działa – westchnął mężczyzna. – Poinformowała nas o pewnych kwestiach związanych z

twoją osobowością. Zostaniesz skierowany na wizytę u psychiatry. Sugestia taka – poprawił się dla pełnej jasności. – Krótka wizyta i nie będziemy wracać do tej rozmowy. Tym razem bądź jak najbardziej poważny. Twoi rodzice – dodał na jednym wydechu – również zostali poinformowani. Taką podjąłem decyzję. Dla twojego dobra.

– Do psychiatry...?! – Chłopak spanikował. – Tylko żartowałem.
– Poczuł, jak po policzkach spływają mu łzy. – Spodobała mi się...

Dyrektor podniósł wzrok na jego twarz, westchnął ponownie i uśmiechnął się nawet nieco – prawdopodobnie po bardzo długiej przerwie.

– Dam ci radę, bo jesteśmy w szkole. Nie żartuj sobie nigdy u psychologa czy u psychiatry. Większość z nich to wspaniali ludzie, ale biorą pewne sprawy do serca. Taki zawód... – mówiąc to, miał i nauczycieli na myśli, choć niekoniecznie dyrektorów podobnych placówek.

– Dziękuję – wydukał zszokowany chłopak i opuścił gabinet.

Udał się wprost na dworzec autobusowy, skąd pojechał do rodziców, żeby mieć kolejną trudną rozmowę za sobą. Usiedli razem przy tym kuchennym stole. Tata nie złościł się, płakała za to matka.

– Widziałeś te trupy? – Tata próbował coś z niego wyciągnąć, głuchy na zapewnienia syna, że to był tylko kiepski żart. – Psycholog twierdzi – powiedział to takim tonem, jakby ta kobieta była co najmniej Bogiem; zresztą od zawsze darzył respektem wykształconych ludzi, z panią magister z apteki na czele – że możesz wykazywać zaczątki...

– Początki – poprawiła męża matka, kończąc wypowiedź szlochem.

– Mówiła o chorobach – prychnął ojciec. – Paskudnych chorobach. Synu, musisz pójść do tego psychiatry. Musisz! Im prędzej, tym lepiej. Mama już do cioci dzwoniła, ona zna kogoś z doktoratem, kto otworzył w Śremie...

– To żart! – krzyknął Bartek na rodziców, z czym od tej pory czuł się paskudnie. – Dajcie mi spokój. Chociaż wy.

Dali. Do psychiatry nie poszedł, chociaż ten incydent rozdzielił ich niewidoczną ścianą.

Bartosz zmienił się od tamtej pory. Przestał mieć do wszystkich o wszystko pretensję, dziewczyn unikał, a w szkole podciągnął się nawet z historii na mocną czwórkę. Postanowił pomagać innym, żeby nie ziściła się groźba, której realność wypierał powoli z umysłu.

10

Bartosz otrząsnął się ze wspomnień. Sam nie wiedział, dlaczego uciekł myślami w tak dziwnym, wstydlwym kierunku, zamiast skoncentrować się na kopaniu grobu.

– Zwariowałem na amen! Śnię w snach. Dyrektor z psycholożką mieli rację. – Zgadywał, dlaczego jego mózg przypomniał sobie o poniżającym wydarzeniu z niedalekiej przeszłości. – Teraz przyjdzie kolej na poronione koszmary i zakład zamknięty. Kolejny etap choroby, a przerwy między nimi staną się coraz krótsze... – Wnioski wyciągał ze znanych mu filmów traktujących o schizofrenii.

Na zombiaka Bartek nawet nie spojrział, skoro ten był wyśnionym szkaradztwem. Czuł – głównie węchem – że truposz trzyma się blisko. Wiedział z horrorów, że pewnych okropieństw nie złagodzi nawet czerń nocy, wręcz przeciwnie, z czernią im do twarzy.

– Zostań tam! – krzyknął nawet, kiedy zaśmierdziało mocniej, jakby truposz postanowił jednak podejść czy raczej podczołgać się bliżej.

Co innego oglądać naszpikowane zombiakami filmy, a co innego nosić jedną z tych zgnilizn na plecach. Nagle targnięty torsjami chłopak zdarł z siebie cuchnącą, zawymiotowaną stypną ucztą bluzę i wraz z glebą odsunął ją na bok. Niczym się już nie przejmował. Nie mógł się bardziej ubrudzić czy przemoknąć. Chciał tylko, żeby ten koszmar się wreszcie skończył. Przynajmniej rozgrzał się pracą fizyczną.

Zanurzanie dłoni w wymiocinach nie pomogło; jawa wciąż pozostawała poza jego zasięgiem. Odgarnianie ziemi przeszło więc w intensywne kopanie. Ręce chłopaka piekły, a dłonie pokryły pierwsze z zadrapań. Bartosz wspomagał się wprawdzie płaskimi kamieniami, ale praca szła mu dość wolno, dlatego truposz rozjęczał się niezadowolony z postępów.

– Pomógłbyś, zamiast zawodzić! – warknął podenerwowany nastolatek i wreszcie podniósł wzrok na umarlaka.

Od razu pożałował. Nie chodziło nawet o makabryczny wygląd zmarłego czy o wszędobylski rozkład tkanek. Nie, truposz wyglądał żałośnie. Przypominał rzuconą na kupkę stertę kości, do bezsmaku doprawioną włosami, ścięgnami, smrodem i poplamioną skórą. W dodatku coś mu zwisało z szyi, coś spleśniałego niczym zapomniane jabłko, od czego chłopak nie mógł oderwać wzroku. Truposz węszył, bo czernią oczodołów raczej niewiele mógł widzieć.

– Skąd miałeś siły, żeby na mnie skoczyć? – zdziwił się Bartek.

Truposz je miał; głównie dlatego, że był lekki, nie potrzebował muskulatury atlety. Poruszał się również dzięki sprężystości ścięgien, wsparciu powiewów wiatru czy pracowitości grawitacji. Poza tym Bartosz przyciągał go bezwarunkową opiekuńczością, którą wypracował po nieszczęsnej wizycie w poradni.

Chłopak wrócił do kopania, kiedy poczuł nagle pod kolanami ruch. Coś grubego niczym korzenie dorodnego drzewa zaczęło świdrować ziemię. Coraz więcej i więcej tych wyrosniętych dżdżownic spulchniło glebę, aż zaczęły się przebijać na wierzch, wraz z piekielnym smrodem.

Księżyc błysnął, wykorzystując przerwę w połaci chmur, by oświetlić okolicę. Bartek w lot wyskoczył z dołu na widok martwych

kończyn wijących się niczym kłębowisko węży. Co jakiś czas błysnęła mu i czaszka, zaciekle kłapiąca zębami. Nagle nic już nastolatka nie bolało, nie doskwierała mu wilgoć. Najchętniej odbiegłby, gdzie nogi poniosą, ale niegłupi truposz skorzystał z momentu zawahania i raz jeszcze wskoczył młodzieńcowi na plecy.

Przynajmniej tym razem odpuścił sobie wbijanie pazurów, tylko chwycił zębami za ucho.

– Nie chcą cię w tej ziemi – zrozumiał Bartek. – Jesteś ojcem Michała...

11

Tylko raz porozmawiali z Michałem o wieszczczyńskich plotkach, wkrótce po wspólnym zamieszkaniu w jednym pokoju poznańskiego internatu.

– Strzeliłeś gigantycznym fochem – zaczął Michał. – Wiem, że po chamsku dokuczałem ci tą biedą. – Chłopak pochylił głowę. – Każdy darł łacha z mojego ojca księdza czy z opóźnionej matki. Pierwszy odpuściłeś i chyba to wykorzystałem...

– Chyba na pewno. – Bartosz usiadł na swoim łóżku, które oddzielał od łóżka kolegi może metr przestrzeni wciąż dla obu nie do przebycia. – Przyjaźniliśmy się i nagle ci przeszło. Przynosiłeś kanapki z masłem orzechowym i dżemem – co najbardziej go zabolalo – i dawałeś innym dzieciom, mówiąc...

– Pamiętam – przerwał mu Michał. – Możemy sobie darować?

– Mówiąc – nie darował Bartosz – że dla mnie nie wzięłeś, bo bym zdechł od drogich rzeczy. Że moja rodzina może zreć tylko świńskie łby.

– Przypał, wiem. – Michał się zaczerwienił.

– Nie, nie przypał. Złośliwość i chamstwo.

– Dzieciaki lubią prezenty... – bronił się jeszcze Michał w kwestii kanapek.

– A ty im targales ze sklepiku, co tylko chcieli, frajerze. Wcześniej, kiedy byliśmy przyjaciółmi, niepotrzebnie opowiedziałem

ci o problemach. Komuś musiałem... Wciąż łupaliśmy w *Fifę* i czasami byłeś w porządku, ale kiedy tylko nadciągał ktoś trzeci...

– Dzieci bywają okrutne – wydusił z siebie Michał zamiast przeprosin. – Nie dawałem rady, brachu. Wszędzie, gdzie szedłem, mówiono o księdzu. I skąd w ogóle taki pomysł?! Nasz proboszcz miał ze sto lat! Też mi tym dowalałeś.

– Dowalałem, kiedy mieliśmy po osiem lat, typie. Później dorosłem! Wreszcie zwierzyłem ci się...

– Opowiedziałeś o biedzie, do jakiej nikt by się nie przyznał. Stary, jakie ty rzeczy mówiłeś! O tabliczce czekolady dzielonej tak, żebyście mieli po kostce na tydzień! O szklance napoju gazowanego na święta! Że nie jadłeś bananów! Przyznaj, że naciągałeś temat – tłumaczył się kolega. – Chciałeś zwrócić na siebie uwagę. I zwróciłeś! Poza tym od zawsze ze mną konkurowałeś... – Wychodziły na jaw kompleksy Michała.

– Mama nie pracowała, a tata zajmował się świniami, to ile mógł zarabiać, Einsteinie?! – nie wytrzymał Bartosz. – A jeszcze na kościół dawali, na świetlicę, bo co sąsiedzi powiedzą; na ciebie również dawali... – Tu trochę się zagalopował. – Sorki.

– Na mnie? – zainteresował się Michał.

– Dlaczego tata zawsze po wypłacie chodził piętro wyżej, hę?! – dodał, jeżeli już prali brudy. – Każdego dziesiątego?

– Chcesz powiedzieć, że moja mama dawała dupy za hajs?

– Pojebany jesteś – prychnął Bartek z obrzydzeniem. – Mój tata to nie ksiądz. I wiesz co? Każdy zanosił! Każdy z bloku, jak nie ze wsi! Musiałeś to widzieć! Nie mów mi, że nie wiedziałeś! Twoja matka nie raczyła nawet palcem kiwnąć, a każdy...

– Gównu wiesz. Jesteś zbyt niewinny, by ci o czymś takim powiedzieli – przerwał mu Michał. – Należało się jej, zrozum! Od każdego z sąsiadów, z twoimi rodzicami włącznie. I nie wypłaciliby się, choćby przez tysiąc lat przynosili flotę w zębach!

Bartosz milczał. Czekał na dalsze słowa, które jednak nie padły. Michał klapnął na łóżko plecami do współlokatora. Bartek nie widział łez, ale dałby sobie rękę uciąć, że Michał płacze.

– Byliśmy biedni. – Złość z ciekawością domagały się dalszej rozmowy. – Fakt, nie wiem, ile płacono twojej mamie i za co. Wiem, że następnego dnia ojciec szedł po pracy na pocztę w Drzonku, żeby opłacić rachunki, a na życie zostawały grosze. A ty dzieliłeś się z dzieciakami kanapkami, które mama robiła ci za...

– Sam robiłem! – Okrzyk przepełniony był szlochem.

– ...które robiłeś za przepracowane niedziele taty.

– Ty też wszystkich kosztowałeś – chlipnął Michał. – Nie masz pojęcia, ile wydano na twoje leczenie. Zrzucała się cała rodzina i spora część mieszkańców wsi.

Bartek zignorował skądinąd słuszne pretensje kolegi dotyczące zrzucania się przez sąsiadów na chore dziecko.

– Taty nie było nigdy w domu. Zasuwał cały tydzień i dalej zasuwa. Nie miał czasu, żeby pograć ze mną w piłkę czy pojechać na ryby. Nawet sobie porządnie nie wypił, bo nie było go stać. Albo czuł, jaka ciąży na nim presja. – Chłopaka wreszcie olśniło. – A ja ich zostawiłem, kiedy liczył na pomoc po latach...

– Twoja stara mogłaby się wziąć do roboty – burknął Michał.

– Razem z twoją – odparł spokojnie Bart, wciąż nieco rozbity wyciągniętym wnioskiem. – W Wieszczyźnie aż rwą się do zatrudniania kobiet w średnim wieku. Mogła tylko sprzątać w

chlewie, ale ojciec nie chciał, żeby tam pracowała. Żeby widziała, jak bardzo się tam męczy, bo my widzieliśmy, pamiętasz?

Tak, pamiętał szkolną wycieczkę, kiedy to oglądali cuchnące świnie i wchodzili do traktorów, by nauczycielka mogła im zrobić pamiątkowe zdjęcie. Pamiętał tatę Bartka pracującego w smrodzie, który nigdy nie dawał się kompletnie z ciała zmyć.

Michał usiadł na łóżku z łokciami opartymi o uda. Widać było, że podejmuje ważną decyzję. Bartosz milczał i czekał, co kumpel ma do powiedzenia.

– Powinieneś o czymś wiedzieć – zdecydował współlokator. – Pomogłeś mi wypełnić wnioski, chociaż miałeś prawo mnie olać. Kurwa – Michałowi zdarzało się zakląć nieco częściej niż Bartkowi – każdy ci ostatnio truł dupę, a ty się nawet raz nie wykręciłeś. Zmieniłeś się i tylko rodziców wciąż traktujesz z góry.

– Dziadek mówił, że chamstwo trzeba zwalczać, bo nas zadcpcze. Dlatego chcę być dobry. A z rodzicami nie wiem – westchnął. – Pewnie chodzi o biedę... Przynajmniej nauczyłem się żebrać. – Wspomniał swój talent do wyszukiwania i zdobywania grantów.

– Dziadek Wilczewski – westchnął Michał. – Dobrze, że o nim wspomniałeś, brachu. No to posłuchaj o twoim zwalczającym chamstwo dziadku.

12

Michał wstał, by przynieść z plecaka po puszcze żubra zakupionego po zawyżonej cenie od jednego ze starszych mieszkańców internatu. Swoją otworzył i duszkiem wypił dobrą połowę. Widocznie się uspokoił, beknął nawet, jakby był solidnie wprawiony w pijatykach. Bartosz postawił swoją puszkę na stoliku. Spoglądał na jej głęboką zieleń, rozmyślając o dość zabawnych reklamach tego trunku, jakie przewijały się w telewizji od jego dzieciństwa.

– Widzę, że napatrzyłeś się na dziadka. – Michał znów zrobił się trochę nieprzyjemny, chociaż nie zamierzali się więcej kłócić; w porównaniu z wieloma padającymi w przeszłości słowami te brzmiały w zasadzie miło. – Wiem, że ostro łoił. Chlał więcej niż ktokolwiek w naszej wiosce, a to nie lada wyczyn. Bił cię? – spytał, o dziwo, poważnie.

Bartosz pokręcił głową. Dziadek nie mieszkał z nimi, a kiedy decydował się na odwiedziny, raczej starał się być miły i pomocny, i w miarę przy tym trzeźwy. Czasami przynosił trochę pieniędzy, kiedy z finansami było najbardziej krucho. Czasami jedzenie, mięso dzika czy smaczne kiełbasy z niewiadomego źródła, a że pił... Każdy mężczyzna pił. Przynajmniej nie podniósł nigdy ręki na chorego dzieciaka.

– A spotkałeś w Wieszczyźnie abstynenta? – zastanowił się na głos, bo chociaż pijaczków nie brakowało, to ludzi stroniących tak zupełnie od trunków wysokowych chyba nie było. Nie żeby każdy

chłop zataczał się dzień w dzień po okolicznych polach, ale alkohol stanowił dla wielu codzienność.

– Moim ojcem nie był ksiądz i chciałbym wiedzieć, komu pierwszemu przyszło do łba, żeby rozpowiadać podobne bzdury. – Michał zmienił temat na istotniejszy. Abstynencję uważał za wyjątkowo odważny krok, kiedy zмагаć się trzeba z ponurą wiejską codziennością.

– Wiesz, kto jest twoim ojcem?!

– Najlepszy kompan twojego dziadka. Mój dziadek. – Michał zaskoczył kolegę.

Bartosz nie słyszał nigdy o dziadku Michała ani żeby ten przyjaźnił się z jego dziadkiem. Starał się nie myśleć o tym, w jaki sposób dziadek Michała stał się ojcem Michała, więc żeby zagłuszyć podszepty łakomej okropieństw podświadomości, postanowił podejść do tego rzeczowo. Z dziadkiem, jego dziadkiem, kojarzyły mu się wieszczczyńskie stawy. Te prostokątne, otulone betonem zbiorniki przypominały małe baseny i z wielką chęcią kręciły się przy nich polujące na żaby dzieci.

– Dziadek robił przy stawach. Pewnie sam wszystkich pięciu nie doglądał... – myślał na głos. – Twój mu pewnie pomagał... W stawie za sklepem hodowano ryby, ale w tym przy naszym bloku nie, tam łapaliśmy żaby, pamiętasz? Twój... ojciec. – Bart po namyśle wybrał to słowo. – Czy on żyje? Wyniósł się po twoich narodzinach? Chyba byśmy go znali?

– Zdechł. – Michał położył się na łóżku i wpatrywał w szarości sufitu. – Zniknął i nikt nawet nie puścił pary z ust.

– Zabito go?

W oczach Michała ponownie zakręciły się łzy, jednak tym razem chłopak nie odwrócił twarzy.

– Ponoć wykorzystywał mamę i dowiedzieli się o tym mieszkańcy. Cała jebana, pełna świętoszków wiocha! Matula łąziła poobijana i rozpowiadała sąsiadom... Wiesz, jaka jest, człowieku. Prosta i szczerą. Wcale nie brakuje jej piątej klepki, raczej ma o jedną za dużo. Jest taka dobroduszna – westchnął. – A on ją lał i gwałcił. Wcześniej ponoć tłukł babkę, aż ta umarła na udar. Generalnie przyjemniaczek.

– Mama ci powiedziała?

– Oj nie, tej jednej tajemnicy dochowowała wzorowo. Nawet kiedy się przyznałem, że wiem, próbowała sprzedać mi wersję o księdzu, tylko nie podawała żadnych wiarygodnych szczegółów. Nie wiedziała, jaki ksiądz i gdzie do tego niby doszło. Nawet imię zmieniała w trakcie zwierzeń. Przestraszyłem ją. – Do znikającej za uszami kolekcji doszła kolejna łąza. – O szczegółach opowiedział mi twój dziadek. Po pijaku, ale takim nawet jak na niego ostrym. Wyciągnąłem to z niego, jak siedział przy stawie, tym najdalszym, tam za parkiem.

– Próbował rzucić picie. Wiele razy. Zwykle kiedy się czegoś przestraszył. Kiedy powiedzieli mu, że przez cukrzycę może stracić stopę albo...

– Przyniosłem mu piwo, które kupowała do domu mama – przerwał koledze Michał, bo niespecjalnie interesowały go usprawiedliwienia pijaństwa. – Sześciopak. I tak siedzieliśmy, on pił, a ja słuchałem coraz dziwniejszych opowieści, bo i tak nudziłem się jak mops. Starych ludzi dobrze posłuchać – stwierdził smutno. – Wierzą, że kiedyś było lepiej, i nie dokuczają mi z tym księdzem.

Tylko patrzą na mnie tak dziwnie, ale tego już w Wieszczyźnie nie zmienisz. Przynajmniej nie odwracają wzroku.

– Denerwujący byłeś – spróbował się wytłumaczyć Bartek.

– Po wypitym sześciopaku na deser i obrzydliwym kilkukrotnym sikaniu do stawu twój dziadek poszedł do sklepu i wrócił z piersiówką. Słuchaj, szedł do sklepu prościutko jak linoskoczek. Z powrotem też nawet się nie potknął i dopiero po wypiciu małpki siekło go na całego, czyli łoił pewnie od rana albo i od kilku dni. Prosił, żebyśmy przeszli na ty, a w podziękowaniu za piwa „o czymś mi powie, bo ile można tak dzieciakowi kłamać”. I powiedział. Uwierz mi – Michał spojrzał na kolegę – o mało co nie wepchnąłem go do tego obszczonego bajora.

– On go zabił?

– Lepiej. Cała pierdolona wiocha, bratku.

13

Wieszczyczyn zabrał się do wymierzania sprawiedliwości, kiedy okolicę zelektryzowała wiadomość o ciąży Marysi. Marysia, wbrew słowom syna, nie paplała o gwałtach, wręcz przeciwnie, przestała prawie opuszczać mieszkanie, co wystarczyło, żeby zaniepokoić mieszkańców wioski. Jej zapity ojciec zaczął sam załatwiać sprawunki, co szło mu topornie, skoro znał się jedynie na alkoholu. Ludzie pytali, czy z dziewczyną wszystko w porządku, bo wiadomo, że od dziecka była... chorowita.

Stary Turowski odpowiadał wpierw jakimiś półsłówkami, a to grypa, a to migrena, aż pewnego dnia kazał sąsiadom spierdalać i nie wtykać nosa w cudze sprawy, bo im te nosy połamie lub rozkwasi – jeśli kogoś lubił. Machał przy tym laską, której ciężar zdążyło poznać niejedno dziecko.

Wtedy dziadek Bartosza wziął sprawy w swoje ręce, oczywiście pod naciskiem sąsiadów oraz z poczucia winy. Wysłał syna na przespiegi do Marysi, a sam zabrał kolegę na piwo, by poświętować owocne zarybianie. Kazał synowi zaprowadzić dziewczynę do ich domu, gdzie mieli na niego, dziadka, czekać. I prosił, by dać sąsiadom znać, w jakim Marysia jest stanie.

Ojciec Bartka pukał do drzwi Turowskich długimi seriami, aż przy zawiasach trzeszczało, lecz dziewczyna nie otworzyła, bo nikomu nie powinna otwierać. Młody Wilczewski łatwo się nie poddawał, przy czym nigdy nikogo nie prosił o pomoc. Spróbował

otworzyć drzwi mocniejszym pchnięciem. Niestety, Marysia zdążyła je zamknąć na klucz, ale nie przewidziała determinacji sąsiada. Tata Bartka wrócił do siebie i wszedł na górę po balkonie.

Na widok Marysi omal nie upuścił barierki, a znowu dziewczyna zatoneła we łzach na widok sąsiada za oknem. Wilczewskiego jednak nie wpuściła, a ten i tak nie potrzebował żadnych słów, bo ujrzał brzuchate potwierdzenie grzeszności jej ojca. Zszedł do siebie i poinformował żonę o zaawansowanej ciąży sąsiadki. Informacja rozniosła się po Wieszczyźnie z najszybszą znaną światu prędkością – z prędkością plotek.

Mieszkańców wioski ogarnęły wpierw złość, a po chwili wstyd. Nikt nie chciał, żeby wyszło na jaw, co takiego wydarzyło się w ich spokojnej od wieków okolicy. Rewelacje dotarły nawet do starego proboszcza, który postanowił się jednak nie mieszać, czym podsunął parafianom pomysł, by rozpuścić plotkę o spłodzeniu przyszłego dziecka dziewczyny przez księdza. Wierzyli, że każdy, kto dowie się o takim ojcostwie, raczej odpuści sobie, z boską pomocą, dalsze śledztwo. Zamkną ciekawskim usta, a przy okazji zdobędą pewność, że jeszcze długo o niczym innym nie będzie się w gminie mówić.

Marysia zresztą pomagała na plebanii w niektóre wtorki oraz przy każdej niedzieli – przynajmniej do początków lata, kiedy to ojciec zakazał jej opuszczać mieszkanie – czyli żądni sensacji ludzie uwierzą. Opóźnionej dziewczyny nikt nie posądzał o flirtowanie, a i proboszcz miał nieskalaną opinię – przynajmniej do czasu rozpuszczenia plotek. Jednak tu i tam rzuciło się kilka słów o przejeździe przez Wieszczyzn młodego kanonika... Wystarczyło.

Kiedy tata Bartka wybiegł z domu, sprawy potoczyły się same. Zebrał mężczyzn, podzielił się nowiną i zajęli się podchmielonym

gwałcicielem, wyciągając go spod sklepu w stronę stawu.

– Nie możemy go utopić. – Stary Wilczewski powstrzymał syna oraz sąsiadów. – Dopiero co zarybiliśmy staw!

Nikommu nie uśmiechało się taszczenie Turowskiego do kolejnego zbiornika – blisko pięćset metrów na północ – gdy złość prosiła się o natychmiastowy upust. Powiesili zatem gwałciciela w połowie drogi, na zadrzewieniu śródpolnym u Kraški, który ani nie miał dzieci, ani nie wpuszczał nikogo obcego na pole, ewentualnych intruzów szczując psami.

Powiesili Turowskiego na zabranym ze sklepu kablu od przedłużacza, wyłączając sklepowej dwie lodówki. Ta nawet słowa nie rzekła, chociaż należała do najostrzejszych kobiet w okolicy. Za to, co ten bydlak zrobił Marysi, powinien wisieć, zdecydowała. Sama z chęcią uplotłaby mu gruby sznur ze wszystkich kabli, jakich się w Wieszczyźnie dorobili!

Następnego poranka Wilczewscy odcięli sinofioletowe ciało i zakopali – dość płytko zresztą – wśród pobliskich krzaków dzikiej róży przeplatanej głogiem. Pokaleczyli się przy tym potwornie, nabierając pewności, że nikomu nie zechce się w te chaszczki zaglądać, nawet zwierzętom. Psy Kraški pewnie dobiorą się zimą do kości, co zresztą wszystkim byłoby nawet na rękę.

O starego Turowskiego nikt długo nie pytał, bo i Wieszczyznin nie leżał w kręgu zainteresowania świata, a co dopiero najmniej lubiana w nim postać. Dopiero po trzech tygodniach listonosz poinformował policję o zaginięciu mężczyzny, kiedy przyniósł emeryturę i wyciągnął nieco szczegółów od skonfundowanej Marysi, która szczęśliwie niewiele wiedziała; wieś trzymała ją od samosądu z daleka.

W żywe oczy kłamali dziewczynie o ojcu. Mówili, że Turowski gdzieś wyjechał i widziano go niedawno na dworcu autobusowym w Śremie. Mieszkańcy pobliskich domków twierdzili, z charakterystyczną dla nich wyższością, że wypadałoby sprawdzić stawy rybne, bo kto wie, czy podpity nie wpadł do wody. Marysia tęskniła za tatą, bo mieszkanie wydawało się jej takie puste, a i bała się nadciągającego porodu. Przecież sama sobie – jak powtarzał jej wielokrotnie Turowski – nie poradzi. O złych rzeczach łatwo zapominała. Trzymała się tego, co dobre, choćby przypominało okruszyny chleba.

– Ksiądz zmajstrował dziewczynie dziecko, to się wstyd staremu zrobiło i uciekł! – rozповідаły największe z plotkar, również pod kościołem, chociaż bały się Boga. – Wyparł się Marysi!

Policja zbierała informacje, po czym zgodnie z procedurami rozpoczęła poszukiwania, paraliżując wieś strachem. Funkcjonariusze zainspirowani nadgorliwością sąsiadów – wieszczyczynianie o niczym innym nie mówili, czasami mówiąc za dużo – wleźli razem z psami i na pola Kraški; do dziś nie wiadomo, kto się wygadał. Ciała, pomimo starań, nie odnaleziono ani tam, wśród różano-głogowych krzewów, ani w żadnym ze stawów, ku zaskoczeniu mieszkańców.

Wyglądało na to, że wyparowało, i wielu uwierzyło, że wstawił się za nimi sprawiedliwy Bóg. Od tej pory jeszcze liczniej zapełniali kościół świętego Rocha, dziękczynnymi modlitwami podtrzymując jego stare sklepienie.

Gwałciciela uznano za zaginionego, a każdy z mieszkańców przynosił odtąd Marysi dziesięcinę, by zarówno jej, jak i osieroconemu dziecku niczego nie brakowało.

Płacili za śmiertelny grzech, czemu przyklaskiwała Akka.

14

Bartek dźwignął na plecach stos kości połączonych ścięgnami i skórą, który jeszcze niedawno wzbudzał w nim strach i obrzydzenie. Teraz pozostała osamotniona, ogłupiała litość.

– Nie potrafię ci pomóc. – Przemoczony chłopak drżał ze zmęczenia i z zimna. – Nie chcą cię w tej ziemi. Mają powody. Michał mi powiedział.

Zęby zacisnęły się na solidnie już opuchniętym chłopięcym uchu. Ból paradoksalnie dodał Bartkowi sił. Nastolatek ruszył przed siebie, pozostawiając kościół po prawej, a wkrótce z tyłu.

– Prawdopodobnie wystarczy, że znajdziesz się pod powierzchnią planety – gdybał. – Co, jeśli zagrzebiesz się w mule? Zostaniesz pogrzebany, prawda?

Stawy rybne stanowiły nieodzowną część dzieciństwa w Wieszczyźnie i wręcz prosiły się o uwagę. Michał nazywał je w wtedy oceanami, bo na wsiach wiele rzeczy mierzy się inną skalą; szczególnie dzieci używają do tych pomiarów wyobraźni.

Truposz odpuścił chłopakowi przygryzanie ucha, więc Bartek z wdzięczności postanowił spróbować ze stawem. Po kolejnym kwadransie wdrapywali się już na ogrodzenie z siatki, na jego pochylony do wewnątrz, przerdzewiały i miejscami ostry odcinek.

– Tu łapaliśmy żaby. – Powróciły wspomnienia utraconej przyjaźni. – Nie nadmuchiwaaliśmy ich przez słomkę – skłamał, bo co do Michała nie miał pewności. – Wskakuj – zachęcił truposza

Bartek, kiedy już wylądowali po drugiej stronie. – Postaraj się opaść na dno i zakopać w mule. Wiem, że to beton, ale na dnie powinien zalegać muł.

Bartosz rozgrzał się i podsechł trochę podczas spaceru połączonego ze wspinaczką. Żałował nawet, że porzucił na polu bluzę dość nierozważnie ściągniętą wraz z koszulką. Deszcz odpuścił, zrobiło się nawet nieco ciepłej. W sercu chłopca zagościła nadzieja.

– Pomogłem ci, więc pozwolisz mi się wreszcie obudzić? – zapytał zombiaka, który wciąż wpatrywał się oczodołami w wodę, zamiast dać w nią nura. – Zrozumiałem lekcję. Powinienem doceniać wsparcie rodziny, a nie wymagać od nich coraz więcej. Pomagać, zamiast oczekiwać pomocy. Brać winę na siebie, a nie zrzucać na innych. Dziękuję – dodał, nieco już zniecierpliwiony.

Niebo wyzbyło się chmur, a okolica odpuściła sobie z wiatrem. Od tej pory noc, gdyby nie okoliczności, należałaby do całkiem przyjemnych.

– Mam cię pchnąć? – Nie wytrzymał nastolatek. – Jakoś wcześniej skakałeś na mnie i z kilku metrów!

Truposz odwrócił w stronę Bartka czaszkę. Czerń oczodołów wypełniła się strachem. Trup bał się porzucić te resztki witalności, te powidoki życia.

– No co takiego się może stać? I tak umarłeś! Żaby ci nic nie zrobią, zresztą nawet ich nie słychać. – Może wyzdychały, zamierzał dodać, ale odpuścił sobie, skoro rozmawiał z trupem. – Kąpiel dobrze ci zrobi. Trafisz gdzieś, może nie do raju, może nie do piekła – wysilił się na odrobinę pocieszenia. – Kto wie, czy nie urodzisz się

ponownie, daleko stąd, kochany i kochający? – Bartek nie wiedział, skąd wzięły się te słowa.

Przez chwilę zastanawiał się, czy samemu nie przeprać w tym stawie spodni, lecz doszedł do wniosku, że czystsza wodę widywał nawet w przydrożnych kałużach. Poza tym to tylko koszmar, misja senna praktycznie wykonana, wierzył więc, że za moment obudzi się w wilgotnej pościeli i będzie się z tego kiedyś śmiał.

Truposz mruknął coś brzmiącego niczym zniekształcone najpopularniejsze z przekleństw i zsunął się do stawu w ślimaczym tempie. Kość po kości przykrywała woda, aż do ostatniego kawałka skóry. Nic nie bulgotnęło, nic nie chlupnęło. Smród opuścił okolicę.

Chłopak stał jeszcze przez moment zapatrzony w taflę, ale przebudzenie nie nadchodziło.

– Idę do domu – westchnął podłamany.

Do bloku nie miał zresztą daleko, ponieważ utopił trupa w najbliższym stawie.

– Obstawiam, że trzeba zasnąć, żeby wstać – próbował się czymkolwiek pocieszyć.

Wskoczył na pochyłe ogrodzenie w miejscu, gdzie stała metalowa skrzynia, taka niska przybudówka, gdzie kiedyś trzymano kilkudziesięciokilogramowe worki ze śrutą sojową. Worków od dawna tu nie składowano, a i skrzynia wyglądała na podgryzaną przez łakomą rdzę, jednak wytrzymała ciężar. Bartkowi udało się sprawnie przeskoczyć na drugą stronę.

Wtedy zakotłowało się w stawie. Wyglądało, jakby ktoś podgrzał ten zbiornik. Zaparował od tego cały Wieszczyzyn; szara wilgoć – chłopak pomyślał, że w nocy cały świat w sumie wydaje się szary – skraplała się na oknach, na samochodach, i tak przez długi

kwadrans, podczas którego Bartosz stał oniemiały, nie wiedząc, czy zbliżyć się do tego ukropu, czy raczej wiać jak najdalej stąd. Poziom wody opadał, temperatura otoczenia rosła, nastolatek przymuszony gorącem cofnął się o kilka kroków.

Został jednak, skoro postanowił pomagać. Należało tę sprawę dociągnąć do końca.

15

Woda nie powinna ot tak się ulotnić! Bartkowi w głowie się nie mieściło, że odparowano ze stawu pewnie ze sto tysięcy litrów wody, i to w chłodną noc, w kwadrans!

– Niesamowite. – Stał taki zdumiony, zapominając, że to sen.

Dopiero gdy parę rozwiął wiatr, Bartek przyjrzał się zza siatki głębokiemu na jakieś dwa metry zbiornikowi. Cement szarzał suchością, gdzieniegdzie przysypany cienką warstwą piasku. Zero mułu, żab czy ryb.

– Nie powinno być zasyfione? – dziwił się, raz jeszcze pokonując ogrodzenie. Nie wiedział o niedawnym odmulaniu zbiorników pobliskiego gospodarstwa za pomocą świeżo nabytej pompy.

Szlamu nie dostrzegł, chociaż zszedł w sam środek dołu, gdzie wśród spękanej gliny natknął się na wygotowane kości truposza, już bez żadnych ścięgien czy skóry.

– Staw cię odrzucił? – zdziwił się chłopak, który zrozumiałby jeszcze ryby czy żaby (te drugie najwidoczniej gdzieś wybyły, a tych pierwszych od dawna tu nie widziano), ale żeby zbiornik wodny także miał coś do powiedzenia w temacie Marysi?

Bartek spojrział na kości, które nie układały się w ludzkokształtną całość. Walały się niemalże po całym dnie, tu czaszka, tam kość udowa.

– Nie można cię tu tak zostawić – zdecydował chłopak.

Ściągnął spodnie, zawiązał ich nogawki na supeł i poukładał w tak przygotowanej torbie przeszło dwieście kości i kosteczek, sprawdzając dokładnie, czy którejs nie pominął. Związał całość paskiem w tobołek i przerzucił dość ciężki pakunek przez ogrodzenie.

Kości gruchnęły po drugiej stronie i jedna z nogawek się rozwiązała, uwalniając zawartość. Bartek westchnął tylko cichutko, przyzwyczajony do tego, że ma zwykle pod górkę. Przynajmniej tym razem nie zrzucił winy na innych.

– Powinienem porządniej zawiązać – przyznał.

Po zewnętrznej stronie ogrodzenia ponownie pozbierał kości i ocenił dość trafnie ich wagę na dziesięć kilo. Stał z tobołkiem przytulonym do obolałej klatki piersiowej i spoglądał na spocony blok, w którym spać powinni jego rodzice. Poczł przyjemny zapach, z którego formowano słowa:

– Odpuść. Odejdź. – I wreszcie: – Obudź się. Wystarczająco dużo zrobiłeś.

Nie posłuchał, jak każdy, komu przychodzi do głowy genialny pomysł.

Przytulił tobołek do ran i ruszył przed siebie, odprowadzony bacznym, choć przydymionym wzrokiem delikatnie rozbawionej Śmierci. Kobieta machnęła ręką i wszystkie te krople odlepiły się od budynków, by polecieć z powrotem do stawu. Część jednak – tych najdrobniejszych i najmocniej wypełnionych szarym dymem – wleciała przez nozdrza i uchylone usta do ciała Bartosza, by raz jeszcze przetestować determinację chłopca.

– Odpuść.

Ciało zostało zatrzymane; szarość rozlała się po mięśniach i potrząśnięto nastolatkiem, chociaż nikt nie chwycił go za ramiona.

Nie doszło do wybudzenia; tobolek jednak upadł, lecz przynajmniej tym razem szczęśliwie kości się nie rozsypały.

– Nie – zdołał odpowiedzieć Bartosz, wypuszczając ustami szary dym.

Zaimponował Śmierci, która dodała Bartka do krótkiej listy interesujących ludzi.

Dołączył do Samantha i Nino.



NINO

*Mówienie jest rzeczą głupców, milczenie – tchórzy,
a słuchanie rzeczą mędrców.*

Carlos Ruiz Zafón, *Cień wiatru*,
tłum. Beata Fabjańska-Potapczuk, Carlos Marrodán Casas

1

We Francji uważano Nino za młodzieńca o dobrym sercu. W liceum zatrudnił się w domu starców w Caudéran jako weekendowy wolontariusz, co bardzo spodobało się rodzinie i sąsiadom. Pracował sobie spokojnie na bogatych przedmieściach Bordeaux, z często zamożnymi ludźmi, których bliscy preferowali pomnażanie majątku nad spędzanie czasu ze schorowanymi rodzicami czy dziadkami. Byle nie rozmyślać nad nieuchronnością śmierci, o której ci przypominali im starością.

Nino chodził do pracy z wypiętą pierśią i tylko czasami był przerażony do bladości, zwykle kiedy któryś z podopiecznych dokonał żywota. Chłopak bał się często, gęsto i na całego, ponieważ walczył z nerwicą lękową od dziecka, od mniej więcej ósmego roku życia, kiedy osłabiony gripą zaliczył pierwszy atak paniki, przekonany, że za moment umrze. Wtedy strach sparaliżował mu mięśnie i powyginał palce dłoni oraz stóp, a przyśpieszony oddech pomogła opanować mama, przytulając synka, zadając mu przeróżne pytania, byle odciągnąć od katastroficznych myśli, wreszcie wspomagając się papierową torbą, co podpatrzyła na filmach.

Chłopiec nie zamierzał dawać za wygraną, dlatego podejmował się najgłupszych wyzwań, jakie wymyślali rówieśnicy – od konsumpcji okropieństw po niebezpieczne akrobacje włącznie – byle tylko wylewić z ciała ten chroniczny strach. W szkole mówiono, że niczego się nie boi, że gardzi wręcz tchórzostwem, ale lęk przylepił

się do jego pleców niczym przepocona koszula. Coraz bardziej zirytowany Nino stawał z trwogą w szranki, ale nie nabierał dzięki temu odwagi. Wręcz przeciwnie, większość z tych ryzykownych chwil powracała w koszmarach, dlatego źle sypiał, rankami szczególnie nerwowo reagując na byle skrzypnięcie.

Długo jeszcze nagminnie rzucał wyzwanie Śmierci, załamany tym, że ta i tak kiedyś wygra. Przynajmniej z wiekiem wyzwania złagodniały i ryzyko poważnego uszczerbku na zdrowiu czy nawet zgonu spadło. Pełnoletni Nino już nie chodził po poręczach mostów, już nie skakał ze skał do morza, dał sobie spokój nawet z ryzykownym seksem. Poddał się, opuścił gardę, przegrywając ze strachem rundę za rundą.

Odtąd trząsał się bezsennymi rankami, przytłoczony rozmiarami kosmosu, o którym zbyt dużo czytał, z większości książek niewiele zresztą rozumiejąc – skupiał się zbyt na ogromie, na niemalże bezkresnej czerni wszechświata. Pytał dorosłych, łącznie z księdzem, o spokojne wyjaśnienie mu pewnych spraw, ale ci powtarzali jedynie, że przyjdzie czas, żeby przejmować się przemijaniem. Przed nim przecież całe życie...

Kruche i krótkie, tyle wiedział.

Poza tym należał do ludzi poszukujących odpowiedzi. Nie pojmował tej walki o przetrwanie, kiedy pewnego dnia cały kosmos i tak szlag trafi – wątpił, czy naszej rasie uda się kiedykolwiek uciec poza granice czerni, a nawet jeśli, to guzik go to obchodziło, bo dawno już przestanie stąpać po którejkolwiek z planet.

Chłopak poszukiwał ukojenia w niemożliwych do zweryfikowania informacjach. zaczytywał się ezoteryzmem i połykał wzrokiem najcudacznwsze rewelacje z sieci. Zaczęło się dość

naukowo, od obejrzenia na YouTube hipnotyzującego widowisk Alberta Nerenberga. Publiczność zgromadzona na pokazie zachowywała się niesamowicie! Niektórzy gdakali na kwocze podobieństwo, chociaż wcześniej nawet nie mieszkali na wsi, lub machali dłońmi niczym mistrzowie sztuk walki, choć nigdy nie podnieśli na nikogo ręki. W pewnym momencie Nerenberg stwierdził, że każdy zwierzę, w tym i człowiek, programowany jest w fazie REM snu, jakże podobnej do stanu hipnotycznego. Tym otworzył w umyśle Nino furtkę dla podobnych tej niesamowitości.

Nagle z przedstawienia, które nastolatek oglądał dla rozrywki, wyklął się niosący nadzieję na życie po życiu koncept! Bez żadnych religijnych naleciałości, z którymi chłopakowi nigdy nie było po drodze.

Czyżbyśmy utknęli w wirtualnym świecie?, dumał. Czyżby istniał technologiczny Bóg w jak najbardziej ludzkiej postaci? Czy programują nas przyszłe pokolenia? Różne pytania zaczęły osłabiać stary poczciwy strach. Nino śledził odtąd poczynania Nerenberga, coraz wyraźniej wkręcony w holograficzną czy wirtualną ideę wizji świata. Uwierzył, że poza prezentowaną nam rzeczywistością istnieje ta pierwotna, z pewnością pełna odpowiedzi, logiki, sensu. Raj, za którym tęsknił.

Chłopak poszedł dalej tropem zasugerowanym mu przez YouTube'a i natrafił na filmiki o dzieciach opowiadających o poprzednich wcieleniach – dwuletnie brzdące okazywały się szczególnie pamiętliwe. Przeczytał nawet książkę doktora Iana Stevensona, który przez czterdzieści lat badał podobne przypadki. Niemalże potwierdzona setkami świadectw reinkarnacja na początku zachwyła Nino, jednak strach szybko powrócił, bo na co komu i

milion wcieleń, gdy wszechświat wciąż się rozszerza i rozszerza, gwiazdy gasną, a Słońce czeka w kolejce... Reinkarnacja odwleka nieuniknione, przez to staje się jedynie dłuższym, wciąż równie kiepskim żartem.

Dlatego nastolatek wciągnął się w eksterioryzację, czyli wrażenie postrzegania świata spoza własnego ciała. Ten temat pochłonął młody umysł na długie miesiące, bo i było o czym czytać! Najbardziej przypadły mu do gustu opisy projekcji astralnych oraz wędrówek dusz. Sięgał więc Nino do źródeł fenomenów i grzebał w historii, skoro obie idee omawiano w wielu kulturach już od czasów starożytnych. Zainteresował się hinduizmem i taoizmem. Obczytał się w mitologii japońskiej, po czym dał sobie wytatuować na przedramieniu 生霊, czyli *ikiryō*, „ciało astralne” – bo przecież nie wydziara sobie przezroczystego, ociekającego ektoplazmą ducha!

Dowiedział się też sporo o percepcji czasu oraz o śmierci klinicznej, choćby samą nazwą przyprawiającej o dreszcze. Słuchał, oglądał, badał, czytał, dyskutował na forach internetowych. Sięgnął wreszcie po psylocybinę, sięgnął i po LSD. Strach coraz częściej odpuszczał, zwykle jedynie chwilowo. Nino stracił również zaufanie do zmysłów, bo tak łatwo szło mu wyprowadzanie ich w pole.

Wreszcie natrafił na pochodzącą wprost z mitologii samskiej opowieść o Jabme-Akce. Dzięki temu zahaczył i o mitologię fińską, grecką oraz estońską. Podobało mu się, że o tej samej bogini opowiadano w tak oddalonych od siebie rejonach kontynentu europejskiego. Do wcześniejszego tatuażu dołączył kolejny: romb z czterema promieniami symbolizującymi słońce – popularny wśród pradawnych wyznawców religii Samów. Romb ozdobił jego brzuch, nad pępkiem, idealnie komponując się ze zdrowym, młodym ciałem.

Jabme-Akkę, samską boginię zaświatów i władczynię umarłych, opisywano jako starą kobietę, która samym drzeniem stetryczalnych dłoni wywoływała trzęsienia ziemi. Do jej krainy trafiało się poprzez ujście rzeki wpadającej do pokrytego lodem Oceanu Arktycznego. Na samą myśl o tym przechodziły chłopaka ciarki, bo zimna, jako mieszkaniec słonecznego Bordeaux, nie tolerował.

Uważano, że samskie zaświaty przypominają krainę żywych, stanowiąc jej lustrzane czy raczej lodowe odbicie. Dusze umarłych fruwały po okolicy, a dziecięcymi opiekuje się sama Akka. Dorosłym sprawia wprawdzie najczęściej ból, ale Nino podejrzewał, że zasłużyli sobie na to; każdy z nas staje się przecież workiem grzechów.

Wyczytał również, że wyznawcy Akki wierzyli w opuszczenie ciała przez duszę podczas snu, pod postacią myszy; generalnie zapewniano, że duchy potrafią transmutować w zwierzęta, przykładowo w ptaki lub owady. Według Samów przybierały kształty motyli fruwających po oświetlonych letnim słońcem leśnych polanach Północy.

Uwierzył w Akkę jednak dopiero dzięki krótkiej koszmarnej rozmowie, kiedy to po raz pierwszy i ostatni zasmakował we wspomnianej psylocybinie zawartej w „magicznych grzybkach”. Zamiast wymarzonych podróży astralnych czy spotkań z duchami Ziemi ujrzał ją, Jabme-Akkę, piękną, szczupłą, udekorowaną kościstą biżuterią oraz krwistymi tatuażami i bez skazy na alabastrowej skórze. Żadna tam staruszka o rozedrganych rękach!

– Zaświaty podtrzymują wasz świat... – zapachniały słowa. – Przydasz się w Irlandii – zakończyła konwersację, wpuszczając go w

koszmary, o jakich nikt, nawet Sammy z Bartoszem, nie śnił. –
Musimy cię tylko wzmocnić.

Zamiast ujarznienia nerwicy lękowej doświadczał przez kolejne tygodnie długotrwałych ataków paniki, dobijających czasami i do dziesięciu godzin.

Przeżył, chociaż bliski był samobójstwa.

2

Przystojny, w miarę inteligentny Nino wyglądem przypominał Chrystusa. W odróżnieniu jednak od Boga miał wesołe oczy oraz nieprzyjazne usposobienie, szczególnie gdy był akurat o coś lub o kogoś zazdrosny. Ciemne, proste włosy pasowały do brązowych tęczówek i opalenizny wprost z Bordeaux, którą tracił powoli w Irlandii na rzecz gęsiej skórki.

Przymuszony przez Śmierć chłopak załapał się na roczny staż, błagając niemalże Amy o przyjęcie w wąski krąg pracowników. W internetowej rozmowie o pracę opowiadał, jak bardzo chciałby zostać psychologiem, czym zaalarmował koordynatorkę – Amy uważała, że podobne chęci biorą się zwykle z przeżytych traum, z drugiej zaś strony nie poznała jeszcze nikogo, kto wykazywałby się nienagannym zdrowiem psychicznym. Francuz przynajmniej wiedział sporo o ich placówce – lwią część informacji zaczerpnął ze snów, gdzie Akka z detalami prezentowała mu każdy mord, jakiego przez stulecia dopuścili się tu jeźdźcy, wraz z wydarzeniami z dnia ich narodzin, kiedy to król kładł wojowników trupem. Poza tym koordynatorka nie znalazła tłumów chętnych na staż, bo coraz więcej irlandzkich placówek sięgało po wolontariuszy z zagranicy. Nie miała wyjścia, a raczej wyboru.

Nino załapał się dzięki doświadczeniu nabytemu w domu starców oraz referencjom od dyrektora placówki z Bordeaux. Poza tym pasował Amy do nieco wcześniej wybranej Sammy. Liczyła, że

będą się mieli ku sobie, zamiast narzekać na ciężką pracę. Inaczej jeszcze byliby skłonni przedwcześnie opuścić placówkę...

Jak na francuski gust w Irlandii za mocno wiało wiatrem oraz nudą. Nino święcie wierzył, że tę część kontynentu wyprodukowano w wirtualu dla melancholików. Ciągłe narzekał na pogodę, jedzenie czy wiejski charakter kraju. Przynajmniej dziewczyny mieli tu ładne, chociaż inaczej ładne niż w Bordeaux – przypominały wróżki z bajek, te blade, o gęstych, kręconych, nierzadko rudych włosach. Najbardziej wpadła mu jednak w oko Sammy, zgodnie z przewidywaniami koordynatorki. Coś w tej dziewczynie przyciągało młodych mężczyzn, chociaż do tej pory Nino zakochiwał się jedynie w ciemnych tęczówkach i w długich nogach. Niska niebieskooka Niemka przejęła jednak na wyłączność większość sprośnych myśli niespełna dwudziestolatka.

Nino zaciągnął ją nawet bezproblemowo – i to już w pierwszym tygodniu znajomości! – do łóżka, przylepiając odtąd Niemkom łatkę „łatwych” i planując nawet wakacyjną wycieczkę do Berlina, by spędzić mile czas na potwierdzaniu tej tezy. Niestety, po dość udanym według Nino seksie dziewczyna unikała powtórki z rozrywki, twierdząc, że nie musi się nikomu z tego tłumaczyć. Nie rozumiał, że to ona wybrała sobie kochanka. To on został zaciągnięty do łóżka.

– Nie. I kropka – zakończyła kolejną z błagalnych wręcz tyrad współpracownika, dodając jedynie, że zwykłe „nie” powinno inteligentnemu mężczyźnie w zupełności wystarczyć.

Nino wiedział swoje. Zrozumiał, że poza Polakiem nikt inny, łącznie z rezydentami, jej już nie interesował, że sfiksowała na punkcie tego przeciętniaka od pierwszego wspólnego szkolenia. Nie

miał pojęcia, co takiego widziała w tym nudnym Barcie. Twarz miał przecież nijaką, nalaną wręcz, włosy ścinał zbyt krótko, w dodatku obgryzał paznokcie!

Bartek drażnił kolegę tym całym perfekcyjnym wypełnianiem obowiązków opiekuna, jakby startowali na olimpiadzie, a nie tyrali za psi grosz w placówce dla opóźnionych! Tak, Nino nie czuł się komfortowo w otoczeniu ludzi specjalnej troski, tym bardziej że ta specjalna troska irytowała go od pierwszego dnia. Nie rozumiał, dlaczego rezydentów trzeba ciągle wyręczać. Niestety, zanim zdążył z kimkolwiek o tym porozmawiać, Polak już uczył Michaela, jak smażyć jajecznicę, i wszelkie laury, z uśmiechami Samantha włącznie, spadły na Barta.

Cholernie mu się ta dziewczyna spodobała, chociaż widywał – również z bliska – ładniejsze. Bolało go odrzucenie po popisowym wręcz seksie, popisowym także z jej strony. Ta dziewczyna wiedziała, za jakie pociągnąć sznurki, by nagle z obietnicy interesującego stażu jednym z nich ściągnąć go brutalnie na błotnistą irlandzką ziemię.

Sammy miała w sobie coś, czego mu brakowało, czyli odwagę wraz z charyzmą tysięcy tchórzy. Nino wiedział, po prostu wiedział, że poszłaby nawet w ogień, byle dopiąć celu. W każdym zdaniu, które padało z jej ust, wyczuwał lwią wręcz pewność siebie. Pożądał dziewczyny, czując się przy niej bezpiecznie. Sammy akceptowała rzeczywistość. Nie kwestionowała tych licznych absurdów i nie poszukiwała sensu istnienia. Na coś takiego Nino nigdy nie zdołał sobie pozwolić.

Poza Sammy chłopak nie szanował współpracowników ani tym bardziej rezydentów. O Irlandczykach wypowiadał się nieciekawie, generalnie sypał z ust stekami bzdur, które uważał za zabawne.

Twierdził, że tubylcy wyglądają na przygłupów, w dodatku ciągle piją i są leniwi. Brzydził się ułomności danych mu pod opiekę ciał, które dodatkowo zwykle załatywały brakiem higieny, a od rozmowy ze Śmiercią węch miał szczególnie wyczulony.

Przynajmniej zamieszkanie na odludziu – od Dublina dzieliło ich jakieś sto dwadzieścia kilometrów – sprawiło, że Nino paradoksalnie odżył, chociaż takiej wiochy, jak mówił, w życiu nie widział. Lęki nieco odpuściły, wciąż czając się gdzieś z tyłu głowy, polując na choćby jedną zagubioną w rejony umierania myśl. Chłopak w dalszym ciągu sporo czytał na temat Akki oraz tego, w jaki sposób zdołała się z nim porozumieć. Wreszcie uwierzył w bóstwo – wcześniej reagował alergicznie na religijne brednie – znajdując w wierze ukojenie.

Jabme-Akka w pojedynkę ogarniała największy lęk Nino, czyli umieranie. Mimo błagań, by Śmierć ukazała mu się po raz kolejny, bogini nie spełniła próśb, pozostając po bożemu głucha na modlitwy.

Jak zdołała mówić zapachem?, dumał nad laptopem, kiedy okazało się, że Sammy nie wróciła z dniówki, a na kolejne wiadomości nie zamierza odpowiadać. Przecież nie jesteśmy psami. A może to dzięki grzybkom? Może nic nie było prawdziwe?

Wyszukał kilka ciekawych stron, pochłaniając przy tym wielokulturową kanapkę zrobioną z irlandzkiego chleba tostowego posmarowanego słonym masłem, przykrytego plastrem obficie skropionego cytryną wędzonego łososia. Na sam wierzch położył kawałek camembertu i całość posypał świeżo zmielonym pieprzem.

„Liczbę bodźców zapachowych”, wyczytał na Wikipedii, „możliwych do rozróżnienia przez człowieka szacuje się na około

dziesięć tysięcy”.

– W sumie spokojnie wystarczy – skonkludował.

„C. Bushdid przeprowadziła badania, z których wynika, że liczba ta wynosi około biliona”, doczytał i już się więcej nie zastanawiał. Wśród tego biliona musiały być zapachy zarezerwowane dla Akki właśnie, dla Śmierci, a może i dla innych bóstw. Jakaś prastara, wkodowana nam w DNA słownikowa nuta. A jego pierwszego – tak życzeniowo myślał – spotkał ten zaszczyt!

Nino wpatrywał się w modele interakcji węchowych oraz w funkcje matematyczne wynikające z prawa Webera-Fechnera czy Stevensa, z których nic nie zrozumiał. Zmęczył się tylko, a kolejnej kanapki nie chciało mu się szykować, żeby przebrnąć przez artykuły naukowe. Brakowało mu obecności Sammy, która takie rzeczy łykała w ułamku sekundy i potrafiła je przekazać w przystępny sposób. W ogóle przesiadywanie samemu w domu dla wolontariuszy nie należało do ulubionych zajęć chłopaka.

Dopiero podczas lektury zależności pomiędzy strukturą cząstek a zapachem właśnie ponownie odzyskał skupienie.

– Możemy posługiwać się specjalnymi – podsumowywał lekturę mało naukowo – cząsteczkami. Supermałymi lub większymi od tych lotnych, jakie zwykle wdychamy. Ewentualnie psylocybina lub LSD uwrażliwiły mój węch!

Podobał mu się ten elegancki, prosty, intymny wręcz i cichy sposób komunikacji. Taki dopasowany do Śmierci.

Poczytał jeszcze trochę o węchomózgowiu, ale skoro Sammy nie wracała z dniówki, to poszedł spać. Pewnie została, żeby flirtować z Polakiem.

3

Sen przygniótł Nino, jakby spadł wraz z ciężarem sufitu. Świeżo położone na poduszce ucho zaatakowały wpierw upiorne dźwięki, krzyki przerażenia, a po chwili z ciemności wyłoniły się kształty.

– *Sans blague* – westchnął na widok cuchnącej szczynami karczmy, w której przyszło mu siedzieć. Wyczuwał, że Akka maczała w tym śnie palce, a o tym, że śnił, po prostu wiedział. Przed momentem kładł się przeciw do łóżka.

Za oknem przemknęła wysoka sylwetka, raczej męska, ze świecącym... czymś pod pachą. Wyglądała bardziej groteskowo niż przeraźliwie, mimo to klienci karczmy zareagowali strachem.

– A myślałem, że ja jestem cykorem. – Nino bawił się przednio.
– Jabme-Akka, co żeś przygotowała?! Przecież nie jadłem grzybków!

Śmierć nie zamierzała odpowiedzieć, więc Nino przyjrzał się gościom zajazdu. Ci na oko twardzi mężczyźni kulili się pod stołami, szepcząc jakieś imię.

– Jack... – dało się wyłuszczyć z tych szeptów. – Diabeł! – dominowało wśród słów.

– Akko? – Chłopak ponownie zwrócił się do bogini. – Powiedz, że nie zaserwujesz mi koszmaru...

Siedział na drewnianej ławie, z drewnianą łychą w łapie, pochylony nad drewnianym stołem, a konkretnie nad drewnianą misą czegoś ciepłego, czego w życiu nie zamierzałby próbować,

skoro cuchnęło niczym perfumy z trupa. Całość trąciła średniowieczem.

– Akko? – szepnął trwoźnie.

Spora część gości zdążyła zamilknąć, parę osób zemdlało, najodważniejsi zaś zabrali się do opuszczania przybytku. Na zewnątrz rżały konie, poza tym padało, więc Nino odgadł, że śni o Irlandii.

– Pani, zgaduję, że to kolejny z koszmarów, jaki dla mnie przygotowałaś – przemawiał do miski, starając się oddychać ustami.

– Wiem, że za moment sprawy potoczą się chorym torem. Ktoś rozleje krew, komuś połamią kości; pewnie mnie. Czy naprawdę musimy przez to przechodzić? Co jeszcze zdołasz tym udowodnić? Zrozumiałem, że umrę, że wszyscy umrzemy, ale nie wymagaj ode mnie z tego powodu entuzjazmu. Czy nie lepiej, żebyś zapachniała jakimś słowem? Powiedz, czego ode mnie chcesz. Przecież tu przyleciałem i tyram przy przygłupach już drugi miesiąc. Nie musisz mnie więcej straszyć.

Najwidoczniej Akka musiała. Po karczmie przetoczyła się seria urwanych krzyknień.

– Pięknie – westchnął chłopak, jeszcze intensywniej wpatrzony w blat, byle tylko nie oglądać tego, co ubarwiano krwią za oknem. – Czyli ci, co wyszli, nie żyją. Przynajmniej tym razem nie musiałem odczuwać tego ich umierania... – Ostatnio umierał w koszmarze wraz z każdą ofiarą króla oraz jeźdźców, chociaż tamtej historii jeszcze nie połączył z placówką.

Drzwi wejściowe skrzypnęły wystarczająco głośno, by zaalarmować każdego, kto żyw. Ludzie rzucili się spod stołów ku tyłom karczmy, po czym znikali gdzieś za barem.

– Dobra, zgaduję, że ktoś stoi w drzwiach i wygląda jak to, co mam w misce, tylko przetrawione – westchnął ponownie Nino, nie podnosząc znad blatu oczu. – Czyżbyś tym razem zamierzała mnie zabić? Nie wystarczy, że dzięki koszmarom po grzybach czułem śmierć tysięcy ludzi? – Ponosiły go nerwy, ale wciąż nie nazwałby tego odwagą. – Mam tylko jedną prośbę: nie guzdraj się. Jestem zmęczony ciągłym panikowaniem – powiedział i zrozumiał, że rzeczywiście doszedł do kolejnego etapu w potyczkach z nerwicą lękową. – Zobojętniasz mnie... – pojął. – Dziękuję i bierzmy się do pracy. – Uniósł powoli wzrok.

Przybysz wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Nino krzyknąłby na jego widok, gdyby nie zamarł z przerażenia. Pobrużdżoną męską twarz oświetlał płomyk lampy wydrążonej w jakimś warzywie, które ten trzymał pod pachą. W niczym nie przypominało to znanej z Halloween dyni.

Burak?, próbował odgadnąć chłopak. Skupienie myśli na nieistotnych szczegółach zawsze pomagało mu opanować strach.

Sama lampa czy krostowata, bliznami cięta twarz przybysza nie przeraziły chłopaka tak bardzo jak zakrwawiony nóż, który ten trzymał w prawej dłoni. Krew pokrywała też rękaw mężczyzny, a na butach drżały przy każdym kroku kawałki ludzkiego mięsa.

– Nazywają mnie Skąpym Jackiem. – Przybysz miał miły dla ucha głos. Bez pytania usiadł po drugiej stronie stołu, kładąc nóż pośrodku blatu, z szacunkiem dla strawy nie za blisko miski. – Pojadłeś? Może się napijemy?

Nino rozluźnił nieco ramiona. Zdziwiło go to, że jeszcze nie zginął. Z tego zdziwienia wydusił z siebie kolejne słowa:

– Nino Malarde. Z Bordeaux... – Chłopak rozejrzał się za jakimś kelnerem, ale wyglądało na to, że knajpa opustoszała.

Przybyszowi najwidoczniej to nie przeszkadzało. Postawił lampę na stole, tuż przy nożu, po czym wyciągnął z za pazuchy śmierdzącego dymem płaszcz czarną butelkę. Napił się, otarł zakrwawionym rękawem usta, nie przejmując się czerwonymi smugami, jakie rozprowadzał po kilkudniowym zaroście. Podał butelkę Nino, który nie zamierzał jednak po nią sięgać.

– Twoja strata. – Jack pociągnął kolejny, jeszcze solidniejszy łyk. Ponownie skorzystał z rękawa. – Akka chciała, żebym się z tobą spotkał. Nie jesz? – Wskazał na źródło smrodu, a chłopak pokręcił głową.

Przesunął nawet miskę w stronę przybysza, na co ten odpowiedział praktycznie bezzębnym uśmiechem.

– Niestety, na jawie wolałbyś mnie nie oglądać – rzucił, mlaszcząc – dlatego korzystamy z jej pomocy. Trochę mnie upiększyła.

Nino faktycznie wolał nie wiedzieć, jak mógłby wyglądać Jack bez tego upiększenia.

– Czego chcecie? – zapytał potulnie, przymilnie wręcz, coraz częściej spoglądając na nóż.

– Kiedyś, w podobnym miejscu, a może w tym samym, spotkałem się na popijawie z samym diabłem. – Opróżnioną miskę mężczyzna rzucił za siebie, a za miską poleciała łyżka. Rozmarzył się, a przy tym wyglądał na szczęśliwego, jakby lubił opowiadać o przeszłości. – Piliśmy, piliśmy, aż przyszło do zapłaty. Ech, obaj gardła mieliśmy chłonne! Rzeka trunków nie zaspokoiłaby naszych pragnień! – Z radości uderzył pięściami o stół. Walnął aż miło, ale

lampa nawet nie drgnęła, jakby ważyła o wiele więcej niż wydrążone warzywo, na które wyglądała. – Karczmarz był paskudnym typem – dodał Jack półgębkiem. – Nie odpuszczał, tylko wręcz żądał złota! Uparł się, żebyśmy płacili, albo rozpowie wszem wobec, że jesteśmy niewypłacalni i z kolejnych popijaw nici.

Nino słuchał, bo nie chciał urazić sporo większego i z pewnością silniejszego rozmówcy. Nie odgadł, do jakiej puenty gość zmierza, miał jednak nadzieję, że wreszcie czegoś się przynajmniej dowie. Ostatnio coraz bardziej tęsknił za Bordeaux, szczególnie za błękitem nieba, w Irlandii spowitego szarościami zawieszonymi niemalże na wyciągnięcie ręki.

– Namówiłem typa, żeby zamienił się w złotą monetę, bo jest diabłem i nie mniej od bogów może.

Skąpy Jack śmiał się długo, nieprzyjemnie, z kropelkami śliny rozrzucanymi wokół, szczególnie na rozmówcę. Nino nie ważył się ich zetrzeć z twarzy. Uśmiechnął się bardzo wymuszenie, czym przypodobał się przybyszowi.

– Udany z ciebie kompan – pochwalił Jack. – A Akka twierdziła, że spanikujesz.

4

Jack wyciągnął z kieszeni monetę oraz srebrny łańcuszek opleciony wokół równie srebrnego krzyża. Śmiech przeszedł w rechot, aż mężczyzna przytrzymał kapelusz, bo ten wręcz podskoczył kilkukrotnie, jakby coś próbowało go od spodu zrzucić.

– Z karczmarzem doszedłem do porozumienia, kiedy pojął, z kim ma do czynienia. – Jackowi chodziło raczej o diabła, bo wskazał brudnym paluchem na monetę. – A tego tu typa długo i wielokrotnie robiłem w tak zwanego chuja.

– Świetnie – wydusił z siebie chłopak, nie wiedząc, co miałyby na takie wyznanie powiedzieć. – Gratuluję sprytu, panie Jacku.

Komplementy, nawet niewyszukane, zdawały się działać cuda. Szpetna twarz pojaśniała od uśmiechów. Widać było, że Jack od dawna z nikim nie rozmawiał.

– Wypuściłem biedaka dopiero po roku – przyznał gość, poprawiając kapelusz z kobiecą delikatnością. – Nudziło mi się chłanie bez towarzystwa. Co by nie mówić, zabawny z niego jegomość.

– Wypuścił pan diabła? – Nino zapominał, że to tylko sen, poza tym koszmary od Akki potrafiły wciągnąć każdego.

– Momentalnie się na mnie rzucił! Chciał mnie zabić lub zwabić do piekła. Nawet nie wiem, co taki diabeł może, poza chłaniem. Kotłowaliśmy się na ziemi jak dzieciaki i chyba był pod wrażeniem mojej siły, szczególnie jak mu zdrowo przypierdoliłem z główki.

Musisz pamiętać, dzieciaku, że byłem wtedy młodszy i na całej wyspie nie znalazłbyś mężniejszego zucha.

– *Merde* – zaklął chłopak i otrząsnął się z otumanienia. Jaki stereotypowy koleżka..., zamarudził w duchu na scenariusze sensne tworzone przez Śmierć. – Pewnie pan drzewa łamał i głązy prznosił – odważył się zadrwić. – Żarł szpinak i unikał kryptonitu.

Jack zamilkł, spochmurniał. Pokiwał głową, rozejrzał się, po czym podniósł jeden z solidnych drewnianych stołków i zaczął go łamać, jakby ten był zrobiony z zapalek. Ogromne dłonie przyciągały wzrok chłopaka.

– Już mnie prawie miał, diablisko przebrzydłe. – Jack wrócił do snucia opowieści, kiedy już udowodnił, że nie jest kłamcą. – Poprosiłem na wydechu, żeby pozwolił mi tylko skosztować po raz ostatni jabłka. Nic ponad diabelskie siły, bo i tak tarzaliśmy się pod jabłonią.

– Pozwolił? – spytał Nino, średnio jednak zainteresowany.

– Puścił mnie, wyobraź to sobie! – Kapelusz raz jeszcze podskoczył, poza tym Nino przysięgłby, że usłyszał syknięcie. – Miał mnie, dusił, a wypuścił, żeby spełnić życzenie koleżki, który tak z niego zadrwił!

– Reguły. – Chłopak wzruszył ramionami. – W takich opowieściach ważne są reguły. Tak powstają mity.

Wprawdzie Nino wiedział mniej od Sammy, a nawet Bart mógłby uchodzić przy nim za eksperta w dziedzinie mitologii celtyckiej, sporo jednak wyczytał podczas zdobywania mniej lub bardziej ezoterycznej wiedzy w dziedzinie życia po życiu.

Przybysz pokiwał głową z uznaniem. Klepnąłby nawet Francuza po przyjacielsku w ramię, ale nie chciał go przecież zabić.

– Bez reguł już dawno bylibyśmy w dupie – skonstatował wpatrzony w monetę.

– I został na tym drzewie? – odgadł chłopak.

– Został, bo kiedyś wyryłem tam w korze zapobiegawczo krzyż. Uwięziłem biesa na blisko dekadę w tych badyłach! Złościł się, aż złością przepędził stamtąd wszelkie życie! – zaśmiał się Jack, ale nie tak rubasznie jak wcześniej. – Jabłoń uschła, ale to żadna szkoda, bo rodziła zbyt słodkie owoce.

– Groził? – Nino pociągnął rozmówcę za język, byle tylko nie siedzieć z nim w ciszy.

– Groził mi piekłem, chociaż nie piekła się bałem...

– Bał się pan rajy? – Między tą dwójką, na ostrzu noża, ponownie przysiadło zrozumienie.

– Zaświatów – przyznał Jack. – Na szczęście mnie nie wpuszczono. Teraz mają tam niezły burdel – zarechotał, ponownie bryzgając wokół śliną. – Z paskudnymi dziwkami!

– Ta moneta – wskazał chłopak, przerywając przeciągającą się ciszę – to nie jest diabeł. Diabeł został na drzewie.

– Diabeł, diabeł. – Jack się ubawił. – Jeszcze wiele razy go w chuja robiłem, aż nabrał się na podobną pierwszej sztuczkę. Tylko już go nie uwalniałem, bo ciągle przeszkadzał Akce. Ponoć chciał ją przelecieć... – Oblizwał brudne od krwi wargi i mrugnął okiem nie mniej zaropiałym niż u Michaela. – Dzieci chciał mieć. Dobrze dla nas, że stanąłem w obronie bogini. Śmierć zgodziła się, żebym jej służył.

– I nie oszukałeś?

– Młody jesteś, to nie wiesz jeszcze najważniejszego. Śmierci się nie da oszukać.

5

Siedzieli wreszcie w ciszy, z ciszą zaznajomieni, z ciszą za pan brat. Jack popijał z czarnej butli, lecz mniejszymi niż wcześniej łykami, i wzdychał, odpuszczając sobie chwilowo snucie opowieści. Zdawało się, że czeka na kogoś, lub może tylko na nierozważne słowo z ust Nino.

– Służysz śmierci, żeby cię diabeł nie dopadł – palnął chłopak, czym zezłościł przybysza z tyłu powodów, że Jack mógłby wyliczać je godzinami.

– Durny jesteś – padło w zamian.

– Jeśli nie umrzesz – ratował się chłopak – bo pracujesz dla Akki, to nie zabierze cię diabeł do piekła. Nie masz się czego bać.

– Diabeł ma ważniejsze sprawy na głowie, dzieciaku! – Jack przypomniał mu o przemienieniu czarta w monetę. – Ja również. – Mężczyzna chwycił za kapelusz, spojrzał młodzieńcowi w oczy i... powstrzymał się przed ściągnięciem nakrycia głowy. – Słuchaj, bo inaczej nie zmądrzejesz, a głupich ma Akka na pęczki. Nie wykazujesz predyspozycji do służby. Nic strasznego, prawie nikt nie wykazuje. Cykor jesteś i słabeusz.

– Wypraszam sobie! – rzucił Nino we francuskim stylu, po czym skulił się w sobie, czekając na morderczy cios.

Nie nadszedł. Chłopak otworzył oczy.

– Niebo i piekło – westchnął Jack, jakby zmęczony szykującą się dłuższą przemową, której ciągnięciu nie pomagało kompletne

osuszenie butelki. – Zapomnij. Pomyśl raczej o Zaświatach, o lustrzanym odbiciu wyspy, ale bez tych bzdur jak kraje czy religie.

– Ale diabeł?

– Tak go ludzie nazwali. Ci sami idioci do dzisiaj opowiadają i o mnie legendy. Diabeł działał od zawsze, jeszcze przed Akką. To on wymyślał reguły wielu gier, w które nikt nie chciał grać, że aż zaprowadziło typa do mnie. Z Jackiem przynajmniej mógł się powygłupiać, napierdolić się niezdrowo i poszaleć! Stanowiliśmy dla siebie wyzwanie – szepnął mężczyzna z rozczuleniem w głosie.

– Diabeł, stwórciel świata?

– Niewykluczone – przytaknął Jack. – Całkiem możliwe, patrząc, jak sknocono robotę.

– Te Zaświaty – odważył się zapytać chłopak – czy przetrwają koniec czasu? Czy tam trafiają dusze?

– Trafiały! – Mężczyzna uderzył pięścią w stół, nagle niezdrowo podenerwowany. – Karczmarz Da Derga – syknął przez zepsute zęby. – Wbiegł, gdzie wbiec nie powinien, i dusze nie trafiają już do Zaświatów! Trzymane są na łąkach, pod kloszem z siatek! Ech, same z tym człowiekiem problemy! A tchórz z niego nie mniejszy od ciebie!

Nino nic z tego nie rozumiał. Jaki karczmarz Da Derga?

– Nasz karczmarz? Z tego miejsca, gdzie teraz siedzimy?

Jack pokiwał głową.

– Nie rozpoznajesz budynku?

Nino rozejrzał się po obskurnym wnętrzu, ale niczego mu nie przypominało.

Jack spoglądał na niego z politowaniem.

– Ognia byś nawet z krzesiwem nie wskrzesił... Patrz! Tam macie kuchnię, a tędy wchodzie do pracy. Z tyłu schody prowadzą na górę, chociaż nie tak solidne jak te wasze.

– Placówka! – Nadciągnęło zrozumienie.

– Mądry brzdąc – pochwalił go Jack nieco na wyrost. – Wreszcie do czegoś doszliśmy. Być może Akka miała rację, rozumna pani. Śmierć wierzy w ciebie, chociaż przyznać muszę – zrzęła mężczyźnie mina – że lepiej, żeby nie wierzyła. – Jack spoglądał ze smutkiem na latarnię, która znów o czymś chłopakowi przypominała.

– Halloween! To od ciebie się to zaczęło! Ale dlaczego nie wyciąłeś sobie lampy w dyni?

– Wiesz tyle, co nic, chociaż może to i lepiej. – Mężczyzna odrzucił butelkę za siebie, po czym schował za pazuchę monetę wraz z łańcuszkiem. – Ponoć nie wpuszczono mnie ani do raju, ani do piekła, a sam diabeł ofiarował mi płonący węgiel, żeby oświetlił mi drogę.

– Ofiarował? – Nino zdziwiło, że diabeł zechciałby komukolwiek cokolwiek podarować.

– Przegrał w karty, wszarz jeden! Nie miał wyjścia. – Jack machnął zakrwawioną dłonią, niechętny, by wchodzić w szczegóły. – Wrzuciłem cholerstwo do wyrzeźbionego warzywa. I wędruję sobie po wyspie bez celu, jak to mają w zwyczaju złe duchy.

Ręce ponownie chwyciły za romb kapelusza. Tym razem spróbowały ściągnąć nakrycie, coś im jednak, pomimo potwornej siły włożonej w tę próbę, nie szło.

– Będę potrzebował pomocy, dzieciaku. – Widać było, że prośenie o wsparcie przychodziło przybyszowi z trudem. – Inaczej

nic nie zrozumiesz i przesiedzimy tu do wiosny. Bo widzisz, nie jesteś głupi, tylko zbyt młody i przestraszony, co leży zbyt blisko głupoty, żeby Akka miała z ciebie pożytek.

– Jeśli pomogę – Nino podszedł o krok bliżej – to co z tego będę miał?

– Zrozumienie, dzieciaku, do kurwy nędzy! Przecież o to ci ciągle chodzi. Chcesz wiedzieć, po co przychodzimy na świat i czy tracimy świadomość po śmierci. Akka płaci w najtwardszej walucie, w wiedzy.

Nino o nic więcej nie pytał, nie spędził ani sekundy dłużej na rozmowie, tylko chwycił za kapelusz i pociągnął. Coś pisnęło, drapnęło mu nawet dłonie, jednak chłopak ciągnął dalej, skoro tak wiele położono na szali. Młody był i wysportowany. Tej odrobiny dodatkowej siły od dawna Jackowi brakowało.

– Głupis! – zarechotał Jack, ale dla Nino było już za późno. – Wreszcie mnie na stałe odwiesi na kołek. Wreszcie przestanie mnie przywoływać...

Kapelusz został w rękach chłopaka, zasłaniając twarz przybysza. Nino opuścił powoli nakrycie głowy, oczekując najgorszego. Jack jednak dalej siedział tam, gdzie siedział, i spoglądał na pomocnika z uśmiechem. Twarz mu wprawdzie pobladła, lecz wyglądał na szczęśliwego.

– Dziękuję – szepnął i pochylił głowę, a wtedy Nino zaniósł się krzykiem.

W miejscu potylicy czerniała dziura. Pustka oblepiona szarymi nićmi, w której na pewno jeszcze niedawno przesiadywało...

A jeżeli tam niczego nie było, to musiało przeskoczyć do kapelusza.

Nino upuścił nakrycie głowy i poczuł, że coś o wielu odnóżach
wspina mu się po nogawce.

Szybko. Coś wielkości kota.

6

Bolało, mamó. Tato, pomóż...

Łzy Nino skapywały z brody na koszulkę, szarzejąc od wtłaczanej do organizmu pajęczyny. Przejmowano nad chłopcem kontrolę, jak kiedyś przejęto nad Jackiem, a i przed nim nie brakowało żywicieli dla pajęczycy, bogini z daleka, bogini niewielu, modlących się wręcz, by móc jej służyć.

W tym samym czasie kurczył się Jack, kruszył, obracał w ciężki pył, pod którego naciskiem skrzypiała ława. Pył wgryzał się w drewno, by wreszcie – gdy siedzenie pękło na dwoje – zacząć wyżerać dziurę w podłodze. Wreszcie pozostała po mężczyźnie tylko latarnia, nóż oraz sterta zniszczonych ubrań, z której chłopak wygrzebał diabelską monetę i srebrny łańcuszek, po czym zawiesił go sobie na szyi. Sięgnął też po nóż i latarnię o nigdy niegasnącym węgielku, nagle lekką, przynajmniej dla niego. Coraz mniej myślał, w zamian działał, wyzbywając się z każdą sekundą strachu. Stawał się bohaterem Śmierci.

– Nie będziesz się więcej bał, najważniejszy dla mnie człowieku. Ból się wkrótce rozpułnie, jakbyś go nigdy nie zaznał – wywęszył słowa Akki, ale samej Śmierci jeszcze nie dostrzegł, chociaż rozglądał się i rozglądał. – Jack obiecał ci odpowiedzi na pytania. Mogę zacząć?

Nino wolałby wpierw usłyszeć, co upiornego pulsuje mu przy karku, nie tyle łaskocząc, ile drapiąc skórę. Chłopak nagle ujrzał

przed sobą dwa pajęczce odnóza. Te zawisły mu tuż przed oczami, za to kolejna para wsunęła mu się w przewody słuchowe, sięgając aż do błony bębenkowej.

– Ériu, Fódla i Banba zechcą usłyszeć, co ty usłyszysz – wytłumaczyła działania stawonoga Śmierć, nic tak naprawdę nie tłumacząc. – Nie martw się. Moich słów nie zdołają rozgryźć. Dajemy im złudne poczucie kontroli.

W tym czasie pająk skończył już wpompowywać pajęczynę w ciało chłopca, a nacięcia na karku zdezynfekował oraz znieczulił jadem. Zaczął też oplatać klatkę piersiową oraz ramiona Nino grubą, elastyczną, a przy tym nieklejącą się siecią.

– Och, jakże o ciebie dba! – ucieszyła się Akka. – Wpadłeś Marawie w oko! Z Jackiem nigdy nie nawiązała aż takiej więzi. Chroni ciebie. Ta sieć zatrzyma nawet kulę.

– Dlaczego? – wykrztusił chłopak.

Akka bezwonną milczała. Najprostsze pytania często należą do najtrudniejszych. Mogłaby wprawdzie zarzucić go zapachami, kłamiąc lub mówiąc prawdę, ale jakie to miało znaczenie? Pajęczycy już pozbywała się długich włosów Nino, wyrywając je z cebulkami, a miejsca po nich dezynfekując jadem. Już nacinała skórę głowy, już świdrowała pazurami jadowymi szczękoczułek w czaszce nosiciela, by dostać się do młodego mózgu.

– Wrócisz do placówki i zajmiesz się nie swoimi sprawami. – Akka przestała się zachwycać symbiozą tej dwójki, przechodząc do konkretów. – Wolałabym, żebyś nie zwlekał.

– Odpowiedzi... – Z trudem wymawiał słowa. Czuł, że za każdym razem musi uzyskać przyzwolenie tego pasożyta, co

przysiadł mu na karku. Stawonoga, którego nie dałby rady zrzucić, sparaliżowany pajęczym jadem.

– Egoiści! – zaśmierdziała Akka. – Wstrętni egoiści! Każdy z was! Zero wdzięczności! Próbuję pomóc... Staram się przywrócić normalność Zaświatom!

– Obiecałaś.

– Marawa, przetestuj mowę – zwróciła się Śmierć do pająka.

– SZCZĘKOCZUŁKI! NOGOGŁASZCZKI! – Chłopak wyrzucał głośne słowa, przy tym syczało mu z gardła nieprzyjemnie. – PORZECZKOagrest. – Stawonóg nabierał wprawy. – Pługopiaskarka, malinojeżyna, spychokoparka.

– Wystarczy. A teraz, dzięki Marawie, będziesz miał chwilowy wgląd w Zaświaty. Ona przedzie nici nawet między wymiarami! Docień to, marny pyle człowieczy, bo nawet mnie już tam nie wpuszczają.

Nino nie zdążył odpowiedzieć, sprzeciwić się czy podziękować Akce choćby gestem. Nagle coś chrupnęło i dałby sobie rękę odciąć, że była to jego czaszka. Nie czuł jednak bólu, za to rozmył się świat, by po chwili nabrać ostrości.

Stał pośrodku ogromnego placu zasypanego okrwawionym piaskiem. Plac unosił się z każdej strony, przypominając kształtem ogromną misę. Nie więcej niż sto metrów od siebie dostrzegł trzy, na oko kamienne, trony, również szcudrze obsypane poczerwieniałym pyłem. Stały jednak oparciami do Nino, więc chłopak nie wiedział, czy ktoś na nich siedzi, czy może jest tu jedyną osobą.

Nino sprawdził swoje ciało, zaczynając wnikliwe obserwacje od stóp. Ostatecznie oklepał klatkę piersiową niczym goryl i podskoczył z radości, że tamten koszmar dobiegł końca – nawet jeśli płynnie

przeszedł w kolejny – bo Nino brzydził się pajaków. Poruszał długo palcami, szczęśliwy, że odzyskał nad nimi kontrolę. Nie odważył się jednak dotknąć tyłu głowy, z pewnością wciąż łysej, skoro nie czuł łaskotań włosów na policzkach.

– Śnię – szeptał, roniąc szare łzy. – Akka chciała mnie znowu nastraszyć. Po przebudzeniu... – Nie dokończył, bo zakipiał ze złości. Wreszcie zebrał się na odwagę i zaczął powoli przejeżdżać dłońmi po ramionach oraz po klatce piersiowej. Nie wyczuł żadnych pajęczyn pod bluzą, co nieco go uspokoiło. Wreszcie z największą delikatnością, przerażony niemalże do utraty przytomności, dotknął potylicy.

Włosy zniknęły, ale tyle już wiedział. Nie wyczuł jednak choćby najdrobniejszego pajęczka czy zgrubienia w okolicach karku.

Nino nigdy jeszcze nie doznał aż takiej ulgi. Zapłakał jak dziecko, szczerze i długo, a wraz z płaczem przyszło ukojenie. Uspokajał się, męźniał, przynajmniej dopóty, dopóki ponownie nie został sparaliżowany i ktoś nie przejął kontroli nad jego ciałem.

– Podejź do tronów – wyczuł wystukiwane o czaszkę od wewnątrz słowa Akki i omal nie krzyknął, jednak krzyk uwiązł mu w gardle. – Marawa nie pozwoli ci krzyczeć w obecności naszych królowych, bo niestety nie jesteś tu sam. – Pajęczycza przekazywała słowa Śmierci. – Właśnie uspokaja cię specjalnie przygotowanym na takie okazje jadem. Nie mamy innego wyjścia, bo musimy cię ostrzec, że niewiele zostało z dawnej świetności królowych. Zbikowały, czyż nie tak teraz mówicie? Chyba widzisz, że nie trafiają tu nowe dusze, a poprzednie już dawno wróciły do życia.

– Biedna Akka przetrzymuje duszyczki na irlandzkich łąkach, o chłodzie i głodzie. Zapracowana, odwalająca robotę za królowe

Zaświatów – dostukała Marawa, nie kryjąc oburzenia. – Bogini należy się odpoczynek. Nie wyrabia, przez to liczba zamieszkujących wyspę Irlandczyków spadła, szczególnie przez ostatnie wieki, o połowę. Pojawiają się i nowe, niedoświadczone dusze; rodzą się też ludzie bezduszni...

Chłopak pomyślał o reinkarnacji, której prawdziwość właśnie potwierdziły Marawa ze Śmiercią. Życzeniowo stawiał na inne opcje, ale i tak powrót do kolejnych wcieleń brzmiał lepiej od nicości, nawet jeśli wracasz do żywych bez wspomnień traconych w Zaświatach czy na tych łąkach. Może odzyskujesz wspomnienia w przerwach między wskrzeszeniami?, dumiał. Rozumieniu wystukiwanych słów już się nawet nie dziwił, gdy nic według niego nie przebije komunikacji zapachami.

– Wariują z braku podwładnych. Kiedyś to miejsce przypominało raj. Wszędzie latały świetliki, a dzięki wystarczająco wysokim brzegom krainy żadna z dusz nie odlatywała dalej.

Nino zapragnął dopytać, co znajduje się „dalej”, ale stał niczym kołek, wciąż niemy, bez władzy nad ciałem.

– A teraz czegoś się dowiesz.

Bezradny i kontrolowany przez Marawę chłopak poszedł w milczeniu w stronę tronów, chociaż najchętniej odbiegłby jak najdalej stąd.

– Ucieczka nie wchodzi w grę – zapewniła dzięki pajęczycy Akka. Z jakiegoś powodu Nino wiedział, która akurat przemawia pajęczymi stuknięciami. – Popatrz, jak strome są zbocza doliny. Ciągną się do stratosfery, zrobione wpierw z kamienia, od połowy przezroczyste, ze szkła, które kruszeje u góry. Całość wznosi się pionowo i tylko byś sobie dłonie pokaleczył. Wielu próbowało...

Zsuwali się ze stromizn, wprawiając całość w mikrodrżania. Stąd ten piasek, a w zasadzie kawałki szkła. Stąd krew, bo jeśli się zsuniesz, to całość zadziała niczym tarka. Wybacz, nie byłeś moim pierwszym wyborem, a królowe potrafią przestraszyć młodego człowieka.

Wysyłałaś ludzi na pewną śmierć, pomyślał, skoro nie mógł mówić, po czym od razu zrozumiał, że przecież rozmawia z Akką, czyli gdzie niby miałyby kogokolwiek wysyłać, jeśli nie na śmierć?

– Dlatego tym razem poprosiłam Marawę o pomoc. Zawarliśmy pakt, czyli sam rozumiesz, jak poważna jest sytuacja. Nie uciekniesz i śmiem twierdzić, że nic ci się nie stanie. Pójdiesz tam, gdzie chcemy, nie tracąc idiotycznie życia. Niestety, tam u nich nie zdołamy porozmawiać, bo mogą coś wyczuć, ale uzyskasz odpowiedzi na wiele pytań. Będziesz zdany na Marawę i siebie.

Tyle słów cisnęło się chłopakowi na usta, lecz pajęczycy nie zezwoliła na obrażanie bogini. Szedł pewnym, zdecydowanie zbyt szybkim jak na jego gust krokiem, by wreszcie obejść trony i stanąć plecami do władczyń tej ogromnej misy. Słyszał szepczące królowe. „Obejrzyjcie mu dobrze głowę!”, wyrwało się z tych szeptów, czyli nie były głupie.

Nino chciał odpowiedzi, to otrzymał ich teraz w nadmiarze. Cały ich smrodliwy bukiet, bo od tronów zalatywało zepsuciem.

– Obróć się, kochaniutki – usłyszał piękny kobiecy głos, czysty i melodyjny, idealnie nadający się do śpiewu czy do składania miłosnych obietnic. – Słyszemy same siebie... – Znowu zaczęły między sobą szeptać, co rusz rzucając nieco głośniejszym słowem „pająk”.
– Oby nie było jej z tobą. Ostrzegamy!

Chłopak rozczulił się i rozmarzył jednak. Tak, takim głosem powinny przemawiać anioły.

– Nie wstydz się – odezwała się kolejna z królowych, już mniej ponętnie, wciąż jednak wystarczająco intrygująco, by Nino poczuł zamiast strachu podniecenie.

– Obyś nie miał przy sobie Marawy! Dobrze sobie ciebie obejrzałyśmy, a w kieszeni byś jej nie zmieścił. Pewnie ciągle podróżuje z Jackiem – rzucił najpiękniejszy z głosów i dolinę wypełnił rechot całej trójki. – Należało się mu, paskudzie!

– Patrz na nas, jak do ciebie mówimy! – ryknęła trzecia z kobiet, a o pożądaniu można już było zapomnieć. – Udowodnij, że nie jesteś szpiegiem! Ściągaj koszulkę! Rozbieraj się!

Wiedźma, pomyślał chłopak, a Marawa powstrzymała go od samobójczego wypowiedzenia tych słów na głos.

Wprawiła za to w ruch stopy, obracając chłopaka twarzą w kierunku tronów.

– Nie jestem szpiegiem – zapewniła za niego Marawa, co nawet rozbawiło Nino. – Czy mógłbym się czegoś dowiedzieć, piękne panie? Udzielcie mi odpowiedzi na kilka pytań i pozostawię was w spokoju. Być może zdołam też w czymś pomóc. Zwykłem nie pozostawiać za sobą długów wdzięczności.

W zasadzie Nino nie chciał już o nic pytać, tak bardzo pragnął uciec, ale kontrolowała go Marawa. Z chęcią odbiegłby od tych tronów, nawet gdyby zamiast szkła na zboczach mocowano noże.

7

To Ériu czarowała głosem. Niestety, wygląd całej trójki przewyższał nawet standardy wspomaganych lękami koszmarów. Na tronach siedziały nagie, wysuszone, wychudzone kobiety o wzdętych brzuchach. Trony ulepiono z jakiejś... plechy?, zgadywał chłopak, nie wiedząc, czemu takie słowo podsunął mu umysł. Jakby ktoś przeżuł i wypluł kości oraz żelazo.

Wzrok Nino znowu spoczął na królowych. Te wyglądały, jakby garściami powyrywały sobie większość włosów, pozostawiając na głowie pozbawione skóry placki, często bielone kośćmi czaszki.

– Nareszcie trafiła tu do nas odważna duszyczka! – ucieszyła się Ériu. – Czy duszyczka wie, dlaczego zostałyśmy porzucone? Żąda odpowiedzi, ale czy przyniosła jakieś na wymianę? Również potrafimy się odwdzięczyć – zapewniła zalotnie, co doprowadziło Nino do bolesnego skurczu żołądka, od razu potraktowanego rozkurczową pajęczą chemią; byle nie dopuścić do obraźliwych wymiotów.

Zmarszczki i rozstępy pokrywały wzdęte brzuchy, jakby te mogły pomieścić w sobie i dorosłego człowieka. Dziwne cienie przesuwały się po kobiecych obliczach, nadając im to groźny, to groteskowy wyraz, zawsze jednak ze zdecydowanie nieludzkim, demonicznym rysem. Wysuszone niczym wielkie rodziniki oczy świdrowały chłopaka. Nie mrugały, bo i nie miały powiek.

Zabierzcie mnie stąd!, bezskutecznie błagał Akkę i Marawę w myślach.

Każda z monarchiń wyzbyła się lub pozbawiono ją kończyn, w ich miejsce wetknięto niedopasowane kości. Nino nie znał się na anatomii człowieka tak jak Sammy, ale widział, że w miejscu rąk białały kości udowe, a w miejscu nóg jakieś drobne kostki, czasami ledwo zauważalne nawet z tak bliskiej, za bliskiej jak na jego gust, odległości. Rany wciąż wyglądały na świeże, chociaż nie leciała z nich krew. Królowym, jak i całej okolicy, brakowało wilgoci.

– Podejdz, człowieku – odezwała się Banba, najszkaradniejsza z kobiet. – Niech ci się przyjrzę.

O ile u Ériu dało się jeszcze dostrzec przebłyski dawnej urody – głównie pod postacią wciąż pełnego zębów uśmiechu – to Banba wyglądała, jakby umierała miliardy razy, co nie musiało być wcale dalekie od prawdy.

Czy którakolwiek z was kiedykolwiek żyła?, pomyślał.

Podszedł, bo nie miał wyboru, bo nie kierował swoim ciałem.

– Odważny! – pochwaliła Fódla. – Czy głupi? Jak myślicie, siostry?

Fódla siedziała pośrodku, chociaż wydawała się z jakiegoś powodu najmniej znacząca. Brakowało jej charyzmy pozostałych królowych. Siedziała skulona, wciśnięta w kąt tronu, zdecydowanie w cieniu towarzyszek.

– Nie boisz się? – Zdziwiona Ériu machnęła kością udową, która służyła jej za rękę. Kość odłączyła się od ciała z dźwiękiem przypominającym upuszczoną na podłogę galaretkę, by poszybować nad głową przybysza. – Znowu! – zaczęła zawodzić królowa. – Poratujcie mnie, siostry. Nie mam już na to sił.

– Mogę przynieść – odezwał się Nino, który w końcu nie bez powodu robił za opiekuna. Poza tym miał nadzieję, że będzie mu dane oddalić się od tego cuchnącego (nie mógł przecież nawet zakryć nosa) trio. Marawa najprawdopodobniej nie miała nic przeciwko temu i pozwoliła mu mówić. – Przyniosę pani rękę i porozmawiamy na spokojnie.

Tym uciszył Ériu. Kobieta patrzyła na niego, wytrzeszczając spękane i obkurczone gałki oczne. Cień za cieniem zmieniał jej oblicze na coraz chłodniejsze.

– Milcz, kiedy się odzywamy! – zareagowała Banba, również tracąc przy tym jedną z kości, a na utratę reagując jeszcze większą złością. – No, na co czekasz, idioto?! Ruszaj po nasze ręce!

Ruszył niczym wierny psiak, czując się rzeczywiście głupio, bo wciąż nie panował nad ciałem i nawet nie mógł porządnie zatrząść się ze strachu. Szczęśliwie kości nie upadły daleko, nie trzeba się było wspinać. Kawałki szkła poraniły mu wprawdzie palce, kiedy podnosił kości, jednak nie czuł bólu.

– Krew! – Wyczuła Fódla, nagle jakby większa od sióstr, czego odwrócony plecami Nino nie mógł widzieć. – Krew pełna życia!

– Znowu... – zamarudziła Banba, jakby widziała to już zbyt wiele razy. – Daj spokój, kochana. Akka... – Nie dokończyła. – Usiądź na kościstym tyłku!

Mogła sobie darować. Spragniona Fódla już ześlizgnęła się z tronu, by sunąć w stronę Nino. Ten bardzo chciał się odwrócić, a najlepiej odbiec jak najdalej od królowych, ale Marawa mu na to nie zezwoliła. Nino słyszał, że zbliża się jedna z wiedźm, że stukocze kostkami i jęczy z wysiłku. Szumi przy tym, jakby przemieszczała się niczym wąż. Nagle jego ciało postanowiło się jednak odwrócić.

Proszę..., jęknął w duchu na widok pełzającej na brzuchu potwory, stukającej kostkami wetkniętymi w miejscu kończyn dla równowagi.

Te zmarszczki wraz z rozstępami rzeczywiście zachowywały się niczym tarczki na brzuchu węża. Fódla sunęła w kierunku ofiary, nic sobie nie robiąc z kawałków szkła, dla niej najwidoczniej niegroźnych. Wreszcie skoczyła na Nino, gnieźdząc się na plecach chłopca. Już miała go ugryźć i upić świeżej krwi z karku, kiedy pod czaszką Nino coś stuknęło.

– Jest tu! Są tu! – Fódla podniosła rwetes i zeskoczyła z ofiary niczym poparzona, by sunąć z powrotem w kierunku tronów z prędkością drapieźnika. Dopiero tam uspokoiła się nieco, wciśnięta w twarde oparcie jak w ramiona matki.

Skóra z tyłu głowy Nino odeszła od czaszki i zaczęła się zwijać w rulonik, czego chłopak oczywiście nie mógł ani widzieć, ani czuć. Rulonik nie spadł jednak na ziemię, tylko zawisł na nici. Wreszcie kości potarły o siebie i cały, dopasowany niczym puzzel tył czaszki odskoczył od reszty, by również zawisnąć na grubszej tym razem nitce. Uderzał nieprzyjemnie o kark chłopca.

Nino panikował, ale nie mógł choćby krzyknąć, wciąż kontrolowany przez Marawę.

Nie boli, Nino dziwił się w myślach. Czytał gdzieś – niewykluczone, że w którymś podręczniku szkolnym – że głowa nie jest aż tak unerwiona. Obstawiał również, że pajęczycyca decyduje o tym, jakie odczucia docierają do jego mózgu; że kontroluje przepływ z wychwytem neurotransmiterów.

Chłopak cierpiał katusze z przerażenia i z bezradności. Wolałby nawet umrzeć, byle to piekło dobiegło końca. W porównaniu z tym

snem poprzedni koszmar – ten z popijającym Jackiem – wydawał się seansem przygodowym w stylu Indiany Jonesa, tylko wyreżyserowanym przez Tima Burtona.

Chłopak nagle poczuł, że coś się wspina po jego głowie i ujrzał przed oczami parę odnóży. Drugą wsunięto mu w przewody słuchowe, a pozostałymi otulono mu kark niczym przyciasnym kołnierzykiem. Usłyszał syknięcie, chociaż nie mógł widzieć, że to Marawa wypełnia odwłok niczym balon.

– Ta wstrętna Akka! – Banba podniosła się na kosteczkach i paradoksalnie wyglądała na gotową do walki.

Zupełna nagość sióstr – teraz jeszcze bardziej odczuwalna, bo strach wyostrzył Nino zmysły – prosiła się o okrycie.

8

Wtulona w tron Fódla zawodziła, jakie Zaświaty są bezduszne.

– Służyłaś nam! – wrzasnęła na pajęczycę, a tej aż odwłok zadrżał, raczej nie ze strachu, a z podniecenia, trafnie odgadywał zwierzęce emocje chłopak.

– Obiecałaś przyprowadzić Akkę – odezwała się Banba spokojniejszym tonem, podniesieniem zachowanej kości udowej uspokajając siostry. – Nie wysłaliśmy cię, abyś dała się przekabacić.

– Chłopak ma kilka pytań. – Marawa użyła ust Nino, czego ten nie znosił. – Radziłabym odpowiedzieć, to wszystko u was wróci niedługo do normy. Pomagam. Wymagam jedynie odrobiny zaufania.

– Tyle lat, tyle wieków – ubolewała tym razem Ériu. – A kiedyś byliśmy piękne! Chadzałyśmy po krainie otulone welonami dusz, a te powoli...

– Przestań! – Banba nie wytrzymała, zbyt zakorzeniona w codzienności. – Latarnia nie przepuszcza dusz, kropka! Jak niby mielibyście to zmienić?

Nino nie wiedział, o jakiej latarni mowa, ale i tak nie miał chwilowo nic do powiedzenia.

– Zmieniliśmy taktykę. – Marawa mówiła za siebie oraz za Akkę. – Zaangażowałyśmy rezydentów placówki. – Zdawała sobie sprawę, że takie szczegóły prawdopodobnie nic królowych nie obchodzą. – Potrzebujemy jeszcze odrobiny czasu.

– Tych niedorozwiniętych?! – Na te wieści Banbie opadła kość udowa; królowe wiedziały, co dzieje się wokół przejścia, skoro pajęczycza szpiegowała wcześniej tylko dla nich. – Odkąd zamieszkali tam chorzy, straciłyśmy wszelką nadzieję. Jeźdźcy przejmą karczmę i obrócą ją w pył. Zamkną przejście samą głupotą.

– Demony zostaną ponownie pokonane...

– Co z tego?! – przerwała pajęczką wypowiedź Ériu. – Oczywiście, że zostaną pokonane. Dom ofiaruje... – Kobieta opadła z sił. – Nawet rodzinka myszy pobiłaby tych partaczy!

– Co ofiaruje? – Nino udało się przedrzeć z pytaniem. W jego głowie kłębiły się niewiadome, ze wskazaniem na potwory oraz latarnię.

Królowe przez moment świdrowały go wzrokiem, po czym Fódla otworzyła usta, jakby zdecydowała się podzielić wiedzą.

Nie zdążyła. Nino obudził się zlany potem, bez włosów, ale dziwnie spokojny. Nad reakcjami ciała zapanowała Marawa. Przestało mu już nawet tak zależeć na Sammy, chociaż dalej nienawidził Barta. Chodził przez cały dzień niczym w amoku. Czuł się dziwnie, jakby wciąż nie wybudził się z koszmaru, jakby całe ciało czekało na wieczór i ponowne zapadnięcie w sen.

BART



Cierpienie i ból są niezbędne do przemiany.

Dorota Terakowska, Tam, gdzie spadają anioły

1

Amy rozpoczęła zebranie, wypytując pracowników o pomysły na poprawienie komunikacji z domownikami. Klasnęła nawet w dłonie, wspomogła się garstką wykrzykników, bo poczuła się dzisiaj gotową do akcji koordynatorką placówki! Włosy związała w kucyk, na nos założyła okulary, zamierzając jak najwięcej notować.

Zaczęła od podawania przykładów najnowocześniejszych – głównie technologicznie, lecz i metodologicznie – pomocy w komunikacji z drugim człowiekiem. Szukała czegoś poprawiającego relacje w tej pod wieloma względami zróżnicowanej grupie. Zaproponowała gry oraz zabawy, naciskając na to, by pozwalać rezydentom wygrać. Sammy wtrąciła, że na to trzeba sobie zasłużyć, a porażka uczy pokory, na co Amy tylko pokręciła głową.

– Rezydenci przegrywali już na starcie! – oburzyła się koordynatorka. – Ja bym... – Głos drgnął zapowiedzią łez. – Uczmy się od nich raczej, a nie uczmy ich, dobrze? Szczególnie przegranej.

– John nienawidzi symboli na ścianach. – Bart zmienił temat. – Denerwują go nawet te, które wyrysował. Czy są konieczne, skoro rozmawiamy o komunikacji? Czy nie możemy spróbować schować tych kartek do segregatora? Przygotuję folder – zaoferował, żeby nie obarczać współpracowników. – Dopilnuję, żeby raz w miesiącu każdy z mieszkańców – Bartosz nie lubił słowa „rezydent”, bo czuł, że w jakiś sposób odczuwacza jego przyjaciół – przejrzał całość, kartka po kartce.

Koordynatorka kiwnęła ze zrozumieniem głową. Postanowiła znaleźć jakąś sensowną alternatywę, zadowalającą zarówno Johna, jak i inspektorów z ministerstwa zdrowia, które według niej powinno się przemianować na ministerstwo upierdliwości.

– Segregator nie przejdzie – stwierdziła. – Inspektorzy wymyślili rozwieszanie regulaminów. A co do ścian, to dziękuję, że zreperowałeś odprysk w kuchni.

Chłopak pochylił głowę, zaskoczony, że dopatrzyła się nawet tego.

Amy zapewniła, że może pobrać z kasetki kilka euro, by pokryć poniesiony wydatek na zakup tubki cementu. Dodała, że z naprawami lepiej uważać, bo czasami pod tynkiem można natknąć się na kawałki blachy.

– Ostrej niczym miecz – dodała, jakby to kiepskie porównanie miało dla niej szczególne znaczenie. – Dom jest bardzo stary. Kiedyś ładowano w ściany, co było pod ręką.

Amy nie wypytywała o przyczyny, przy czym wyraźnie cieszyła się z zaradności Bartka. Pochwaliła nawet opiekuna, że ten rozwiązał problem bez obarczania nim pozostałych pracowników.

Pochwałę mogła sobie odpuścić, pomyślał po chwili chłopak, widząc, z jaką zawiścią spojrział na niego Nino. Zatrzymał nawet wzrok na konkurencie do niemieckiego serca, bo ten wyglądał blado. Nie ściągnął też czapki z głowy, a przecież zawsze chwalił się swoimi włosami...

– Nie widzę Johna przeglądającego rysunki. – Amy podeszła jednak sceptycznie do pomysłu Barta. – Może uda ci się go namówić, już mnie pozytywnie zaskakiwałeś, mój drogi, ale inni nie mają szans, by...

– Nie muszą! – przerwał jej opiekun, za co oczywiście natychmiast przeprosił. – Comiesięczne przeglądanie powinno przejednać urzędników, a ja nigdzie się nie wybieram. Później do tego przywykną.

Amy uśmiechnęła się, bo nawet jeśli nie ustalą dziś nic owocnego, to przynajmniej otrzymała istotne zapewnienie: chłopak zostaje na rok.

– Proponuję, żebyśmy dzielili się doświadczeniem, również płynącym z popełnionych błędów. Niech się nam wszystkim dobrze pracuje. – Zakończyła zebranie, zsunęła okulary z nosa i rozpuściła włosy, bo wystarczająco się już dzisiaj naszefowała.

Bartek uśmiechnął się, Sammy również, a reszta pracowników czekała tylko na koniec, bo niespecjalnie interesowała ich ta cała na siłę wałkowana afera związana ze zrywaniem przez Johna symboli.

W spokoju mijały tygodnie, pracowało się lżej, rezydenci nie utrudniali życia i nawet sam John spokorniał, czekając na dzienne lub nocne zmiany Polaka.

Nocki udawało się zwykle przespać, a na dniówkach coraz częściej zdarzało się na moment usiąść. A odkąd Sammy w miarę otwarcie zaczęła flirtować z Bartkiem, ten poczuł się wreszcie szczęśliwy.

2

Bart zainteresował sobą Sammy dopiero na szkoleniu z pierwszej pomocy, na które wysłano ich z początkiem stażu – z dobrym miesiącem temu, w dodatku do Callan, większego od Coolcull. Pojechali na północ nowoczesnym autobusem, z rozpędzonym seterem irlandzkim wyrysowanym na bokach pojazdu. Rozsiedli się z tyłu, plecaki rzucając na dwa skrajne fotele. Żartowali, jedli i pili, chociaż podróż zająć miała jedynie nieco ponad pół godziny. Poza nimi z autobusu skorzystała zaledwie garstka klientów, co i tak nie tłumaczyło wysokiej ceny za przejazd – w dwie strony blisko trzydzieści euro za osobę.

– Będziemy się wzajemnie reanimować? – Nino pierwszy zagadał do Sammy, wciśniętej pomiędzy kolegów. Przysunął się nawet zbyt blisko jak na dziewczęcy gust. – Ciekawe, czy dalej ćwiczysz się oddychanie usta-usta?

– Metodą usta-usta – poprawiła Niemka. – Najbardziej całusna kobieta w historii... – dodała tajemniczo.

Nino nie miał pojęcia, o czym mowa, ale Bart przeszedł już podobne szkolenie pod koniec liceum, więc wziął udział w rozmowie.

– Twarz tego manekina, jakiego używają do ćwiczeń z resuscytacji, jest twarzą dziewiętnastowiecznej samobójczyni z twojego kraju. Porównywano jej uśmiech do uśmiechu Mona Lisy.

– Blisko sto lat później jej twarz stała się twarzą kursów pierwszej pomocy na całym świecie – dodała Sammy, będąc pod

wrażeniem wiedzy Bartka. – Najczęściej całowaną twarzą na świecie. Reanimowaną pewnie miliony razy, a wciąż martwą.

Resztę podróży spędzili na konsumpcji śniadania – autobus złapali przed ósmą rano, żeby zdążyć na zaczynający się o dziewiątej kurs. Jedli dużo i niekoniecznie zdrowo, poprawiając sobie samopoczucie kaloriami. Bartek chciał nawet rozmawiać, wypytać o wrażenia z przenosin do Irlandii, a raczej podzielić się wrażeniami, lękami – tych wciąż nie brakowało, chociaż zarówno Francuz, jak i Niemka zdawali się zaskakująco pewni siebie.

Bartek przeżył szok kulturowy czy raczej serię drobniejszych szoków. Po pierwsze ludzie, Irlandczycy – nastawieni przyjaźnie do obcych, jednak niezainteresowani głębszą znajomością. Ciekawscy, wręcz wścibscy, z drugiej strony zdystansowani, nieco czasami nieszczerzy... Z pewnością mniej od Polaków bezpośredni, równie zabawowi (szczególnie po alkoholu), mniej też smutni, przynajmniej na zewnątrz.

No i te drobiazgi, jakże z początku irytujące! Klamkę trzeba postawić niemalże na sztorc, żeby dało się przekręcić w zamku kluczyk, a pogoda za oknem zwykle może się zmienić, zanim dojdiesz do drzwi. W marketach króluje chleb tostowy, jedzony przez Irlandczyków przykładowo z chipsami, a każdy zlew ma dwa krany, jeden z zimną, a drugi z gorącą, parzącą dłonie wodą. Bez samochodu trudno tu żyć, transport publiczny praktycznie nie istnieje, a taksówki kosztują tyle, co wynajęcie limuzyny w Polsce. W każdym miasteczku słyszy się inny akcent, chociaż kraj należy do najmniejszych w Europie, a na wioskach nie da się farmerów zrozumieć.

– Podoba wam się w Irlandii? – Bartek zapytał dopiero, kiedy opuścili autobus i czekali przed wciąż zamkniętym budynkiem Centrum Nauki i Sztuki, gdzie miało się odbyć szkolenie.

– Cuchnie gównem i najlepiej nie wychodzić z domu bez kaloszy.

Rzeczywiście w powietrzu unosił się zapach bydła, którego na okolicznych polach nie brakowało, padało jednak głównie w nocy, niemalże każdej nocy...

– Nikt tu nie przejmuje się ekologią. – Dziewczyna postanowiła podnieść nieco poziom dyskusji. – Często widzę tylko jeden śmietnik w sklepach, a o szczegółowym podziale na plastik, aluminium i papier zapomnij.

– Wieśniaki – podsumował Francuz, takimi wrzutkami coraz bardziej zrażając dziewczynę do siebie. – Nawet za autobus tyle koszą, że już tęsknię za samochodem.

– Można z tym coś zrobić – zaproponował Polak, chociaż Nino patrzył na niego w stylu: ty tak na poważnie? – Każdy z nas ma prawo do skupienia się na jednym projekcie w ciągu roku, a placówka powinna nas wesprzeć wraz z Erasmusem finansowo, o ile nie poniesie nas z kosztami.

– To jednak cały kraj... – Sammy spodobał się pomysł, ale uświadamianie milionów ludzi to karkołomne i czasochłonne zajęcie, często z góry skazane na porażkę.

– Zacznijmy od Coolcull. Tamtejszy sklep i nasza placówka. Poustawiajmy oznakowane kubły! Możemy wydrukować ulotki...

– I co ci przyjdzie z tych oznakowanych kubłów, Einsteinie? – przerwał mu Nino, mając Polaka już za skończonego idiotę. –

Przyjedzie śmieciarka i wszystko sobie wrzuci razem do gardła i wypieprzy na jedno wysypisko.

– Nauczy to czegoś ludzi... – burknął Bartek, czując, że jest skazany na przegraną. – Rozpocznie ruch...

Sammy spodobał się jednak pomysł kolegi i dumiała nad tym, jak wyegzekwować – przynajmniej od lokalnych firm zajmujących się gospodarką odpadami komunalnymi – obsługę separatorów połączoną wraz z przetwarzaniem surowców. Pozostawić po sobie chociaż trochę dobra.

Drzwi Centrum stanęły otworem, więc nie było sensu dalej toczyć rozmowy. Trójkę wolontariuszy zaprowadzono do sali na piętrze, przed wejściem poproszono ich o zdjęcie butów.

– Tutaj próby ma lokalny teatr i wyłożyli podłogę matami antypoślizgowymi. Prosil, żeby je uszanować.

Uszanowano i buty pozostały na zewnątrz, co trochę zasmuciło Bartka. Wprawne oko z pewnością zauważy jego niepełnosprawność bez wsparcia ze strony fachowego obuwia. Miał przy tym nadzieję, że nowe wkładki nie zdążyły prześmierdnąć. Przynajmniej nie założył dziurawych skarpetek, co jeszcze do niedawna mu się zdarzało, bo i tak prawie nigdy nie ściągał butów.

Szkolenie zaplanowano na trzy i pół godziny, po których – zaliczając krótki test teoretyczny i praktyczny – otrzymywało się certyfikat ratownika pierwszej pomocy. Normalnie szkolenie zajmowało trzy dni, gdzie wpierw skupiano się na teorii, w drugi dzień na reanimacji, a w trzeci robiono szybką powtórkę z rozrywki i wspomniane testy, ale z racji pandemii wielu ćwiczeń zakazano, a i resuscytacja musiała odbywać się bez kontaktu ust z manekinami – również w wypadku ewentualnych interwencji w placówce

zasugerowano, by skupić się tylko na uciskaniu klatki piersiowej nieszczęśnika.

Poza tym instruktor przypuszczał, że ma do czynienia z opiekunami medycznymi (wysłano ich tu z placówki opieki), więc pozwolił sobie na dodatkowe ustępstwa czasowe – naciskany tak naprawdę przez Amy próbującą coś przyoszczędzić; półdniowy kurs wychodził znacznie taniej od trzydniowego...

Żaden z młodych nie wyprowadził instruktora z błędu i rozpoczęło się szkolenie, które miało na długo pozostać w jego pamięci.

3

Szkolenie rozpoczęło się spokojnie, dłuższym monologiem prowadzącego, przerywanym wyświetlaniem slajdów o często niepokojących wizualnie treściach, pełnych zdjęć poparzeń, złamań czy ran. Prowadzący miał zresztą przygotowane dwie prezentacje, pierwszą dla laików, niespecjalnie ostrą i w zasadzie nadającą się nawet dla dzieci, i drugą bliższą ratowniczej prawdy, szczególnie dla opiekunów z podobnych do tej w Coolcull placówek.

– Złamania i oparzenia mamy odhaczone oraz legislację. – Instruktor spojrzął do notatek. – Przerwy nie robię, bo i tak jesteśmy tu na pół dnia, więc może uda się przynajmniej skończyć nieco przed czasem. No i miało nas być więcej, dokładnie o cztery osoby z Centrum, ale ktoś im z kadry niestety umarł i mają pogrzeb. Przynajmniej dostaliśmy klucze, a Amy powiedzcie, że nie zmieniam faktury, czyli dzisiejszy kurs za pół ceny. – Dało się zauważyć, że jednak go to trochę zabolalo.

Wolontariuszy ucieszyło ewentualne wcześniejsze zakończenie tortur. Bartkowi niedobrze się robiło, szczególnie odkąd wyświetlono zdjęcie złamania otwartego, Sammy dla odmiany nużyły zbyt długie pogadanki między zdjęciami o oczywistościach w stylu: jak założyć opatrunek. Nino zgłodniał i myślał już tylko nad liczbą i jakością restauracji w tym miasteczku.

Wyłączali się, nie słuchali, co instruktor brał za znużenie podstawami, jakie musieli tutaj przerobić.

– Dobra, przejdziemy do defibrylatora! – Spróbował zarazić entuzjazmem młodych. – Mój jest treningowy. – Wysunął przed siebie torbę z urządzeniem. – Pewnie już to przerabialiście, ale warto powtórzyć, bo ratuje życie prawie za każdym razem, w odróżnieniu od resuscytacji krążeniowo-oddechowej wykonywanej tylko za pomocą rąk i ust.

– A jak często udaje się uratować kogoś bez defibrylatora? – Sądząc z filmów, jakie Bartek oglądał, metoda usta-usta wyglądała na bardzo skuteczną.

– Mniej więcej raz na dziesięć prób – padło w odpowiedzi, co nie wyglądało zbyt obiecująco. – Ważne jednak, by się nie poddawać i czekać na pomoc, na karetkę z defibrylatorem. Może być tak, że miną długie minuty, zanim ta pomoc nadjedzie, szczególnie w Irlandii – pozwolił sobie ponarzekać – gdzie w samym hrabstwie Kilkenny, gdzie teraz jesteście, na przeszło sto tysięcy populacji mamy jedynie dwie karetki na służbie każdej nocy. Użycie defibrylatora w pierwszej minucie po zatrzymaniu akcji serca zwiększa szanse przywrócenia funkcji życiowych pacjenta aż do dziewięćdziesięciu procent.

– A gdzie je można znaleźć? – zapytała Sammy.

– Z tym ostatnio lepiej, większość siłowni, centrów handlowych, klubów bokserskich czy ośrodków medycznych zaopatrzyła się w podobne – mężczyzna klepnął w torbę – urządzenia. Koszt jest jednak spory, średnio ze dwa tysiące euro za sztukę, poza tym trzeba je regularnie wymieniać, ale jak mówiłem, ratują życie praktycznie za każdym razem. Najbliższy mają tu, w Centrum, a kolejny u lekarza rodzinnego na końcu Bridge Street, czyli jakieś dwieście jardów stąd. Szkoła podstawowa również nabyła jeden, a u was, w Coolcull, znajdziecie taki w spożywczaku, do którego na pewno chodzicie. –

Instruktor sporządził szczegółową listę punktów z defibrylatorem dla miast i miasteczek, z których przyjeżdżali kursanci.

Mężczyzna wstał i powyciągał z toreb manekiny, o których młodzi rozmawiali w autobusie. Dwa typowe, z twarzą Francuzki, a trzeci fantom dziecka, na którego widok wzdrygnął się Bartek.

– Tak, zdarza się, że i dzieciom trzeba pomóc – zauważył instruktor. – Szczególnie kiedy już raczkują i zaczynają podnosić wszystko z podłogi, i ładować do buzi.

Przeszli wreszcie do praktyki, do ćwiczeń na fantomach, co chwilę wycieranych chusteczkami dezynfekującymi. Szło im całkiem nieźle, chociaż Nino trzeba było spowolnić, a Barta poprosić, by naciskał na klatkę piersiową manekina nieco szybciej i regularniej. Resuscytacja okazała się męczącym zajęciem, za to defibrylator spodobał się każdemu. Wystarczyło włączyć urządzenie, a to mówiło o kolejnych krokach do podjęcia, analizowało pracę serca pacjenta i instruowało komendami głosowymi.

– Genialne – podsumowała Sammy, dumna z ludzkości, że ta zdołała stworzyć tak przydatne urządzenie.

Zresztą całą trójką nie szczędzili pochwał, co trochę zdziwiło instruktora, przekonanego, że już wcześniej ktoś ich z reanimacji szkolił. Żaden z podeksycytowanych wolontariuszy nie wyczuł obecności Akki, która w bezzapachowym milczeniu przechadzała się od dłuższego czasu po pomieszczeniu, wciąż niezdecydowana, czy powinna raz jeszcze przetestować przybyłych nastolatków, czy może nie stresować ich już aż do momentu, kiedy będą naprawdę potrzebni.

Pragnęła wiedzieć, czy zachowają zimną krew w chwilach wysokiego stresu. Dlatego musnęła klatkę piersiową

czterdziestoparoletniego instruktora, lekko naciskając na nią opuszką palca serdecznego.

Mężczyzna, który do tej pory klęczał nad jedną z lalek, upadł przekonująco na twarz.

– Jerry?! – Sammy pierwsza skorzystała z wiedzy wyniesionej z niemalże już zakończonego szkolenia. – Nie reaguje – zameldowała chłopakom, po czym wraz z Nino przewrócili mężczyznę na plecy.

Francuz nie wyczuł tętna na nadgarstku instruktora, a Sammy w tym czasie przyłożyła ekran telefonu do ust i nosa pacjenta, ale na szybko nie pojawiła się mgiełka.

– Nie oddycha, zatrzymane krążenie. – Przejęła dowodzenie. – Nino, dzwoń na sto dwanaście, zbiegnij na dół, do recepcji, gdzie powinni mieć na czymś wydrukowany adres tego miejsca. Najważniejszy jest kod pocztowy, bo tutaj przypisany jest do budynku. Wezwij karetkę i wróć do mnie! – To ostatnie dodała od siebie, ale chciała mieć pewność, że koledze udało się wykonać zadanie. – Bart, ty pędź za Nino i poszukaj tego defibrylatora! Powinien być na ścianie, pewnie w tej głównej sali na dole, ewentualnie w kantynie lub kuchni! Na bank w widocznym miejscu! – dodała, ale Polaka już nie było.

Dziewczyna w tym czasie sprawdziła, czy nic nie blokuje dróg oddechowych, po czym przystąpiła do resuscytacji krążeniowo-oddechowej. Trzydzieści uciśnień przerywała jednym oddechem, niepokornie i ryzykownie, skoro instruktor prosił, by tego z racji pandemii nie robić. Przynajmniej użyła maski, jaką ten sprezentował im po sztuce na początku szkolenia.

Minuta dłużyła się, płynnie przechodząc w drugą i trzecią. Ręce piekły, pot zrosił czoło Samantha.

Nino z Bartkiem wpadli do pomieszczenia w tym samym czasie. Polak przekazał urządzenie dziewczynie, a sam przejął obowiązek reanimacji, odpuszczając sobie jednak sztuczne oddychanie. Sammy zresztą uwinęła się z elektrodami, jakby robiła to już dziesiątki razy. Zaimponowała kolegom, Akce; zaimponowałyby również instruktorowi, gdyby ten nie stał chwilowo po stronie Śmierci.

– Karetka już jedzie – zameldował Nino, kiedy defibrylator kazał im się odsunąć i posłał do ciała pierwszy impuls elektryczny.

– Wracaj na dół i pokieruj załogę ambulansu do nas, żeby nie szukali! – padł rozkaz.

Instruktor odzyskał przytomność jeszcze przed przyjazdem karetki, jednak nie ściągnięto elektrod defibrylatora, który wciąż monitorował pracę jego serca. Samantha przemawiała do pacjenta spokojnie, tłumacząc, co się stało, i zapewniając, że akcję reanimacyjną podjęli bezzwłocznie, więc powinien wkrótce wrócić do pełni zdrowia.

Zadowolona Akka opuściła Centrum Nauki i Sztuki, pędząc na pokryte siatkami łąki, by świętować w gronie świetlików sukces trójki jej wybrańców.

4

Instruktor przeżył i rzeczywiście wrócił do zdrowia, poza tym dziwiono się, że doszło do nagłego zatrzymania krążenia, bo ani nie było mowy o większym wysiłku, ani nie doszukano się u pacjenta żadnej wady serca. Zero zatorów, krwotoków, hipotermii czy hipoksji. Nie było mowy o chorobie wieńcowej, zawale czy odmie, wręcz przeciwnie, ordynator szpitala twierdził, że serce Jerry'ego mogłoby posłużyć za wzór do atlasów anatomicznych. Wykluczono też porażenie prądem czy niewydolność oddechową, czyli przyczyn nie znaleziono, więc cieszą się z przywrócenia go do zdrowia, do życia.

O wolontariuszach lokalnie zrobiło się przez moment głośno, jak i o placówce, co ucieszyło koordynatorkę, przywykłą ostatnio do złych wiadomości. Dwa tygodniki – „Kilkenny Observer” oraz „Kilkenny People” – napisały o akcji ratunkowej, zamieszczając krótki wywiad z Jerrym. Dziennikarzom nie chciało się jechać do placówki, ale przynajmniej w miarę bezbłędnie (z Bartosza zrobili Bartozsa) podali imiona i nazwiska nastolatków – te wzięli od instruktora z listy obecności na szkoleniu, które całą trójką oczywiście zaliczyli.

Szybko trzeba było jednak wracać na ziemię, do pracy, na dniówki oraz nocki, a po kilku tygodniach temat wygasł, zastąpiony codziennymi problemami rezydentów czy próbami rozwikłania przez Bartka zagadki mitologicznej.

Królowi na koniec odcięto głowę, więc Bart planował rozmowę z mieszkańcami placówki o ostatnich akapitach wyczytanego mitu, chociaż czasu na rozmowy mieli mało – jedynie rankiem i tylko wtedy, kiedy Bartek zostawał na dziennej zmianie. Nie zawsze też wszyscy rezydenci byli o świcie na nogach.

Dlatego podczas kolejnego śniadania w komplecie, wpięty wypełniwszy kuchnię aromatem smażonej na maśle dymki, chłopak zaczął od konkretów.

– Pamiętacie opowieść o królu?

Pamiętali.

– Odcięta głowa, leżąc na ziemi, wyrecytowała wiersz. Nie wiem, jak odcięta głowa może mówić, kiedy nie ma płuc. Nie powinna otrzymywać powietrza potrzebnego, by struny głosowe...

– Klątwę – spróbował pomóc John.

– Wiersz – powtórzył Bart, za co od razu przeprosił, bo John ścisnął widelec, który zniekształcił się, jakby był zrobiony z plasteliny. Poza tym translator bywał zawodny, za to siła Johna nie.

Opiekun zaczynał właśnie ciągnąć wątek, jednak pozostali wolontariusze weszli do kuchni i trzeba się było brać do gotowania obiadu i miłej konwersacji z zarumienioną Sammy, która emocjonowała się tym, że ponoć Nino ściął włosy, ale nie chce o tym rozmawiać, czyli prawdopodobnie wpada w depresję z powodu tęsknoty za domem i może warto byłoby coś z tym zrobić. Polak obiecał porozmawiać z koordynatorką, skoro Niemka nie chciała, mówiąc, że zbyt wiele ją z Francuzem na początku łączyło. Szczegółów jednak, mimo próśb Bartka, nie zamierzała podawać. Zdenerwowała się nawet, kiedy zbyt mocno naciskał, dlatego odpuścił i

wziął się do pracy, udając obrażonego, co nikogo specjalnie nie obeszło.

Wolontariusze sprząтали, odhaczali okienka na regulaminowych listach, a od pichcenia czy od rozwiązywania problemów z rezydentami mieli Barta. Nino trzymał się na uboczu, milczący i błąd, a na pytania o samopoczucie odpowiadał francuskim *ça va*. Sammy zabawiała podopiecznych, dopilnowała również, by dzień mijał zgodnie z harmonogramami rezydentów.

Stanowili zgraną ekipę, nawet kiedy każdego coś gryzło.

– Żadna z rzek nie dała grzesznikowi wody. – Kolejnego ranka Fiona opowiedziała drużynie nieco więcej o historii irlandzkiego króla. – Wiedźma twierdzi, że jego przyjaciel jeździł z kubkiem. Dopiero wiedźma zdołała pomóc.

Bartek nie rozumiał, jak rzeka nie dawała wody, ale wciąż pamiętał koszmar z trupozem i odparowanym stawem.

– Druga wiedźma? – Ze słów Johna biła nieufność. – Czarna?

– Biała, dobra wiedźma. – Fiona uspokoiła współmieszkańców. – Istnieją dobre wiedźmy, bo są dobrzy opiekunowie. – Uśmiechnęła się zalotnie do Barta, na co Michael spochmurniał.

Fiona wyglądała jak zwyczajna osoba mijana na irlandzkiej ulicy. W średnim wieku, średnio urodziwa, za to wysoce nieśmiała. Była ponoć upośledzona umysłowo, chociaż w jej teczce nie dało się znaleźć niczego poza stwierdzeniami o problemach z nauką. Wysławiała się płynnie, przy czym lubiła przeciągać samogłoski i unikała długich zdań. Łatwo panikowała i nakręcała się negatywnymi informacjami, ale pod ten opis można by równie dobrze podciągnąć połowę społeczeństwa.

– Czyli to ten przyjaciel wrócił z wodą od dobrej wiedźmy, ale spóźnił się i zabito spragnionego, czyli osłabionego króla. – Bart zignorował zaloty rezydentki. – Z jaką wiedźmą rozmawiacie? – Starał się pociągnąć podopiecznych za język, ale próba ta spełzła na niczym. Czyżby Sammy?, dumał, ale nie potrafił uwierzyć w okrucieństwo Niemki. Michaela zraziła uwodzicielska próba Fiony, a Fionę brak jakiejkolwiek reakcji ze strony opiekuna.

– Klątwa Da Dergi! – John włączał już swój tablet. – Piekielna!

– Dlaczego jakiś dawny król miałby nas przekląć?! – Bart uniósł głos, więc kubek Johna przeciął powietrze i uderzył plastikiem w ścianę, rozpadając się na dziesiątki kawałków, z których sporo utkwilo w tynku. – Przepraszam – wybąkał Polak. – Nie będę już krzyczał. – Klapnął na stołku i opadł z sił.

– Klątwa na wiedźmę i jeźdźców. – Michael wziął nóż do masła, po czym zajął się sprawnym usuwaniem plastiku ze ściany.

– Wiesz, że nasz dom nazywają latarnią morską? – zapytała opiekuna Fiona, która już zdążyła zapomnieć o wcześniejszym niepowodzeniu.

– Wiem. Z irlandzkiego *Teach Solais*. Wykuli to w kamieniu zawieszonym nad głównym wejściem.

Kobietę ucieszyła odpowiedź opiekuna, ale nijak jej nie skomentowała.

– Bracia zamienili się w demony? – dopytywał chłopak. – To oni są tymi jeźdźcami, prawda?

– Jeźdźcy nie zaznają spokoju, dopóki nie odzyskają karczmy – odparła Fiona.

– Na granicy życia i śmierci. – Michael usunął plastik i zaniósł jego kawałki do śmietnika.

– Chcą przerwać klątwę – doprecyzował John.

Bart był pod wrażeniem tak długiej rozmowy w wykonaniu zwykle małomównych podopiecznych.

– Zabili Jasona i Kelly! – zdenerwował się John, czym zepsuł opiekunowi i tak już nadpsuty humor.

– Jasonowi krew nie dopłynęła do mózgu; poniekąd pozbawiono go głowy! Klątwa, czyli historia zatoczyła koło... Ten, kto was nastraszył, chyba posunął się za daleko. – Bart rozważał powiadomienie policji, ale z drugiej strony nie wiedział, co sensownego, poza przypuszczeniem, że Nino pozwolił sobie tutaj na zastraszanie, sprytnie łącząc dość przypadkowe fakty ze starą opowieścią, mógłby zameldować oficerom. Zdecydowanie mają ważniejsze sprawy na głowie.

– Kelly ostrzega. Jason też. – John odpalił pierwszy klip i rozmowa dobiegła końca.

– Nie musicie we wszystko wierzyć. Gdyby groziło wam niebezpieczeństwo, czy nie mielibyśmy tu pełno policjantów, a placówkę przenieśliby w inne miejsce? Po co ktoś miałby wciąż umierać za starą klątwę? – Opiekun nie pojmował. – Jeźdźcy dawno przejechali dom. Wybaczcie, ale nie stanowilibyście dla demonów przeszkody.

– Kelly broniła – mruknął znad tabletu John. – Kelly silna.

Fiona podeszła do Polaka na krok i nie została w niej ani iskierka nieśmiałości.

– Kelly powinna żyć – rzuciła. – I Jason. Uwierzyliśmy, że jeźdźcy zniknęli. Wracają. Może ktoś wniósł do domu czerwień.

– Na ustach – bąknął Bart, za co od razu przeprosił. – Każdy ma czerwień na ustach, a dziewczyny używają pomadek – dopowiedział

tym razem poważnie. – Krew jest czerwona i język! – Chłopak czuł, jak coraz mocniej do bram jego mózgu puka szaleństwo. – Nie da się nie wnosić czerwieni!

– Krew się nie liczy – zapewniła zarumieniona Fiona. – Nawet menstruacyjna – wypowiedziała powoli trudne słowo. – Przedmioty są ważne. Taka czerwien zachęca jeźdźców do odwiedzin. W taki sposób można ich zaprosić. Z czerwieni odzyskują siły.

– To nie wampiry! – jęknął Bart, ale nie miał co do tego pewności. Irlandzkie mity ponoć nie stroniły od wampirów. – A czerwieni nie da się kompletnie uniknąć. Chociażby bielizna! Ktoś musiał coś prędzej czy później wnieść. Czerwone majtki albo skarpetki. Kabel do ładowania telefonu lub jakiś drobiazg w torebce.

– Wnieść można – westchnął John. – Nie ofiarować.

– Nie z premedytacją? – Chłopak pojął dziwaczną regułę.

– Niedługo zaatakują. – Fiona ponownie owijała kosmyk wokół palca. – Nocą, na rumakach. Pomożesz nam?

Nawet John podniósł wzrok znad tabletu; za oknem mignęła biała kotka.

Bart przytaknął, byle uspokoić rezydentów. Odstraszenie zdecydowanie mu nie wychodziło i tylko czuł, że wpakują się w tarapaty.

W głowie układał sobie zdobyte fakty. Czerwien przywoływała demony. Stanowiła dla nich przy tym pewnie i hołd. Bez wezwania nie mogą przyjechać, a przynajmniej raz już zostali pokonani, przez Kelly. O czasach między wydarzeniami z mitu a zamieszkaniem w placówce rezydentów chłopak nic nie wiedział. Dziwił się, że jeźdźcy – gdyby jednak istnieli, co powoli rozważał, raczej wkręcony w zabawę intelektualną niż skłonny do wierzenia w tak wierutne

według niego bzdury – nie spróbowali odzyskać domu przez całą masę wcześniejszych wieków.

A może próbowali? Nad tym rozmyślał przez większą część dnia.

5

Bartek próbował wydusić coś więcej z rezydentów, ale ci nalegali, aby dał spokój. W pewnym momencie zaczęli wręcz unikać Barta! Szczęśliwie dla ego chłopaka Amy oraz Sammy miały tego dnia wolne – od zawsze patrzył na siebie oczami innych – a Nino gdzieś przepadł; niby pojechał po zakupy.

Osamotniony zadzwonił nawet do koordynatorki, by podzielić się obawami co do zdrowia psychicznego kolegi – obawami Sammy, niekoniecznie jego. Amy burknęła tylko, że już rozmawiała z Francuzem i ścięcie włosów związane jest z pewną dolegliwością, o czym obiecała milczeć; zapewniła również, że o depresji nie ma mowy, wręcz przeciwnie, chłopak bardzo sobie chwali pobyt w Irlandii i spokorniał wreszcie trochę.

– Zrozumiał, co jest ważne, a do czego nie powinno się przywiązywać aż takiej wagi – dopowiedziała nie bez dumy.

– Sammy się martwi – rzucił jeszcze Polak.

– Bo się ze sobą przespali – palnęła koordynatorka, zmęczona bzdurnymi dla niej dramataми młodzieży. – Nie mów mi, że nie wiedziałeś – dodała, gdy po drugiej stronie zapadła cisza. – Ponoć dużo ostatnio ze sobą rozmawiacie...

– Wiedziałem – rzucił niepewnie Bart, po czym pożegnał się i rozłączył.

– Nocą walczyłyśmy. Widziałam na spacerze ślady kopyt – odezwała się Fiona, wchodząc do kuchni. – Poczzerwieniałe ślady –

uściśliła, uprzedzając potok wątpliwości gotowy wypłynąć z ust opiekuna. – Nabierzmy sił. Nie hałasuj, nie włączaj zmywarki. Nie rozmawiaj głośno z tym opiekunem z agencji. Musimy się zrelaksować. A jak Nino wróci, to wyślij go do domu.

Bartek ciągnął dniówkę wraz z na oko sześćdziesięcioletnim mężczyzną, który większość czasu przysypiał przy biurku Amy. Rozmowa, choćby zdawkowa, raczej rezydentom nie groziła. Wreszcie pojawił się i Nino, ale ten wystrzegał się towarzystwa Polaka – wzajemną pogardę zbudowali na zazdrości, a takich murów nie zburzy czas czy troska o czyjeś zdrowie. Francuz zniknął gdzieś na całe kwadransy pod pretekstem ważnych telefonów od lub do rodziny. Coraz częściej spędzał zmiany na wymigiwaniu się od pracy lub czytaniu po kątach, o co Bart by go wcześniej nie posądzał.

Bartek nawet wolał zostać sam. Próbował zebrać myśli, tylko niewiele było do zbierania: rezydenci wierzyli, że w nocy przybędzie pod placówkę trójka na wpół mitycznych (zwanych jeźdźcami, czyli pewnie przyjadą na wspomnianych przez Fionę koniach) demonów, którym należy złoić skórę, inaczej wymordują mieszkańców i przejmą dom. Kiedyś pokonała ich Kelly, według Johna silna, czyli na pewno silna, skoro sam zgniatał widelce niczym plastelinę.

– Nie walczysz – uspokoił go przy kolacji najbardziej zaprzyjaźniony rezydent, źle odgadując zaniepokojenie przyjaciela.
– Siedzisz w domu.

– Siedzisz na dupie – dodał Michael, po czym ryknęli z Johnem śmiechem, a Bart poczuł się wyjątkowo głupio.

Nie zrozumiał, że w ten sposób odreagowywali stres.

– Jeśli planujecie ucieczkę... – Opiekun pohamował się jednak i nie podniósł głosu ani o decybel. – Wolałbym, żeby to był żart.

Zjedzmy coś, obejrzymy film albo zagrajmy w karty! Jest tyle ciekawszych rzeczy do zrobienia.

Nic nie odpowiedzieli. Czekali na wroga.

6

O dwudziestej pierwszej, zgodnie z planem placówki, zakończono dzienną zmianę. Rezydenci zostali z Bartoszem, któremu przypadła nocka, a posądzany przez Polaka o szerzenie mitycznych bzdur Nino poszedł bez słowa pożegnania do domu, oczywiście w czapce; czapek miał już pełen stylowy zestaw, chwalony przez Sammy ku irytacji Polaka. Opiekuna z agencji trzeba było obudzić, bo przysnął na fotelu Amy. Na wieść o zakończonej dniówce od razu nabrał życia, odmłodził. Uścisnął Bartowi dłoń i zniknął w malutkim nissanie, by ruszyć w sobie tylko znanym kierunku.

Bartek upewnił się jeszcze, czy Francuz na pewno opuścił placówkę. Nie chciał, żeby Nino miał jakąkolwiek satysfakcję z wkręcenia biednych rezydentów. Postanowił dokładnie obserwować ciąg następnych wydarzeń i odnotować jakiegokolwiek próby ingerencji ze strony kolegi z pracy lub kogokolwiek innego.

– Zostaliśmy sami – zapewnił Johna po sprawdzeniu zarówno góry, jak i dołu. – Nino zabrał telefon i ładowarkę. – Francuz czasem o tym zapominał, wtedy zwykle się wracał, czego woleliby dzisiaj uniknąć. – Poszedł do domu, do Sammy – dorzucił ze smutkiem w głosie.

Placówka wynajmowała wolontariuszom mieszkanie z trzema sypialniami w Coolcull, blisko jedyne sklepu spożywczego w okolicy, góra dwadzieścia minut spacerkiem od *Teach Solais*. Bartosz, z racji dzieciństwa w Wieszczyźnie, nie widział w tym problemu,

ale pochodząca z Hamburga Sammy czy Nino z Bordeaux ciągle narzekali na małomiasteczkowość tego zakątka Irlandii. Narzekanie wpierw ich zbliżyło, co trapiło Barta, szybko jednak pogodnej Sammy odechciało się marudzenia na rzeczywistość, tym bardziej że nie miała na ten jej aspekt wpływu. Wybrała weselsze rozmowy z niegłupim Polakiem; przynajmniej stanowił pewnego rodzaju wyzwanie, kiedy Nino drażnił ją jako typowa osoba łaknąca pochwał i uwagi, starająca się przypodobać innym.

– Leki. – John przypomniał opiekunowi o obowiązkach.

Podano więc leki, wymyto zęby, naczynia, podłogi oraz łazienki. Wypełniono raporty i odhaczono w formularzach to, co należało odhaczyć. Wyczerpany fizycznie oraz psychicznie Bart dreptał nerwowo po kuchni, gdzie John kończył oglądać serię zwiastunów, bo ani na film, ani na książkę nie miał ochoty. Fiona z Michaelem ponownie mieli się ku sobie na sofie w salonie. Fiona droczyła się z pobudzonym współmieszkańcem raczej z nudów niż z miłości. Umiarkowaną namiętnością zabijali czas.

– Za dom – odezwał się wreszcie John, wyłączając tablet. – Słyszę ich!

Tym wyzwaniem zaskoczył Bartka, zdarzało się przecież, że rezydent nie reagował na wycie alarmu przeciwpożarowego!

– I tyle?! – zdenerwował się Polak.

Tyle. Żadnych szczegółów, żadnych sensowniejszych wyjaśnień. Rzucił sobie John zdaniem, po czym poczłapał do biura, żeby podłączyć tablet do ładowania! Bart kompletnie nie pojmował tej ich bez troski. Miał tylko nadzieję, że co najwyżej wybiegną na zewnątrz, przewieje ich trochę i wrócą przemarznięci do łóżek.

– Nie próbujcie nigdzie wychodzić – zdecydował się jeszcze ostrzec Johna. – Nie pozwalam szwendać się po nocy.

– Nie masz przy sobie nic czerwonego? – rzuciła do coraz bardziej zdenerwowanego opiekuna Fiona, która wraz z kochankiem opuściła salon. – Michaelu, ręce przy sobie! – skarciła adoratora. – Później! Oszczędzajmy siły.

– Czerwone twoje usta mokre – flirtował niezrażony kawaler.

Uśmiech rozkwitł na kobiecym obliczu, ponieważ zmotywowany Michael najwidoczniej skupił się na obiecującym słowie „później”, więc Fiona wiedziała, że zawalczy dla niej nawet z setką jeźdźców.

Dziesiąta minęła we względnej ciszy przerywanej jedynie cmoknięciami – romantycznymi, zatem dopuszczalnymi według standardów placówki. John ziewał, ponieważ dziesiąta to jego godzina na spanie, a Bart dla uspokojenia zabrał się do pracy: kroił warzywa, których przemienione w drobną kostkę stosiki rosły. Ładował nadprodukcję w torebki i wrzucał do zamrażarki, i tak już zapełnionej.

– Nakarm kota! – Fiona odkleiła się od Michaela, bo przypomniała sobie o czymś ważnym.

– Karmię – prychnął Bart. – Kilka razy dziennie. Wszystko zżera. Może się okoci? – dorzucił, ale niewiele wiedział o kotach, zresztą nikt go i tak już nie słuchał.

John zniknął w salonie, a po chwili wrócił z gitarą.

– Walcz. – Podał przedmiot Bartowi, który wpierw wytarł dłonie w ręcznik. – Tym. – Skinął na instrument, po czym podrapał się za uchem.

– Przecież miałem nie walczyć? – Polak zgłupiał. – Czyli zabieracie mnie jednak ze sobą?

– Nie walcz – rzuciła Fiona. – Możesz zagrać coś skoczego. Jeśli wejdą do środka, raczej zginiesz.

Bart przejął gitarę bez słowa. Położył broń-instrument na kuchennym blacie tuż obok noża do warzyw, który wydawał mu się sensowniejszym wyborem zarówno do samoobrony, jak i wycieczki w nieznane, jeśli przyjdzie mu szukać zwariowanych rezydentów po okolicy.

Nie spuszczał mieszkańców z oka.

Oczekiwanie ciągnęło się jeszcze przez ponad godzinę i przynajmniej kotka zdążyła wrócić do domu. Jadła kulturalnie, powoli, jak nie ona, nie brudząc sobie pyszczka. Wyglądała tak ślicznie, że Bart zapomniał na moment o zagrożeniu.

Zwierzęcą ucztę przerwał tętent i rzenie koni. John klasnął w dłonie, a Bartosza przytknęło.

– Nino? – Ratował się przypuszczeniami. – Puszczą z telefonu?

Michael odskoczył od Fiony i dla odmiany poruszał się szybko, niczym irlandzki król walczący z setkami wrogów. W obu dłoniach błyszczały mu noże do masła, a szeroko otwarte oczy, zwykle sklezione i na wpół domknięte, bacznie obserwowały kuchenne okna.

Fiona, jak na damę przystało, beknęła w zaciśniętą piąstkę, po czym podeszła pewnym krokiem do tylnych kuchennych drzwi. Otworzyła je z cichutkim skrzypnięciem. Chwyciła za łańcuch, którym mocowało się klamkę do niedalekiego metalowego słupa, gdy wietrzyli kuchnię po gotowaniu. Pociągnęła za ogniwa, rozrywając niejedno z nich. Najdłuższy ocalały kawałek łańcucha owinęła sobie wokół przedramienia. Spoglądała jeszcze przez moment na sam wbetonowany w ziemię słupek, jednak postanowiła pozostawić go na razie w spokoju.

Widok przyjaciół aż tak gotowych do walki przeraził Bartka. Ich siła oraz szybkość pasowała raczej do marvelowskich produkcji filmowych. Zaczęło mu szumieć za uszami, serce przyśpieszyło, oddech również.

– Wkręcają mnie – powtarzał to raz szeptem, raz niemal krzykiem.

– Uspokój się. My nie walczymy – przypomniała opiekunowi kotka. – Pozostajemy neutralni, dopóki jeźdźcy nie wejdą do środka.

Bart pokiwał głową, spojrział na Śnieżkę i zemdlał.

7

Obudziło go rzenie koni, tak wyraźne, jakby te zwiesiły tuż nad nim łby. Chłopakowi zmroziło krew w żyłach jedno słowo: schizofrenia. Przeraził się, że rzeczywiście jest ciężko chory i cała ta pani psycholog wiedziała jednak, co robi, sugerując wizytę u psychiatry. Żał mu się zrobiło siebie, rodziców, a później Sammy, czyli jednak ponownie siebie.

– Wstawaj! – Kotka lizała Bartka po uchu językiem gorącym, piekącym lekko. – Przepraszam, że cię wystraszyłam. Nie pomyślałam. Zawsze jestem podenerwowana przed walką mieszkańców domu.

– Kim jesteś? – Bart z trudem podniósł się na łokciach, wkurzony na siebie za toczenie rozmowy z urojeniem. W głowie szumiało mu jak po alkoholu. – Śnię? Zachorowałem?

– Chciałbyś. Po tym, co zobaczysz, jeszcze długo nie zaśniesz, a i twojej głowie nic nie dolega. Jestem białą wiedźmą. – Śnieżka uśmiechnęła się oczami i pyszczkiem. – Opowiadali ci o mnie, prawda? Poza tym czytałeś o wydarzeniach z początków hostelu, kiedy ofiarowałam królowi wodę. To ja mówiłam rezydentom o przeszłości, żeby zrozumieli, co z nimi tu się dzieje. Wiem, że podejrzewałeś biednego Nino, bogu ducha winnego chłopaczka. Bronię tego miejsca przed jeźdźcami, rozumiesz? Robię to od tak dawna, że coraz mniej mi na czymkolwiek zależy. – Nieco minęła się z prawdą.

Bart w osłupieniu spoglądał na gadającą kocią mordkę. Był w takim szoku, że nawet omdlenie nie wchodziło w grę.

– Słuchaj, nieszczęśniku, pomogę wam ze szczególną zajadłością, bo mnie karmiłeś. Pomogę, chociaż jestem tak bardzo zmęczona.

– Dziękuję... – Polak nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

– Nikt cię nie prosił, a zaopiekowałeś się mną jako pierwszy z opiekunów placówki. Nikt nigdy nie napełniał mi miski, choć stała przy kuchennym rogu. Wiesz dlaczego?

Bart wiedział. Nie za to im płacono i nikt nie umieścił tego oficjalnie w zakresie obowiązków, których nie brakowało.

– Zrozum, tyle rzeczy do zrobienia. – Chłopak stanął jednak w obronie współpracowników, wciąż zły na siebie, że dalej rozmawia z tym urojeniem. – Często nie wiadomo, w co ręce włożyć. A ja wziąłem niedawno mocną tabletkę xanaksu i chyba narozrabiałem; teraz mi się coś w głowie na stałe przestawiło... Słyszałem, że takie leki mogą stać się katalizatorami pewnych cho...

– Nic ci nie jest! – Zaczął wyprowadzać kotkę z równowagi. – Ludzie żrą ten twój xanax tonami. I nie bój się, nie zamierzam nikogo karać, jestem przecież białą wiedźmą. – Niby zażartowała, ale zabrzmiało to śmiertelnie poważnie. – Zamieszkałam z wami, żeby pilnować mieszkańców przed jeźdźcami. Król niechcący i na mnie rzucił klątwę – miauknęła smutno, po czym polizała się po ciemnej tylnej łapie. – Przyjaciel króla spóźnił się i nic już nie mogłam zrobić. Teraz trawi mnie głód, ale i tak zawsze udzielam mieszkańcom wsparcia.

– Kto był tym przyjacielem? Dlaczego w ogóle rozmawiam z kotką?! – Podniósł się, żeby pójść jednak po lek, chociaż bał się, że

dwa razy to już uzależnienie.

– Rozmawiasz z wiedźmą, nie z kotką. Zapomnij na chwilę o moim zwierzęcym wyglądzie. A pytasz mnie o przyjaciela króla, bo tego elementu brakuje ci w układance, prawda? – Wiedźma miała dość irytujący zwyczaj kończenia zdania pytajnikiem. – I nie bierz tych prochów! – miauknęła wyjątkowo głośno. – Musimy pozostać czujni!

– Kto był tym przyjacielem? – Bartosz zamknął jednak szafkę z lekami. Postanowił dociągnąć jakoś do rana, kiedy poprosi koordynatorkę o pomoc terapeutyczną. Spokojna rozmowa z urojeniem pomagała w zabijaniu minut.

– Vincent Da Derga, karczmarz – miauknęła kotka zgodnie z prawdą. – Opowiem ci o nim więcej, jeśli przeżyjemy noc.

– Karczmarz pomagał królowi? – Chłopak nie krył zawodu. Liczył, że jego mózg zaserwuje mu jakieś ciekawsze alternatywne scenariusze mitologicznej historii. Kolejnych bohaterów, a może i smoki!

– Oj nie – prychnęła wiedźma, aż jej się wąsy splątały, lecz od razu poprawiła je łapką. – Wtedy każdy z nas próbował tylko ugrać coś dla siebie, wiesz? I ugraliśmy klątwę.

– Każdy zasługuje na śmierć? – zapytał Bart, a Śnieżka spojrzała na niego świdrującym wzrokiem. – Nawet John? Nawet rezydenci?! – Przypomniał sobie o podopiecznych i od razu nabrał życia. – Nie wzięłem tabletki, ale jeśli coś im się stanie, to łykam całe pudełko i po was, urojenia – wskazał palcem na kotkę, mając również na myśli demony – nie pozostanie nawet wspomnienie!

– Rezydenci walczą. Tyle z tego mają. Odrobinę rozrywki. – Kotka wskoczyła z podłogi na blat. – I nie jesteśmy wytworem twojej

wyobraźni. Przeceniasz się, jak każdy człowiek.

Bartek spróbował jej dotknąć, chociaż zatrzymał palce na moment przed muśnięciem futerka na kocim boku, czym oszczędził sobie późniejszych szwów.

– Dzisiaj raczej nie zmrużysz oka – odezwała się wiedźma. – Mieszkańcy tego miejsca od dawna stają z demonami w szranki i będą stawać, dopóki ostatni z nich... – Śnieżce załamał się głos, nazbyt teatralnie jak na gust Bartka. – Będą walczyć – dodała już pewniej – bo spadło na nich błogosławieństwo króla. Ci ostatni mogą na co dzień wydawać się niepełnosprawni, gorsi od ciebie czy mnie...

– Oni są od nas lepsi. – Chłopak zwiesił głowę. – Przynajmniej ode mnie. Nie czepiają się rodziców i nie obrażają na kumpli o byle bzdurę. Nie zazdroszczą innym.

– Da Derga nie potrafił przegrywać – miauczała kotka, nieprzejęta zwierzeniami Barta. – Królewscy bracia przejęliby władzę, pozwalając kretynowi w spokoju umrzeć. Nawet mnie nikt by do niczego nie mieszał. A dzisiaj, po tylu latach, wciąż przelewamy krew. Sama nie wiem, który to już raz mieszkańcy stają do walki.

– Rezydenci? – Bart sięgnął po słowo, którego nie lubił.

– Oni akurat po raz pierwszy w tym składzie. – Kotka machnęła łapą. – Przed nimi walczyła Kelly. I Jason raz, o czym nie mają pojęcia. Jeszcze wcześniej setki innych osób. Zawsze wygrywali – dodała z nutką smutku lub zmęczenia w głosie.

– Pomagałaś każdemu?

– Zazwyczaj nie przeszkadzałam – odparła tajemniczo, a chłopak zobaczył, że koty mogą się ładnie uśmiechać.

Bart, choć nogi mu jeszcze drżały, podszedł do okna, by w świetle księżyca oraz słabiutkiej latarni podejrzeć przyjaciół narażających życie. Przeciwnicy, z którymi się mierzyli, wyglądali na dosłownie w gorącej krwi kąpanych, zbyt wyraźnie, by posądzał się wciąż o przywidzenia. Nawet oczy, paznokcie czy zęby pokrywała im gęsta czerwień. Zlepiała splecione w warkocze włosy, spływała wolno po ostrzach mieczy.

Ponownie zrobiło się mu słabo. Nie, nawet Nino nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Wszyscy znaleźli się w ogromnym niebezpieczeństwie!

– Hola, hola! – krzyknęła kotka, widząc, że chłopak za moment ponownie wylądował na podłodze. Wskoczyła na kuchenny parapet. – Weź się w garść, dobrze?! Omdleniem nikomu nie pomożesz!

Bartek odkręcił wodę i chlusnął sobie zimnem w twarz. Nie ścierał kropli, nic mu nie przeszkadzały, wręcz przeciwnie, powstrzymały świadomość od odwrotu. Świat wprawdzie wciąż trochę wirował mu w oczach, ale wrzucał niższy bieg.

– Kiedyś trysnęła na nich królewska krew i tacy pozostali – wytłumaczyła wiedźma. – Wyglądają upiornie, ale nie są aż tacy groźni. Z grubsza to zwykli rycerze z dawnych czasów. Upiorni, ale nie dorobili się nadludzkiej siły. Chociaż dzierżą miecze i wiedzą, jak się nimi posługiwać. Poza tym potrafią być szybcy.

Na twarzach przybyszy malowała się wściekłość, w ruchach niecierpliwość, a w słowach wybrzmiewała agresja. Obrzucali trójkę podopiecznych Barta chrapliwymi, szorstkimi obelgami. Głosy jeźdźców brzmiały tak, jakby wydobywały się ze studni.

– Nie wyciągaj żadnej czerwieni – doradziła wiedźma, jakby już tego z milion razy nie słyszał. – Odbiorą to jako zaproszenie nawet

bez intencji, tacy są pobudzeni.

– Bliscy celu – zrozumiał Bart.

– Tak, ponownie są o krok od zwycięstwa, a to wystarczająco blisko, żeby nie przejmować się szczegółami. Złamią reguły, byle tylko odzyskać karczmę, wreszcie wygrać i przerwać klątwę. Nie zniosą kolejnej przegranej – dodała. – Nie ze schorowanymi ludźmi. Obawiam się, że wreszcie wykażą się sprytem.

Bart oglądał potyczkę z rozdziawionymi ustami. Michael poruszał się nieludzko szybko, a Fiona studziła zapał jeźdźców celnymi uderzeniami łańcucha! I tylko John ścisnął w pięściach powietrze, stojąc przy drzwiach jako ostatnia linia obrony. Bart wierzył, że kiedy John ruszy do ataku, to po jeźdźcach zostanie co najwyżej mokra plama.

– Zapaskudzą podjazd – zamarudził, ponieważ zestresowany umysł potrafi przejąć się najbzdurniejszymi drobiazgami.

– Nie zapaskudzą. Ta krew wsiąknie nawet w beton i wróci do nich. Nie pytaj mnie o szczegóły, ale wiem, że czerwień stąd zniknie.

– Jak możemy pomóc?

– Nie mam pojęcia, opiekunie. – Kotka otarła się o jego ramię i zamruczała uspokajająco. – A proszą o pomoc?

Bart nie wiedział, co odpowiedzieć. Przecież płacono mu za opiekę. W kontrakcie nie było wprawdzie mowy o potyczkach z demonami, ale rozważał wezwanie Amy. Czuł, że koordynatorka poradziłaby sobie nawet z takim niebezpieczeństwem.

– Nie wzywaj Amy – zareagowała kotka, kiedy wyciągnął z kieszeni telefon. – Zabiliby ją. Nie lubią świadków. Sam też lepiej nie wpadnij im w oko.

Chłopak odsunął się od okna i schował komórkę. Nalał dla walczących po kubku wody, bo przypomniał sobie o królewskim pragnieniu po bitwie. To troszkę go uspokoiło.

– Spoglądasz na część opowieści, która najsilniej elektryzuje słuchaczy i kołem się toczy – dodała jeszcze wiedźma. – Bitwa pod karczmą! Twoi nowi przyjaciele mają dusze wojowników, skoro walczą przez całe życie. Zaledwie nieliczni dostrzegają w nich pełnoprawnych ludzi. Uwierz, że nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, jakie toczą potyczki. Ze sobą, ze zdrowiem czy z bliskimi. Demony nie zajmą im wiele czasu. Ta trójka w niczym nie ustępuje królowi. Wygramy, o ile nie zrobisz nic głupiego.

Bart mógł sobie wyobrazić, mając bujną wyobraźnię. Nie chciał jednak przerywać wiedźmie, którą najwidoczniej uspokajała rozmowa, bo dbał o wszystkich.

– Moi wojownicy – kończyła temat Śnieżka. – Błogosławieni wśród dotkniętych klątwą.

Ta wiedźma działała Bartowi na nerwy.

8

Bart rozmyślał nad śmiercią dwojga rezydentów placówki – Kelly oraz Jasona. Dlaczego kotka nic wtedy nie zrobiła? Coś w tym rozgadany zwierzaku mu nie pasowało. Skoro zakazano opiekunowi wychodzić na zewnątrz, postanowił powalczyć sceptycyzmem z wiedźmą.

– Czemu pozwoliłaś, żeby zginęli? – Bart spojrzał zwierzakowi w ślepią i rzucił jej prosto w mordkę: – Ktoś zaplanował osłabienie tej grupy. Jeśli miałbym wybierać, postawiłbym na ciebie, a ponoć nie jestem głupi.

Śnieżka przeszła się spokojnie po kuchni, by wreszcie przy drugim okrążeniu zabrać głos.

– Wdarli się do ich pokojów, nocą. Kelly... – Wiedźma opuściła łebek, drgnęły jej długie wibrysy. – Amy nie powinna jej faszerować lekami. Taka dobra kobieta, chociaż porywcza.

– Amy? – Jeszcze nie widział w jej wykonaniu porywczosci.

– Nie, Kelly – odparła wiedźma. – Szczera, waleczna; odpowiedni materiał na wiedźmę. Silna nie mniej od Johna, a sam wiesz, jaką on ma krzepę, prawda? Oni wszyscy są mocni. Od nich nauczysz się więcej niż od profesorów uczelni. Wiem, powinnam zapobiec tamtym śmierciom, tyle że to, co dziś wydaje się oczywiste, wtedy takie nie było. Odejście Jasona wzięłam za przypadkowe, w końcu nikt tutaj nie należy do zdrowych, a Kelly... Zbyt

wierzyłam, że jest niepokonana. Jeźdźcy dostali już od niej łomot. Straciłam czujność.

– Kto bronił budynku przed nimi? – przerwał Śnieżce. – Mówiłaś o poprzednich walczących. Co się z nimi stało?

– Błogosławieństwo zawsze trafiało na podatny grunt – stwierdziła wymijająco kotka. – Dbałam, żeby mieć tu odpowiednich ludzi. Był taki czas – przyznała ze smutkiem – że mogłam w nich przebierać, chociaż każdy prędzej czy później musiał wreszcie umrzeć od chorób czy ze starości. Ostatnio zdaję się na los. Tym razem był dla mnie średnio łaskawy – dodała przyciszonym głosem.

– Masz ich za gorszych?

– Nie zrozum mnie źle – odparła, chociaż Bart swoje wiedział. – Wybacz, że jako obrońców karczmy wolałabym oglądać sprawniejszych umysłowo ludzi.

Sprawniejszych umysłowo mogłabyś omamić, pomyślał opiekun, nie ufając nadal kotce. Rezydentów nie tak łatwo oszukać. Nie bawili się w politykę.

– Zawiodłaś Jasona – wrócił do wypominania błędów. – Zawiodłaś rezydentów. Nie szanujesz mieszkańców, a już na pewno nie wybierasz, kto tu zamieszka.

– Jason – Śnieżka wróciła do snucia dalszych wspomnień – chorował, z powodu wieku oraz przez nadwagę. Dzień w dzień nabawiał się kontuzji, wreszcie trafił do szpitala z prostym zwichnięciem. Nie mogłam tam za nim pójść ani podejrzewać choćby powrotu jeźdźców, kiedy nie tak dawno Kelly rozniosła ich w pył, prawda? Wiesz, że w szpitalach nie tolerują zwierząt. Mucha się ledwo prześlizgnie, a co dopiero kot! Miałam wybór: próbować cokolwiek zdziałać poza szpitalem lub wierzyć, że Jason wróci,

wykuruje się szybko i będziemy mieć na oku pozostałą czwórkę. Przecież bolała go tylko noga! A demony interesuje karczma. Nie mogą się włóczyć po szpitalach Irlandii. Takie zachowanie wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem.

– A co, jeśli wiedziałaś, że zginie? – Bart zrozumiał, dlaczego John nie ufał wiedźmom. Nagle myślenie przychodziło mu z jeszcze większą niż zwykle łatwością. Znowu zapachniało słowami, więc włączył na moment gadatliwość. – Przewidziałaś, że oboje zginą? I że tej trójki także nie uratujemy? Odgadłaś i zgadujesz więcej, niż mówisz. Przyznaj lepiej, po czyjej stoisz stronie. Co, jeśli starasz się, żeby placówkę zamieszkiwali coraz to słabsi wojownicy? Co, jeśli pozostajesz neutralna, ale masz dość uwiązania przez wieki do tego miejsca? Bo jesteś uwiązana, prawda?

Śnieżka odpowiedziała na jego zarzuty spojrzeniem pełnym pogardy. „Chodzący ideał” – chciała odmruzczyć, ale w ostatniej chwili tylko głośno miauknęła.

– Podjęłam ryzyko – zdecydowała się na takie wytłumaczenie. – Z czego nie zamierzam się tłumaczyć. Docień lepiej zaszczyt tej rozmowy. Dokonałam wyboru, a teraz dokonuję kolejnych. To ja tu utknęłam, jak zgadłeś!

– Z Jasonem sporo kręcisz. Nawet tutaj potrafisz się wślizgnąć tak, że nikt nie wie, kiedy opróżniasz miski. Powiedzmy, że uwierzę, że w szpitalu nie mogłaś wiele zdziałać. Zgoda, demoniczni jeźdźcy pewnie woleliby nie wpadać ludziom w oko i nie wybraliby się na taką wycieczkę, ale dlaczego nie zdołałaś pomóc Kelly? Zginęła w placówce!

– Pierdol się – odpowiedziała po dłuższej chwili milczenia Śnieżka. – Wrogowie są tam, za oknem! Myślisz, że pozwoliliby mi tu

przychodzić – wiedźma miała na myśli rezydentów – gdybym była tak bardzo podstępna i zła?! Dlaczego wierzysz, że dają się tak łatwo oszukać?!

Bart przeprosił dla świętego spokoju. Zapachy ulotniły się i powrócił strach.

Przeprosiny nie zostały przyjęte.

9

Ataki odpierano, więc narastająca od wieków wściekłość jeźdźców sięgnęła zenitu. Demony miały dość przegrywania i odradzania się bez perspektywy prawdziwej śmierci. Tym bardziej że ostatnio Kelly pokonała ich bez wysiłku, mimochodem, w przerwach między zabawą klockami a śniadaniem, które pochłaniała łakomie niczym kotka! Wygrała, nie wstając nawet z wózka! Dojrzeli do tego, by sięgnąć po ogień.

Jeźdźcy ginęli od byle muśnięcia płomieniem, mimo to rzucenie długą pochodnią w uchylone okno było warte ryzyka. Już samo osłabienie rezydentki czadem dawało nadzieję – demony odgadły, że nie spalą karczmy z ognioodpornymi ścianami. Poza tym powróciły zaledwie w tydzień po ostatniej przegranej, by skorzystać z zaskoczenia. Ledwo podniosły pochodnię, wciąż odbudowując swoje ciała z rozrzuconych po okolicy kropel.

Nie obawiały się pozostałej czwórki rezydentów, która wyglądała im na przygłupów.

Pochodnia wpadła do sypialni i kłótwie najwidoczniej to nie przeszkadzało. Otumaniona lekami kobieta zdołała się jednak podnieść do pozycji siedzącej, a przyciskami tak ustawić łóżko, by dosięgnąć wózka inwalidzkiego i nie upaść.

Kelly chwyciła płonącego kijek i zdmuchnęła go niczym zapałkę. Rozżarzone drewno wyleciało oknem, okno zaś zamknięte. Od temperatury pociemniał jedynie parapet i okopciło się szkło szyb.

No i płomienie pożarły spory kawałek zasłony, zanim Kelly nie zerwała jej jednym szarpnięciem i nie zwinęła w kulę.

Dopiero wtedy pojawiła się zaalarmowana hałasem Śnieżka, przynosząc kobiecie kubek wody. Opiekunowie spali jak kamienie, gdy jeźdźcy zaatakowali o trzeciej nad ranem.

– Głupia. – Kelly przytuliła kotkę mocniej, niż ta by sobie tego życzyła. – Woda potrzebna wcześniej. Śpijmy.

Druga pochodnia wpadła do karczmy po tygodniu, w dodatku wprost do łazienki rezydentek. Ogień nie zdążył zapachnieć dymem, ponieważ asekuracyjna Fiona brała tam kilkukrotnie w ciągu doby prysznic. Pochodnia wpadła i syknęła, lądując na mokrym ręczniku rzuconym na pełną kałuż podłogę. Płomienie zgasły jeszcze szybciej niż u Kelly, a dym Fiona wypuściła oknem. Nie wymagało to żadnego wsparcia ze strony wiedźmy, a nawet nie warto było komukolwiek o tym mówić. Fiona cieszyła się własną zaradnością, jednak samo zgaszenie pochodni nie przyniosłoby jej raczej chwały. Kelly pokonywała demony, siedząc na wózku inwalidzkim. Rozrywała je na strzępy i oponami wprasowywała te strzępy w ziemię. Dlatego Fiona przemilczała sprawę, ale poczuła się przydatna i jeszcze częściej przeplatała kąpiele prysznicami. Wreszcie nabrała pewności siebie. Poczuła się odrobinę bezpieczniej.

Zrażeni do eksperymentów jeźdźcy odeszli w cień starych dębów, gdzie czekali na uśmiech losu. Wtedy Kelly umarła. Sama z siebie! Pokonała ją choroba, osłabiła morfina. Demony nawet nie zamierzały tamtej nocy skorzystać z otwartego okna, biorąc je za podstęp.

Żadnych więcej podchodów czy ataków z zaskoczenia, byle nie wpaść w oczy opiekunom. Żadnych potyczek na tyłach placówki,

tylko staromodny frontalny atak. Najgroźniejsi z mieszkańców odeszli i taka szansa mogłaby się długo nie powtórzyć.

Trzecia pochodnia przerwała więc kłótnię Barta z kotką. Przeleciała nad głową niskiego Johna, by wylądować na kuchennym blacie. Kotka mruknęła na ten widok i w biegu opuściła pomieszczenie, pozostawiając opiekuna samego. Chłopak krzyknął za zwierzęciem coś tylko troszkę niemiłego, chwycił dwa z trzech przygotowanych dla bohaterów kubków i obrócił płomienie w dym. Po chwili namysłu polał blat ostatnim chluśnięciem. W tym momencie wróciła wiedźma, z trudem ciągnąc za sobą gaśnicę.

– Zawsze to samo! – zamarudziła, wypluwając gumowy wąż. – Nie sięgacie po gaśnicę! Szkoła was, ale po co sobie ręce kurzyć! No i wyłączyłam alarm przeciwpożarowy, zanim zdążył zaskoczyć, bo mielibyśmy na głowie strażaków. Ciężko do cholerstwa doskoczyć.

Bart nie wytrzymał kociego marudzenia. Cisnął którymś z plastikowych kubków, a ten odbił się od blatu i uderzył go w skroń. Nie, chłopak nie stracił przytomności, chociaż pojawiła się kropelka krwi. Dotknął skroni wierzchem dłoni, po czym wytarł ten wierzch w koszulkę; wyrysował tym wąską linię.

– Znak czerwienią – wydusiła z siebie wiedźma. – Coś ty narobił?! Co, jeśli jeźdźcy nagną zasady i wezmą to za zaproszenie?! Nie zapraszaj ich, słyszysz?!

John pierwszy wbiegł do kuchni, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Zniknęli! – krzyknął do kotki, która nie wiedziała, jak najdelikatniej przekazać mu prawdę. John jednak sam zauważył niewielkie rozcięcie na skroni Barta i nie wściekł się, o dziwo, tylko porządnie zmartwił.

– Krew się nie liczy. – Opiekun podniósł nieco głos.

– Gdzieś czerwień. – John spojrzał nieufnie na kotkę, która lizała sobie zalatującą gumą łapkę.

– To nie ja – zapewniła, bo rezydent nie spuszczał z niej wzroku.

– Zawsze posądzasz mnie o najgorsze.

Michael z Fioną – zmęczeni o wiele bardziej od Johna – stanęli w drzwiach, ramię w ramię, biodro w biodro. Wyglądali na szczęśliwie wyczerpanych.

– Pogoniliśmy konie! – rzuciła Fiona. – Stąd opóźnienie – dodała, rumieniąc się nieco.

– Chyba mamy gości. – Bart zmienił temat, mówiąc o czymś, co każdy z bohaterów i tak wyczuwał. – Uderzyłem się kubkiem Johna i... – Zaczął zdanie, które zbyt głupio brzmiało już do połowy, żeby je kończyć.

– Mamy intruzów do upolowania – sprostowała kotka. – Jakieś pomysły, zanim nas wytluką? – Spojrzała na Johna.

– Dlaczego jeszcze nie zaatakowali? – zdziwił się opiekun.

– Dostali się wreszcie do domu. – Wiedźma wzruszyła ramionami, co u kota wyglądało komicznie. – Pewnie czekają, czy klątwa im odpuści. Ale nie odpuści – dodała tajemniczo – bo musieliby się dostać o krok dalej, do latarni.

Nikt nic nie odpowiedział, nikt za wiele też nie zrozumiał. John podał Bartowi gitarę, sobie zostawiając pogrzebacz, po który poczłapał do salonu. W tym czasie Michael wymienił noże na nowe, te upačkane krwią wrzucając do zlewu (Bart puścił na nie od razu zimną wodę, byleby krew nie zakrzepła). Fiona odwinęła łańcuch z przedramienia i lekko nim potrząsnęła, zrzucając z ogniw sporo rdzawego brudu. Wyniosła go na zewnątrz i porzuciła przy słupku.

Na koniec kotka zajęła się gitarą opiekuna. Jednym pociągnięciem pazurzastej łapy zerwała struny, a do środka pudła wcisnęła ścierkę nasączoną alkoholowym odkażaczem dłoni – pozostałością po pandemicznych czasach.

– Chyba nie myślałeś, że będziemy grać i śpiewać? – zażartowała kiepsko, co i tak rozbawiło zestresowaną drużynę.

– Będziecie ginąć! – huknęło z góry, pogarszając od razu nastroje.

– Zorientowali się, że klątwa trzyma. – Uśmiech zagościł na kocim pyszczku.

10

John otworzył drzwi do swojej sypialni, jakby szykowali się do wieczornego czytania książek. Wszedł oczywiście przodem, a tuż za nim kroczyli kotka z Bartoszem – podzielili się wcześniej w kuchni na dwie grupy, pozostawiając Fionę z Michaelem, by przeszukali dół (kochankowie nie pozwolili się rozdzielić). Bart mógł wybrać, do której pary dołączy, ale podejrzewał, że zakochani szybciej zajmą się sobą nawzajem niż walką z intruzami.

Wolał pozostać z Johnem oraz z wiedźmą, której żaden z nich nie ufał. Poza tym ta cała historia na razie i tak przegrywała upiornością z koszmarem o zombiaku, jednak miała cholerny potencjał, by tamten sen przyćmić. Przypominała mu film akcji, gdzie można liczyć na sprawność głównych bohaterów. Wszystkich poza nim... Przynajmniej powiedzieli mu, co ma robić.

Polak stanął zatem na drżących nogach w progu, a ze stresu zebrało mu się na wymioty. Przełknął powietrze z braku śliny i wziął głęboki oddech. Oczy trzymał półprzymknięte niczym na seansie kina grozy, tuż przed tak zwanym jump scare'em, kiedy to nagle wyskakuje na ekran potworne zło. Stanął zgodnie z planem, czyli z zapalniczką oraz gitarą, za którą przykucnął niczym za przymałą tarczą. Trząsł się ze strachu, podkręconego ciemnością powiek, które zdążyły całkowicie opaść.

– Amy mnie zabije – powtarzał. – Jeśli to nie sen, to mnie zabije.

– Rzucaj! – krzyknął John, przedzierając się krzykiem przez rwetes, którego pochodzenia Bart wolał nie oglądać. Rezydent najwidoczniej stanął z demonem w szranki, bo słyhać było, jak się zdrowo kotłują.

Chłopak podpalił zwisającą z otworu, namoczoną odkażaczami szmatę. Nagle gorącą gitarą rzucił nie tyle przed siebie, ile w bok – na szczęście wszędzie piętrzyły się stosy książek. Usłyszał wyfuknięcie ognia, po czym poczuł na policzku żar.

– Chodu! – zarządziła kotka i dopiero za progiem Bart otworzył oczy i zauważył, jak mocno wycieńczony jest John.

Wybiegli pod schody, zamykając za sobą kolejne drzwi – te wiodące do lewej części korytarza.

Bart zbadał przyjaciela, jak uczyli go na pierwszej pomocy, ale nie wyczuł żadnego złamania, nie dopatrzył się siniaków ani skaleczeń. John słaniał się z wyczerpania na nogach, więc położyli go na podłodze, żeby odpoczął. Uspokajali rezydenta słowem, zastanawiając się, czy w razie potrzeby Bartek zdoła włamać się do zamkniętego o tej porze sklepu spożywczego po defibrylator.

– Walczył ze wzmocnionym przebywaniem w karczmie jeźdźcem, kiedy guzdrałeś się z podpaleniem – skomentowała wiedźma, ale bez pretensji, raczej w charakterze wyjaśnień. – Dał z siebie wszystko. Szkoda, że tego nie widziałeś. Przypominał samego króla!

– To i tak nieważne. – Opiekun posmutniał. – Cały dom się za moment sfajczy. Zamkną mnie w psychiatryku – dorzucił w nadziei, że jednak może za moment się obudzi.

– Nie, ogień szybko zgaśnie; nie dotrze nawet do żelaznych ścian sypialni – uspokoiła opiekuna Śnieżka. – Drzwi

przeciwpożarowe wytrzymują nie taki gorąc.

– A podłoga? A łóżko? – Tu Bart dostrzegł słaby punkt planu. – A jak od gorąca pękną szyby w oknach i płomienie dostaną tlen?! – Przeszedł i takie szkolenie, w dodatku zaledwie przed tygodniem.

– Książki nie palą się łatwo, wbrew pozorom. Spłoną niektóre okładki, co nie wystarczy, żeby popękały szyby. Temperatura wzrośnie momentalnie o kilkanaście stopni. Demon ugotuje się szybko, bo demony nie cierpią ognia. Przypominają dość gruboskórne baloniki... – Bardzo ją to ubawiło. – Pęknie w kilka chwil i ugasi płomienie krwią. One niemal alergicznie reagują na ogień, chociaż same polubiły podpalać. Machać przed nimi pochodnią nie ma sensu, bo odetną ci ją mieczem razem z ręką, ale nie pierwszy raz z nimi...

– Łóżko! Tam jest materac, poduszka, pościel. Nie tylko książki.
– Chłopak wciąż doglądał Johna, którego stan się ustabilizował, chociaż bez widocznej poprawy.

– Łóżko jest metalowe z materacem pełnym sprężyn – uspokajała Śnieżka, chociaż wyglądała na podenerwowaną. – Stoi daleko od okna, przy naszpikowanej żelazem ścianie. Bądźmy dobrej myśli. Krew demona zgasi płomienie, po czym wsiąknie w deski podłogi. Wiesz, kilkakrotnie już ich załatwiono ogniem. Pułapki... – dodała jakby za dużo, miauknęła więc zła na siebie.

– Alarm? – Bart zadawał pytania, a raczej ubierał pojedyncze słowa w pytajniki.

– Alarm pozostaje wyłączony. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Jeźdźcy nie odzyskają karczmy.

– Pić... – jęknął John. – Chcę pić.

Za ich plecami krzyknął przegrywający z gorącym jeździec. Coś chlusnęło i syknęło. Bartowi zrobiło się żal demona.

– Poświęcił książki... – Opiekun niejednokrotnie widział, jakim uczuciem rezydent darzył swój zbiór.

– Dalej je będzie kochał, nawet te osmolone, a krew, jak mówiłam, zniknie.

John jęknął, leżąc obok zakrwawionego pogrzebacza, z którego czerwień spływała przez podłogę gdzieś niżej, prawdopodobnie aż do samej ziemi. Nie powstrzymała jej trwała struktura budynku, wręcz przeciwnie, krew wsiąkała w podłogę niczym w gąbkę.

Bart spojrzał na Johna, który wyglądał tak niewinnie, tak słabo i zdecydowanie wymagał natychmiastowej opieki.

– Śnieżko, potrzebujemy wody! On jest rozpalony... – Bart skupił się na ratowaniu przyjaciela. – Musi ochłonać!

– Ogień wygasł. – Kotka węszyła, ruszając przy tym intensywnie wibrysami. Wyglądało na to, że ratowanie Johna niespecjalnie ją interesowało. – Jeździec zginął. Tymczasowo – dodała, skoro potrafili wracać.

Chłopak nie słuchał. Myślał tylko o rezydencji.

W tym samym czasie na parterze bój toczyła pozostała dwójka mieszkańców *Teach Solais*. Bój zdecydowanie niemiłosny, pełen cięć, uderzeń i kopnięć.

Radzili sobie, chociaż z bólem i bez ognia.

11

Noże tańczyły w dłoniach Michaela. Rezydent rozsmarowywał czerwień po podłodze, a ta wsiąkała w drewno, by skropić się głęboko w ziemi.

– Pić... – wyjęczał Michael, kiedy było po wszystkim.

Fiona zapłakała bez łez, a w budynku zrobiło się tak strasznie sucho.

Michael upadł na kolano, a po chwili na bok. Usłyszano ten upadek na górze.

– Wygrali! – Wiedźma podniosła łebek znad umierającego z pragnienia Johna. – Został do pokonania ostatni jeździec, a rezydenci do niczego się już nie nadają. Nawet jeśli ich napoisz, nakarmisz, nie mamy szans.

– Nie wydajesz się smutna – powiedział cicho Bartek.

– Po tylu latach? – prychnęła kotka. – Każde z rozwiązań biorę za dobrą monetę. Zmęczona jestem. – Miauknięcie przypieczętowała ziewnięciem.

Chłopak myślał, co zrobiłby irlandzki król. Czy jemu, Bartowi, dom czegoś nie ofiarował? Miał cholerną nadzieję, że tak, bo zamierzał stanąć do walki z ostatnim demonem. Wykorzystać złość napędzającą go od lat.

– Pewnie zaczął się w sypialni Michaela – mruknęła cicho Śnieżka, dostrzegając zmianę postawy u opiekuna. – Pośpiesz się, bo stracisz przyjaciół. Zaopiekuj się nimi, proszę. I wybaczone, że cię w

to... – Kotce zabrakło słów, miauknęła więc wyjątkowo smutno. – Jestem tak wyczerpana.

– Nie umrze, kiedy mnie nie... – Bartek pobłażliwiej spojrział na wiedźmę.

– Nie, ale nie przetrzyma nocy bez picia. Żar szału bitewnego spali go od środka.

– Niedługo wrócę – zapewnił. – Utrzymuj Johna przy życiu. Przyniosłaś gaśnicę, to chyba zdołasz udźwignąć kubek wody! – krzyknął i pobiegł przed siebie w nadziei, że kotka podoła prostemu zadaniu.

– Czas nam się kończy. Szczególnie na obietnice – westchnęła rozbawiona wiedźma, po czym położyła się u boku Johna i przymknęła powieki.

Miała plan na każdą ewentualność. Chwilowo postanowiła odpocząć.

12

Bart nigdy wcześniej nie wszedł do pokoju Michaela, skoro gospodarz prosił, by tego nie robić. Jedynie Amy zaglądała tam raz w tygodniu – z racji obowiązkowej kontroli pomieszczeń placówki. Koordynatorka opuszczała sypialnię rezydenta po krótkiej inspekcji, chwając czystość i ciesząc się, że nie ma tam nic do roboty.

– Nie dotykaj! – krzyczał przy tym Michael, więc Amy posłusznie trzymała ręce przy sobie, zresztą w sypialni królował ład z porządkiem spotykany jedynie na nowo otwartych oddziałach szpitalnych.

– Czysto – westchnął opiekun po przekroczeniu niskiego progu i po zapaleniu po omacku światła. – A w kuchni bałaganisz.

Podłoga skrzypnęła starością warstw. Bart skulił się, gotowy do szybkiej ucieczki, gdyby wróg zdecydował się nagle na niego skoczyć niczym truposz w koszmarze. Czuł, że głupio zrobił, wchodząc bez pomysłu, poza tym odwagi wystarczyło mu jedynie na bieg pomiędzy sypialniami. Podrapał się po wciąż swędzącej go w chwilach stresu klatce piersiowej, gdzie kiedyś wbito mu we śnie paznokcie.

Sekundy mijały bez obecności trzeciego jeźdźca.

– Nie powinieneś być duży i silny? – szeptał chłopak, rozglądając się po pokoju. – Nie powinna skapywać z ciebie hałaśliwie krew?

Na półkach zmontowano wieżyczki z puszek po napojach, okna zaś zasłaniały domknięte powieki żaluzji. Do ścian przytulały się plakaty z kobietami – sfotografowanymi w skąnym ubiorze, prawie ze smakiem. Zero czerwieni, chociaż kolorów nie brakowało.

– Chyba się mnie nie boisz! – krzyknął Bart, którego nagle olśniło. – Podejrzewasz, że to pułapka, co?! Niebezpieczny pokój opóźnionego w rozwoju czterdziestolatka, który właśnie umiera?! Dwóch z was już pokonaliśmy, ścierwa! Pokonamy i ciebie. – Opiekun podparł prychnięcie śmiechem równie wymuszonym co lęklwym.

Poczuł się jak w sennym koszmarze, raczej odgrywał rolę, jaką mu przypisano, niż nadawał się do potyczek z demonami. Odzyskał wiarę w ponowne przebudzenie się, co najwyżej w stanie solidnego pragnienia. Nie wykluczał przebudzenia się gdzieś w zakładzie zamkniętym. Przecież ten gadający kot oraz zakrwawieni królewscy bracia nie mogli mieć wiele wspólnego z rzeczywistością! Już raz we śnie najadł się soczystego strachu. Teraz postanowił utrudnić koszmarom zadanie.

– Stawaj do walki, tchórze! Stawaj albo i tę część domu puszcze z dymem! – Bart machnął zapalniczką niczym pochodnią. – Będę podpalał i podpalał, aż pęknie! Albo przyjadą strażacy i poleją ten wasz żelazny domek tysiącami litrów wody! Rozsypie się karczma od rdzy! Nie zdążysz pozabijać wszystkich strażaków... – Tego chłopak nie mógł być pewien, lecz dorzucił i tak, życzeniowo.

Krzyczał i nagle zamilkł, ponieważ przypomniał sobie, że mądrych ludzi cechuje powściągliwość.

Wtedy na dole, w pokoju Kelly, zaskrzypiało łóżko, jakby zszedł z niego ktoś bardzo ciężki. Skrzypnęło na tyle głośno, że drgnął i dom,

i serce Bartka.

– Idę po ciebie. – Gardłowy bas przedarł się przez deski podłogi.

– Zobaczymy, kto jest tchórzem.

Przerażony Bart znał odpowiedź. Podrapał się po swędzącej klatce piersiowej, ale nic nie pomagało, nie zdołał się obudzić.

W duchu liczył jeszcze na spryt Michaela, a nawet na schizofrenię, chociaż rozum podpowiadał mu, żeby wiać.

Został.

Niech się dzieje wola nieba, pomyślał.

13

– Pomagasz przygłupom? – Bart usłyszał wroga zbyt blisko jak na swoje zszargane nerwy. – Czyżbyś miał coś na sumieniu? Czekaj, wiem. – Demon zrobił dramatyczną pauzę, jakby czytał Polakowi w myślach. – Żal do rodziny? Niewykorzystany potencjał? Złość na samego siebie? Odpokutowujesz.

Bartosz nie zamierzał się zwierzać. Nie obchodziło go, co wyczuwa jeździec, jeśli prawdopodobnie rozmawiał z urojeniem przemęczonego umysłu.

– Pokaż się! – krzyknął piskliwie. – Porozmawiamy o twoich relacjach rodzinnych! Jak można polować na brata?!

– Jak zamierzasz mnie pokonać, młokosie? Czy przedłużasz tylko nieuniknione?

Opiekun rozglądał się niczym surykotka, jednak intruz wciąż nie raczył wkroczyć do pokoju. Coraz mocniej zalatywało żelazistością krwi, jakby płynęła z demonicznego oddechu.

– Nie jesteś stąd – doleciało zza ścian. – Stań poza klątwą, dzieciaku. Nie zagrozi ci z naszej strony niebezpieczeństwo. Inaczej będziemy wracać aż do skutku, również po ciebie. Komuś inteligentnemu, komuś z przyszłością śmierć może bardzo zaszkodzić. Posłuchaj podszeptów więdźmy i opuść dom.

– Bronimy się przed wami od wieków! – rzucił Polak, korzystając z tego, co wyczytał i o czym opowiedziała mu kotka. – Jesteśmy silni oraz szybcy jak król! Nigdy nie przegramy!

Nagle uwierzył, że ten przydługi koszmar może przemienić się w przygodówkę. Jego ciało powinno aż kipieć od siły, której wraz z szybkością od zawsze mu brakowało. Niestety, raczej przeszywał je chłód.

– obrońcy w końcu przegrają, nie tym, to następnym razem; nie odwołajmy nieuniknionego. Trafiają się wam ludzie coraz gorszej jakości. Placówka ledwo zipie i niedługo będą musieli ją zamknąć, a ludzi przenieść, miejsce komuś sprzedać. Pracowników pozwalniać lub wysłać z powrotem do niedalekich krajów. Przecież widzisz, że z piątki podopiecznych pozostała już trójka. Lokalne władze pewnego dnia wykorzystają to miejsce na, przykładowo, dom starców albo na szkołę czy przedszkole lub pozostawią chwilowo puste. Wtedy wygramy z łatwością, a w najgorszym wypadku będziesz miał na sumieniu życie dzieci. Chociaż coś mi się zdaje, że już dzisiaj sięgniemy po zwycięstwo. – Demon przemawiał chrapliwym głosem przypominającym mokry kaszel.

– Pokaż się. – Tym razem zabrakło wykrzyknika. – Sięgnij po wygraną.

– Odejdź, nie wdawaj się w cudze gierki, młokosie. Posłuchaj porad więdźmy. Też kiedyś myśleliśmy, że stoi po naszej stronie.

– Dołączysz do braci! – Bart dodał sobie odwagi machnięciem zapalniczką. – Król mi pomoże! – dorzucił w ramach groźby. – Wierzę, że dotknęło mnie jego błogosławieństwo i tego się boisz, prawda?! – skłamał, bo w dalszym ciągu nie czuł się ani odrobinę silniejszy, a i z wiarą było u niego zawsze krucho. – Jeżeli Kelly wygrywała z wami raz za razem, to co robi mężczyzna w sile wieku?!

Wybuch śmiechu demona wypełnił dom od fundamentów po komin, potrząsając przy tym dachówkami.

– Bracia powrócą – zapewnił demon, kiedy już przestał rechotać. – Zlepią się powrotnie z krwi, choćby podsuszanej ogniem. Wilgoci na wyspie nie brakuje. Już spływa do nich środkiem ścian. Już wsiąka w szczeliny podłóg. Wrócimy. A jeśli chodzi o ciebie – ściszył głos – to mieszkasz poza placówką. Ty tylko tu czasami przysypiasz, zatem zapomnij o błogosławieństwach. Ciebie tu zaproszono. Chyba nie czujesz się szybki? Patrz, jak drżysz! Czy nie brakuje ci ze stresu sił?

Głos dudnił w uszach chłopaka, a zapalniczka zaczynała mu ciążyć. Strach paraliżował słabe nagle mięśnie.

– Wiedźmę także dopadniemy – zwrócił się jeździec nie tyle do Barta, ile do samej Śnieżki, wiedząc, że ta zawsze słucha. – Na razie poczekajmy na śmierć opadniętych z sił dwóch obrońców. Niech bracia sięgną i po krew twoich przyjaciół i przywdzieją szaty z ich ciała! Pobawmy się! Po co czekać?! Będą słabsi, sporo słabsi, bo cudza krew ogranicza, ale poczekamy, aż i nasza, królewska, spłynie do ciała. Szkoda, że nie przeżyjesz, żeby móc popatrzeć, jak zabijamy Fionę. I miałeś rację, że martwiłem się, czy i tobie nie przypadło trochę z siły króla, ale widzę drżenie twych rąk. Jesteś słabiutki, dzieciaku. Aż przykro cię zabijać.

– Zostawcie ich w spokoju! – Bartowi opadły wreszcie dłonie. – Pozwólcie mi ich gdzieś wywieźć! Dajcie mi dzień lub dwa, a wszystkich...

– Nie – przerwał mu demon. – Zostanie koordynatorka, będą się tu kręcić opiekunowie z policją. Karczmy nawet na moment nie

pozostawią bez nadzoru. Tylko w nocie takie jak ta możemy coś ugrać. Coraz rzadziej mamy ku temu okazję.

– A kiedyś, w czasach przed placówką?

– Ludzie wierzyli w demony – zaśmiał się jeździec. – To miejsce miano za przekłete, a nas albo za zwidy, albo za karę za grzechy. Nikt nie podnosił rwetesu, wręcz przeciwnie, milczano o nas lub wspomniano gdzieniegdzie w trwożliwych modlitwach. Nie przeszkadzało to tłuszczy zastawiać ognistych pułapek. Z sentymentem wspominam tamte czasy.

– Gadatliwy jesteś. – To najbardziej zdziwiło chłopaka. Czyżby demon na coś czekał? Czy rzeczywiście jego bracia powrócą w ciałach Johna oraz Michaela? A może paskudzie dokuczała samotność? – Twój angielski brzmi bardzo współcześnie.

– Bo jesteśmy współcześni, dzieciaku. Towarzyszmy współczesności od wieków.

– Wezwę pomoc! Jeden telefon i zaroi się tu od policji! Policji się z jakiegoś powodu boicie!

– Wiedz, że nie musisz prosić o śmierć, jeśli liczy się pośpiech, jeśli odpowiednio nas zdenerwujesz! – Podłoga skrzypiała coraz donośniej. – Dlatego zaakceptuj ofertę i odejdz. Policja ma za daleko. Nie zdążą. I zbyt blisko stoimy wygranej, żeby się teraz nimi przejmować. Pokonaliśmy wreszcie domowników. Fiona leży na dole osłabiona rozpaczą. Za godzinę lub dwie będzie po sprawie. Zrzucimy z siebie klątwę. Ktokolwiek nas zobaczy, niczego tym nie zmieni. Będziemy wolni, rozumiesz?

Bart nie wiedział, co odpowiedzieć. Znał mit i przeczytał nawet kilka opracowań na jego temat, lecz nie mógł wiedzieć, jak ściśle te interpretacje trzymały się prawdy o pieprzonych jeźdźcach. Jednego

był pewien: nie chciał, żeby te paskudy zbezczęściły zwłoki jego przyjaciół, chociaż nie wierzył im, a raczej skłaniał się ku zapewnieniu wiedźmy, kiedy mówiła, że John przetrwa wraz z Michaeliem bez wody aż do rana.

– Żywych nas nie weźmiecie! – krzyknął. – Podpalam!

Płomyk ledwo się tlił na czubku zapalniczki, lecz jak każdy płomyk czy iskra niósł w sobie obietnicę pożaru.

– Przychodzisz albo podgrzewam atmosferę. Pęknie jak ten twój słabiutki brat!

– Czyli zostajesz, młokosie. Kolejny przygłup dołączy do kolekcji trupów.

– Nikt poza wami jeszcze dzisiaj nie umarł!

Jeździec wkroczył do pokoju wraz z podmuchem kilkunastu przeciągów, pozbawiając zapalniczkę ognia, a Barta przyprawiając o dreszcze. Wkroczył dostojnie – wysoki, szczupły, obklejony strupami, oblany krwią, pewny siebie, a przy tym wściekły na opiekuna nie mniej niż na rezydentów. Demon sapał, ale raczej na pokaz niż ze zmęczenia; zatrzymał się za plecami Barta, który bał się tym razem odwrócić; stuknął o podłogę czubkiem ostrza miecza.

– Miałeś rację, że Michael jest za dumny, żeby przygotować pułapkę – wycedził niskim, chrapliwym głosem. – Nie wierzyłem braciom, kiedy twierdzili, że jełop brał nas za bogów i jako jedyny nie dał się zwieść opowiastkom wiedźmy. Nie chciałem tu wejść i przegrać, i znowu czekać na kolejną okazję. Zapraszał nas, wiesz? Nie odważył się wprowadzić na zmianę kolorystyki wnętrza, ale na to był zwyczajnie za głupi.

– Nie mów o nim w czasie przeszłym! – zaperzył się chłopak. – I nie nazywaj go głupim!

– Koordynatorka nie pozwoliła mu na czerwony – ciągnął jeździec, kompletnie ignorując Polaka. – Prosił ją o to, wiesz? My takie rzeczy słyszymy. Nie pozwoliła, więc nie mogliśmy przyjść. Wreszcie możemy.

– Amy was zna? – To nie mieściło się w głowie opiekuna. – I jak się tu tak szybko znaleźliście?! Widziałem, jak walczyacie na zewnątrz, a po chwili byliście w środku! Pobiegliście szybciej od Michaela?

– Wreszcie zadałeś interesujące pytania. – Pochwała z ust demona przypawiła chłopaka o dreszcze. – Koordynatorki nie zdołaliśmy rozgryźć, dlatego tym skwapliwiej schodzimy jej oraz jej podobnym z drogi. Zna nas lub nie zna, nie ma to większego znaczenia, skoro nigdy nie przyłączyła się do walki. A dom przyciągnął nas niczym potężny magnes, kiedy wreszcie spełnione zostały warunki.

– Jakie warunki?

– Czerwień, jaką rozmazałeś na koszulce, oraz zaproszenie ze strony Michaela, ale i twoje, szczeniaku.

– Nigdzie was nie zapraszałem!

– Powiedz to domowi! – Demon ryknął gardłowym śmiechem. – Przyznaj się, że coś takiego przeszło ci przez myśl.

Przeszło, ale ze strachu, że się umazał czerwienią, i przez pieprzoną wiedźmę, która kazała mu o zaproszeniu nie myśleć, a jak się ma o czymś nie myśleć... Najwidoczniej niewiele już było trzeba; jego obawa stała się ostatnią kroplą, która przesądziła o zaproszeniu.

– Jej podobnym, powiedziałeś? Amy podobnym? – Chłopak się gubił, wciąż niezdolny się odwrócić, wciąż równie niechętny, by go w

ogóle oglądać. – Innym pracownikom placówki?

– Wszystkim ludziom tego świata – odparł demon. – Lepiej pozostać nieufnym, kiedy balansujesz na granicy życia i śmierci – zmienił nieznacznie temat. – I cierpliwym, gdy czasu ci nie brakuje. A teraz twoi przyjaciele wysychają, bo podnieśli na nas rękę. Zakręciliśmy wodę, wiesz? Spłynęła już cała z rur. Umrą, a koordynatorki zabraknie, żeby temu zaradzić. I coś mi się wydaje, że nie zamierzasz ze mną walczyć. Przeciągasz sprawę. Boisz się, młokosie?

– Skąd Michael wziął puszki? – Bart rzeczywiście walczył o każdą sekundę, licząc w duchu na kreatywność rezydenta, czyli na obecność pułapki. A może kotka napoiła już Johna i ten przybiegnie tu z ocaleniem. – W placówce pijano tylko herbatę, czekoladę lub wodę. – Dbano przecież o zdrowie rezydentów.

– Ech, należy ci się odrobina informacji przed śmiercią, a i czas działa na moją korzyść, noc jeszcze młoda. – Demon miał na myśli odradzających się braci oraz umierających rezydentów. – Prezenty przynosiła mu Amy, gaduło. Puszki, plakaty; widzieliśmy na parkingu, jak ładowała te rzeczy w torby. Oczywiście w sekrecie przed Johnem, Fioną czy przed pracownikami. – Położył ręce na ramionach opiekuna; Barta przeszył chłód zamrażarek. – Wiesz, że bardzo się starała, żeby nie złamać reguł. Popatrz – wskazał zakrwawionym palcem na jeden z dość erotycznych plakatów, poster z Michelle McCool, amerykańską zapaśniczką – wycięła dziewczynie żyletką usta, żeby uniknąć czerwieni. A tam się wycwaniła – wskazał na komiksowy plakat z Wonder Woman – i zamalowała usta czarnym markerem.

– Nie dotykaj mnie – wyjęczał Bartek wśród drgawek. Coś gęstego spływało mu po koszulce. – Proszę...

– Bracia twierdzili, że Amy ma do Michaela słabość. Mnie, najmłodszego, nie chcieli słuchać, bo obstawiałem pułapkę. Ten przygłup potrafi kokietować, a bądźmy szczerzy, tej paskudzie żaden mężczyzna nie poświęcał uwagi. Przybywały tu wciąż młodsze, smuklejsze, mniej lub bardziej blade. Wieprzka zapragnęła poczuć się kobietą. – Odsunął wreszcie i drugą dłoń, ale uczucie bijącego z ramion chłodu pozostało.

– Amy jest... – Bart próbował stanąć w obronie przełożonej.

– Zapracowana, nieatrakcyjna – dokończył za niego intruz. – I otyła.

– Amy ma dobre serce. Dla wielu mężczyzn liczy się...

– Nie kłam! – zaśmiał się jeździec. – Tobie podoba się pachnąca kwieciem pomarańczy Niemka! Chociaż charakterem odbiega od naszej pulchnej Irlandki, o czym pewnie nie zdążysz się przekonać. – Czerwony zmienił temat: – Szkoda, że Michael nie zastawił pułapki. Kolejna porażka, tak bliska celu, mogłaby nas zniechęcić na dłużej do dalszych prób. Jakie to jego tchórzostwo jest ludzkie – prychnął i przejechał pazurami po oplakatowanej ścianie.

Wydarzenia, jak to z Michaelem bywało, potoczyły się odtąd błyskawicznie.

14

Pokój zalała woda święcona hymnami opiekunów, przynoszona Michaelowi każdego wieczoru, każdego poranka, każdej nocy. Runęły wieże odkręconych buteleczek, dla stabilności skryte za kilkoma warstwami plakatów. Poprzewracały się otwarte puszkę pełne płynów. Zrobiło się mokro, zrobiło się głośno, chlupocząco i jękliwie.

Bart szybko zrozumiał, co się dzieje, więc pomógł z przewracaniem butelek, z rozdzieraniem plakatów, z chlapaniem na wszystkie strony tak długo, aż po jeźdźcu nie pozostało ani śladu – no może lekko zaróżowiona kropla tu i tam, jednak krople te zlizywała już kotka, która postanowiła wreszcie do opiekuna dołączyć.

– John?! Michael? – Chłopak próbował wstać, ale buty ślizgały mu się na mokrych deskach. – Obiecałaś pozostać przy Johnie! Znalazłaś dla niego wodę?

– Wciąż są półprzytomni, ale jeszcze żyją. – Ostatnia kapka rózu zniknęła w wiedźmowej bieli, kolorując nieco kocie tęczę. – Przybiegłam, kiedy wyczułam wilgoć. – Wiedźma nie kryła zdziwienia; zdawała się zawiedziona takim obrotem spraw. – Michael prawie co noc zawracał komuś głowę o buteleczkę. Dlatego nigdy nie pozwalał mi tu zaglądać! Nawet mnie zechciał zaskoczyć... Nawet mi się przypodobać, flirciarz!

– Nie ufał ci – odgadł chłopak. – Tobie nawet jeźdźcy nie ufają. Zrażasz do siebie wszystkich.

– Kochany, rezydenci zaufali dopiero tobie. Kotom niewielu ufa, a już szczególnie kocim wiedźmom. Słyszałeś, co wygadywał jeździec? Wiedźmy zawsze knują nieczne plany!

– Nie widzę sensu. – Bart ponownie spowaźniał. – Nie pokonujesz mitologicznych bestii święconą wodą. I dlaczego nie stanęłaś wcześniej do walki? Ani tu, ani w pokoju na górze? Dlaczego jesteś tak irytująco bezużyteczna?! – warknął, odreagowując stres.

Kotka wyprężyła się, mruknęła, po czym przemieniła się w nagą piękność o poczerniałej stopie. Chłopak zarumienił się po czubki uszu. Wyglądała niczym definicja piękna, niczym kwintesencja kobiecości.

– Większość opiekunów troszczyła się o podopiecznych, chociaż nie każdy nadawał się do tej pracy. – Kulejąca Śnieżka podeszła bliżej, po czym przytuliła Barta. Pachniała ciepłym mlekiem. – Wspólne modlitwy święciły wodę w inny, niż to sobie wyobrażasz, sposób. Niezwiązany z żadną z religii.

– Miłością – odgadł opiekun.

– Tak – przyznała kotka, gładząc go po włosach, a z każdym kolejnym dotknięciem jej dłoni powoli opuszczał chłopaka strach, wreszcie przeszyły ich oboje dreszcze. – Każdą szklanekę czy butelkę podawano Michaelowi wraz z pozytywnym uczuciem, wraz z katolickim hymnem oraz z życzeniem dobrej nocy. Każdy tu wszystkim życzył spokojnej nocy. Każdy o kogoś chociaż odrobinę dbał. Dlatego nie byłam ci potrzebna w walce. Nie sądzę, że zdołałby cię zabić – skłamała, by uspokoić Barta. – Najmłodszy z braci od

zawsze wolał stać z tyłu i przyglądać się raczej wydarzeniom. I kochał paplać. Widzisz – wróciła do tematu – nie jestem tak czysta jak wy. Mogłabym tylko zaszkodzić. Mnie tu nikt nie kocha, chłopcze – jęknęła na granicy miauknięcia, aż serce opiekuna drgnęło. – Pomogę i jeszcze znikną dary króla! Poza tym nie ma we mnie wiele magii. Tylko tyle, by przemienić się w kota. Mogę drapać, mogę przyjmować ciosy, jednak bez Johna, Michaela czy Fiony zginęłabym w ułamku sekundy. Jestem tylko wiecznie głodną kotką, która uwierzyła, że kogoś tak dobrego jak ty zło nie ruszy.

Bart współczuł wiedźmie, lecz nie potrafił jej ot tak pokochać, co chyba dostrzegła, bo odeszła na krok, a w końcu na kilka kroków, przygarbiona, smutna, kulejąca, o mokrych dwukolorowych, lecz wciąż przepięknych stopach.

– Nie mamy wody w kranach, żeby ugasić pragnienie. – Opiekun przypomniał sobie o rezydentach, zły na siebie za przeciągnięcie rozmowy z wiedźmą i za chwilę słabości, kiedy to Sammy oddawał serce. – Tutaj też wszystko porozlewaliśmy.

– Jesteś pewny? – Kobieta uśmiechnęła się uroczo. – Wystarczy zajrzeć pod łóżko Michaela, a w lodówce powinno stać jeszcze mleko. Demony mogły sobie pozakręcać, co tylko chciały! – Wiedźma ponownie przybrała zwierzęcą postać. – Zmarzłam bez futra – miauknęła kokieteryjnie. – A moja uroda cię ogłupia.

Bart nie wiedział, co powiedzieć ani czy podziękować, czy może skarcić rozmówczynię za bezsensowną w jego mniemaniu grę na zwłokę. Złościł się najbardziej na siebie. Przez ten pokaz piękna zapomniał o całym świecie, więc zanurkował pod łóżko, gdzie znalazł nienaruszoną zgrzewkę buteleczek wody mineralnej,

prawdopodobnie kolejny z prezentów od Amy. Wysunął skarb i odetchnął z ulgą, po czym wybiegł w poślizgach na korytarz.

– Fiona, łap! – krzyknął przy schodach.

Pojenie zaczął od Johna, po drodze rzucając rezydentce dwie z buteleczek. Kobieta złapała je z wprawą zawodowego baseballisty, chociaż wciąż zawodziła ze strachu doprawionego smutkiem.

Zwycięzcy całą piątką dopijali w kuchni wodę oraz mleko, świętując do rana, pomimo częstych drzemek, w które zapadali z wyczerpania. Stres puszczał, podłogi schły, nawet Johnowi dopisywał humor.

– Wszystko doczyściliśmy? – upewniał się Bartek, szepcząc do kotki.

– U Fiony czysto, u Michaela sucho. Nawet łańcuch udało się Johnowi zamontować na słupku. Ścisnął rozerwane ogniwo.

– Co zrobią z sypialnią Johna? Wyleją mnie z pracy?

– Ciebie?! – zaśmiała się Śnieżka. – Musiałbyś wysadzić placówkę w powietrze, żeby cię zwolnili. I to najlepiej z rezydentami w środku. – Wyglądała, jakby się trochę rozmarzyła. – Wywaliłeś najbardziej osmolone książki, a większości się nawet nie dostało. Wodą mineralną przetarłeś podłogę, chociaż krew już i tak wsiąkła pewnie i w korzenie placówki, a teraz płynie pod dęby, by odrodzili się jeźdźcy. Nawet ściany przecierałeś z okopcenia! Sypialnia się wietrzy, sufit odmalujemy na dniach lubnockach. Zużyj jedną z gaśnic, żeby wyglądało, że od razu wzięłeś sprawy w swoje ręce.

Bart zużył, ale na zewnątrz, mając przy tym niezłą zabawę. Oczywiście dołączyli do niego rezydenci, którzy próbowali trafić wyrzucanym z gaśnicy chłodem w Śnieżkę, ta jednak poruszała się z

szybkością Michaela. Na koniec pościgali ze ścian ostatnie symbole, zapewniając się wzajemnie, że nie dopuszczą do ich powrotu.

I tylko karczmarz Da Derga wściekał się na wiedźmę w swoim więzieniu – wciąż tak daleko od rezydentów, a zarazem tak piekielnie blisko.

Liczył, że jeźdźcy zrobią ze Śnieżką porządek.



CZEŚĆ II
LATARNIA

Ludzie głodni nie wiedzą, co to wolność.

Ildefonso Falcones, *Katedra w Barcelonie*,
tłum. Magdalena Płachta

MIŁOŚĆ?



*Uroda to wielki, niezastużony dar, rozdawany
przypadkowo i nierozważnie.*

Khaled Hosseini, *I góry odpowiedziały echem*,
tłum. Magdalena Słysz

1

Wolontariusze z dziennej zmiany zaniemówili na widok odświeżonego domu, chociaż o czystość każdy tu dbał nie mniej niż o samych mieszkańców placówki. Nawet Nino bąknął jakieś zdawkowe pochwały, przez moment ponownie zaangażowany w życie placówki.

W powietrzu pachniało mlekiem – i tylko trochę dymem (pomogło poranne, przeszło godzinne przepuszczanie irlandzkiego wiatru przez pomieszczenia). W kranach zabrakło wody, o czym Bart poinformował Francuza z Niemką.

– Awaria wyciągnęła nas z łóżek – relacjonował z przejęciem. – Fiona krzyczała od piątej rano, że nie może wziąć prysznic.

– Szacun – wydukał jeszcze wolontariusz z Francji, ale jak to on, raczej po to, by cokolwiek powiedzieć. Ponownie zamykał się w sobie.

– Hydraulik przyjedzie za godzinę – rzucił niewyspany Bart. – Zadzwoń i do wodociągów.

John zamiast powitania rzucił rozkazem, żeby nie wchodzić do jego sypialni, bo się wietrzy, na co wolontariusze skinęli posłusznie głowami. Zresztą i tak woleli tam niczego nie poprzewracać i nie oberwać w zamian niczym po głowie.

– Mieliśmy mały pożar, ale już wysłałem wiadomość do Amy – wytłumaczył Bartek, w zasadzie bez wytłumaczenia czegokolwiek.

W kuchni przekazano sobie pałeczkę w postaci pagera do drzwi.

– Coś ty taki wesoły? – zagadała Sammy. – Nie powinieneś padać z nóg? Awaria, jakiś ogień, wszyscy na twojej głowie. Jezu, tobie zawsze się coś przytrafia!

– Padam – przyznał chłopak – ale jestem zadowolony, że poradziłem sobie z przeciwnościami losu.

– Jak życie poza tym? – Sammy nie poddawała się łatwo, kiedy na kimś jej zależało.

– Poza pracą nie mam życia – palnął chłopak zgodnie z prawdą.

John parsknął śmiechem nad plastikową miską płatków, więc blat stołu nadawał się do czyszczenia, za co Bart przeprosił koleżankę wzrokiem.

– Wszyscy w miarę grzecznie doczekaliśmy poranka – skłamał, dlatego poczuł się jeszcze bardziej zmęczony. – Świątowaliśmy – dodał, poprawiając Niemce humor. – To była nasza dwudziesta nocka i już wstaliśmy... – Rozłożył ręce niczym ksiądz podczas liturgii. – Piliśmy mleko, jedliśmy ciastka, spaliliśmy kartki z symbolami, z czego wzniecił się malutki pożar. I pośpiewaliśmy trochę, czego nie chciałybyś słyszeć.

Sammy spojrzała na Johna, by przenieść po chwili wzrok na Barta, a niedomknięta z wrażenia buzia wywołała tym razem parsknięcie u Polaka.

– Fiona z Michaeliem jedzą w salonie śniadanie. – Bart postanowił zachować się profesjonalnie i przekazał pozostałe informacje. – Zachowują między sobą dystans – dodał z uśmiechem. – Kotka biega po okolicy, przekarmiona. Leki podane, łazienki czyste, pranie wyprasowane. W sypialni Johna okopciliśmy sufit i jest mu trochę głupio – dorzucił szeptem. – Odmaluję całość wieczorem. Amy odpisała przed chwilą, że przywiezie później wiadro

farby, wałek i pędzel, żebym „ogarnął sprawę, bo nie zamierza tego nigdzie zgłaszać”. Poza tym John zniszczył kilka książek, pewnie z nerwów przez panikującą Fionę – przekazał jeszcze cichszym szeptem. – Kilkunastu kolejnym dostało się od gaśnicy – skłamał. – Musiałem je powyrzucać. Nie wchodźcie tam. Nie ma co go teraz bardziej denerwować.

– Jak ty to robisz? – Niemka domknęła wreszcie zarumienioną buzię. – Tobie... zależy. – Po krótkim namyśle znalazła odpowiednie słowo.

– Dzielę sobie czas na...

– Nie – przerwała mu dziewczyna, wskazując krótkim skinieniem na Johna. – Jak się dogadujecie? Mnie nawet nie rozumie, a angielski mam lepszy od twojego, bez urazy. Muszę powtarzać każde zdanie po kilka razy.

– To nie powtarzaj – doradził jej Bart, na co John przybrał obrażoną minę.

– Idź – poradził opiekunowi rezydent. – Odpocznij. Będzie dobra nocka.

Opiekun spojrział na ziewającego Johna, którego ponownie pochłonęły filmiki – tym razem parodie *Harry’ego Pottera*. Bart wiedział, że przy Sammy i tak niczego więcej nie wyciągnie z przyjaciela, a słowo „odpoczynek” brzmiało wyjątkowo kusząco. W zasadzie w życiu tyle nie paplał, co przez ostatni kwadrans, podejrzewał więc, że wciąż jest w szoku. Dobra nocka mogła jednak oznaczać coś niebezpiecznego.

Bart życzył zatem każdemu miłego dnia, nawet Francuzowi – ten jadł już śniadanie z Michaelem i Fioną, a zamiast czapki włożył tym razem kowbojski kapelusz, co wbrew pozorom nie wyglądało tak

źle, jak brzmiało – wypisał się jeszcze z podawania leków i przytulił Niemkę na pożegnanie, ponieważ nagle zrobiła mu się bardzo bliska. Wreszcie wybaczył jej seks z Nino, bo dojrzał w ciągu tej nocy. Zaskoczona dziewczyna oblała się rumieńcem. O mało co nie pocałował jej w czoło.

– Pa – rzuciła na pożegnanie, odwracając twarz, skoro rezydenci nie znosili czerwonego.

Bart minął się w progu z hydraulikiem, który niczym nierasowy Irlandczyk zdecydował się przybyć przed czasem. Mężczyzna podążył za nim, żeby zagadać:

– Wzywałś jeszcze kogoś? – szeptał, jakby nie chciał nikogo niepokoić, zresztą Amy powiedziała kiedyś Bartkowi, że ludzie często szepczą w obecności niepełnosprawnych rezydentów, tak bardzo starają się uniknąć z nimi jakiegokolwiek, choćby werbalnego, kontaktu. – Ktoś zakręcił wodę. Wiesz, tam przy wjeździe do was. Przed mostkiem.

– Może wodociągi? Informowaliśmy ich wczoraj wieczorem, ale nie wiem, czy wzięli nas na poważnie – odpowiedział chłopak równie cicho kłamstwem. – Koordynatorka – westchnął. – Znacie ją. Czasami robi coś na wyrost. Odkręcił pan wodę?

Fachowiec pokiwał głową, wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę wejścia.

– Macie wodę! – rzucił przez drzwi Bart, na tyle głośno, by Niemka mogła usłyszeć. – Ta urocza dziewczyna w kuchni to Sammy! – doprecyzował sprytnie. – Podpisze, co trzeba podpisać! I dziękuję bardzo. – Energicznie uściśnął hydraulikowi dłoń, więc ten wziął go za jeszcze większego dziwaka.

2

Bart przespał dzień z krótkimi przerwami na jedzenie, ponieważ głód dokuczał mu ostatnio coraz częściej, co zrzucił na wzmożoną aktywność fizyczną oraz umysłową. Chłopak przespałby i noc, gdyby nie budzik w telefonie, przezornie ustawiony na dwudziestą, czyli na godzinę przed początkiem nocnej zmiany. Ziewnięciami odpychał od siebie wspomnienia z poprzedniej nocy, wałkowane zresztą w koszmarach snach, skoro koszmarom pełen żołądek służy.

– To nie był sen. – Kręcił się po pokoju zdumiony, kiedy dopadło go zrozumienie. – To się naprawdę wydarzyło. Jeźdźcy i gadająca kotka, co zmienia się w kobietę. To nie ma sensu. Czyżby jednak choroba? Ale chorzy chyba nie kwestionują urojeń? – Sam już nie wiedział, czy wolałby być chory, czy zaakceptować w końcu fantastyczną rzeczywistość.

Wziął jeszcze szybki prysznic, umył zęby, ogolił się i sięgnął po ulubioną koszulkę Johna: czarno-biały T-shirt z żyrafą w kosmosie (ulubiony, ponieważ pozbawiony liter, które John musiałby dla uspokojenia kilkakrotnie przepisywać). Szykował się również na malowanie sypialnianego sufitu. Ubrał się zatem w starą bluzę z kapturem i z obszerną kieszenią z przodu oraz w dresowe spodnie. Nawet skarpetki wybrał najpaskudniejsze, wierząc, że pewnie nachlapie gdzieś farbą i w to później wielokrotnie wdepnie.

Bart czuł się dobrze pod nowym adresem, chociaż dom daleki był od standardów nawet krajów środkowoeuropejskich. Ot, średnio

zapuszczona chata z ogrzewaniem na naftę, z paskudnie zimną kuchnią i muśniętymi pleśnią ścianami sypialń. Chata, jakich wiele w tym zakątku świata pretendującym do miana miasteczka, o nieco niższych niż w Polsce sufitach.

– Dziura jak Wieszczyżyn – marudził tuż po przeprowadzce, stęskniony za Poznaniem. – Tylko bez bloków. – Co nawet go ucieszyło, tak samo jak brak stawów.

Poza tym mijał się zwykle z Sammy i Francuzem, których wspólnie wysyłano na dniówki – jeszcze do niedawna dawała znać o sobie podstępna zazdrość – więc dokuczała mu i samotność. Tęsknił coraz bardziej za rodzicami, ale wciąż dzwonił do nich najwyżej raz w tygodniu – rozmowy telefoniczne irytowały Bartka należącego do pokolenia wiadomości przesyłanych tekstem. Tematy kończyły się zwykle już w drugiej minucie konwersacji, wtedy też matka zazwyczaj zaczynała dzielić się plotkami z okolicy, które niespecjalnie go interesowały.

Ciekawe, co takiego odwalicie?, dumał nad rezydentami, zawiązując sznurowadła. I czemu wolałbym nie wiedzieć...

Wyprostował się i pomyślał dla odmiany o czymś miłym: o Sammy, która właśnie kończyła zmianę, o jej rumieńcach i o tym zabawnym twardym akcencie, jakże niedopasowanym do wyglądu. Wreszcie o dziewczęcej figurze, pełnej i krągłej. Otrząsnął się z dość niepoprawnych rozmyślań, skoncentrowany od teraz na pracy. Zamknął za sobą drzwi i ruszył pewnym krokiem do niskiej „latarni morskiej”, otoczonej po horyzont połaciami lądu.

Niemkę odnalazł w kuchni, zaś Johna w salonie, gdzie oglądał trzecią część *Harry'ego Pottera*. Do końca filmu (Bart znał te

ekranizacje na pamięć) pozostało jeszcze z pół godziny. Chłopak wrócił zatem do koleżanki.

– Fiona spędza czas z Michaeliem? – zapytał niby od niechcienia, ale tak naprawdę martwił się o podopiecznych, którzy z pewnością nie czuli się za dobrze po ostatniej nocy. Zastanawiał się przy okazji, czy nikt tu nagle na niego nie naskoczy z powodu sufity na górze. Modlił się w duchu, żeby Amy przyniosła farbę, pędzle i wałki, ale nie raczyła zaglądać do sypialni Johna.

– Cały dzień spędzili w łózkach. – Sammy podniosła się z ławy, lekko zarumieniona. – W osobnych łózkach – dodała, tym razem wręcz czerwieniejąc, chociaż seks uważała za czynność równie normalną jak choćby kichanie, potrafiącą jednak zawstydzić, szczególnie w wykonaniu wspomnianej dwójki. – Fiona dużo spała. Mówiła, że nie czuje się dobrze, ale nie chciała paracetamolu. Nie miała zresztą gorączki. Michael co chwilę pił, aż zadzwoniłam do Amy, czy nic mu nie będzie, ale Amy kazała mi dzwonić tylko wtedy, kiedy dzieje się coś poważnego. Później i tak przyjechała i przywiozła ci sprzęt do malowania. Znajdziesz go w biurze, pod biurkiem.

– Amy miała ostatnio sporo na głowie. – Bart stanął w obronie przełożonej. – Nie lubi, jeśli dzwoniemy, kiedy ma wolne. Wystarczy, że zawracałem jej głowę z sufitem. – W głębi ducha odetchnął z ulgą, że koordynatorce nie chciało się najwyraźniej przeprowadzać wnikliwej inspekcji. – Od tego ma nas – doradził spokojnym tonem.

– Nie słuchał. – W oku Sammy zakręciła się łza. – Michael wypił kilka buteleczek. Dolewał sobie z kranu, bo wróciła woda – chlipnęła dziewczyna. – Zresztą wiesz... – zreflektowała się po chwili.

Bart próbował uspokoić koleżankę.

– Michael tak czasami ma, że pije bez końca – skłamał.

– Czytałam o polidypsji, o nadmiernym spożywaniu płynów. Było w folderach. A jakby mu zaszkodziło? – Wzięła się w garść, zanim Bart zdołał ją przytulić, chociaż wreszcie nabrał odwagi. – Ludzie z czymś takim lądują w szpitalu.

Polak podszedł jednak do dziewczyny i trochę wbrew sobie, czy raczej wbrew nieśmiałości oraz złamanemu już postanowieniu, że nie będzie mieszał pracy z życiem prywatnym, pocałował Sammy w zapłakany policzek – doszedł do wniosku, że przecież nie zasuwali w korporacji, żeby ktokolwiek miał z tym problem.

Dziewczyna opuszkami palców starła mu z ust słoną kroplę. Skóra jej dłoni pachniała waniliowym mydłem, jakiego nadużywali w placówce od czasu pandemii.

– Nie możemy, nie powinniśmy... – zdołał jeszcze bąknąć Bart przed dłuższym pocałunkiem, któremu z progu przyglądał się Michael.

– Pięknie! – Rezydent się opluł, a młodzi odskoczyli od siebie, jakby mogło to w czymkolwiek pomóc. – Nieodpowiednie zachowanie! Amy opowie o seksie.

Zwabiona okrzykiem Fiona już stała za Michaeliem, próbując cokolwiek dostrzec. Szybciej niż zwykle owijała kosmyk wokół palca, a uśmiech nie zniknął jej z twarzy. Liczyła w duchu na powtórkę, skoro przegapiła pierwszy pocałunek, ten najpiękniejszy z pięknych.

– Nieodpowiednie zachowanie. – Zmałpowała za niedawnym kochankiem. – Powtórzycie? Proszę. – Przeciągnęła samogłoski w swoim stylu.

– Amy opowie o seksie – powtórzył Michael i zaczęli razem chichotać, bo uwielbiali, kiedy speszona koordynatorka próbowała

zniechęcić ich do czegoś, do czego prawie nikogo na świecie nie dało się zniechęcić słowem.

Sammy i Bart spojrzeli na siebie, po czym dołączyli nieśmiało do wybuchu śmiechu, a specjalnie dla Fiony cmoknęli się krótko.

– Dobrze, że wysłałam Nino wcześniej do domu. Może Amy się nie dowie? – szepnęła. – Myślisz, że wyaplają?

– Nie powiedzą. Obiecuję – odezwał się John zza pleców Fiony, zbyt niski, by było go widać. – Chodźcie – dodał, rozmownością zaskakując Niemkę chyba bardziej niż treścią słów, bo jeszcze przez chwilę stała zarumieniona. – Chodźcie! – ponaglił.

Atmosfera zgęstniała w oka mgnieniu: Fiona z Michaeliem spoważnieli, Bart spochmurniał – wciąż pomny wydarzeń sprzed zaledwie kilkunastu godzin, które odegnał od siebie pocałunkami. Zdezorientowana Sammy usiadła z powrotem na kuchenną ławę. Nie przywykła do takiego zachowania podopiecznych, zwykle przy niej milczących i przewidywalnych. Nie zamierzała nigdzie iść, może poza domem, w którym mogłaby spokojnie pomyśleć, czy łąduje się w odpowiedni związek, czy może zbytnio dokucza jej samotność wraz z typową dla emigranta tęsknotą za rodzinnymi stronami. Po coś tu jednak przyjechała; coś ją tu przyciągnęło...

– Pokażemy wam strychnicę – miauknęła przeciskająca się między stopami rezydentów kotka. – Nie dajcie się prosić.

Sammy zaczęła bardzo szybko i głęboko oddychać. Wreszcie zemdląła i opadła na stół.

Dla odmiany kompletnie biała.

3

Rezydentom puściły nerwy. Kazali poczekać wiedźmie na górze, bo na dole, w salonie, cucono Niemkę mokrą ścierką kuchenną. John ponaglił kotkę próbą szarpnięcia za ogon, szczęśliwie nieudaną.

– No idę, idę – miauczała pod wąsami Tara, widocznie ubawiona całą tą sytuacją. Nie opuściła jednak pokoju, tylko krążyła sobie przy drzwiach.

Michael przyniósł kubek wody i próbował podejść bliżej, lecz Bart właśnie okrywał dziewczynę kocem, w czym kibicowała mu z bliska Fiona. Rezydentka liczyła na pocałunki, ale się przeliczyła, bo ten przystojny opiekun jakoś nie zamierzał skorzystać z okazji.

– Taki rycerski – chwaliła Polaka na tyle głośno, żeby Michael usłyszał. – Ty byś całował bez pytania!

John nie odstępował całej trójki na krok, dlatego nie było za bardzo miejsca dla Michaela właśnie. Ten chlusnął więc wodą nad głowami współmieszkańców, a ta dosięgła celu, ochlapując również Polaka.

– *Was?* – Sammy się przebudziła, zrzuciła ściereczkę z czoła i od razu przeszła na angielski: – Gdzie jest Śnieżka? Czy wy też...? – Zwątpiła, nie chcąc wyjść na wariatkę. – Zasnęłam? Z kimś kiedyś pisałam... – zaczęła przemawiać tajemniczo, ale zreflektowała się dość szybko i zamilkła.

– Usiądź, proszę. – Bartek zabrał się do wycierania kobiecej twarzy rąbkiem kocyka, co jeszcze mocniej poirytowało Sammy, za

to rozanieliło Fionę.

– Ten wasz kot mówi! – krzyknęła Niemka i usiadła. – Ludzie mówią, ptaki niektóre, ale nie koty! – Odepchnęła dłoń Barta wraz z jego miłością. – Na telefonie coś miałeś?! Nagraliście to?! Słuchaj! – warknęła na Polaka. – Miałam cię za kogoś lepszego, ale widzę, że nie różnisz się od innych mężczyzn! Możesz sobie z Nino uściskać dłonie. Dwóch pajaców!

John przeszedł w tym czasie do kuchni, bo nie przepadał za kłótniami, jeśli nie brał w nich czynnego udziału. Fiona podkręcała kosmyk włosów, a Michael ruszył, by ponownie napełnić kubek, w nadziei, że Fiona za nim podąży... Fionę wciągnęło jednak obserwowanie rodzącego się uczucia, nieśmiałego, naiwnego, wybuchowego, nieprzewidywalnego i świeżego niczym spaceru po okolicy w deszczu.

– Kot tylko wygląda jak kot – zabrał się do wyjaśnień Bart. – Może wyglądać jak kobieta, całkiem ładna zresztą... I nie jest to głupi żart. Sam zareagowałem podobnie. Nie uwierzysz, dopóki... nie uwierzysz. Też tłumaczyłem to sobie snem, a nawet schizofrenią. Jeszcze kilka godzin temu zrzucałem wiele na majaki, na leki też.

– Wiedźma! – krzyknął z kuchni John z charakterystyczną dla siebie pogardą dla wiedźm. – Nie ufaj!

Sammy, o dziwo, przyjęła te wyjaśnienia ze stoickim spokojem, jakby jedno słowo „wiedźma” załatwiało sprawę. Usiadła, ściągnęła z siebie koc, po czym złożyła go równiutko do wielkości poduszki i tak odłożyła na sofę. Wciąż wilgotną twarz przejechała dłońmi, a dłonie wytarła w dzinsowe spodnie, w szerokie uda, od których Polak nie mógł przez moment oderwać wzroku.

– Pójdę już – przemówiła wreszcie, choć głos jej drżał, drżały i dłonie. – O ile dam radę... – Spojrzała na Barta bardzo wymownie. – Nie chcę już nigdy więcej o tym rozmawiać. Głupie żarty... Nie angażujcie mnie w takie bzdury.

– Pójdiesz, ale z nami. – Do salonu weszła Śnieżka w kobiecej postaci, na co Bartek zareagował westchnieniem.

Spojrzały na siebie tak, jakby się znały.

Michael przybiegł, gubiąc po drodze większość kropel wody.

– *Tóg go bog é* – rzuciła wiedźma spokojnym, hipnotycznym głosem.

Niemka zaczęła wolno oddychać, a na jej policzki powrócił róż. Bartkowi spodobała się taka „zakłeciowa”, więc pewnie zdrowsza forma xanaksu.

– Mam na imię Tara i jestem Światłem Duszy – przedstawiła się kotka.

Tara usiadła przy Niemce, a nagość przykryła kocem. John dołączył do nich z kuchni, widocznie nieufny wobec obu kobiet.

– Nazywali mnie również Gwiazdą, Wzgórzem, a ostatnio Śnieżką, bo ludziom brakuje wyobraźni. Nawet maile wysyłam jako Śnieżna Wiedźma – dodała z uśmiechem skierowanym do dziewczyny. – Możesz mi nie wierzyć – nawiązała do ostrzeżeń Johna – ale nie zostawiaj ich na lodzie. Polecam sięgnąć po leki – zaproponowała rozwiązanie, z którego skorzystał wcześniej Bartosz. – Macie tu ich całą szafkę. Niestety, moje słowa uspokajają jedynie na chwilę.

– Nie biorę nieprzepisanych mi leków, wiedźmo – odparła Sammy, wciąż wolna od lęku. – Sięgam tylko po zioła albo olejki. Polecam też medytację. Niestety, dawno nie medytowałam, stres

zrobił swoje, więc doczekałam się urojeń. Dlatego chciałam was wszystkich pożegnać i udać się na spoczynek. – Sammy przemawiała spokojnie, bardzo oficjalnie, ale wciąż cała drżała.

Bart chrząknął zakłopotany, po czym podniósł się z klęczek i usiadł na fotelu Johna (rezydent po raz pierwszy pozwolił komukolwiek na nim usiąść), gdzie czekał na rozwój wypadków w nadziei na spokojniejszą od poprzedniej nocną.

– Pójdź z nami. Będziesz bezpieczna. – Tara niemalże szeptała, skupiając na sobie całą uwagę Sammy. Słowa, sposób, w jaki je wypowiadała, a także delikatne gesty pomagały wszystkim ukoić nerwy. – Możesz też odejść, zapomnieć, w czym pomogę, wyjechać, ale nigdy więcej nie spotkasz Barta, moja w tym głowa. – Nagle zrobiła się groźna, jakby ostrzejsza w rysach, szybsza w ruchach i oszczędniejsza w gestach. – Zniknie on z twoich wspomnień, tak jak każdy z przepracowanych tu dni. Pozostanie jedynie pustka potworniejsza od bólu.

– Dlaczego? – wydusiła z siebie dziewczyna i nikt do końca nie wiedział, o co rzeczywiście pyta, o zapomnienie czy o absurdalność całej tej sytuacji. – Nie pozostawiasz mi wyboru – dopowiedziała spokojnie.

– Potrzebujemy cię. – Tara zagrała w otwarte karty, chociaż od wieków słynęła z tajemniczości. – Wasza niewinna miłość pomoże dopaść karczmarza Da Dergę i zmusić go, by zapłacił za wyrządzone królowi zło. Będziecie się szczerze wspierać, co...

– Długo?! – zniecierpliwiał się John, którego od lawiny słów rozboleła głowa.

Wiedźma opuściła wzrok, szepnęła coś bardzo cichutko i z wdziękiem przemieniła się w kota, by przeciągłym miauknięciem

zakończyć rozmowę.

Bart zbliżył się do Sammy, bo bliskość koła zszargane nerwy chłopca.

– Kot mówi – prawie zapłakała dziewczyna, opierając głowę na jego ramieniu. – O co chodzi z tym Da Dergą? Czego oni od nas w ogóle chcą? Dawno już wiesz?

– Może być niebezpiecznie – rzucił Polak półgębkiem. – Nie odgadłem, gdzie przebywa ten cały karczmarz, za to słyszałem o królu. Sammy, ja nie mogę ich tak zostawić. To bardzo długa i stara historia, która stała się mitem, chociaż zawiera w sobie najwidoczniej sporo prawdy. Pójdiesz ze mną? Spróbuję ci o wszystkim opowiedzieć po drodze.

Niemka podniosła się z kanapy i straciła równowagę. Chwyciły ją pomocne dłonie coraz bardziej zakochanego w niej Polaka. Zarumienili się oboje, na co Fiona zareagowała piśnięciem, spoglądając przy tym z wyrzutem na Michaela.

– Pójdę, jeśli przestaniesz uprzykrzać mi czas w pracy – odezwała się Sammy do Johna, który wzruszył ramionami, co mogło oznaczać w zasadzie wszystko. – Wy także zaczniecie się zachowywać! – Dziewczyna wycelowała palcem w Michaela, chociaż Fionę również miała na myśli. – Muszę odwracać wzrok, kiedy tylko zostajecie ze mną na zmianie. I wychodzić z salonu, a i tak was słyszać! – Sapnęła, po czym uspokoiła się trochę. – Do tego nie da się przyzwyczaić! I nie, nie jestem pruderyjna!

Michael nie chciał niczego obiecać, jednak zapewnił, że spróbuje się kontrolować – takie zapewnienie zawsze działało na Amy.

– Koniec z seksem na mojej zmianie! – ryknęła Niemka, zamykając temat. – Jeśli już musicie, to idźcie do sypialni!

– Wiesz, to są dorośli ludzie... – Bartosz spróbował stanąć w ich obronie.

– Ale w salonie?!

– U siebie w domu...

– Przy obcych?!

– Dobra, obiecacie, że będziecie się migdalić w sypialniach.

Obiecali, chociaż Michael nie chciał u siebie bałaganić, a Fiona martwiła się o to, co powiedzą jej lalki. Zrzucili opiekunów wątpliwościami, ale ci odpowiedzieli im wyczekującą ciszą. Musieli obiecać.

– Idziemy! – zarządził John, kiedy zakończono już wszelkie pertraktacje.

Wyprowadził ich z salonu przez hol, do korytarza na dole, by przystanąć naprzeciwko biura koordynatorki, gdzie spiżarka pachniała jedzeniem, żelazem i starością. Zamykano ją na kodowaną kłódkę, ponieważ Michael z Johnem notorycznie podkradali ciastka, napoje oraz w zasadzie wszystko, co zawierało cukier, z samym cukrem włącznie. Lubili tam wchodzić nawet bez powodu, aż pewnego ranka znaleziono Johna, który zasłabł, na progu, co zrzucano na przedawkowanie słodkości.

– Otwórz! – John wskazał na kłódkę, a Bart nie zamierzał się teraz kłócić, chociaż nie miał ochoty na ciastka. Ustawił cyfry na kłódkę, dzięki czemu spiżarka stanęła smakowitym otworem. – Mogę nam zrobić kanapki – dodał zatroskany opiekun. – Zajmie to chwilę. Sammy pomoże. – Spojrzał na koleżankę, by upewnić się, że ta nie ma nic przeciwko wspólnej pracy. – Zdrowsze będą, a chyba nie idziemy daleko. No mówcie, co nam chcecie pokazać. Gdzie w placówce zbudowano to niby-więzienie? Pod ziemią, bo inaczej bym

widział? – Nie doczekał się odpowiedzi, dlatego dodał: – Niech ta biedna dziewczyna już pójdzie do domu, dobrze? Niewinna miłość może tego nie przetrwać – zadrwił z wcześniejszych słów Śnieżki vel Tary. – Wszystkim nam należy się odpoczynek. Przecież pokonaliśmy wczoraj wrogów.

– Przestań, chcę zobaczyć – powstrzymała go Sammy, więc Bart pojął, że nigdy nie zrozumie kobiet. – Nie pójde spokojnie do domu po rozmowie z kotem. Myślisz, że zasnę, kiedy tak blisko przebywa wiedźma?

– Chciałem dobrze, a wyszło jak zwykle – rzucił zrezygowany.

– No dobra. – Sammy najwidoczniej podjęła decyzję, bo stanęła w pół kroku. – Potrzebuję więcej informacji, czyli z wami – spojrzała na Johna – pójdziemy, gdziekolwiek chcecie, dopiero później, o ile w ogóle pójdziemy. – Zabierasz mnie do knajpy! – oświadczyła zdziwionemu Bartowi. – Wracamy za godzinę, góra dwie, a już na pewno przed północą!

– Nie powinniście pić – odezwała się Tara, nie tyle zmartwiona, ile zniecierpliwiona. – Działajmy, a na świętowanie przyjdzie czas. Kochani, jesteśmy tak blisko!

– Trochę się znamy – palnęła Niemka i nikt poza wiedźmą nie wiedział, o co jej chodzi. – Znam się i na ludziach – poprawiła się. – Dlatego nie podejmuję decyzji pochopnie. Wrócimy przed północą – powtórzyła dobitniej. – Musimy o czymś szczerze porozmawiać. Nie ufać wiedźmie – dodała, by obłaskawić Johna.

Bart poszedł za nią zdziwiony. Nie rozumiał, dlaczego dziewczyna przeszła nad wszystkim błyskawicznie do porządku.

4

W Coolcull prężnie działały aż trzy knajpki, w tym dwie dość obskurne, dla koneserów alkoholu raczej niż irlandzkiego klimatu. Trzecia, najbliższy krajowym standardom The Steppes Bar, zachęcała do odwiedzin czarno-żółtym szyldem oraz zapewnieniem, że na jednym z dwóch telewizorów można obejrzyć każde z ważniejszych wydarzeń sportowych.

Sammy weszła przodem i zamówiła dwa guinnessy, bo Bart nie miał przy sobie ani centa – w końcu szedł do pracy, a nie na zakupy. Przezorna dziewczyna zdołała zapłacić zbliżeniowo telefonem. Zostali przy barze, ponieważ przy stolikach zebrało się sporo tubylców, kibicujących irlandzkiej drużynie rugby toczącej boje w Pucharze Sześciu Narodów, o którym ani Bart, ani nawet Sammy wcześniej nie słyszeli. Mecz zresztą dobiegał końca.

W pubie pachniało emocjami, czyli głównie potem i ciepłem. O muzyce na żywo mogli zapomnieć, ponoć zdarzała się tylko w weekendy, głównie w piątki, jeśli akurat nie było żadnego wydarzenia sportowego – tyle wyciągnęli z sympatycznego, gadatliwego barmana, który nalewał guinnessa z należnym temu trunkowi namaszczeniem, zadowolony, że Sammy mierzy mu czas.

– I jak mi poszło? – zapytał dziewczynę.

– Szklanka o odpowiednim kształcie, trzymana wzorcowo za dno – pochwaliła Niemka, wspomagając się listą z internetu. – Utrzymany kąt czterdziestu pięciu stopni podczas nalewania piwa i

odczekał pan dwie minuty przy dwuetapowym nalewaniu, żeby osiadła piana.

– Dokładnie sto dziewiętnaście i pół sekundy – poprawił ją rozbawiony mężczyzna, co pozytywnie zaskoczyło Sammy, której prawie nigdy nie trzeba było poprawiać. Sprawdziła szybko w wyszukiwarce i okazało się, że barman miał rację!

– Dopełnienie idealne. Piana wzniosła się ponad krawędź szkła. Wzorcowy *back for black!* – dodała z ukłonem i tylko Bart nie wiedział, o czym mowa (nawet kibice przysłuchiwali się z dumą pochwałom wygłaszanym w zamian za wzorcowo zaserwowane piwo). – Podanie, niestety, nieco zrąbane – rzuciła i wszyscy ryknęli śmiechem głównie z powodu doboru czasownika. – No tak! – broniła się nie mniej ubawiona Niemka. – Powinno się zaprezentować piwo pewną ręką, a pańska drżała!

– Mam swoje lata. – Barman nie wziął zarzutu do serca. – Widziałabyś mnie w akcji za młodu! I zapomniałaś dodać, że prezentuje się szklankę zawsze logo Guinnessa do przodu.

– A jeśli nie ma na szklance logo? – próbował dołączyć do żartujących Bart, ale spojrzano na niego tak, że od razu zamilkł, zaś kibice wrócili do kibicowania.

Wyraźnie uspokojona Sammy uśmiechnęła się do barmana, dając mu tym znać, że rozmowa dobiegła końca. Spojrzała na Barta, wzrokiem prosząc o szczegóły dotyczące wydarzeń w placówce.

– Kiedy tu tak siedzimy – szepnęła jeszcze – ta cała rozgadana kocia wiedźma wydaje się nierealna. Zauważyłeś? Wystarczy opuścić placówkę, żeby nabrać do wydarzeń dystansu. Nie dziwi cię to?

Bart pokiwał głową i w kilku zdaniach przedstawił dziewczynie irlandzki mit, by też wiedziała, od czego się wszystko zaczęło.

Opowiedział o królu zrodzonym z kazirodczego grzechu oraz o braciach ścigających go po wyspie wraz z angielskimi żołnierzami. Starał się nie zagłębiać w szczegóły. Piwo sączył, Sammy piła, bo działało uspokajająco.

– Przecież to bzdury – podsumowała dotychczasowe rewelacje kolegi Niemka, na co zareagował przysłuchujący się ich rozmowie barman.

– Przepraszam, ale mowa akurat o jednym z najciekawszych mitów tej części wyspy. Edmund – przedstawił się mężczyzna i podał im obojgu pełną płam wątrobowych dłoń. – Jestem właścicielem baru. Prowadzimy go rodzinie od pokoleń. Mit, o którym mowa, ma sens.

Wolontariusze przyjrzeni się dokładniej Edmundowi, który wyglądem przypominał Świętego Mikołaja z reklam coca-coli, tyle że wychudzonego... Mógł mieć zarówno sześćdziesiąt, jak i sto lat, w obu przypadkach tłumaczyłoby to drżące dłonie. Trzymał się jednak dobrze, poruszał zwinnie i szybko, a w oczach wciąż zachował młodzieńczy błysk. Pachniał ładnie, korzennie, Old Spice'em.

– W opowieści o królu najważniejsze jest coś innego – pozwolił sobie zabrać głos, kiedy chwilowo i tak niewiele miał do roboty; wieczór był jeszcze zbyt młody, żeby wlewno w siebie piwo na akord. – Chodzi o karczmę. Na tym się skupcie, a nie na królu i seksie między członkami rodziny. – Tym wyraźnie zainteresował młodzież, co wziął za zachętę do pociągnięcia opowieści. – Król zatrzymał się w karczmie Da Dergi, w budynku odpornym na ogień, na najazdy wojsk! Konstrukcji ze stali i kamienia. Wiem – dodał z uśmiechem, który odmłodził go o dobrą dekadę – brzmi to niczym stek bzdur, szczególnie że mowa o pradawnych czasach. Gdzieś w

okolicach narodzin Chrystusa. Nie mam pojęcia, jak wtedy toczono bitwy, ale raczej bez strzelanin i wybuchów.

– Dostrzegam w tym sens – przyznała Sammy. – Solidny budynek oprze się grupie konnych uzbrojonych w miecze. Tylko po co go stawiać na zadupiu? – Niemal od razu przeprosiła nie tyle za użycie tego słowa, ile za pejoratywne podsumowanie miejsc takich jak to, w którym właśnie wylądowali.

Edmund zapewnił, że nie wziął urazy do serca, zdając sobie sprawę, że ludziom z większych miast akceptacja wiejskiego charakteru znacznej części Irlandii albo przychodzi z trudem, albo od razu się w nim zakochują po uszy.

– I ponoć karczma stawiała opór najeźdźcom. Król mógłby przeczekać ludzką zawieruchę w środku, ewentualnie czekać, aż nadejdzie pomoc, ale jak każdy irlandzki bohater postanowił stanąć z braćmi w szranki. W takich opowieściach ważna była odwaga. I tu zaczyna się ta niedorzeczna część mitu, o heroizmie.

– Na tyle ważnym, że w większości mitów ktoś przez to ginie – skomentowała Niemka, finiszując już prawie z piwem. Spojrzała na Polaka i na jego pełną w zasadzie szklankę i zamieniła naczynia ze sobą ku uciechu barmana. W Irlandii guinnessa traktowano poważnie, na równi z religią.

– Odwaga prowadzi do śmierci – odezwał się Edmund. – To ważna lekcja płynąca z naszych legend, lekcja dla tych sprytniejszych. – Puścił do dziewczyny oko. – Możesz być bohaterem, ale raczej prędzej niż później przyjdzie ci za to zapłacić.

Milczeli w trójkę przez chwilę, po czym barman musiał kogoś obsłużyć.

– Czyli zginiemy? – podsumował szeptem rozmowę chłopak, na co Sammy wzruszyła tylko ramionami.

Atmosfera w pubie siadła, irlandzka drużyna przegrywała dość dotkliwie z Francją, więc Edmund mógł skupić się znowu na młodych.

– W tym micie przyjrzyjcie się postaci karczmarza. – Wrócił do początku rozmowy w nadziei, że wciąż są zainteresowani konwersacją. Byli. – Chodzi o zdradę lub o niewypełnianie obowiązków. Da Derga powinien zadbać o gościa, a najprawdopodobniej zdradził króla. Drzwi powinny pozostać zamknięte, król zatrzymany w środku. Setki ludzi uszłyby z życiem.

– Doszło do rozlewu krwi. – Bart przejął ciężar rozmowy, bo Edmund za mocno wgapiał się według niego w Sammy. – Król pokonywał żołnierzy właśnie setkami, ale wreszcie poległ, odcięto mu głowę.

– Poległ, bo nie dostał wody – sprostował Edmund, co zdziwiło Niemkę.

– Wody?

– Szał bitewny – wyjaśnił barman. – Irlandzcy bohaterowie wpadali w taki, żeby pokonywać bestie czy zastępy wrogów. Trochę taka superbohaterska moc. Później musieli dosłownie ochłonać, napić się czegoś zimnego albo zanurzyć się w rzece czy jeziorze. Wiem, brzmi to głupio, tym bardziej że walczyli pod karczmą. Wodę jednak ponoć zużyto, by ugasić ogień, jaki bracia wraz z wojownikami tam podłożyli. Dla mnie i dla mojego taty, który mi o tym opowiadał, było jasne, że karczmarz nie wywiązał się należycie z obowiązków. Karczma i tak miała być ognioodporna, to po cholere ją gasić. Karczmarz, powtarzam. To o niego i o niekompetencję chodzi.

Nie dla Barta, który widział efekty tego bitewnego rozgrzania na własne oczy.

– Król nie dostał picia i odcięli mu głowę – podsumowała Sammy. – Filmu raczej z tego nie nakręcą...

– A głowa wypowiedziała klątwę. No i jeszcze krew z odciętej głowy chlusnęła na królewskich braci i zamieniła ich w demony. – Bart odsunął od siebie szklanę prawie dopitego piwa. – Nieśmiertelnie martwe demony.

– O tym akurat nie słyszałem. – Edmund się zaciekawił. – Ktoś te demony pokonał? – Staruszek domyślał się, że sporo znaleźć można dzisiaj w internecie i stąd pewnie ta dodatkowa wiedza wolontariuszy; odgadł, z kim ma do czynienia, bo w miasteczku każdy o każdym wiedział, a już szczególnie o obcych, którzy uratowali życie instruktorowi pierwszej pomocy! – Tata skupiał się raczej moralizatorsko na karczmarzu, ponieważ prowadziliśmy knajpę.

– Pokonał i pokonuje – rzucił Bart, ale cicho, bardziej do siebie niż do rozmówców.

– A co was tak wzięło na stare opowieści?

– Część naszego stażu – rzuciła Niemka, kończąc temat, w zasadzie na nic nie odpowiadając. – Projekt taki, kulturowy. Zmuszają nas do takich badań.

Edmund pokiwał tylko głową, z doświadczenia wiedząc, kiedy się oddalić.

– Idziemy do mieszkania – rzuciła Sammy. – Mam ochotę na seks. Rezydenci jeszcze trochę poczekają.

– Zostawiliśmy ich bez opieki! – palnął zszokowany chłopak, ale po chwili przypomniał sobie o wiedźmie i również nabrał ochoty na

seks, chociaż zestresował się tak, że omal nie spadł ze stołka. –
Chcesz się ze mną kochać?

Chciała.

5

Do domu weszli na paluszkach, byle nie natknąć się na Nino, który i tak zapadł już w sen – ostatnio dużo i często śnił. Ruszyli bez słowa na górę, wprost do sypialni dziewczyny, gdzie pachniało słodko i tylko trochę wilgocią, w odróżnieniu od reszty starego domu.

Dziewczyna zniknęła na moment w łazience sąsiadującej z jej pokojem, a Bartek dumał, czy też nie powinien się odświeżyć. Brał jednak prysznic przed wyjściem do pracy, a nie zdążył się przecież napracować. Zbyttno się przejmował, trochę zamartwiał, bardzo ekscytował, przy czym nie chciał wypaść blado w porównaniu z Nino, z pewnością o wiele bardziej od niego doświadczonym. Ciekawe, czy z większym... Nie! Odrzucił tak dziecinne myślenie i postanowił cieszyć się chwilą.

Bart postanowił, ale rzeczywistość zagrała mu na nosie. Zwrócił uwagę na farelkę w sypialni wybranki serca, którą Samantha włączyła po powrocie z łazienki, żeby podgrzać i podsuszyć atmosferę. Niby nic, w zasadzie stary rupieć, jednak dający ciepło. Z chęcią zamarudziłby na brak takowej w swoim pokoju, ale przecież przyszli tu w innym, stresującym go coraz bardziej celu. niesprawiedliwość bolała, miał jednak nadzieję, że farelkę Sammy przywiozła swoją, a nie trzymała jej obecności w tajemnicy przed współmieszkańcami.

– Puścić jakąś muzykę? – palnął, czym rozbawił Niemkę, która zwolniła łazienkę; Samantha starała się zbyt dotkliwie nie

roześmiać.

– A przyszedłeś na koncert? – ząartowała, po czym wyciągnęła wnioski z zawstydzonej miny współpracownika. – Jesteś prawiczkiem, prawda? – Usiadła na łóżku, najwidoczniej średnio pocieszona tym faktem. – Nie udało ci się uwieść żadnej dziewczyny w szkole? Polki czekają do ślubu?

Bartkowi nie chciało się opowiadać o miłosnych porażkach czy o braku okazji. Pokręcił tylko głową, wzruszył ramionami, coś tam wydukał o nauce i samych chłopcach.

– Możemy pójść do łóżka – zadecydowała Sammy – jeśli obiecasz mi, że się od razu nie zakochasz.

Tego nie mógł obiecać, ale nie był też na tyle głupi, by się teraz o cokolwiek kłócić.

– Obiecuję – skłamał z uśmiechem, pierwszy raz mocniej zarumieniony od Niemki. – Sammy? – Musiał o coś jeszcze zapytać. – Dlaczego cię nic nie dziwi? Widziałaś gadającą kotkę, która przemieniła się w nagą piękność...

– Uważasz, że Tara jest piękna? – przerwała mu po kobiecemu dziewczyna.

Bartosz najwidoczniej przestał myśleć głową. Postanowił naprawić ten błąd.

– Zrzucałem jej gadaninę na swoją chorobę psychiczną. – Błyskawicznie zmienił temat, grając na innych strunach. – Stawiałem na schizofrenię albo na stres, bo gdzieś czytałem, że od stresu mózg może wariować. Przeraziłem się nie na żarty. Sammy, bałem się, że wyląduję w szpitalu, a może już wylądowałem, a ty idziesz ze mną do łóżka po paru godzinach od obejrzenia transmutacji wprost z Harry'ego Pottera!

– Uważasz, że ona jest piękna? – Samantha nie dawała się tak łatwo zwieść, a już tym bardziej nie zamierzała teraz odkrywać kart. – Przecież to zepsuta do szpiku kości wiedźma. Faceci, świata nie widzicie poza cyckami. I trudno mieć o to do was pretensje.

Wstała, ściągnęła koszulkę, rozpięła stanik i chwyciła Bartka za nadgarstek, po czym przyciągnęła do siebie. Spytał jeszcze, czy ma zgasić światło, na co pokręciła głową, tym bardziej że stary klosz lampy skutecznie ograniczał pracowitość żarówki LED-owej. Chłopak wstydził się jednak fizycznej przeciętności, chociaż czuł się dobrze w swojej skórze. Tak naprawdę miał się za brzydszego od Nino, i to znacznie. Zdecydowanie nie rozumiał kobiet.

– Pozwalam ci zamknąć oczy, ale sporo stracisz – zażartowała dziewczyna i pocałowała go inaczej niż wcześniej, dłużej, wilgotniej i tak przyjemnie ciepło, pomagając zapomnieć o wszelkich wiedźmach świata.

Bartek przestał się wszystkim przejmować i pozwolił chwili trwać. Poznawał nowe zapachy i smaki, opuszkami palców badając wypukłości oraz zagłębienia rozgrzanego kobiecego ciała. Czas płynął wolno, leniwie, wreszcie Samantha wyciągnęła z szuflady przy łóżku prezerwatywy, czym zbiła chłopca z pantałyku.

– Nigdy nie nakładałem – przyznał ze wstydem.

– Bo żeś się nigdy nie kochał – szepnęła mu na ucho z uśmiechem dziewczyna. – Odetchnij głęboko i wyłącz myślenie.

Sammy pomogła mu założyć zabezpieczenie, co zajęło jej zaledwie kilka sekund, i chociaż starała się przy tym utrzymywać radosny, jak i podniecający nastrój, Bart czuł się głupio. Spojrzała przecież na tę część jego ciała, której nikomu do tej pory nie

pokazywał – rodzice się nie liczą, poza tym etap noszenia pieluch miał już dawno za sobą.

– Przepraszam, że tak się wstydzę. Masz mnie pewnie za debila.

– Przynajmniej odpuścił jej z pytaniami o wprawę w nakładaniu prezerwatywy, chociaż ta wprawa zadziałała na Polaka deprymująco.

Sammy milczała, bo nagadali się przecież w pubie. Przyciągnęła chłopaka wpierw ku sobie, a po chwili przejęła inicjatywę na blisko kwadrans, co i tak wzięli za dobry wynik, jak na pierwszy, szokujący przecież dla większości ludzi raz. Bywało trochę nieudolnie, bywało i śmiesznie, fascynująco, niepokojąco, niesamowicie.

– Dziękuję – palnął Bart po wszystkim, czym rozbawił Sammy tak bardzo, że śmiała się aż do łez.

– Nie zakochałeś się? – spytała, by zmienić temat, i nie spodobało się jej to, co zobaczyła w jego oczach, w tych zwierciadłach duszy. – Wracamy do placówki – zarządziła. – Bierzemy się do działania, bo mi tu jeszcze zaśniesz.

Miała oczywiście rację. Bartkowi odechciało się jakichkolwiek eskapad i najchętniej zdrzemnąłby się u boku ukochanej, a po krótkiej drzemce spróbował raz jeszcze czynności, w której wreszcie zasmakował. Tym razem bez strachu, bez analizowania każdej sekundy i dumania, czy sprawuje się dobrze, lecz bardziej w stylu Sammy, z przymkniętymi oczami, bezwstydnie, całym sobą. Podejrzewał, że w placówce i tak już wszyscy poszli spać. Już tak bardzo nie przejmował się pozostawieniem podopiecznych bez opieki, skoro wykazywali się zaradnością, walcząc nawet z demonami!

Samantha szturchnięciem wyrwała go z zamyślenia.

– A co z tym? – Wskazał na zużytą prezerwatywę, kiedy już się ubrał.

– Opraw sobie w ramkę. – Dziewczyna pozwoliła sobie na ostatni żart. – Wyrzucić do śmieci, nigdy do ubikacji – dodała już nieco poważniej. – Zaczynaj myśleć – rzuciła pod nosem, by nie urazić Bartka. – Seks jest czymś naturalnym. Nie warto dla czegoś, co robi pół świata, zaniedbywać obowiązków.

– Miałaś? – Chłopak odważył się zadać paradoksalnie mniej istotne dla niej niż dla niego pytanie.

– Pytasz o orgazm z troski o mnie czy potrzebujesz dowartościowania? – Nieświadomie nadepnął dziewczynie na odcisk. – A może chcesz, bym zaczęła żałować wspólnie spędzonego wieczoru?

– Z troski, zawsze z troski – skłamał lżejszym tonem, próbując rozładować napięcie. – Dlaczego tak spokojnie podchodzisz do wydarzeń w placówce? – Szczęśliwie dla siebie zmienił temat. – Czy spotkałaś się już z czymś niesamowitym?

Spotkała, ale nie zamierzała mu teraz o tym mówić, wciąż podirytowana infantylnością kochanka.

– Słyszałam już o tej waszej wiedźmie, a teraz ona usłyszy o mnie – szepnęła, opuszczając sypialnię, i nic już więcej nie dało się z niej wyciągnąć.

6

W placówce można się było pogubić, tym bardziej że korytarze zakręcały, nie zawsze też stawiano na kąty proste.

Nikt z domowników nie poszedł spać, tylko całą grupą czekali na wolontariuszy przy głównym wejściu do placówki, w korytarzyku, gdzie wieszano kurtki. Nawet Michael z Fioną nie odeszli ani o krok. Spoglądali na młodych z wyrzutem, jednak nikt nie miał sił na kłótnie. Zbyt wiele było do zrobienia.

Z holu można było pójść na lewo, gdzie wił się kolejny korytarz i mieściło się biuro Amy, łazienka oraz sypialnia Fiony, a także dwa wolne pokoje, przed pandemią czasami zajmowane przez gości. Zwykle szło się jednak w prawo – na co liczyli Bart z Sammy – wprost do obszernej kuchni, z której osobne wyjście prowadziło na zewnątrz budynku. Z kuchni dało się przejść do klimatycznego salonu, gdzie John oglądał wieczorami filmy i gdzie można było smacznie zjeść przy dużym stole – ten kuchenny na ogół przejmował John i nie zawsze dobrze znosił towarzystwo.

– Proponuję kolację! – Bartkowi wciąż dopisywał humor, skoro niedawno stracił dziewictwo, w dodatku z kimś, kogo pragnął pokochać; dokuczał mu trochę głód, co zwałał na wzmożoną aktywność fizyczną. – A może podamy leki? – Z kuchnią sąsiedował jeszcze pokoik, gdzie wydawano lekarstwa, a Bartek wolałby się upewnić, czy nic nie zostało przeoczone.

John poszedł jednak przed siebie, przodem, i pierwszy wkroczył do spiżarki pod schodami, ciągnąc za sobą pozostałych. Kotka zamknęła pochód. Bart przestrzegał rezydentów przed wystającymi spod tynków blachami, ale nikt i tak go nie słuchał. Sammy szła tuż przed nim, trzymając go nawet przez chwilę za rękę, co wziął za dobrą monetę. Liczył na wielokrotny powrót do jej sypialni – swoją drogą inaczej wyobrażał sobie dziewczęcy pokój, co dopiero teraz go uderzyło; Samantha nie ozdobiła ścian ani jednym plakatem, nigdzie też nie natknął się na romantyczne książki czy pluszowe misie. Przynajmniej miała przyjemnie ciepło, podsumował falę kolejnych wrażeń wymieszanych z wątpliwościami i skupił się na teraźniejszości i zaskoczeniu, że pomieścili się w tym w miarę długim, lecz wąskim schowku.

Z lewej strony, na drewnianych półkach, poukładano artykuły spożywcze wszelakiej maści, a na przeciwległej drzwiom ścianie poustawiano na sobie parami zgrzewki wody. Rezydenci spoglądali łakomie na słoje z saszetkami cukru, jak i na dwunastopaki kilogramowych jego torebek zalegające na dolnych półkach.

– Możemy zabrać ze sobą ciastka, byle szybko – zarządził Bartosz, chociaż stanowczy ton nie pasował do aparycji chłopaka. – Nie można jeść samego cukru jak jakieś konie! – ciągnął, skoro rezydenci wciąż wgapiali się w słoje. – Płacą mi za opiekę nad wami, wiecie? – dodał raczej do siebie, bo saszetki i tak zniknęły w kieszeniach. – Sammy... – westchnął, ale dziewczynę cała ta sytuacja dla odmiany raczej ubawiła, niż zmartwiła. – Raz jeszcze proponuję zjeść porządną kolację i sprawdzić, czy każdy dostał leki.

Niemka wgapiła się w Polaka, ten zaś unikał jej wzroku, bo jak tu wytłumaczyć, że nikt go nagle nie słucha, chociaż do tej pory

mowa była nawet o przyjaźni. Bał się, że przestał jej zawodowo imponować, poza tym wątpił, czy popisał się w łóżku, czy raczej zbłąźnił, a już na pewno nie dorównał bardziej wprawionemu w miłosnych bojach Francuzowi. Cała niedawna radość pierzchła. Niepewność – tak podsumowałyby stan swojego ducha.

– Dobrze, to dokąd idziemy? – Poddał się, przybierając równie sztuczny co głupawy uśmiech. – Byle nie poza teren placówki. Nie będziecie się włóczyć po miasteczku nocą! Zmęczeni jesteśmy... – Puścił do dziewczyny oko.

Sammy wpatrywała się przez moment w telefon, po czym coś komuś odpisała.

– OK? – zapytał Polak.

– Nino się pyta, czy wszystko w porządku, bo słyszał, że gdzieś wychodziłam.

Bartosz poczuł ukłucie zazdrości, które przykrył głupawym uśmiechem.

– Napisałam, że poszłam z tobą do placówki i wrócę, kiedy wrócę. – Uśmiechnęła się tak ślicznie, że wszystko inne przestało mieć na moment znaczenie.

– Natrętny jest?

– Generalnie dużo mówi o sobie, ale nic treściwego. Poza tym dowiedziałam się, że założył ze znajomymi grupę na WhatsAppie, gdzie wrzucają fotki zaliczonych dziewczyn. Robią zdjęcia, kiedy te zasypiają po wszystkim w ich łóżkach. Ponoć tam trafiłam... – dodała, co zainteresowało Michaela, Fionę, Tarę, a nawet Johna, zaś Bartka wprawilo w zakłopotanie. – W życiu nie spotkałam się z dziecinniejszym zachowaniem.

Spała z nim, a nawet z innymi, powtarzał Bart w myślach, ale postanowił nie ciągnąć bolesnego tematu.

Szybko zeszli na ziemię, bo trzeba się było zająć podopiecznymi, a i nic mądrego nie przychodziło Bartkowi do głowy.

Cukier znikał w kieszeniach rezydentów, poza tym nikt nie odpowiedział na pytanie o cel ich wycieczki, co zaczęło irytować Polaka. Dotychczas nie miał problemów z komunikacją z kimkolwiek w zasadzie poza rodziną, a co dopiero z przyjaciółmi. No dobra, to byli jego pierwsi przyjaciele, bo Michała nie zaliczał już przecież do tej grupy, a Samantha trafiła do koszyka z etykietą „coś więcej”.

Rezydenci patrzyli w tej ciszy na kotkę, zatem i opiekun zwrócił na nią uwagę. Tara przeszła między nogami Barta, otarła się o łydkę Sammy, miauknęła przy Michaelu, by zatrzymać się dopiero przy Fionie. Podniosła łapkę, po czym zaczęła ciąć pazurem linoleum, jakby było zaledwie bibułą.

– Ostra jest – rzuciła Sammy z uznaniem. – Ciekawe, co intrygującego zechce nam pokazać. Przygotuj się na fajerwerki.

Bartek spróbował przejąć kontrolę nad sytuacją i precyzyjnie się bliżej Śnieżki, jednak o ile z miniciem Sammy nie miał kłopotu, o tyle Michael nie zamierzał choćby drgnąć, a w takiej ciasnocie nawet ktoś drobny stanowił przeszkodę nie do pokonania.

– Zwolnij mnie z pracy! – Bart podniósł głos, co i tak na nikim nie zrobiło wrażenia. – Jeszcze nawet nie odmalowaliśmy sypialni na górze! Wykorzystujecie moje dobre serce. Dobrze, będziecie się tłumaczyć przed Amy! Nie mogę wszystkiego za was naprawiać!

Kotka wycięła kwadrat, po czym spojrzała na Johna, który skinął głową, akceptując wielkość wycięcia. Zwierzę przyjęło ludzką postać, nagością uciszając nagle zawstydzonego Barta. Tara kucnęła,

zwinęła linoleum w rulonik, po czym podała go Johnowi, który rzucił rulon na zgrzewki z wodą. Wiedźma odsłoniła drewnianą podłogę – na oko starszą od najstarszych irlandzkich opowieści, a minę miała przy tym poważną, jakby przeprowadzała operację na otwartym sercu placówki.

– Solidne drewno – pochwaliła podgniłe deski, odbierające apetyt na cokolwiek ze spiżarki, skoro na oko miały w sobie więcej grzybni od pieczarek zapomnianych w lodówce. – Na wierzchu nieco zmurszało, ale – Tara stuknęła i dało się słyszeć dudnienie, jakby pod grubą podłogą znajdowała się piwnica – wciąż chroni latarnię przed ludzkim wzrokiem. Tyle już lat, tyle wieków... Karczmarz postawił solidny dom.

Bart stał osłupiały, lekko oparty o równie rozstrojoną Sammy, dla odmiany bardziej pobladłą niż rumianą. John w tym czasie z pomocą Michaela rozdawał ponumerowane w głowie ołówki, pilnując, żeby do każdego trafiła przyporządkowana przez rozdającego sztuka.

– Jedyńka dla Barta, dla Sammy szóstka! – krzyczał, kiedy Michael coś najwidoczniej pomylił, skoro ołówki wyglądały tak samo (żółte, drewniane, z gumką); John podkradał je z biurka Amy, a ta znowu wyciągała wciąż nowe z pudełka trzymanego w szafce z lekami. Ołówki prawie nic nie kosztowały, a podkradanie sprawiało podopiecznemu tyle radości...

John uniósł swój z miną znawcy, mruknął coś o szczęśliwym numerze trzecim, po czym ukłuł się rysikiem w przedramię, w połowie mięsistej drogi pomiędzy łokciem a nadgarstkiem. Wkrótce pozostali rezydenci poszli jego makabrycznym śladem.

Na starą podłogę skapywały wyciskane z ranek krople krwi. Oniemiali Bart z Sammy patrzyli na samookaleczanie się rezydentów bez mrugnięcia okiem. Polak próbował odgadnąć, ile ton formularzy przyjdzie mu wypełnić, żeby wytłumaczyć się z takiego zaniedbania obowiązków! A może postawią go za to przed sądem?! Tak czy siak czuł się zwolniony. Miał nadzieję, że nie z na tyle donośnym hukiem, by usłyszeli o tym rodzice w Polsce. Ojciec miałby używanie, a matka dodałaby do repertuaru kolejne zdanie: „Taki wstyd”.

– Ty! – John wyrwał opiekuna z transu. – Ukłuj się! – nalegał, po czym zarechotał tak upiornie, że Sammy prawie zemdląła.

Ocucono ją dziabnięciem.

7

Michael przytrzymał opiekuna, a sił mu nie brakowało, czym zaskoczył przyciśniętego do wolnej od półek ściany Polaka. Bart, jako ten młodszy i większy, bez problemu powinien wyswobodzić się z tego uścisku, jednak czuł się bezbronny niczym dziecko. Chwył Michaela przywiódł mu na myśl imadło – przepocone, zaślinione i o zaropiałych oczach – czyli rezydent otrzymał od króla nie tylko szybkość.

Sammy odzyskała przytomność tuż po tym, jak Fiona bez słowa wbiła jej w przedramię czubek swojego ołówka; nieco głębiej niż potrzeba – dziewczyna wpatrzyła się mętym wzrokiem w strużkę krwi, jakby nie dowierzała w to, co widzi. Nawet nie jęknęła, tak było to groteskowe.

John krzyczał, żeby nie mieszać ołówków, ale Fiona uciszyła go, twierdząc, że „trzeba się wreszcie dobrać Da Derdze do dupy, a nie dawać się tak ciągle ruchać!”. Michael aż drgnął z podniecenia, jak wulgarna potrafi być jego kochanka!

– Uwielbiam, kiedy tak mówisz – szepnął na tyle głośno, by wszyscy słyszeli.

John nie znalazł odpowiedzi na tak solidne argumenty, więc mruknął tylko pod nosem, że trójka przynosi szczęście.

Tara podeszła do opiekuna, wyciągnęła mu z wykręconej ręki ołówek, który od razu upuściła na podłogę, ku większej rozpacz Johna – ten raz jeszcze powiedział, co sądzi o wiedźmach. Tara

przeprosiła Barta za zadany jego ukochanej ból, zapewniając, że chłopak wkrótce więcej zrozumie, a ranka u Sammy zagoi się jak na – wzdrygnęła się zauważalnie – psie.

– A teraz posypcie przedramiona oraz wyciśniętą krew cukrem! – rozkazała, a domownicy bez słowa sprzeciwu przykrywali czerwień słodką bielą. – Nie przegapcie ani kropli! John, dopilnuj, żeby nie przegapili! – Zdecydowała się wykorzystać obsesyjną kompulsywność rezydenta. – Słodka krew do niczego się jeźdźcom nie przyda – dodała w ramach wyjaśnień dla dwójki opiekunów. – Nie zdołają jej wykorzystać. Jest dla nich toksyczna.

– A jeśli latarnia się nie otworzy? – Fiona rozerwała torebkę cukru i zabrała się do rozsypywania.

– Otworzy! – rzucił Michael z pewnością w głosie, chociaż nie miał o latarni zielonego pojęcia, jednak pragnął zaimponować kochance.

– Powariowaliście? – wydyszał Bart. – Dlaczego wam pomagałem? Dlaczego tu wróciliśmy...?

– I pomagasz – stwierdziła Tara i ponownie przemieniła się w kotkę, która przyglądała się podłodze z bliska, szczególnie odsłoniętemu jej kwadratowi. – Dobrze, cała czerwień równo pokryta bielą! Nie wzmocniliśmy demonów. Za moment otworzy się piekło!

– A nie więzienie? – zwał Bartosz.

Nagle coś skrzypnęło, spiżarka drgnęła ledwo wyczuwalnie, a po chwili na tyle mocno, by poprzewracała się większość artykułów spożywczych. Jedna ze spadających puszek uderzyła Sammy w głowę, paradoksalnie pomagając jej otrząsnąć się z szoku.

– Zapłacicie mi za to... – wydyszała cicho, jakby tylko do siebie.
– Szczególnie ty. – Spoglądała na kotkę. – Wystawię ci wysoki rachunek.

Michael puścił Barta, a Sammy spróbowała stanąć na chwiejnych nogach. Spod podłogi dobiegało coraz wyraźniejsze chrobotanie i szum, jakby ocierały się o siebie spore bloki kamienia lub...

– Otwieramy strychnicę! – miauknęła Tara, po czym od dołu zaczęła wlewać się do spiżarki ciemność, którą bez przesady można było nazwać gęstą. Ciemność podnosiła się niczym woda w wannie, drwiąc z padającego na nią żarówkowego światła. Nawet Sammy przestała się guzdrać, wstała błyskawicznie, gotowa do ucieczki, lecz drzwi do spiżarki trzasnęły z dotkliwym dla uszu hukiem.

– Strychnica? – szeptał Bart. – Strych i piwnica w jednym? – *Basemattic?* – Smakował angielskojęzyczne słowotwórstwo więdźmy. Nie potrafił odgadnąć, jak mogłoby wyglądać takie pomieszczenie.

W tym czasie mrok wprost z jaskiń wypełnił spiżarkę aż po sam sufit, a ten po kolejnym drgnięciu stał się podłogą. Ludzie poupadali na siebie nawzajem i tylko kotka wylądowała na czterech łapach, gdzieś pomiędzy Johnem a Michaelem.

Strychnica, olśniło myśli opiekuna. Raz jest piwnicą, a raz strychem.

– Ciemno – zamarudził John.

– Jak w dupie – pozwolił sobie dodać Michael.

Jedynie Śnieżka pozostawała wciąż doskonale widoczna.

– Przeszliśmy! – obwieściła wśród stęknień, jęknięć i w bólach rozkwitających siniaków.

Tym razem mleczone, chłodne światło powoli wlewało się z podłogi (niedawno służącej za sufit).

– Chyba skręciłam kostkę – jęknęła Sammy.

Bartosz delikatnie zsunął dziewczynie but, po czym przyjrzał się stopie. Rzucił szeptem:

– Nic poważnego. Najwyżej lekkie skręcenie. Trochę zaczerwienione, ale nawet nie puchnie. – Obejrzał przy okazji i przedramię dziewczyny. – Została kropka, pojawia się siniak. Jak stąd wyjdziemy, to...

– Wyjdziemy?! – Dziewczyna nie wytrzymała. – Nie widzisz, co tu się stało?! *Was für'n Scheiß!?* – Zaczęła machać dłońmi, uderzając to w rozrzucone produkty, to w drewno półek. – Sufit na podłodze! Żarówka na podłodze! My na podłodze! Jak?! – W ten wykrzyknik włożyła najwięcej siły. – W dodatku ta pieprzona kobieta kot... Ta oszustka! Cała nasza rzeczywistość właśnie legła w gruzach, a ty mi tu pieprzysz o wychodzeniu i siniakach!

– Wyjdziecie – zapewniła Tara, pomimo że Bart próbował uciszyć ją gestem, by nie dolewać oliwy do ognia. – Po to wzięliśmy ostre ołówki, żeby nie dorobić się paskudnych ran – wytłumaczyła wiedźma. – Skaleczenia są powierzchowne, nikt przecież nie wbijał sobie rysików zbyt głęboko. Poza tym cukier pomógł powstrzymać krwawienie. Jedynie u Johna oczekujcie obrzęku, bo skaleczył się i za ciebie, opiekunie, i za mnie.

Przemówienie wiedźmy pomogło, ponieważ zignorowana Sammy opadła z sił, poddała się i chyba zaczęła akceptować nowe strychniczne realia. Odebrała but, który bez choćby piśnięcia włożyła na stopę. Wreszcie wyprostowała się, jakby nie pozostał ślad po dziewczynie sprzed kilku sekund.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała trzeźwo. – Mówcie, co powinnam wiedzieć, albo nie będziecie mieli ze mnie pożytku. Żałuję, że w

ogóle dałam ci się tak podejść. – Te słowa skierowała do Tary, ale i Bartek wziął je do serca. – Przyciągnęłam chłopaka z powrotem, jak obiecałam. Mówcie, dla własnego dobra.

– Jesteśmy w latarni morskiej – odparł John, a Fiona chciała coś dodać, tylko usta miała pełne ciastek, które fortunnie dla rezydentki upadły przy jej głowie, więc zamiast słów sypnęła wokół rozmoczonymi okruszkami.

– Obrzydliwe – jęknęła Sammy, za to Bart ruszył Fionie z pomocą, upewniając się, że nie doszło do zakrztuszenia. – Sufit dalej w cukrze – zdziwiła się dziewczyna, jakby wszystko inne należało do jakiejś schorowanej codzienności. – Czemu lukier nie odpadł?

– Przez wiedźmę – odpowiedział Michael, chociaż taka odpowiedź niewiele wyjaśniała.

– Cukier zmieszany z krwią pięknie się lepi – wytłumaczyła Tara. – Przypomina smakowite strupy. Do otwarcia latarni mogliśmy użyć kości, ale pierwsza wersja jest przyjaźniejsza dla zdrowia. Tędy wrócimy też do domu. – Wiedźma przemieniła się w kobietę, której nagość nie wydawała się już tak alabastrowa, a jej piękno uległo dziwnemu przybrudzeniu. – W strychnicy nie pozostaniemy długo sobą. Zadziała trochę jak z negatywami zdjęć albo z drugą stroną medalu. Z zardzewiałą stroną... Musimy się bardzo śpieszyć.

– Pociemniejesz?

Tara skinęła głową, a wśród jej blond loków Bart dostrzegł pojedyncze ciemne linie.

– John wkrótce opadnie z sił, Fiona nabierze pewności siebie, Michael wstrętu do kobiet, a ja zacznę głupieć. – Uśmiechnęła się smutno. – Na szczęście mam w sobie tyle mądrości, że zdążycie do nas wrócić. Tylko nie marnujcie czasu, bardzo was proszę.

– Gdzie mamy iść i co zrobić? – zapytał opiekun. – Nie mieliśmy iść gdzieś razem...?

– Wstrętny lizus – mruknęła Sammy, którą najszybciej dopadały zmiany.

8

Bart pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o misji, o karczmarzu i o zadaniach, lecz słowa nie padły, bo Niemka odczytała właśnie na głos napis, jaki bielił się na szarych drzwiach spiżarki. Napis, którego nigdy wcześniej nie widzieli.

Pamięci niezliczonych ofiar głodu oraz biedy, pochowanych w tym miejscu.

Większość zmarła w przytułku w Coolcull w latach 1841–1922.

John upadł na kolana i zaczął zawodzić, że on nie chce, nie znowu, że zabraknie mu sił. Michael wyzwał Tarę od najgorszych suk, jakby także do niego powróciły jakieś upiorne wspomnienia, a na Fionę spojrzął tak, że z pewnością odwróciłaby wzrok, gdyby nie nabywana pewność siebie.

– Cham – orzekła tylko i wciąż zagniewana spojrzała nieco przychylniej na Barta.

– Idźcie dalej – instruowała wiedźma Polaka, lekceważąc zachowanie rezydentów. – Zabierz ze sobą dziewczynę i porozmawiajcie z karczmarzem od serca. Wytłumaczcie mu, że nic... – Zaczerpnęła głęboki oddech, aby uporządkować myśli. – Przekażcie, że rezydenci chorują, że jeźdźcy zabijają jednego po drugim! Niech zakończy ten koszmar, schodząc i poddając się zasłużonej karze. Niech pozwoli mi działać, a winy zostaną przebaczone.

– Jak niby wzywa tych jeźdźców? – Barta naszły wątpliwości. – Dzwoni do nich od tysięcy lat?

– Nie bądź głupi, dowcipny ani tym bardziej żalosny, chłopcze!
– Tarze włączył się protekcjonalizm. – Wzywa demony fałszywym poczuciem krzywdy – odpowiedziała enigmatycznie, przepraszając za nerwowość, jaką wywołuje w niej to miejsce. – Zmieniam się – miauczała pod wibrysami.

– Co, jeśli Da Derga nie posłucha? – Polak wątpił, że ktoś tkwiący z jakiegokolwiek powodu w tym cudacznym miejscu miałby ot tak sobie zgodzić się na powrót. – Dlaczego w ogóle to nam przypada ten wątpliwy zaszczyt?

– Jeśli nie posłucha, to spróbujcie go przymusić. Najlepiej od razu zepchnijcie bandytę z tych piekielnych schodów!

Opiekun zrozumiał, że władował się w sam środek starego konfliktu, a kotka nie jest już tą samą osobą. Zrobił się podejrzliwy.

– Co to za miejsce? Mów, jak Sammy prosiła.

– Dlaczego mam z nim iść?! – Wywołana dziewczyna dołączyła do zadawania pytań, a raczej do przypomnienia wiedźmie o tym wciąż świeżym, zadany i przez Bartka, na które nie uzyskali odpowiedzi. – Skończyłam zmianę. Nikt mi nie płaci za nadgodziny! I po co ja cię w ogóle słucham?! – wykrzykiwała te słowa w kierunku wiedźmy. – Polecasz spychać dziadów ze schodów?! Sama się zepchnij i daj nam wreszcie spokój! Ściągnęłaś mnie tu i nigdy ci tego nie wybaczę!

– Im dłużej tu stoicie, tym gorzej dla rezydentów. – Wiedźma odsunęła Sammy nieznacznie na bok i otworzyła młodemu drzwi. – Na mnie również to miejsce wywiera wpływ. Sięgam po najprostsze

rozwiązania. Zaczynam pleść bzdury i robię się agresywna. Wychodzi ze mnie kocia natura, wybaczcie.

Ludzie zamilkli na widok kręconych schodów otulonych szarościami wpadającymi w czernie. Nawet John przestał jęczeć, tylko skulił się w sobie w najdalszym kącie strychnicy, a przez jego strach zafalowała woda w zgrzewkach.

– Chcę do domu – jęknęła Sammy, ale na to na razie się nie zanosilo.

9

Spoglądali na stalowe schody o poręczach maźniętych czarną, brunatną lub krwawą rdzą – w każdym przypadku na oko twardą. Bart pierwszy wyciągnął dłoń ku schodom, chociaż wgryzająca się w konstrukcję ciemność zniechęcała do wspinaczki. Chciał mieć to jednak za sobą, a przy okazji ponownie zaimponować Niemce, bo stawał się nieco próżny.

– Wieża – stwierdził, zadzierając głowę, bo na latarnię mu to nie wyglądało (choć nie znał się na latarniach, te jednak kojarzyły mu się ze światłem, a nie z mrokiem).

Spoglądał w górę na kolejne pętle schodów, a gdzieś z daleka, za to z różnych kierunków, dało się słyszeć rezonujące od tej stali łopotanie owadzich skrzydeł.

– Nie idziemy? – upewniał się osłabiony John. – Nie my? Chciałem pomóc. Nie mogę.

– Przestańcie biadolić! – Tara robiła się coraz bardziej nerwowa. – Siłą was zaciągnęłam?! Wiem, że zapomnieliście o naszej poprzedniej próbie, wielka mi rzecz, najłatwiej zapomnieć, licząc na to, że wiedźma, której się tak bardzo nie ufa, zawsze przybędzie z odsieczą! Tam siedzi zdrajca, prawda?! – Tara celowała palcem w sufitopodłogę. – I zbrodniarz mordujący waszych przyjaciół! Wreszcie mamy szansę dobrać się mu do skóry!

Bart spojrzał na Johna, którego zaczynał nie lubić, i na z wolna irytującą go Sammy. Spojrzał, po czym zrozumiał, że wiedźma miała

rację: przebywanie w strychnicy zrobi z niego człowieka, jakim zawsze gardził, a do jakiego było mu jeszcze niedawno niepokojąco blisko. Z drugiej strony Tara nie wypuści nikogo, dopóki przynajmniej nie podejmą próby sprowadzenia karczmarza na dół.

– Pójdę – oznajmił, a wiedźma odetchnęła z ulgą. – Później nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Fiona bez słowa włożyła w kieszenie dziewczyny ciastka, a Michael zajął się napełnianiem kieszeni Barta, który już miał postawić stopę na pierwszym stopniu, ale wiedźma powstrzymała go okrzykiem:

– Czekaj! Nawet nie wiesz, jak go przymusić, jeśli nie będzie chciał słuchać! Z tym spychaniem ze schodów przesadziłam...

– Przyprawdę karczmarza. – Bart zdecydowanie nie był już sobą, tym nieśmiałym, lecz troskliwym opiekunem. Teraz pragnął pozostać sam, chociaż wcześniej lgnął do nowych ludzi. Utracił anielską cierpliwość wraz z ciekawością świata czy drugiego człowieka. Wszyscy tutaj wydawali się tacy obrzydliwie nudni, nudniejsi nawet od rodziców. Być może ten cały karczmarz robi coś interesującego, a nawet jeśli przy okazji ich pozabija, to też dobrze, ukróci cierpienie jakże dalekiego od ideału człowieka, za jakiego chłopak się miał. Być może to ktoś z wielkiego miasta, a nie taki pieprzony wieśniak, jakich od zawsze pełno roiło się wokół niego!

– Ile można się męczyć z idiotami? – mruknął pod nosem.

– Przemów Da Derdze do rozsądku! – Wiedźma się nie poddawała. – Poproś, żeby zszedł i zapomniał o prastarych waśniach! My zawiedliśmy.

– Zawróciliśmy na ostatnich stopniach. – Fiona wróciła do nieprzyjemnych wspomnień, a z posklejanych ropą rzęs Michaela

spadały łzy. – Zsunęliśmy się na dół, nieprzytomni.

– Zabrakło sił – przemawiał coraz ciszej John. – Głód...

– Poczekamy na was z jedzeniem, o ile Sammy też zdecyduje się wyruszyć – zapewniła wiedźma. – Zrobimy sobie w kuchni prawdziwą ucztę! W pojedynkę nie dasz rady. Wystarczy chwila zawahania, żebyś zawiódł. Błagam, wspierajcie się tam na każdym kroku.

– Dlaczego zabrałaś ich z nami? – Bart wykazał się przebłyskiem intelektu, chociaż umysł zaprzętały mu jakże obce myśli.

– Żebyś zdołał wrócić – odparła szczerze Tara. – Żebyś pamiętał, że tu czekają i dzieje im się coraz większa krzywda! Inaczej Da Derga omotałby cię obietnicami lub poddałbyś się po kilku schodkach! Musiałam mieć pewność, opiekunie! Zegar tyka. – Zapłakała bez łez.

– Niech Da Derga przestanie – poprosiła Fiona, nagle potwornie lękająca się śmierci. – Niech nie przysyła już jeźdźców! Chcemy spokoju... Zasłużyliśmy na spokój!

– Zabiliśmy ich! – Chłopak tego nie pojmował. – Straszysz nimi na okrągło, wiedźmo! A jeśli wrócą, odrodzą się jakoś, to sam ich pozabijam, bez niczyjej pomocy! Wystarczy odrobina wody lub ognia! Wielka mi rzecz! Trudniejszych przeciwników wymyślają w komiksach dla dzieci! Nawet te... – Bliski był użycia słowa „przygłupy”, ale zdołał się jeszcze opanować.

Szarość wiedźmy przeszła w czerní, może jeszcze nie smolistą, ale czas płynął, przy czym kurczył się i wyrządzał szkodę.

– W tej strychnicy przechodzimy przemianę, na szczęście odwracalną – dodała wiedźma. – Wystarczy opuścić to miejsce, chociaż przyjdzie taki moment – zawiesiła głos, zbyt teatralnie jak

na rozdrażniony gust Polaka – kiedy nie będzie odwrotu. Wtedy umiera się tu z odczłowieczenia.

– Wyjdźmy stąd. – Bart wskazał na drzwi, a po namyśle na posłodzony podłogosufit.

– Wyjdziemy i demony powrócą! – zawodziła wiedźma. – Nie każda bitwa będzie wygraną, bo nawet jeśli dadzą się tysiąc razy zaskoczyć, oblać poświęconą miłością wodą czy podpalić, to za którymś razem wreszcie rozniosą rezydentów w pył! Nie da się zabić martwych od wieków, prawda?! Sama mam już dwójkę biedaków na sumieniu. Dlatego błagam, idźcie! Zróbcie, co w waszej mocy.

– Nie doszliśmy... – jęczał John. – Moje ręce... Moje nogi... Brzuszek bolał.

Łzy popłynęły po policzkach Michaela, a Fiona ze złości zgrzytała zębami. Zdenerwowali ją ci młodzi, zdrowi, lecz jakże niezdecydowani ludzie. Najmocniej irytowało ją wymądrzanie się kotki, a przecież koty są głupie, kotom śmierdzi z pysków, cuchnie z uszu, a oczy im ropieją jak Michaelowi!

– Bezużyteczne niedorozwoje – prychnęła Sammy, kiedy podenerwowana Fiona wyrwała sobie kosmyk włosów.

Z chęcią dorzuciłaby więcej podobnych słów, jednak Bart w ostatnim odruchu dobra chwycił koleżankę za dłoń i pociągnął za sobą na pierwszy schodek.

– Będzie plaża, tato? – zapytała jeszcze nagle dziecinna Sammy, skoro rozpoczęli wspinaczkę na latarnię morską, jednak Tara wraz z rezydentami zniknęli, Polak milczał, zatem nie było komu odpowiedzieć.

Zniknęła również spizarnia oraz wywiało im chaos z głów. Młodzi znowu byli sobą, tylko dokuczały im wyrzuty sumienia wraz z

coraz dotkliwszym głodem: przenikliwym, ponieważ płynącym z każdej umierającej nagle z niedokarmienia komórki ciała.

Bart zaczerpnął oddech aż po stopy, co nie zdołało pohamować głodu. Sammy klęła pod nosem po niemiecku, obłąkanym wzrokiem wodząc po coraz liczniejszych twarzach.

Bo nie szli sami. Maszerowały wraz z nimi setki Irlandczyków, poganianych lub spowalnianych głodem.

Nad nimi pochylała się Śmierć, dlatego nikt nie podnosił wzroku.

A szkoda, bo dobrze się ze wszystkimi znała.

10

– Miałem kiedyś paskudny sen – odezwał się Bartek do dziewczyny, kiedy już ochłonęli na widok maszerującego z nimi tłumku. – Zdrowo pojechany. – Wzdrygnął się na samo wspomnienie zombi. – Wtedy czułem czyjąś obecność. Teraz też ją czuję. Ona bardzo specyficznie pachnie... Tak obrazowo i treściwie.

Sammy nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wcześniej tego typu zwierzenia traktowała jak wymysły zestresowanej lub schorowanej głowy, ale ostatnio tak wiele się wydarzyło... Nic już nie było w stanie jej zaskoczyć, tym bardziej że też cudacznie śniła. Zrozumiała, że koszmar o zalewanym formaliną świecie mógł być czymś więcej niż tylko snem.

– Mów dalej – poprosiła wbrew suchości w ustach.

– Trup. Bardzo nachalny trup. Żywy trup – palnął wreszcie, chociaż każde z tych słów brzmiało tak jakoś infantylnie. – Skoczył na mnie i kazał sobie wykopać grób. Wbijał mi pazury i gryzł mnie w ucho. Do dzisiaj muszę używać kremu, bo mi się za uchem takie suche robi – wyznał ze wstydem. – Myślałem, że to tylko koszmar...

Szli, wolno szli, ale przynajmniej stałym tempem, dostosowanym do ślamazarności osłabionej grupy. Poza głodem, który dystansował każde – również niemiłe – odczucie, doskwierał im chłód.

– Wykopałeś ten grób? – pociągnęła temat dziewczyna.

– Nie dało się. Inne trupy mi nie pozwalały. – Bart przypomniał sobie plątaninę martwych ludzkich kończyn i przebiegł mu po plecach dreszcz, by położyć się gęsią skórką na ramionach. – Nie mogłem go też utopić, chociaż we wsi nie brakowało stawów. Całą wodę ze zbiornika wyparowało. Idiotyczny sen.

– Spalić – mruknęła dziewczyna. – Trupa najlepiej spalić. W wielu religiach ogień oczyszcza. To całe chowanie w piach – wzdrygnęła się, ale delikatnie i raczej na pokaz – powinno być zakazane. Cały syf rozkładu dostaje się do wód gruntowych.

– Spaliłem – przerwał jej Bartek. – Zamontowano w naszym bloku piec grzewczy. Ledwo do niego doszedłem, bo coś starało się mnie powstrzymać.

– Budowali u was bloki na wsi? – zdziwiła się dziewczyna. – Jednak komunizm odcisnął się solidnym piętnem...

– Budowali, tyle że niskie. – Bartek wzruszył ramionami, bo niespecjalnie interesował się komunizmem. – Ten stary kocioł grzewczy ustawiono oczywiście w piwnicy. Otoczony grubymi rurami. A z boku budynku był wjazd, a raczej zsyp na węgiel, taki z drzwiczkami.

– Błagam, do rzeczy – skarciła go dziewczyna, bo nie znosiła dygresji. – Idziemy w jakimś wyimaginowanym marszu i tylko z grzeczności pozwalam ci snuć tę dziwną opowieść. Powinniśmy się raczej skupić na tej poronionej wizji. Nie wiem, do czego zmierzasz, ale mógłbyś już tam dotrzeć, proszę?

– Spaliłem go w piecu. Kończyna po kończynie, kość po kości. Wymiotowałem przy tym, ale paliłem.

– Mogłeś tam spokojnie wejść? – zdziwiła się Sammy. – Wiem, że opowiadasz o śnie, ale takie miejsca raczej się zamyka. – Jak

większość snów, tak i ten zaliczyła jednak do bzdurnych. Miała nadzieję, że chłopak wspomni coś o Akce, ale ten najwidoczniej przerabiał tylko, kiepski zresztą, koszmar.

– Kłódka... Założyli kłódkę. Rozwaliłem ją kamieniem, jak w filmach. Da się – zapewnił, chociaż Niemka nie zamierzała wątpić. Znała się na fizyce i na budowie kłódek.

– Stare, przerdzewiałe otworzysz byle uderzeniem lub byle dźwignią albo długo będą szły w zaparte. I co, obudziłeś się zlany potem?

– Nie. Wtedy przez piwnicę przemknęła jakaś postać. Kobieta...
– Głód ścisnął chłopakowi żołądek, ale niemal od razu odpuścił. – Bardzo ładna i prawie naga, z wytatuowanymi jasnoczerwonymi pasami na skórze. Podobna do wiedźmy. I miała na sobie dziwny strój, coś jakby kolczugę z drobnych kostek i zwierzęcych czaszek. Czasami małych, a miejscami całkiem sporych.

– Mokry sen – podsumowała dziwnie wytrącona z równowagi Niemka, wreszcie doczekawszy się wzmianki o Śmierci. Postanowiła przystanąć, zniechęcona tym dziwnym marszem, tym głodem i chłodem. Zniechęcona świadomością istnienia kolejnego, większego od wiedźmy gracza. – Nie wiesz, po co my tu w ogóle idziemy? – próbowała zmienić temat.

– Ta kobieta – Bartek również przystanął – obiecała mi przed przebudzeniem, że jeszcze się kiedyś spotkamy. I widzę ją tutaj. Dzisiaj. A ty?

Sammy rozejrzała się po mijanych twarzach, ale w żadnej nie dostrzegła piękna.

– Krąży nad nami – szepnął. – Do mnie się dziwnie uśmiecha. Do ciebie również. Też się znacie?

Niemka spojrzała w górę, ale wystawiła tylko twarz na grube krople deszczu, bo oczywiście niebo postawiło na deszcz.

– I kiedy do mnie mówiła, to nie poruszała ustami.

– Bart, poważnie, weź się trochę ogarnij, proszę. Wylądowaliśmy w przedziwnej sytuacji. W domu już poszło ostro psychotycznie, kiedy się Tarze zachciało pyszczek otworzyć, ale później w schowku! Kurwa, jakieś przetasowania podłogi z sufitem i te schody, po których niby leziemy, ale nie leziemy, bo tkwimy przecież gdzieś w środku Irlandii z bandą obcych obdartusów! Poza tym poszłam tu razem z tobą nie po to, żeby wysłuchiwać jakichś pierdół, które, nie obraż się, nie są nawet za bardzo wciągające! Wymyślmy lepiej, jak się z tego wyplątać.

– Ona mówiła do mnie zapachami – szepnął chłopak. – Myślę, że to sama kostucha. I myślę, że wiesz więcej, niż pragniesz przyznać. Znasz i Tarę, i Śmierć. Szkoda, że postanowiłaś mi nie ufać. Zapamiętam to sobie.

Akka, bo o niej mowa, uśmiechnęła się do Polaka i poleciała na sam przód marszu, by morzyć nieszczęśników głodem.

Sammy zniesmaczonym spojrzeniem zakończyła temat. A zaufać nawet chciała, tylko zaufanie przychodziło jej z trudem.

11

– Dokąd? – Dziewczynie szło się coraz gorzej, a o koszmarach nie zamierzała już więcej rozmawiać. – Dopiero co byliśmy w spiżarence, pamiętasz? – Na wspomnienie strychnicy zrobiła się jeszcze bardziej głodna. – Widziałeś, ile tam trzymali cukru? Fiona jadła maślane ciastka... Wszędzie walało się jedzenie. Powinniśmy wleźć na schody z prowiantem. – Tym zdaniem przypomniała sobie o jedzeniu w kieszeniach.

Bart milczał. Spoglądał po wychudzonych obliczach, na których widok zapomniał o placówce, o przeszłości w Polsce czy o planowaniu wspólnej przyszłości z Sammy, choćby i tej łózkowej. Myślał jeszcze trochę o Śmierci, ale ta oddaliła się tak bardzo, że i o niej łatwo przychodziło mu zapomnieć. Szedł umierający pośrodku delirycznego marszu. Strychnica przestawała w jego głowie istnieć.

– Wielki głód! – odgadła Sammy, wrywając go wykrzyknikiem z letargu. – Zaczynam rozumieć! Ten napis, który odczytałam.

– Też bym coś zjadł – odparł Bart, zbyt osłabiony, by logicznie myśleć, i zbyt empatyczny na takie marsze. – Idziemy za Śmiercią, wiesz? – rzucił z pesymizmem, zapominając o braku zaufania dziewczyny.

Sammy ścisnęła dłoń chłopaka, co otrzeźwiło go na tyle, by mogła rozpocząć wyjaśnienia.

– Irlandzki wielki głód, z połowy dziewiętnastego wieku. Jedno z najtragiczniejszych wydarzeń w Europie – przemawiała słabym

głosem. – W tym właśnie bierzemy udział. Trochę niczym ten twój koszmar. Prawdopodobnie niewiele z tego jest tu prawdziwe.

Polak zaczął zwracać większą uwagę na szczegóły, choćby na pozbawione barw ubiory pielgrzymów czy na piaszczystą drogę, po bokach której rozciągały się zarośnięte chwastami pola. Bartosz nie dostrzegł żadnych pylonów, kabli, nowoczesnych budynków czy samochodów. Czasami minęli jakąś opuszczoną chatę, jednak nikt nie szukał w niej schronienia, wszyscy szli posłusznie dalej. W dodatku zapadał zmrok, więc zrobiło się zimniej i wietrzniej, chociaż pogoda już od pierwszych kroków nikomu nie umilała wędrówki.

– Głodowali? – Bart zapragnął rozmawiać z Sammy, byle tylko nie tłumaczyć się z zachowania w strychnicy i z dość głupawych jednak wynurzeń sennych. Zrozumiał, że Sammy mogła akceptować nawet najdziwniejszą rzeczywistość bez wcześniejszego poznania Tary czy Akki. Zrozumiał, że postać Śmierci, jeśli tylko on ją widział, mogła być wytworem jego zestresowanej, schorowanej wyobraźni. Odgadł, że w taki sposób jego podświadomość próbuje radzić sobie z samotnością. Nie pojmował, dlaczego uderza w dramatyczne, schizofreniczne tony, ale na podświadomość nie było mocnych. Wstyd dodał mu sił. – Co ma niedawna tragedia do starego mitu?

Niemka szła przez dłuższy czas w milczeniu, chwiejąc się trochę i szukając wsparcia w drżącym ramieniu chłopca.

– Test albo zabezpieczenie – wydedukowała. – Nie jest to sen, bo nie śni się we dwójkę tych samych snów. Ewentualnie ja śnię, a ciebie dorzuciłam sobie na dokładkę. Chociaż nie, bo zajęlibyśmy się czymś przyjemniejszym. Pomyślmy. Karczmarz nie opuści więzienia, ponieważ będzie musiał zejść po schodach, czyli więzi go głód, nie

wiedźma. Wnioskuje, że głód towarzyszy każdemu, kto postawi na schodach stopę. Dobrze myślę?

Bart nic nie odpowiedział; pogubił się już trochę.

– Twierdzę, że są tu odgrywane najtragiczniejsze z wydarzeń, jakie spotkały wyspę. Taki czyściec, jeśli jako Polak masz słabość do katolicyzmu. – Znalazła odpowiednie słowo. – Wcześniej mogło być coś innego niż marsz. Paskudnych wydarzeń nie brakowało na całym świecie.

Bartkowi wciąż wiele nie pasowało.

– Sądysz, że Irlandczyków nie spotkało nigdy nic gorszego? – Spróbował zaczerpnąć z kiepskiej znajomości historii. – A potyczki z Anglikami? Druga wojna światowa?

– W wojnie nie brali udziału. – Sammy o tamtych czasach wiedziała nie mniej od historyków. – Posłuchaj lepiej o wielkim głodzie, jeśli stawiamy jednak na Anglików.

Przez kolejne minuty szli blisko siebie, zbyt osłabieni, by móc się tym cieszyć.

– Pasożytniczy grzyb zaatakował uprawy ziemniaków. Chyba grzyb – dodała Sammy, bo nie miała pewności, czy nie pierwotniak. – Czytałam, że rośliny wyglądały jak szerniałe zielsko, a farmerzy mogli zapomnieć o zbiorach. Spróbuj to sobie wyobrazić. Inne czasy, brak importu czy eksportu na dzisiejszą skalę, brak supermarketów czy zakupów przez internet. Żadnych nasionek do sadzenia w ogródku czy zapuszkowanych potraw.

– Tylko ziemniaki? – Bart ziemniaków nawet nie ruszał, zrażony przez dzieciństwo w Wieszczyźnie, więc nie zrozumiał, w czym problem.

– Tak, bo zboże sprzedawali, żeby zapłacić Anglikom czynsz za dzierżawę ziemi. Wiesz, że Anglicy rządili tu twardą ręką, prawda? Wiesz, bo wspominałeś coś o Anglikach – odpowiedziała sama sobie Sammy.

Chłopak niepewnie pokiwał głową.

– Wiem sporo o Irlandzkiej Armii Republikańskiej. I o walce o niepodległość – próbował ciągnąć rozmowę Bart. – Tysiąc dziewięćset szesnasty rok. Przed wyjazdem obejrzałem film o Belfaście, ale nie zgłębiłem tematu. Zresztą w mojej szkole nie opowiadano za wiele o historii Irlandii. Męczyli nas polskimi królami i wojną. – Nie zdążył się powstrzymać, a nie chciał urazić Niemki.

– Nas też katowali Hitlerem – odparła dziewczyna ze smutkiem i ciągnęła wykład: – Angielski rząd postanowił wstrzymać pomoc humanitarną, twierdząc, że trzeba sobie na nią zasłużyć. Nazywali Irlandczyków rozleniwionymi katolikami, mnożącymi się na potęgę. Mieli i swoje problemy – dodała dla sprawiedliwości dziejowej. – Krach bankowej bańki spekulacyjnej na kolei.

– Ktoś umarł przez ten głód? – zapytał Bart, grzesząc naiwnością dobrego człowieka.

– Posłuchaj o liczbach. – Sammy zagryzła słowa słodkim ciastkiem wyciągniętym z kieszeni tak, aby nikt inny nie widział, zresztą i tak dla wszystkich nie wystarczy... Nawet Bart tego nie zauważył, więc nie zamierzała się z nim dzielić, wyrzuty sumienia zagłuszając słowotokiem: – Żyło tu z dziewięć milionów Irlandczyków, rozumiesz? Dzisiaj mówimy o połowie tej liczby, to pomyśl, do czego doszło, jeżeli wciąż nie odbudowano populacji. Ludzie żarli wodorosty, żeby przetrwać! Nie ze smakiem w japońskim stylu.

Polak raz jeszcze rozejrzył się po twarzach i opuścił wzrok.

– Półtora miliona trupów. Przyczyną głód oraz choroby, głównie cholera. Podobna liczba wyemigrowała do Kanady, do Stanów.

– Nikt nie pomógł? Rozumiem brak telewizji czy internetu, ale gazety chyba mieli? Telegramy? – Zamilkł, nie chcąc wyjść na totalnego głupka.

– Anglicy wstrzymali dostawy kukurydzy, a zapasy przechowywane w Irlandii zamknęli w magazynach. Zarządzono nonsensowne roboty publiczne, żeby nie było rozdawania zupy za darmo. Irlandczycy bezsensownie budowali drogi na pastwiskach. Wyczerpująca praca za miskę wodnistej zupy, która nie mogła nawet pokryć wydatku energetycznego, jaki wkładano w wielogodzinny trud.

– Za zupę? – Bart zdziwił się, ale przecież zjadłby teraz ze smakiem nawet miskę najpaskudniejszej brei.

O ciastkach w przedniej kieszeni luźnej bluzy nie wiedział, w zbyt wielkim był szoku, kiedy mu je wkładano. Poza tym uważał, że pomimo chłodu nie wypada trzymać rąk w kieszeni, kiedy służy się ramieniem kobiecie.

– Albo za kilkadziesiąt gramów owsianki. – Sammy wróciła do opisywania przeszłości, w którą wkroczyli. – Nosili kamienie za łyżkę węglowodanów, często oddawaną dzieciom. Umierali.

– Słyszałem coś o przytułkach. – Barta olśniło, czym zapunktował u Sammy. – W filmie było.

– Prawdopodobnie w *Black '47* albo w *The Poorhouse Revisited* – odgadła dziewczyna, która lubiła dużo wiedzieć. – Do przytułków trafiali głównie rolnicy po licznych eksmisjach. Tam gotowano w kotłach i każdy przybysz dostawał przykładowo pół schodka jako

adres. Rozumiesz? Trafiasz z rodziną do przeludnionego przytułku, by spać na kamieniach, tyrać jak wół, a w efekcie skonać.

– Świat nie pomagał? – W to Polak wciąż nie mógł uwierzyć. – Poza Anglią? Niemcy czy Polska?

– Nie, bo Anglicy doili Irlandię z ośmiu milionów funtów rocznie, głównie w podatkach. Pilnowali inne kraje przed wtykaniem nosa w nie swoje sprawy. Pomogli na pokaz, w sumie na jakieś siedem milionów funtów. A historii naszych krajów nie będę ci teraz opisywać. – Niemal parsknęła śmiechem, jednak powstrzymała się zarówno przed wyśmianiem niewiedzy chłopca, jak i przed dłuższym wykładem. – Kongres wiedeński, Wiosna Ludów, Prusy, zwierzchnictwo Austrii, a u was jak zwykle powstania oraz emigracja – dodała jednak krótko, dla jasności.

– Te siedem milionów funtów – Bart wrócił do poprzedniego tematu, zanim się kompletnie zbłąźnił – to chyba sporo?

– Niestety nie, pamiętaj, co powiedziałam o podatkach. Mówimy o okruszkach z ich rocznego budżetu rzuconych w okresie pięciu lat. Zabrali czterdzieści milionów, a dali siedem. Świat próbował pomóc – dodała ciszej, bo ponownie sięgnęła po ciastko. – Amerykanie wysłali statek ze zbożem, który Anglicy przechwycili i umieścili ładunek w magazynie, tłumacząc oficjalnie, że inaczej zakłóciłoby to handel. Turecki sułtan zamierzał ofiarować Irlandczykom dziesięć tysięcy funtów, to reprezentanci rządu uprosili go o obniżenie darowizny do tysiąca, bo królowa Wiktorja wsparła głodujących tysiącem właśnie, więc wyglądałaby głupio przy dyszce z Turcji. – Kolejne ciastko zostało potajemnie zjedzone, kiedy Polak popadł w dłuższą zadumę. Wyrzuty sumienia przegrywały z głodem.

– Ale co to ma z nami wspólnego? – wydusił z siebie Bart po kolejnych kilkudziesięciu metrach.

– Placówka posiada piękny teren, a dom jest stary, prawda?

Polak skinął głową, bo teren rzeczywiście rozciągał się jak okiem sięgnąć.

– Otrzymali go dawno temu, od rady miasteczka, wraz z rządowym dofinansowaniem na renowację. Rozumiesz? Zgadnij, co tu wyprawiano w połowie dziewiętnastego wieku?

– Przytułek... – odgadł chłopak, a głód ścisnął mu dotkliwie żołądek. – Dlatego te piekielne schody zajęły się ogniem wielkiego głodu.

– Widzisz, nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz – zażartowała Sammy, ale nie było im wcale do śmiechu. – Słuchaj, uważajmy na siebie. Nieważne, czy widzisz Śmierć, czy zna nas oboje, czy mówi do ciebie zapachami, czy tylko reagujesz majakami na stres lub wylądowałeś w moim śnie. Uważajmy na siebie i dotrzyjmy do celu. Posłuchajmy, co karczmarz ma do powiedzenia, i zabijmy go, jeśli wyczujemy kłamstwo. Pamiętaj, co mówił barman. Nie miał o Da Derdze dobrego zdania. Uważał go za zdrajcę.

– Nie zamierzam nikogo zabijać – westchnął Bart cicho.

– Zobaczymy. – Zapachowe słowo doleciało gdzieś z przodu, na co dziewczyna jedynie kichnęła.

Sammy w trakcie rozmowy powyciągała Bartkowi z kieszeni ciastka – pod pretekstem wspierających szturchańców, poklepywań oraz objęć. Wierzyła, że Bart i tak przetrwa. Biła od niego siła. W sobie czuła jedynie słabość.

Nie chciała zrzucić swojej śmierci na jego wąskie barki. Jako ta mądrzejsza zrozumiała, że czeka ich bardzo, ale to bardzo długi

marsz.

12

– Chyba wiem, dokąd idziemy – szepnęła Sammy, kiedy Bart wyprostował się wreszcie po wyjątkowo bolesnym skurczu żołądka.

– Czytałam o tym marszu. Afri rok w rok organizuje jego powtórkę. Nie wiem, czy przeżyjemy.

– Afri? – Erudycja młodej dziewczyny zaskakiwała Polaka.

– Action from Ireland – wyjaśniła, chociaż chłopak w dalszym ciągu niewiele rozumiał. – Organizacja z Dublina, jedna z tych od ochrony praw człowieka.

– Oszuści?

– Nie, pewnie nie – stwierdziła Sammy po namyśle. – Przepraszam, po prostu jestem z natury nieufna. Zdecydowanie muszą być transparentni w wydatkach czy w przychodach.

– Powiedz mi, gdzie idziemy. – Bart zmienił wstydlivy dla niego temat, bo znowu on prawie każdemu ufał.

– Powtarzają marsz z ostatnich dni marca tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku. – Skurcz żołądka ponownie złapał Barta w szpony, więc dziewczyna skorzystała z okazji i spałaszowała ostatnie ciastko, wolną ręką poklepując kolegę po plecach. – Wtedy angielscy komisarze zamierzali w Louisburghu przyznawać Irlandczykom status nędzarzy kwalifikujący do otrzymywania racji żywnościowych. Mikrych, ale o tym już rozmawialiśmy. Pewnie i do przytułku nie wpuszczano bez tego statusu.

– Czyli pomagali – ucieszył się Bart pragnący w każdym dostrzec dobro, lecz dziewczyna spojrzała na niego tak wymownie, że zamilkł i już tylko słuchał.

– Inspekcja nigdy nie doszła do skutku, a zmuszanie ludzi do marszu... – Sammy wytarła sobie usta, by upewnić się, że nie ma na nich okruszków, a po chwili przysunęła się do chłopaka i szepnęła mu na ucho, żeby inni nie słyszeli: – Ludzie tam doszli, do tego piekielnego Louisburgha, żeby dowiedzieć się, że inspektorzy będą ten status przyznawać gdzie indziej, w oddalonym o kolejne naście kilometrów Delphi Lodge. Dokładnie o siódmej rano następnego dnia. A był już późny, jak widzisz zresztą, wieczór. Czyli zbliżamy się do Louisburgha właśnie. I popatrz na naszych towarzyszy. Ledwo idą.

Sammy pachniała tak słodko...

– Skąd wiesz? – Bart wreszcie nabrał podejrzeń. – W ogóle dużo wiesz. Przygotowałaś się do wolontariatu?

Dziewczyna odskoczyła od chłopaka.

– Wiem, powinnam być głupiutką dziewiętnastolatką, co to nie odróżnia Irlandii od Wielkiej Brytanii. Wybacz, że zdarza mi się rozczarowywać mężczyzn.

– Nie o to...

– Wiem dużo, bo lubię wiedzieć. Polecam, tak na przyszłość, żeby móc swobodniej rozmawiać z elokwentnymi kobietami. I łatwiej żyć na emigracji z elementarną wiedzą o historii kraju. Łatwiej zrozumieć ludzi. Pokochać ich, chociaż tobie miłość przychodzi z psią łatwością – dodała, a Polak długo jeszcze dumał, czy starała się być złośliwa, czy komplementowała go raczej.

– Nie kocham ludzi – zwierzył się, chociaż zwykle słuchał, mówienie pozostawiając innym. – Dopiero w placówce znalazłem przyjaciół. Nawet moja rodzina... Nie uwierzyłyabyś.

Sammy przytuliła się ponownie do jego ramienia. Westchnęła, po czym wróciła do dzielenia się wiedzą.

– Szli nocą, pagórkowatą drogą, w zimowych, śnieżnych warunkach, co nas wkrótce czeka, czyli oszczędzaj siły. – Uśmiechnęła się lekko zarumieniona. – Mów jak najmniej.

– Dlaczego cię to bawi? – Chłopak odsunął się od coraz mniej ukochanej.

– Tak reaguję na stres oraz na podniecenie – przyznała dziewczyna, zawstydzając rozmówcę, który przypomniał sobie, że podczas seksu dużo się uśmiechała. – Powinieneś już zdążyć zauważyć, że jestem dziwna. Lepiej mi powiedz, dlaczego tu leżemy, jeśli jeszcze niedawno wchodziliśmy ze spiżarki na jakieś schody? Nie dawaj się tak podejść tej pieprzonej iluzji i pozwól mi się czasami uśmiechnąć. To wszystko – zatoczyła ręką półkole – jest sztuczne właśnie. Wydarzyło się dawno temu. Na tyle dawno, że trąci nieprawdą. Od naszej wiary może wiele zależeć, czyli pozostań chociaż odrobinę sceptyczny.

– Umrą. – Ponownie zapachniało gdzieś z przodu i ponownie Sammy zareagowała kichnięciem.

– Przeziębiam się, pięknie – zamarudziła.

Bart nie potrafił nic mądrego odpowiedzieć. Najmocniejszy z dotychczasowych skurczów żołądka powalił go na ziemię, wyciskając łzy z oczu. Prawdziwe, najprawdziwsze, jednak tak słone, że niemalże słodkie.

Irlandczycy podnieśli Barta, prawdopodobnie zbyt osłabieni, by dziwić się obecnością tej cudacznie odzianej dwójki w ich zagłodzonych szeregach.

– Nie widzą nas takimi, jacy jesteśmy – stwierdziła chłodno dziewczyna. – Bierzemy udział w przedstawieniu, kolego. Prawdopodobnie przypominamy ich wyglądem lub nawet nie istnieje tu nikt poza nami, czyli te postacie to jedynie tło, scenografia, iluzja na większą skalę! – Pochłonięty cukier dodał Sammy sił.

– Dalej jesteś ładna – jęknął Bart, gotowy do wędrówki. Osłabienie odebrało mu większość czucia w nogach, więc przynajmniej stopy przestały go wreszcie boleć. – Jak twoja kostka? – Przypomniawszy sobie o dziewczęcej kontuzji.

– Dobrze. – Sammy poruszała stopą. – Chyba rozchodziłam zwichnięcie. Mam nadzieję, że znajdziemy karczmarza, kiedy dojdziemy do Louisburgha. – Zarumieniła się pomimo chłodu.

Bart nie podzielał jej optymizmu.

– Raczej pójdziemy dalej. John dałby radę z kilkoma kilometrami. Nawet Fiona by dała, bo codziennie chodzi na spacer. A Michael polazłby za nią choćby do piekła. A widzisz, byli tutaj, skoro tak się zlekli. Byli i nie dotarli do celu... Mówili, że zsunęli się ze schodów.

Miał rację. Urzędnicy z Louisburgha wysłali petentów do Delphi Lodge, tych najbardziej lamentujących poganiając kijem. Bili mocno, Bartoszowi również się oberwało, tylko sprytna dziewczyna poszła przodem, niemal ramię w ramię ze Śmiercią Akką, zbyt dobrze znając historię tego marszu, żeby narażać się niepotrzebnie na przemoc, choćby i wirtualną.

Bito głównie po plecach, ale też po zakrywanych dłońmi twarzach. Wyzywano przy tym, bo bicie zwykle idzie w parze z wyzwiskami zagłuszającymi wyrzuty resztek sumienia.

– Chodźmy do Delphi Lodge! – Sammy przejęła dowództwo nad tłumkiem. – Tu nam nie pomogą. Nie traćmy czasu! Uratujmy przynajmniej dzieci!

Ludzie zaczęli narzekać, zwierzać się jej z tysięcy nieszczęść, błagając przy tym o litość, jakby dziewczyna mogła w czymkolwiek, poza poradą, pomóc – zaimponowała im bowiem siłą i stanowczością. Sammy tłumaczyła, że iść trzeba, a kto wie, czy pogoda, z bożą pomocą, nie stanie po ich stronie, chociaż wiatr wiał coraz przenikliwszy, taki, co drwi sobie z warstw odzieży, niosąc ze sobą wilgoć.

Śmierć wzleciała nad tłumek, zrażona do niemieckiego przewodnictwa, które dawało tym ludziom złudne nadzieje.

– Tam nas nakarmią – obiecywała dziewczyna, bo nie widziała nic złego w kłamaniu urojeniom, za jakie tych biedaków miała. – Trzymajmy się blisko, wtedy będzie nam odrobinę cieplej! Dzieci do środka, dorośli na zewnątrz!

Posłuchali.

Szli, ona silna, najedzona, oni konający z głodu. Bart kroczył na tyłach, w przemoczonej bluzie, na skraju wyczerpania, coraz bardziej nieczuły na ból, wreszcie z dłońmi w kieszeni. Coraz częściej podlatywała do niego Akka, by zapachnieć mu jakimiś upiornymi słowami. Chłopak szedł, martwy gdzieś od naskórka po coraz chłodniejszy szpik kostny.

Wreszcie Śmierć wzięła się do pracy, a uwijała się przy tym, aż niemiło. Dzieci odchodziły pierwsze, co przyjmowano z pewną ulgą,

ponieważ katolicki Bóg wzywał je wreszcie do siebie, daleko od cierpienia czy głodu, jak zapewniała Sammy, a rodzice z wdzięcznością całowali ją po rękach, chociaż tak niedawno obiecywała im przychylność pogody oraz ciepły posiłek.

Pozbawieni chęci do życia dorośli podążali śladem pociech. Ostatecznie pozostała dwójka maszerujących. Akka leciała nad nimi wysoko, tuż pod kobiercem chmur, raczej z ciekawości niż z obowiązku, którego już dopełniła.

Wiało, lało lub prószyło śniegiem, gdy pokonywali wyższe partie gór Comeragh, gdzie pozamarzały nawet wodospady. Mróz kąsał, zagęszczał Bartowi łzy, domagał się drgawek oraz jęków.

Chłopak zrozumiał coś bardzo ważnego: od historii nie da się odciąć i wypada o niej pamiętać, chociaż nie odpowiadamy za czyny przodków, za to za własne musimy ponosić odpowiedzialność.

Również za zaniechania.

Dlatego Bart postanowił działać. Zdecydował się wprawdzie dokończyć marsz.

13

Sammy zostawała czasami z tyłu, wtedy rozmyślała nad przeszłością, bo ten wyczerpujący również i dla niej marsz sprawił, że popadła w melancholię. O przyszłości wołała nie myśleć. Przyszłość z każdym krokiem stawała się irytująco niepewna, poza tym dziewczyna nie przywykła gdybać. Złościła się przy tym na siebie, bo zżerały ją wyrzuty sumienia, czyli coś do tego Polaka czuła. Zjadła ciastka, którymi trzeba się było podzielić. Niby znała historię, ale pojęła, że nic się z niej nie nauczyła. Niestety, heroizm kojarzył jej się wciąż z głupotą.

Rozpamiętywała dzieciństwo w Naumburgu, gdzie wiało nudą, bo z atrakcji mieli jedynie kościoły, katedrę oraz dom rodzinny Nietzschego, z którego filozofią bywało jej często po drodze. Nie ciągnęło Sammy do chrześcijaństwa ani do innych religii, a w życiu stawała wszechobecnemu chaosowi na drodze. Wierzyła, że człowiek „stworzył” miliony bogów, a nie Bóg człowieka; utożsamiała się jednak troszkę z pojęciem nadczłowieka.

Sammy, w odróżnieniu od Bartosza, miała w dzieciństwie wielu przyjaciół i dopiero w liceum poczuła się po raz pierwszy samotna. Wcześniej brano ją sporadycznie za dziwaczkę, ale ponieważ wymyślała całą masę zabaw i ogólnie uchodziła za wesołą, energiczną dziewczynkę, to rówieśnicy akceptowali jej inność. Zawsze wiele wiedziała i z chęcią dzieliła się wiedzą. Czytała,

zapamiętywała, opowiadała. Coraz częściej poprawiała dorosłych, coraz częściej też irytowała ją ludzka ignorancja.

Przed każdym wyjściem z domu musiała iść siku, poza tym wachała każdy kęs jedzenia przed włożeniem do ust. Mówiła głośno, niemalże krzycząc, co w zabawie nikomu nie przeszkadzało, ale już z czasem, kiedy dzieciaki podrosły, wielu znajomych zaczęło drażnić.

Rodzicom żadna z tych rzeczy nie wadziła, łącznie z mlaskaniem czy z wyrywaniem metek z ubrań. Dopiero nauczycielka w liceum zasugerowała, że Sammy może wykazywać objawy szerokiego spektrum autyzmu, czym zszokowała szczególnie matkę, kobietę zbyt perfekcyjną w każdym calu, by zaakceptować tego typu sugestie.

Szczęśliwie ojciec okazał się pragmatyczny i zorganizował wizyty u specjalistów z tak wielu dziedzin, że czasami dziewczyna nie wiedziała nawet, z kim rozmawia. Kilkoro lekarzy, psychiatrów, pedagogów szkolnych, a nawet logopeda oraz psycholog rodzinny przeprowadzali wywiady z najbliższymi Sammy, jak i z samą pacjentką. Dziewczynka była i będzie mu zawsze wdzięczna, bo zrozumiała, dlaczego jest inna od większości rówieśników, dlaczego nie znosi rozmów telefonicznych i tych upiornie drażniących metek przy ubraniach. Dlaczego bywa nieczuła, za to nauka przychodzi jej z łatwością. Dlaczego w nocy musi używać silikonowych zatyczek do uszu, by w ogóle zasnąć, a wszystkie te rytuały – których ilość znacznie i skutecznie wreszcie ograniczyła – pozwalały jej się uspokajać w natłoku bodźców. Zrozumiała swoją nienaganną schematyczność, obsesyjną wręcz miejscami kompulsywność, jak i, podobnie do Johna, zamiłowanie w planowaniu sobie każdego dnia. Pojęła, dlaczego rozpoznaje z łatwością twarze aktorów w kolejnych

filmach, chociaż gubi się nawet w Naumburgu. Wreszcie naczytała się o autyzmie, by poznać lepiej samą siebie.

Zaakceptowała własną odrębność, a nawet zaczęła być dumna ze swojego spektrum. Szczególnie odkąd tata znalazł dla niej pomocną psycholog z Bawarii, u której przed laty również zdiagnozowano zespół Aspergera, zaburzenie dzisiaj mieszczące się w spektrum autyzmu. Kobieta wytłumaczyła dziewczynie, skąd biorą się pewne trudności w zakresie umiejętności społecznych czy niechęć do zmian wywołujących nerwowość. Zasugerowała, by myśleć o sobie jako o ekscentryczce, a nie o kimś umysłowo chorym czy gorszym od innych.

– W wielu dziedzinach pozostaniesz bezkonkurencyjna – zapewniała. – Z takim umysłem możesz zmienić świat na lepsze – dopingowała.

Odtąd Sammy żyła i robiła wszystko, by nawet matka nie traktowała autyzmu jako choroby, wręcz przeciwnie, obie zaczęły dostrzegać korzyści płynące z życia w spektrum. Systematyczność, chłonny umysł oraz wręcz nadludzka skrupulatność – ponownie kłaniał się Nietzsche – wprawiały matkę w osłupienie. Dziewczyna potrafiła zapamiętywać tak wiele... Przypominać o czymś sprzed miesiąca czy roku, jakby to wydarzyło się zaledwie wczoraj. Przykładowo Sammy w kilka tygodni nauczyła się grać przyzwoicie na gitarze, a i zaznajamiała się coraz śmieiej z pianinem u dziadków, chociaż to właśnie z gitarą została na dłużej.

Wciąż wyrywała metki z ubrań, zasypiała ze stoperami w uszach i starała się nie wychodzić poza plan dnia, ale wiele z nawyków zdołała zwalczyć. Spokojnie funkcjonowała w społeczeństwie,

mówiła ciszej, nie wachała już każdego kęsa ani nie wpadała tak łatwo w złość.

Chociaż, nad czym ubolewali rodzice, była nieco chłodna w obyciu. Dość wyrachowana, co powtarzała jej matka w nadziei, że da tym córce do myślenia. Sammy zawsze wpierw myślała o sobie, a miłość odbierała jako słabość.

Nie mogła nic na to poradzić. Tu powinny sobie z Akką uścisnąć dłonie.

14

Sammy dojadła okruszki ciastek, coraz bardziej zaniepokojona przedłużającym się marszem. Wspomnienia z przeszłości odpływały lub skupiały się raczej na kłótniach z matką – tych zaliczyła bez liku. Przynajmniej nie myślała o Śmierci, niby latającej nad nimi. Wciąż nie przyznała się Bartkowi, że miała z nią wysnioną nieprzyjemność, chociaż zaskoczył dziewczynę końcówką swojego koszmaru oraz szczerością właśnie. Od dziecka wołała pewne sprawy zachowywać dla siebie, dla bezpieczeństwa. Zbyt często wyzywano ją od dziwaków.

– Jakby ktoś zamienił kilometry na mile – marudziła pod nosem, znajdując chwilowe ukojenie w ich przeliczaniu.

Bartosz w tym czasie rozmyślał o rezydentach *Teach Solais*, głównie o Johnie. Siły niezbędne do stawiania kolejnych kroków czerpał z przyjaźni, a odwagę ze wspomnień o Michaelu. Dobro wciąż gościło w sercu opiekuna, również z szacunku dla znajomości z Fioną. Nie zamierzał się na nikogo obrażać ani tym bardziej złościć. Miał zadanie do wykonania. Misję.

Szedł, przemyśleniami orbitując wokół obowiązków, tych spokojnych nocek z pomrukiem najedzonej kotowiedźmy w tle, przesiąkniętych zapachem odgrzewanych na kolację potraw. Miał zatem więcej szczęścia od Sammy. Nie musiał dumać o rodzinie.

– Zjadłbym nawet surowe ziemniaki – jęknął, kiedy pusty żołądek przypominał o sobie następnym skurczem.

Marsz trwał, wreszcie głód zaczął doskwierać i Sammy, już dziwnie milczącej, bladej oraz zziębniętej. Pokutującej za niedawne grzechy.

– Słabnę. – Podeszła do Barta. – Powinniśmy zrobić sobie przerwę, może zdrzemnąć się troszkę. Sen jest ważny. Tata zawsze upierał się, żebym nie lekceważyła ożywczej mocy snu. Może paradoksalnie zadziała na naszą korzyść. Zaśniemy i przebudzimy się z tego koszmaru! Umrzemy, by obudzić się na schodach! – Zaczynała majaczyć, względnie logicznie. – Ogrzejmy się w jakimś rowie. – Z desperacji sięgnęła po flirt, przytulając się nawet, by sprawdzić, czy nic przypadkiem nie pozostało w kieszeni chłopaka. Podczas przytulenia nie czuła odrazy, co dobrze świadczyło o ich wspólnej przyszłości.

– Nie – zdołał odpowiedzieć Bart, z powrotem tonąc w myślach. „Nie”, chociaż ciche, wypowiedziane zostało w imieniu każdej duszy, która kroczyła tu z nimi bez ciała.

– Latarnia – jęknął Bart. – Idziemy.

– Tak? – Dziewczyna pragnęła jakichkolwiek wyjaśnień wieszczących koniec koszmaru.

– Latarnia jest wieżą. Wciąż pokonujemy schody, pamiętasz? – Zbyt łatwo dało się o tym zapomnieć. – Ta latarnia nie ma nic wspólnego z prawdziwym morzem – dodał Bart, zanim ponownie popadł w trans.

W wieżach nigdy nie dzieje się nic dobrego, pomyślała dziewczyna. Dlaczego ciągnie nas do wspomnień? Do upiornej kobiety ze snów? Czyżby coś takiego jak Śmierć jednak istniało? Czy to ona za wszystkim stała? Wracały dobrze już jej znane pytania.

Szli przez kolejne godziny, aż Sammy zapomniała o pełnym brzuchu czy o niedawnym, jakże teraz odległym, poczuciu wyższości. Raz jeszcze pozazdrościła Bartkowi, tym razem wytrzymałości. Z tej zazdrości czerpała siły oraz ze złości na siebie, że dała się w takie piekło wciągnąć. O Akce zapomniała. Zbytńo dokuczał jej głód wraz z wyrzutami sumienia.

– Chciałam przetrwać – okłamywała się pod zziębniętym nosem, to różowiejąc, to blaknąc na zmianę.

Maszerowała chwiejnie, wgapiona w ubrudzone czubki firmowych butów, o wiele wygodniejszych od tego, co miała na stopach grupka Irlandczyków.

– Dużo mówię, mało robię. – Sammy zaczęła analizować na głos swoją przeszłość, skoro Bart i tak nie słuchał. – Wiecznie czegoś oczekuję. Żądam. Łatwo osądzam, chociaż nigdy siebie. Pomagam, kiedy jest to dla mnie wygodne. Chodzę dumna ze swojego spektrum. Zbyt dumna? Wyniosła? Nie kocham. Nie tak jak inni.

Marsz dał jej wiele do zrozumienia.

– Ile już przeszliśmy? – Sammy naciskała na Barta. – No odezwij się wreszcie! Nienawidzę cię! – skłamała, opadnięta z sił.

Opiekun milczał, odgradzony od głodu czy zauroczeń ścianą wspomnień. Marzył o powrocie do placówki, więc nogi same stawiały kroki, kierowane rozmytym wzrokiem. Byle do celu, do przyjaciół, o ile nie zabraknie paliwa wspomnień.

– Wrócę – zapewnił, na co Niemka nawet nie odpowiedziała, zmagając się z własnymi demonami, bo Sammy brakowało przyjaciół, dla których potrafiłaby umrzeć.

Za to miała od teraz wroga, dla którego powinna żyć. Obiecała sobie, że kocia wiedźma wyląduje pewnego dnia w słoiku. Za

wszystkie manipulacje, których się dopuściła. A jeśli jest tam i Śmierć, to i ona ją popamięta!

Samanthę napędzały również wyrzuty sumienia. Zbytnią sympatię czuła do Bartka.

VINCENT



*Tamtejszą karczmę prawdopodobnie spalono,
nie wykluczam, że karczmarza zamordowano.*

Andrzej Sapkowski, Pani Jeziora

1

Karczmarz czekał u góry schodów i patrzył na młodych pokonujących ostatnie stopnie w stałym, powolnym tempie. Oceniał ich siłę, a umysł podsyłał mu najczarniejsze scenariusze, w większości pisane ręką Śmierci, bo Akkę dobrze znał, nie tylko z tysięcy snów.

– Że też tu leżą! – główkował na głos, bo z powodu samotności bardzo często przemawiał do siebie. – Pieprzona kocia wiedźma!

Da Derga nigdy nie krył się ze swoim tchórzostwem, wręcz przeciwnie, uważał je za powód do dumy, pozwalający mu przetrwać. Z tchórzostwa płynęła jednak samotność, której miał dosyć. Bał się i pożądał zarazem zmian. Kolejne sto lat samotności i sam poprosi Akkę o ostatni oddech.

– Będą chcieli porozmawiać – uspokajał się trochę.

Sammy z Bartoszem wyglądali karczmarzowi na łagodnych duchem, dlatego nie zepchnął ich ze schodów jak tego krępego mężczyznę z zespołem Downa przed kilku laty. Ot, para młodych ludzi wykończonych głodowym marszem.

– Przechytrzę ich – planował. – Wykorzystam, żeby wyrwać się z tej niedoli...

Byle pozwolili ci mówić, odezwało się w nim drugie ja, bardziej asekuracyjne i ostatnio coraz silniejsze. Byle potrafili słuchać. Byle mieli coś ciekawego do powiedzenia.

Da Derga tymczasem zapragnął towarzystwa nie mniej niż młodzi jedzenia. Samotność wygrywała nawet ze strachem, tym bardziej że karczmarz przygotowany był niemal na każdą sytuację. Miał przecież czas. Zastanawiał się tylko, czy powinien naopowiadać gościom bzdur już na samym początku znajomości, czy może pozwolić im wprawdzie dojść do głosu, poznać się trochę, wy badać, jak się rzeczy mają.

Żeby nie stanęli od razu do walki! Ponownie odezwał się w nim strach.

Podeksytowanie sięgało zenitu, kiedy pracownicy placówki wspięli się na ostatnią pętlę schodków. Da Derga zauważył, że Niemkę dopadł kryzys, więc wyciągnął ku niej dłoń. Zarumieniła się, a mężczyzna odetchnął z ulgą, bo dziewczęce rumieńce świadczyły o powrocie do żywych.

– Sprytna mała – szepnął do siebie dla przestrogi. – Wie, że marsz nie był prawdziwy. Wywęszy kłamstwa Akki!

Bart nie wymagał pomocy. Karczmarz odwrócił wręcz od chłopca wzrok i zatkał nos, tak bardzo załatywało od opiekuna śmiercią maszerujących do niedawna przy jego boku Irlandczyków.

Śmierć cię kocha, dumął Da Derga, nieco tym odkryciem zaniepokojony. Podatny jesteś na jej wdzięki, przy czym musisz mieć charakter. Oby dobry...

Ten złudny smród szybko zniknął, jednak przypomniał gospodarzowi, że znajdują się w paszczy lwa i igrają z przeogromną potęgą lubującą się w biżuterii z kości.

Karczmarzowi szumiało pod czaszką niczym w najdłuższych atakach paniki, jakich miliony przeżył na szczycie wieży. Odetchnął raz i drugi, po czym spróbował oczyścić umysł.

Walczył ze sobą, żeby od razu nie pozabijać gości. Zrobiłby to, gdyby nie tęsknota za ludzkim głosem.

2

Karczmarz położył Sammy na chłodnej podłodze, zaskoczony, że straciła przytomność, kiedy magia schodów powinna odpuścić.

– Udajesz? – mruzczał pod nosem.

Dziewczyna przypominała mu Tarę – urodą skłaniała do pomocy, a za porywy serca liczone, według Da Dergi, drogo. Ładna była prawie jak Tara, choć zdaniem Da Dergi żaden mężczyzna, nawet żyjący dwa tysiące lat, nie spotka dwóch równie pięknych co wiedźma kobiet.

Uroda kojarzyła się karczmarzowi z niebezpieczeństwem. Sparzył się już na znajomościach z Akką czy Tarą. Tym razem postanowił zachować szczególną ostrożność, ale tak bardzo tęsknił za kobietami...

Bart odwrócił uwagę mężczyzny od Sammy. Chłopak stanął za progiem niczym maratończyk za linią mety. Słaniał się na nogach, a z brody skapywał mu pot. Z trudem przyglądał się maźniętym mrokiem ścianom. Wyteżał wzrok, jednak kompletna czerń pożerała najdalsze ich fragmenty. Wypatrywał Śmierci.

– Sammy – westchnął, po czym zawstydził się egoizmu. – Jak mogłem o tobie zapomnieć? Pytałaś... Milczałem.

Wynurzał się z otępienia, a głód gdzieś prysnął, chociaż Bart wiedział, że wgryzł się w ich dusze i już nigdy nie da o sobie zapomnieć.

– Dziewczyna jest bezpieczna, kawalerze. Niech odpocznie, a ty strzeż się piękna! – Latarnik odsunął Bartka od koleżanki. – Marsz odbył się w waszych głowach, czcigodny gościu. Ona o tym wie, ty najwidoczniej nie. – Miał na myśli przepocenie chłopaka. – Te schody – wskazał na ciemniejące ich pętle, od których do pomieszczenia wpadała czerń – majstrują przy zmysłach. Nie uwierzyłybyś, kto stoi za ich wzniesieniem! – Klasnął z radością w długopalczaste dłonie, po czym od razu się uspokoił, bo nie chciał podpaść Akce; na pewno podsłuchiwała.

Gospodarz wskazał na stołek, na którym Bartosz zapragnął usiąść, tylko zląkł się, że kiedy to zrobi, to już nigdy nie wstanie, tak bardzo osłabły mu nogi. Gospodarz wyczuł obawy chłopaka i podsunął mebel bliżej, zapewniając, że „wszystko będzie dobrze, trzeba tylko mózg przekabacić”.

Da Derga poruszał się szybko, chociaż ze zdenerwowania wciąż drżały mu dłonie. Nie wyglądał jednak na silnego. Bartkowi kojarzył się raczej z kimś miastowym, kto walczy sprytem, a nie pięściami.

– Osłabienie minie jak ręką odjął! – obiecał gospodarz. – Mózg skonstatuje, że wziął wraz z ciałem udział w okrutnym złudzeniu i tak naprawdę pokonaliście zaledwie kilkadziesiąt schodów, no może marną ich setkę.

– Zabawnie mówisz – przyznał Bart, siadając wreszcie z ulgą. – Wyglądasz na przyzwoitego człowieka – dodał.

Da Derga wyglądał raczej na ekscentryka. Nosił czarny płaszcz, skórzane buty (niegdyś białe, dziś ciemnoszare; prezent od Śmierci), a proste, krucze, choć przeplatane siwizną włosy opadały mu na ramiona. Brak zarostu czy zmarszczek utrudniał ocenę biologicznego

wieku gospodarza. Latarnik mógł mieć równie dobrze trzydzieści co pięćdziesiąt lat.

– Udzielę ci lekcji, kawalerze – przemówił, speszony komplementem Polaka. – Wiedźma również wygląda na przyzwoitą. W ocenie charakteru najlepiej pozostawać ślepcem, bo i Śmierć potrafi omamić zmysły! – Karczmarz gestykulował w ciągłym ruchu dłońmi o długich palcach, z wystającymi poza opuszki paznokciami, co jakiś czas nerwowo przygryzanymi.

– Powinniśmy ze sobą walczyć? – zapytał Bart, przypominając sobie nagle o rezydentach i absurdalnie odległych wydarzeniach z poprzedniej nocy. – Nie, wiedźma mówiła, żebyśmy porozmawiali. – Uspokoił karczmarza, który w ostatniej chwili powstrzymał się od morderczego ataku. – Powinniśmy porozmawiać? – Bart gubił się we wspomnieniach, skoro od strychnicowych wydarzeń przemaszerował z ćwierć Irlandii, w dodatku w głodzie i chłodzie. – Prosiła, żebyśmy przemówili ci do rozsądku. Sammy poszła ze mną dla wsparcia. – Spojrzał na leżącą dziewczynę i milczał przez chwilę. – Rezydenci giną, kiedy przywołujesz jeźdźców! – Przypomniawszy sobie o obowiązkach. – Umierają niewinni ludzie.

Po tych słowach nastąpiła cisza, z której skorzystała Sammy, by udawać przebudzenie. Usiadła, jęcząc z bólu przeforsowanych mięśni. Zarumieniła się na widok gospodarza, który przemówił do niej, ignorując Barta:

– Obserwowałem was na schodach, umiłowani przez Akkę. Nie podzieliłaś się jedzeniem, czyli wnioskuję, że chyba się nie kochacie, ptaszyny. Czyżbyś wykorzystywała zauroczenie kawalera? Kobiety niewiele się zatem zmieniły od moich czasów! – Klasnął w dłonie z radością pięciolatka wpatzonego w zamrażarkę z lodami. – Ukradłaś

prowiant, panienko. Wiedźma byłaby z ciebie dumna, a i Śmierć utuliłaby cię w ramionach.

Skołowany Bart spojrział na Sammy, oczekując wyjaśnień. Głód wprawdzie zelżał, lecz wspomnienie jedzenia skurczem żołądka przypomniało o marszu.

– Spałaszowała twoje ciastka, kawalerze – doprecyzował Da Derga, korzystając z tego, że dziewczyna postanowiła milczeć. – Śmiem zatem twierdzić, że to wiedźma wysłała nam tę ptaszynę! Obrabiała ci kieszenie bez mrugnięcia okiem!

– Nie miałem ciastek. – Skonfundowany chłopak stanął w obronie koleżanki. – Nawet nie lubię ciastek. Mama piekła... – Pozwolił sobie uciec we wspomnienia, ale szybko otrząsnął się z nich, jak i z ostatnich kropel potu. – Nigdy nie kupuję słodczy, a bluzę wyjąłem z szafy.

Sammy milczała, skoro sprawy zaczęły przybierać przychylniejszy dla niej obrót. Wiedziała, że słowa mogą zaszkodzić, co rzadko się zdarza milczeniu. Gospodarz spojrział na nią, po czym odpuścił, uśmiechem kończąc temat. Usiadł za okrągłym biurkiem przy gigantycznej żarówce. W środku coś leciutko błyskało.

3

– Biedaczka tęskni. – Karczmarz wpatrywał się w szkło niczym w twarz ukochanej.

Polak podszedł do gospodarza, przyglądając się kolejnym błyskom.

– *Lampyrus noctiluca*, osłabiony przedstawiciel gatunku. – Sammy wstała, postawiła kilka chwiejnych kroków, lecz nie podeszła tak blisko jak Bartosz. – Jedno z najstarszych zwierząt na Ziemi. Żywa, chociaż umierająca skamielina.

– Prawda, ptaszyno. Sto milionów lat historii w świetle nauki, a o wiele, wiele więcej w jej cieniu. – Da Derga posmutniał, po czym uśmiechnął się sztucznie. – Emituje coraz mniej światła, dlatego latarnia wydaje się martwa. Pewnie niedługo pogrążymy się w tej czerni nieszczęsnej, jakiej służy Akka. Bez tego robaczka już dawno popadłbym w szaleństwo.

– Samiczka świetlika – odgadł i Bart. Chłopak podniósł wzrok, przymknął oczy i zaczął nasłuchiwać. – Nic nie szumi – odezwał się po kilku sekundach ciszy. – Latarnia bez morza? Bez wiatru?

Gospodarz spojrział na niego, jakby zastanawiał się, czy ten udaje nierozgarniętego.

– Dociera tu wilgoć zza ścian, kawalerze. – Zniżył głos, jakby bał się mówić. – Wygląda niczym poszarzała, pachnąca słowami mgła. Tchnienie Śmierci, która lubuje się w zastraszaniu samotników. – Karczmarz zamilkł.

Sammy otworzyła usta, lecz po raz pierwszy od dawna zabrakło jej słów. Nie pojmowała, jak Da Derga przetrwał bez jedzenia, a nie lubiła pytać, słynąc z odpowiedzi. Podejrzewała, że głód spływał na schody.

Ta pokrętna wiedźma powinna nam więcej powiedzieć, dumiała. Miała ku temu niejedną okazję.

– Tam z tyłu – odezwał się zaniepokojony ciszą latarnik, więc przenieśli wzrok na wyłaniające się z ciemności kształty – trzymam aparat optyczny. Dziewiętnastowieczną konstrukcją skupiającą światło, którego tu ciągle brakuje, ale dzięki wam jest wreszcie jaśniej.

– Nikt już takich nie używa. – Sammy znała się i na latarniach.
– Teraz instalują żarówki halogenowe z odbłyśnikami. Światło zyskuje zasięg do kilkudziesięciu kilometrów.

– Nie w tych mgłach – przerwał jej Da Derga, zaskoczony poziomem wiedzy u kogoś tak młodego. – Tutaj – spojrzał z zazdrością na ich gładkie twarze – jasność zdycha, ptaszyno. Te ściany – wskazał na otaczającą ich czerń – łakną światła, dlatego wolałem nie ryzykować. Nie wiem, kto tu po prawdzie gospodarzy. Śmierć czy potężniejsze siły.

Nagle latarnia drgnęła, a Da Derga skulił się ze strachu.

– Nie powinienem marudzić. – Struchlał. – Wilgoć napiera, dzieci – szepnął. – Mgłą dobiera się do szkieletu konstrukcji, do kości, żeliwa oraz do magii klątwy! – W oczach karczmarza błysnęło szaleństwo samotnika. – Nie wróćcie do domu. – Zawiesił na moment głos oraz palec wskazujący w górze. – Daliście się zwieść Tarze! Ty, kawalerze – spojrzał na Polaka, pochylając z szacunkiem głowę – zostałeś przebrzydłe wykorzystany! Takim kobietom nie

wolno ufać. Odwracajmy od piękna wzrok! – Przeniósł swój na Samanthę. – Tracimy przez piękno rozum. Popełniamy błędy młodości, dopuszczamy się wyskoków na starość.

– Razem zdołamy uciec – palnął Bart, któremu zrobiło się żal karczmarza. – Porozmawiasz z Tarą, a my wrócimy do pracy. Nie pozwolę cię skrzywdzić. John z Michaelem staną po mojej stronie, a pewnie i Fiona nie będzie się długo boczyć.

– Schodząc, skazuję się na śmierć. Tu przynajmniej jestem pod okiem waszej znajomej z koszmarów.

– Czemu nie przeniesiecie się z jeźdźcami w inne miejsce? – zapytał Bart, na co Da Derga zareagował śmiechem.

– Dla Tary świat poza latarnią nie istnieje! Już lepiej uciec przed wiedźmą w czerń! Zgasić świetlika i pozwolić niebytowi zająć latarnię.

– Pokaż, o czym mówisz. – Sammy odważyła się podejść bliżej. – Udowodnij, że nie jesteś więzionym zdrajcą irlandzkiego króla.

– W wieżach więzi się księżniczki, skarbie. – Uśmiech wrócił na oblicze karczmarza. – We mnie nie płynie ani kropelka błękitnej krwi.

– Konkrety! – zdenerwowała się Sammy. – Albo polecisz ze schodów na rozgadaną twarz.

4

Tara spoglądała na rezydentów złęknionym wzrokiem. Ulegli zmianom. Wrodzona nieufność w połączeniu z królewską siłą oraz darami strychnicy tworzyły mieszanekę wybuchową.

– Siedzimy tu już cztery godziny i trzydzieści dwie minuty oraz – John przymknął na chwilę oczy – szesnaście sekund – wyrzucił szybko, żeby nie stracić na precyzyjności; łatwo mu się ostatnio myślało. – I tylko dlatego, żebyśmy odpłacili komuś nam nieznanemu za grzechy przeszłości.

Fiona spoglądała na Michaela z pogardą. Dziwiła się, że ktoś tak odstręczający kiedykolwiek położył na jej ciele swoje łapy.

– Kurewskie szmaty – mruczał Michael pod nosem. – Głupie dupy! Dziwki! Wiedziałem, że kiedyś sprowadzą na mnie kłopoty. – Michael również czuł się odmieniony, elokwentny wręcz, przy czym skrajnie wybredny, jeśli chodzi o płęć przeciwną, niekoniecznie według niego piękną. Na koleżankę nie patrzył, bo odbiegała od jego nagle wysokich standardów. Nawet Tara mogłaby trochę o siebie zadbać i wreszcie zrobić coś ze szkaradną stopą.

Wiedźma zaczęła uspokajająco mruzczyć. Wciąż wierzyła w powrót Barta, który może jej nie ufać, może nawet zaprzyjaźnić się z karczmarzem, lecz z pewnością nie pozostawi tych ludzi bez opieki. Strychnica działała niestety i na kotkę. Oprócz czystości bieli wiedźma straciła pewność siebie. Zaczęła wątpić w powodzenie długo obmyślanego planu.

– Zbyttnio zwlekałam – marudziła cicho. – Nie powinnam ryzykować. Już dawno należało posłać pierwszego lepszego z opiekunów. Zapłacić mu albo go uwieść.

– Wszystko przez ciebie. – John spojrzał na nią takim wzrokiem, że aż zmieniła się w kota, wskoczyła na stertę półek i wysunęła pazury.

5

Gospodarz opowiedział przybyszom o początkach karczmy. Zapewniał, że podróżni mogli u niego odpocząć.

– Tara ukrywała tu również zbiegów. Ich krwią podejmowała próby otwarcia strychnicy – westchnął niczym największy znawca tematu.

– Dlaczego czerwień jest ważna? – podchwyciła krwisty temat Sammy. – Chodzi o życiodajność krwi?

– Z jeźdźcami krew się nie liczy, ptaszyno, tu chodzi o świadome działanie, o zaproszenie. Demony nie mogą się szwendać, gdzie popadnie, bo mielibyśmy piekło na ziemi. Przyszpilono ich klątwą do okolicy.

– Nic z tego nie rozumiem – westchnął skołowany chłopak.

– Magia klątwy nie wyłącza się ot tak, z przypadku! – spróbował wyjaśnić prościej karczmarz. – Jeźdźcy zajmą kiedyś dom, ale na tym nie zakończy się nasz wspólny koszmar. Akka nigdy nie zmienia zdania, a to dzięki niej słowa króla zyskały na mocy. Śmierć ma niezachwiane poczucie sprawiedliwości! Bracia króla wysłali żołnierzy na rzeź. Zapłacą za to namiastką wieczności. Oni, wiedźma i ja. Pozwól demonom wejść, przypieczętuj zaproszenie czerwienią, a przekroczą próg i zrobią wszystko, żeby zrzucić z siebie brzemię klątwy. Proste – prychnął. – Wierzą, że przejmując karczmę i zabijając mnie z Tarą, przeproszą Akkę.

– Czy jeźdźcy złamali zasady? – zainteresowała się Sammy.

– Raczej wykorzystali sytuację, z której mogliby się wytłumaczyć.

– Przed kim? – Dziewczyna próbowała pociągnąć karczmarza za język. Potrzebowała dodatkowych informacji, by zrozumieć prawa rządzące tym światem.

– Chyba Akką – przyznał gospodarz zgodnie z prawdą. – Z drugiej strony magia, która za tym stoi, jest równie stara jak świat, po którym ostatnio stąpaliście. Starsza od życia, czyli i od Śmierci.

– Jeźdźcy nie mają z tobą nic wspólnego? – Bart słuchał, lecz wciąż niewiele rozumiał.

– Mówcie mi Vincent – przedstawił się karczmarz cichutko, z zadumą, bo dawno nie słyszał brzmienia swojego imienia. – Dawno trafiłem w te strony, gdzie pośród traw i chaszczy latały świetliki. Przysiadłem na kamieniu i nagle coś mi mignęło. Po okolicy kręciła się biała kotka, która nie polowała na owady, tylko miauczała żałośnie. Postanowiłem się nią zaopiekować, chociaż nie lubiłem kotów za ich mordercze zapędy. Dwa tysiące lat temu...

– Już wtedy mieliśmy koty w Europie? – Bart starał się zabłysnąć przed Sammy erudycją.

Niemka odpowiedziała:

– Nubijskie. Krzyżowały się ze żbikami.

– Pewnie trzymano je do ochrony zboża – spróbował wybrnąć, lecz ponownie nie zabłysnął.

– Do ochrony zboża używano łasic lub węży. Kot w Irlandii wciąż był... niekoniecznie udomowiony – ucięła temat, by uniknąć dłuższego wykładu.

Da Derga długo spoglądał na Sammy. Niepokoiła go rozległa wiedza dziewczyny. Postanowił uważać na słowa.

– Zaopiekowałeś się mówiącym kotem, w dodatku kuszącym wyglądem w czasach, gdy każdy wiałby przed takim cudem – podsumowała Sammy. – Czyżbyśmy mieli ci współczuć?

– Mówiła! – zaśmiał się Vincent Da Derga. – Napędziła mi strachu, ale i zadziałała na zmysły. Pobiegłem jednak, gdzie stopy poniosły, jakby goniło mnie stado wilków. Wtedy mieliśmy tu jeszcze wilki. – Uderzył w niewiedzę Barta, starając się podlizać Samancie, bo jak większość tchórzy chętnie korzystał z lizusostwa.

– Ale wróciłeś – odgadła dziewczyna.

– Żądza skłoniła mnie do powrotu. – Gospodarz przyznał się do słabości. – Wróciłem, przeprosiłem za tchórzliwość, a Tara wpierw pokiwała łebkiem ze zrozumieniem, po czym ponownie przemieniła się w kobietę o twojej urodzie – skłamał, ponieważ wyglądowni Sammy miałyby garść drobiazgów do zarzucenia. – Naopowiadała mi o pragnieniu, jakiemu stawiała czoła.

– Wyczuwała wieżę, zanim postawiliście tu karczmę – odgadł Bart.

– Wieża to przejście – pomogła w dedukcji Sammy. – Może schody rzeczywiście dostosowują się do historii? Dlatego przeszliśmy przez niedawny marsz? – Zdecydowanie potrzebowała więcej danych.

– Myślę, że wcześniej był to zwykły głód, rozsmarowany na tych stopniach. – Karczmarz spróbował pomóc, chociaż nie lubił gdybać. – Na tyle dotkliwy, żeby kociej Tarze nie udało się dotrzeć na szczyt i tylko Akce miło pokonywało się kolejne stopnie... – Zawiesił głos, jakby powiedział za dużo.

– Pomyślcie! – uaktywniła się Samantha. – Kiedy wielki głód zdziesiątkował ludność wyspy, a błagania o żywność wypełniły

miliony modlitw, latarnia sięgnęła po gotowy wzorzec!

– A jeźdźcy? – Bart przypomniał wszystkim o mordercach. – Wracają, żeby się przejść po schodach? – parsknął nerwowym śmiechem. – Słuchaj, widziałem ich i nie chciałabyś, żeby wrócili na twojej zmianie. Karczmarzu, nie zgrywaj niewiniątka, bo...

– Nie mam z demonami nic wspólnego! – przerwał mu Da Derga.

– Kim są? Czy to na pewno królewscy bracia?

Karczmarz wzruszył ramionami.

– Są demonami. Z braćmi króla niewiele już mają wspólnego.

– Skąd wiesz, jeśli siedzisz tu zamknięty od wieków?!

Po tych słowach zapadła cisza. Goście czekali na odpowiedź, której gospodarz zamierzał uniknąć. Rozmowa potoczyła się dziwnym, jednak nieprzewidywalnym torem.

– Myślałem, że będziecie chcieli porozmawiać o wiedźmie. – Westchnął niczym męczennik.

6

– Pamiętam, kiedy demony biegały po okolicy oblane krwią, która spłynęła na nich po zabiciu króla. Dlatego nigdy jej z siebie nie zmyją! Te ich miecze... – Da Derga się wzdrygnął. – Zwykły człowiek nie ma z nimi szans.

– Im nie zależy na placówce! Wy wszyscy – Sammy wymierzyła palec w karczmarza, a na myśli miała też wiedźmę – walczycie o przejście, które znajduje się gdzieś tutaj. Bart, pamiętasz koszmar ze Śmiercią?

Chłopak pamiętał, co więcej – wierzył, że jeśli kiedyś zacznie tracić pamięć, to to wspomnienie jako ostatnie opuści mózg.

– Co, jeśli to tylko kolejna wiedźma, która opowieściami zbudowała wokół siebie mit? Słyszałeś kiedyś o Akce? – dodała na jednym tchu, bo już pojęła, że chłopak pomimo niewątpliwej inteligencji wie tyle co nic.

– Śmierć, kosa, kaptur? – Polak już nawet nie próbował błyszczeć.

– O nic nie walczę! – prychnął wyraźnie urażony karczmarz, przerywając dziewczynie niebezpieczne odgadywanie. – Tylko biegłem przerażony, byle przed siebie, a najlepiej w górę. Poza tym siedzę tu od tak dawna, że chyba natknąłbym się na jakieś przejście. Ale nie! – Palcem wskazał na ścianę. – Tylko ta twarda czerń!

– Próbowali cię dopaść? – Bart zignorował gdybania Sammy.

– Próbowali, kawalerze. Myślę, że chcą pozbyć się każdego, kto brał udział w tamtych wydarzeniach.

– Wiedźma miała sporo wspólnego ze śmiercią króla! – Bart chodził po pomieszczeniu niczym profesor akademicki. – Co, jeśli żyje tu od zarania dziejów, próbując dostać się do wieży Śmierci?

– Dlatego stała wśród świetlików, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy! – Da Derga podsycił entuzjazm opiekuna. – Tylko nie potrafiła otworzyć wrót.

– I przybył potężny król... – Zrozumienie wykwitło rumieńcem na dziewczęcym obliczu.

– Potężny, bo kazirodczo spłodzony! – Da Derga klasnął w dłonie. – Przybywa do karczmy, którą zbudowałem z miłości do wiedźmy! A co, jeśli wszystko skrzętnie zaplanowała, łącznie z jego przybyciem oraz bratobójczą śmiercią?! Zwabiła króla w pułapkę, lecz nie przewidziała klątwy!

– Miał krwią otworzyć przejście. – Sammy wskazała za siebie.

– To czemu dała wodę temu przyjacielowi czy przyjaciółce króla? – Bart zadał trafne pytanie.

– Zagrała na zwłokę, byle nie podejrzewano ją o zdradę! Podarowała wodę, lecz za późno! Jak zwykle pozostała neutralna!

– Potężna krew otworzyłaby przejście! – zrozumiała Sammy. – Wiedźma mogła mordować i wcześniej, ale nigdy nie przybył tu nikt tak wyjątkowy. Niestety dla niej odcięta głowa wypowiedziała klątwę, a rozbryzgi krwi zmieniły królewskich braci w demony. Jeźdźcy nie mogą zaznać spokoju, dlatego wściekli się na wiedźmę! Wszyscy zostali oszukani... Imponuje mi ta kobieta.

Mężczyzn raczej przyprawiała o gęsią skórę.

– Wierzę, że dotarliśmy do sedna prawdy. – Da Dergę ucieszył kierunek, w jakim potoczyła się rozmowa.

– Dobrze, że nie zostałeś na zewnątrz – przyznał opiekun. – Mógłbyś stać się jednym z demonów, a Tara siedziałaby teraz na twoim miejscu. Może i nie znalazłeś przejścia, co nie znaczy, że wiedźmie by się nie udało.

– Powinniście wiedzieć coś jeszcze. – Vincent pochylił głowę. – Słyszałem, jak w ściany domu wsuwa się stal i kości, a tej latarni tu wcześniej nie było. Akka postawiła ją na złość wiedźmie. Wtedy, kiedy ta myślała, że udało się jej wreszcie wygrać.

– Zgodnie z legendą ciała oraz broń pożarła ziemia. – Bart postanowił podzielić się wiedzą pozyskaną z internetowych poszukiwań. – To powstrzymałoby wiedźmę! Wieża wraz z klątwą króla. Akka zagrała Tarze na nosie!

– Nawet wiedźma nie mogła tego przewidzieć – zgodziła się Sammy. – A ja jej uwierzyłam... – dodała cicho. – Mądrych najłatwiej oszukać.

– Schowałem się w spizarce – Da Derga skupił na sobie uwagę – gdzie dopłynęła królewska krew. Już przy pierwszych kroplach sufit zamienił się z podłogą miejscami. Drzwi się zatrzasnęły, po czym otwarły, w międzyczasie zalała mnie na moment ciemność. Zobaczyłem formujące się schody, więc pobiegłem na górę, byle dalej od krwi! Wierzyłem, że zaprowadzą mnie ku wolności, poza tym jakie miałem wyjście? Wrócić i zginąć? Pobiegłem, zanim jeszcze skończyła wybrzmiewać klątwa, zatem nie odczułem głodu. Stąd patrzyłem, jak mijają wieki, a cierpliwa kotka nie opuszcza tych terenów, niezdolna stanąć w szranki z głodem.

– Jaki dokładnie mieliście plan z karczmą? – Sammy pociągnęła latarnika za język. – Chcieliście otworzyć przejście zabijaniem gości? Dlaczego przybywali kolejni, kiedy o poprzednich słuch zaginął?

Gospodarz spojrział na Sammy, po chwili na Barta, westchnął i przemówił:

– Niektórych Tara trzymała pod schodami aż do śmierci, ptaszyno. Wylewała grzeszną krew, za ich zgodą zresztą, co pomagało zbirom zniknąć na trochę, lecz nie otworzyli w pełni przejścia. Ponoć lekko tylko przechylało spiżarkę na bok. To wystarczało, by wielu bandytów uniknęło zemsty. Nie każdy ginął...

– Nie chodziło o schronienie dla kotki, tylko o ukrycie zbrodniczych działań!

– Pozostawaliśmy niewidoczni dla stróżów prawa – przyznał Da Derga z dumą. – O karczmie krążyły legendy. Nie jestem już tamtym człowiekiem.

– Czyli przeszukiwano karczmę.

– Wielokrotnie, co pomagało naszej sprawie. Klientów przybywało! Wchodzili, znikali, nie wywożono stąd żadnych ciał, a sprawdzano wszystko, łącznie z posiłkami, posądzając nas o kanibalizm! Niektórych zbirów wypuszczaliśmy po miesiącach prób. Wracali do swoich i opowiadali im niestworzone historie. O lepszej reklamie nie moglibyśmy marzyć!

– Uwierzono, że tych zmarłych gdzieś stąd wysłaliście – odgadła Sammy. – Że dla nich otworzyliście przejście do... raju. – Postawiła na optymistyczną wersję.

– Uwierzysz, kiedy prawo depcze ci po piętach, grożąc egzekucją. – Da Derga wziął długi wdech i dokończył wypowiedź na wydechu: – A kości tych mniej wytrwałych zbirów, tych zmarłych,

znikały w ziemi ku uciechu wiedźmy. Myślę, że powstawały z nich fundamenty wieży, bo zainspirowaliśmy Akkę. Śmierć ma kreatywną duszę. Dorobiła się jej z odebranych ludziom wspomnień, marzeń i trosk.

7

Sammy z wrażenia usiadła na podłodze, bo chociaż nogi już jej wypoczęły po wspinaczce i wyimaginowanym poniekąd marszu, to zadrzały na samą myśl o latarnianych mocach. Bart opadł na stołek, a Vincent Da Derga zabrał się do snucia kolejnej opowieści z dawnych czasów.

– Wybudowałem spiżarkę blisko kuchni, żeby mieć produkty pod ręką. Tara nalegała, że to pomieszczenie ma być gotowe na wczoraj! Położyłem drewnianą podłogę z grubych, przeze mnie ciosanych desek, zanim pozwoliła mi się zabrać do wykończenia reszty karczmy. Bardzo mnie dopingowała – przyznał ze smutkiem.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie kłamiesz? – prychnęła Sammy. – Ty opowiadasz jedno, Tara drugie, a ogłupiona prawda może nawet nie zechcieć stanąć pośrodku. Poza tym rezydenci nie pałają do ciebie miłością.

Vincent uśmiechnął się jedynie ustami, bo wzrokiem wciąż piorunował zarumienioną dziewczynę. Pokłonił się jej nawet, jakby służalczość przypomniwała o sobie.

– Rezydenci wsłuchują się w brednie więdźmy, poza tym walczą z jeźdźcami, to niby jak zdołają zaufać komuś, kogo posądzają o ich przywoływanie? – Sammy nie miała nic do dodania, więc Da Derga powrócił do poprzedniego tematu: – Powtarzam: podczas bitwy schowałem się w karczmie. Do spiżarki wbiegłem, kiedy rozlano krew i ruszyły za mną demony. Niestety, nie byłem w spiżarce sam.

Sammy pierwsza odgadła.

– Świetlik.

Vincent pokiwał głową z szacunkiem dla inteligencji gościa, westchnął, po policzku popłynęła mu szara, brudna łza.

– Świetlik? – Bart dalej nic z tego nie rozumiał. – Ten świetlik?
– Wskazał na dogorywającego owada.

– Nie mogłeś wiedzieć, że wleciał tam i mały owad – zgodziła się Sammy.

– Ale świetliki to nie pająki, to nie muchy czy tym podobne stawonogi. – Vincent podniósł wzrok i spojrzał Bartkowi w oczy. – Świetliki to...

– Ludzkie dusze. – Dziewczyna ponownie zaskoczyła gospodarza przenikliwością.

Tym razem tak mocno, że aż jęknął z zachwytu. Vincent przeniósł na nią wzrok.

– Dużo wiesz, ale czy jesteś wystarczająco bystra? Albo ześlesz na nas zagładę, albo pomożesz nam przetrwać.

– Interesowałam się wierzeniami – Sammy zignorowała docinki.
– Dusza ulotna, podobna oddechom, świetlikom, motylom, pszczołom, dusza lekka, uwielbiająca wędrówki. – Dziewczyna podeszła do Vincenta, po czym spojrzała mu prosto w oczy. – Słyszałeś o podziale? O duszy myśli i o duszy życia?

Zawstydzony Da Derga pokręcił głową, bo podobnie do Sammy kochał wiedzieć, co pomagało okiełznać strach.

– Pierwsza dusza, dusza myśli, rezyduje w głowie, gdzie za schronienie służy jej mózg – wytłumaczyła dziewczyna. – Druga dusza, dusza życia, pomieszkuje w sercu. I tylko w świetlikach znajdziesz je obie.

– Pierwiastek duchowy duszy to ten związany ze świadomością
– zrozumiał Vincent.

– Taka dusza duszy, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Nie powinien pozostawać połączony z pierwiastkiem życiowym, ponieważ czekają go kolejne zadania. Dlatego świetliki giną po kilku dniach. Takie łagodne przejście, zanim dusza duszy przywdzieje nowe ciało. Setka, może odrobinę więcej godzin, żeby ochłonać, dotrzeć gdzieś i zobaczyć coś, co przyniesie ukojenie lub pozwoli się pożegnać, cokolwiek zrozumieć, być może wyczyścić pamięć. Później rozpadają się, niektóre źródła twierdzą, że na motyle i pszczoły. Siedmiogramowa dusza życiowa pada, aby zrodzić się ponownie z materii, której ilość jest względnie stała, zależna wprawdzie od energii.

Karczmarz zagłębił się w rozważania.– Dusza myśli odchodzi! – Spojrzał w czerń ścian i wzdrygnął się. – Odpoczywa i przygotowuje się do powrotu.

– Dlatego tkwisz w latarni i powstrzymujesz świetlika, żeby nie poleciał dalej – odgadła Sammy. – Wiedźma wysłała tu tego owada? A może ta dusza jest dla was ważna? – Niemka przejechała palcami po ramieniu gospodarza, zarumieniona niemalże do czerwoności. – Co zrobiłeś, że Tara wolałaby cię oglądać martwego?

Karczmarz opuścił głowę. Inteligentna Sammy postanowiła mu pomóc.

– Czerwoni jeźdźcy pracują dla Śmierci. – Poszczególne elementy układanki wskakiwały na miejsce. – Wiedzą, że Akka wystawi rachunek za zablokowanie przejścia. Bo te ściany są dla świetlików, prawda? Są przejściem dla dusz do pozaziemskich krain. A wy je zamknęliście i Akka musi sobie radzić sama.

- O co chodzi? - zapytał Bart, ale Sammy nie zdążyła odpowiedzieć.

Da Derga uderzył mocno i celnie. Dziewczyna upadła na podłogę.

8

– Idziemy pomóc – szepnął John słabo, słabiuteńko. Z niedawnej pewności siebie nie zostało wiele.

– Tej babie?! – Michael miał na myśli Niemkę, ale Fiona wzięła te słowa do siebie.

– Zamknij się albo zobaczysz!

– Co zobaczę?! – Michael spojrział na niedawną kochankę i zamilkł. Fiona wyglądała na zdolną do spełnienia najpoważniejszych gróźb.

– Przestańcie! – Kotka przemieniła się w kobietę, ale Michael nawet na nią nie spojrział.

– Dlaczego stąd nie wyjdziemy? – Ledwo dało się usłyszeć Johna.

– Weszliśmy tu razem. – Tara podeszła bliżej i pomogła osłabionemu mężczyźnie wstać. Wiedźmie nie brakowało sił, co normalnie zirytowałoby Johna, który zmienił się teraz w oazę spokoju. – Jeśli wyjdziemy, Bart z Sammy nigdy nie wrócą. Strychnica się odwróci i opiekunowie nie odnajdą przejścia. Utkną na schodach, w chłodzie i głodzie.

– Nie wyjdą, dopóki ktoś nie wszedłby tu ponownie? – Michael coraz więcej rozumiał, zresztą całą trójką pozbywali się wcześniejszych ograniczeń.

– Umarliby na schodach – potwierdziła Tara – albo utknęli na górze z karczmarzem.

– Dlatego nie schodzą? – Fiona uspokoiła się trochę, wciąż zachowując nowo nabyty sceptycyzm. Głos wiedźmy działał na nią kojąco, chociaż wcześniej raczej unikała kotki.

Tara patrzyła gdzieś przez tynki, przez kamień, czarno-szara, zmęczona, wyczerpana przeciągającą się rozmową. Niewzruszona niczym łańcuchy górskie.

– Jeśli zejdziesz, zginie – odparła zgodnie z przewidywaniami Fiony. – Mam nadzieję, że da sobie przemówić do rozsądku, kiedy zobaczy kiełkującą miłość. Przybędzie wygłodniały, osłabiony przez przynajmniej kilka sekund – rozmarzyła się wiedźma.

Strychnica odciskała swoje piętno i na Tarze, która nieświadomie zaczynała paplać.

– Czyli taki masz plan? – Michael patrzył w kierunku schodów. – On też jakiś ma, bo jest mężczyzną! Zbyt długo tam tkwi, żeby nic nie wymyślić. Lepiej przygotuj się na najgorsze, łącznie ze śmiercią – dodał i strasznie go to rozbawiło.

– Spotkanie ze Śmiercią... – Kobieta z uśmiechem na twarzy podchwyciła to słowo.

– Obawiam się, że latarnik spróbuje być mądrzejszy od wiedźmy – zgodziła się Fiona, czym zaskoczyła Tarę. – On tam pilnuje jakiegoś przejścia. Nie wiem, czy do raju, czy do piekła, czy gdzie indziej. Pragnęliście wypuścić demony! – Fionę olśniło. – Tylko nie lubicie się dzielić władzą nawet ze sobą nawzajem, prawda? I zdradziliście udawaną miłość, jaka was połączyła!

– Po cholere im demony? – Michael nie raczył nawet spojrzeć na Fionę. – Raczej chciała się wpieprzyć na chama do raju. Przecież inaczej nikt by jej tam nie wpuścił.

Fiona chwyciła mężczyznę za twarz.

– Ich nie interesują ludzie ani tym bardziej nudny raj – szepnęła. – Kto chciałby rządzić ludźmi albo spędzać wieczność pośród kwiatków? Piekło ją pociąga. W piekle chciałyby rządzić demonami.

– Demony – wycharczał pojednawczo Michael, więc Fiona poluzowała chwyt.

Rezydentka wróciła na swoje miejsce, a Michael długo jeszcze masował twarz.

Tara uśmiechnęła się tylko, bo sporo zostało powiedziane, chociaż niekoniecznie zgodnie z prawdą. Wierzyła, że tej nie zdołają odkryć, choćby pożarli wszystkie rozумы świata.

9

Vincent podbiegł do Barta i zaczął go uspokajać. Chłopak nie był w stanie choćby drgnąć, tak przeraził się gospodarza.

– Twoja dziewczyna została oszukana przez Tarę! Rozmawiały! Tara używała tabletu Johna! Bracie, jesteśmy w niebezpieczeństwie. Musiałem zareagować.

– Skąd wiesz, czym jest tablet?! – Chłopak zbaraniał. – Wychodzisz z tej celi? Zaglądasz na dół, kiedy śpimy?

– Sporo widzę, kawalerze. – Da Derga jęknął zrezygnowany. – Akka o mnie zadbała – przyznał po chwili. – Nie zabiłem twojej dziewczyny – zapewnił latarnik, byle nie oddawać ciszy pola. – Straciła przytomność, ale uderzyłem tak, żeby szybko wróciła do zdrowia. Wysłuchaj mnie, zanim podejmiesz decyzję.

– Decyzję?

– Ja lub ona – odparł Vincent. – Ktoś musi tu zostać i pilnować przejścia do Zaświatów. Inaczej wiedźma wygra – wycodził przez zęby. – Trzeba także uspokoić rezydentów na dole, bo mnie nie zechcą słuchać. Tara namówi ich do ataku na sprawcę nieszczęść. – Zrobił smutną minę, pociekły mu nawet łzy.

– Rezydenci nie są głupi i nikt jej tam nie ufa. Może poza Sammy, przez chwilę...

Da Derga rękawem otarł łzy.

– Oczywiście, że nie ufają, ale dla Tary to nawet lepiej, kawalerze! Zrozum, przyznaje się do słabości, więc jej słuchają, a to

cenniejsze od miłości! – Vincent rozłożył ręce, po czym złożył i splótł palce na wysokości brzucha. – Pragnę w spokoju dożyć starości. Odsiedziałem tu i za grzechy przodków. Odejdę, nie wyrządzając nikomu krzywdy. Postaram się służyć pomocą. Wam pozostawię wiedźmę z kłamstwami i z dostępem do wieży.

– Co z jeźdźcami? – Bart wolał rozwiązać wpierw najpilniejsze problemy. – Tara nie wysłała ich za tobą? – dopytał raczej z nadzieją niż z troską w głosie.

– Nie zależy jej na mnie, głupcze! – Vincenta poniosły nerwy, za co od razu przeprosił. – Tara odpuści, kiedy zdobędzie przejście. Kiedy wypłoszy mnie z latarni. Będziesz jej potrzebny, ponieważ w pojedynkę nie pokona schodów, ale to już twój problem.

– Nie chcę robić za latarnika. Przyleciałem, żeby podszkolić język i uciec przed rodziną.

Da Derga z trudem powstrzymał się od ryknięcia śmiechem.

– Posłuchaj, jak dokładnie ze mną było. Pierwszego dnia natknąłem się tu na miskę z wodą i wymyłem twarz. Później spróbowałem napić się trochę, ale nic tu nie przejdzie człowiekowi przez gardło poza słowami i potrzebnym do ich wypowiedzenia oddechem. Wpatrywałem się tylko w tafłę, aż wreszcie zacząłem dostrzegać kształty. Wystarczyło skupić wzrok i oczyścić umysł, by podglądać atakujących karczmę jeźdźców, pokolenie jej mieszkańców po pokoleniu. Przyglądałem się Tarze, gdy podlizywała się nowym właścicielom, i choć niewiele słyszałem, to pewny byłem, że łączy żywe oczy. Wreszcie misę zastąpiłem ekranem od Akki, a wieżę przerobiliśmy na latarnię, bo nie ma samotnika nad latarnika!

– Powinna przynieść ci komputer. – Bartek nie spuszczał wzroku z nieprzytomnej Sammy. Strach przed Da Dergą wciąż paraliżował

chłopca.

– Obserwowałem, jak serfujecie po internecie i rozmawiacie z dalekimi geograficznie bliskimi. Śmierć jest jednak zbyt bystra, kawalerze. Zapomnij o internecie, o listach, o przekrzyczeniu się przez te ściany.

– Czego chce Tara?

– Pragnie rządzić w Zaświatach. Nie chce wejść do żadnego rajy czy zrzucić świata demonów na głowę.

– Każde z was coś ukrywa. Zbyt długo kłamiecie, żeby pamiętać prawdę.

– Nagradzała mnie nagością. – Vincent sięgnął po starą śpiewkę. – Widziałeś ją nago, prawda? Myślisz, że w tamtych czasach... Przecież ona jest dziełem sztuki!

– Rozlewaliście krew!

– Tylko najpaskudniejszych zbirów! Zawsze za ich zgodą.

– I nie mogła nikogo tu za tobą wysłać?

– Żeby wejść po tych schodach, trzeba iść dla kogoś. – Da Derga zdecydował się na szczerość. – Ten czyściec pokonają nieliczni. Przed wami tylko... – Prawie zdradził się z zepchnięciem Johna ze schodów, ale zdążył ugryźć się w język. – Nikomu poza Akką się to nie udało, ale nie sądzę, by Śmierć odczuwała głód.

– Wciskasz mi tu jakieś książkowe strachy.

– Tara zostałaaby królową w Zaświatach po przejściu do krainy zmarłych. Tu, dla ludzi, jest jedynie kotką. Myślę, że ją kiedyś stamtąd wygnali.

Zapadła cisza, kiedy Bart starał się więcej zrozumieć. Wreszcie wyciągnął z karczmarza coś nowego, wzmiankę o Zaświatach, więc nie chciał tego zepsuć źle dobranym słowem.

– Pójdę dla ciebie na dół – zdecydował – a ty pójdziesz dla mnie. Cokolwiek zrobiłeś, odpokutowałeś. Zakończymy wasz konflikt raz na zawsze.

– Ktoś musi tu zostać... – Karczmarz udał zasmuconego. – Pilnować, żeby żaden świetlik nie doleciał do ścian, bo nie wiemy, co się wtedy stanie. Ktoś musi mnie zastąpić. – Spojrzał na Sammy.

10

– Czyżbym się aż tak pomyliła? – powtarzała Tara coraz bardziej zaniepokojona przeciągającą się nieobecnością młodych. – Przecież nie mógł ich zabić. To nie w jego tchórzliwym stylu! Zwodzić potrafi... Ciekawe, co im tam takiego nagadał.

– Młody jest słaby. – Cieniutki niczym pajęczyna głosik Johna potwierdził obawy wiedźmy. – Nie podoła. Nie przyprowadzi Da Dergi. Skąd w ogóle ten pomysł, jeśli mi się nie udało?

– Ta głupia dziewczucha nie ma szans! – rzucił Michael z prychnięciem, od którego Fionie puściły nerwy.

Kobieta uderzyła go w ucho na tyle mocno, by skulił się pod ścianą i siedział cicho.

– Długo czekaliśmy na kogoś, kto pójdzie tam dla was, a nie dla mojej nagości. Nikomu się nie udawało, a wysłaliśmy z tuzin chłopów. Nawet wy zawiedliście.

– Już prawie tam byłem. – John próbował sobie przypomnieć te najtrudniejsze w życiu chwile. – Poczulem uderzenie...

– Spokojnie – westchnęła wiedźma. – Nie zdziwię się, jeśli i ich zepchnął. Być może leżą gdzieś tam na wpół martwi, dobijani głodem. Niewykluczone, że skręcili sobie karki.

Fiona podeszła do schodów, którym przyglądała się przez dłuższą chwilę. Nasłuchiwała, ale żaden dźwięk nie spłynął z góry.

– Przegrali. – Straciła nadzieję. – Taro, powinniśmy wracać. Przykro mi, ale w niczym nikomu tu już nie pomożemy.

– Jak odwrócimy strychnicę, przepadną! – ostrzegła kocia wiedźma. – Pozwalam wam podjąć decyzję – jak zwykle stawiała na neutralność – ale chcę, żebyście mieli świadomość ewentualnych konsekwencji.

– Poczekajmy – szepnął John.

– Poczekajmy – zgodził się Michael, skąpany we łzach nienawiści. – Nawet ta kobieta wytrzyma – dodał o Fionie, ze strachu nie sięgając po inwektywy.

– Musimy – zgodziła się wiedźma. – Bart się tak łatwo nie podda.

11

Sammy słuchała wywodu Da Dergi pełna podziwu dla talentów aktorskich gospodarza, któremu nie uwierzyła ani przez jeden oddech. Dziewczyna przesuwiała się powoli i bezszelestnie w kierunku butli. Szczęśliwie dla niej karczmarz próbował zdobyć zaufanie chłopaka.

– Co jest?! – Vincent Da Derga odwrócił się z demoniczną prędkością.

Butla znajdowała się już jednak w drżących dłoniach Sammy.

– Zwykła duszyczka, która przypadkiem – dziewczyna podszyła wypowiedź ironią – znalazła się z tobą w strychnicy!

Pot zrosił czoło Da Dergi.

– Upuścisz i odleci. I zniknie za czernią ścian, bo te ściany zlepione są również z cienia, na który napiera mgła! Wypuścisz, a kto wie, czy nie zawali się wieża?! Dokonasz wymiany, za jaką zapłacimy życiem!

– Nie rób tego – jęknął błagalnie Bart.

– Coś mi się zdaje, że masz tajemnice, ptaszyno! – Karczmarz zgrabnie przeszedł do kontrataku. – Skąd się znacie z Tarą?! Jak długo korespondowałyście?

Sammy nieco niżej opuściła butlę.

– Przewidziała, że mnie uderzysz. Ponoć często puszczały ci nerwy. – Sammy wbiła wzrok w twarz karczmarza, lecz ten nie zamierzał tym razem struchleć. – Bijesz mocno, dlatego ćwiczyłam.

Żeby nie stracić przytomności, wystarczy napiąć mięśnie brzucha i podskoczyć na moment przed uderzeniem.

– Nigdy bym... – skłamał karczmarz.

– Twierdziła, że pragniesz Zaświatów, do czego potrzebna ci dusza czarna, potężna, najlepiej wiedźmy. Ponoć zastawiłeś na nią pułapkę. Błagała, żeby ci nie wierzyć.

– Bzdury! – prychnął karczmarz, odwracając się w stronę Barta.

– Miejmy nadzieję, że zdołasz się odkochać. Wiedźma nagadała jej głupot!

– Świetlik – Sammy uniosła szkło – to ktoś ważny. Wiedźmie nie zależy na tobie, a tobie na niej, prawda? Chcecie owada. Dlatego John nie lubi insektów, a Akka pojawia się tu, żeby wybłagać wypuszczenie świetlika i pewnie milionów innych. Po to nas Śmierć tu wysłała. –Przeniosła wzrok na Barta. – Wiedziała, że można na nas polegać. Że nie wystraszymy się na sam widok latarni czy gadającego kota. Przygotowała nas koszmarami.

Sammy upuściła butlę, która rozbiła się na kilka kawałków, co wystarczyło, żeby uwolnić świetlika. Da Derga zbladł, niezdolny wykonać ruchu, a owad poleciał w stronę ściany i tylko Bart zareagował niczym na nocnych zmianach, kiedy to łapał ćmy w sypialni Johna.

Schwycił owada, zanim ten doleciał do czerni. Schwycił tak, żeby nie zabić, skoro John wołał wypuszczać stawonogi oknem.

I włożył sobie świetlika do ust.

Wtedy wieża niepokojąco drgnęła.

– Coś ty narobiła? – jęczał Da Derga. – A ty jesteś równie głupi! Mówiłem, że żaden człowiek tu niczego nie połknie!

– Ale zdoła zdusić, prawda? – odparła za Bartka Sammy.

– Nigdy nie odgadnę, dlaczego Akka wybrała taką dwójkę cymbałów! – warknął karczmarz na chłopaka. – Zmiażdżysz go i żegnamy się z życiem!

– Powiesz wreszcie, czyją duszę uwięziłeś w butli? – naciskała Sammy.

Zrezygnowany karczmarz pokiwał głową.

– Powiem, ale zdradź mi tylko, czy ten drugi chłopak, ten od czapek, również coś wie? Czy jego też podesłała do karczmy Akka?

Polak bezsensownie rozglądał się po pomieszczeniu.

– Chodzi mu o Nino – wyjaśniła Sammy, coraz bardziej zawiedziona kochankiem.

12

Po kilku dniach spokoju Nino zapadł w kolejny sen, a konkretnie dalszy ciąg koszmaru wprost od Marawy i Akki – obie wyczekały, by pierwszy szok minął, by Francuz odetchnął, przetrawił całą serię rewelacji, jakie mu zaserwowały. Przez ten czas Marawa nie wysunęła nawet odnóża spod jego czaszki.

Chłopak znalazł się ponownie w krainie upiornych bogiń, ponownie zbyt blisko tronów jak na swój gust. Przynajmniej odzyskał zdolność jasnego myślenia, wraz z którą powrócił strach. Królowe mówiły. Postanowił zatem ich posłuchać.

– Czwarta z sióstr pragnie wrócić. – Nino nie wiedział nic o wiedźmowej stronie kotki Śnieżki, dlatego puścił tę informację mimo uszu, chociaż królowym Zaświatów wydawała się ważna. – Wygnałyśmy biedaczkę, kiedy została przyłapana na rozdeptywaniu świetlików.

– Aż poczerniała jej stopa! – pisnęła Ériu. – Nie mogła się powstrzymać!

– Każda z nas ma w sobie coś z drapieżnika – przyznała Banba. – Fódla chęptałaby ciągle krew, a ja tracę głowę na widok wszystkiego, co jest ode mnie bardziej boskie. Atakuję i nie można mnie powstrzymać. Tara pragnęła zabijać. Musiałyśmy ją wygnać.

– A Ériu? – Marawa starała się wyciągnąć z kobiet coś więcej. – Również bywa drapieżna.

Królowa pokiwała głową.

– Nasze słabości przydawały się, żeby uczynić krainę bezpieczną. Nie mogło tu wejść nic, co żywe, bo na widok krwi Fódla sunęła, by napełnić brzuch. Jakikolwiek bóg zawitałby w te strony, zostałby rozerwany przeze mnie na strzępy. Dobrze, że jesteś malutkim półbogiem, Marawo.

– A Ériu? – powtórzyła pajęczycą.

– Jestem najpotężniejsza, ale nie zabijam – zabrała głos wezwana. – Decyduję, kto może opuścić to miejsce. Tylko ty potrafisz mnie przechytrzyć, ale obiecuję ci, Marawo, władczyni marionetek, jedno. Kiedyś dobioreę się i do twoich nici. A ty, chłopcze, pamiętaj o jednym, o Jacku. Kiedyś zostaniesz porzucony w kącie i Marawa będzie cię wprawiać w ruch tylko wtedy, kiedy zechce. Znudzi się tobą. Prawdopodobnie już ją nudzisz.

Nino słuchał, lecz guzik z tego rozumiał. Latarnia czy czwarta z sióstr nie wnosiły do jego wiedzy nic istotnego, a wywód o Marawie puścił mimo uszu. Pojął jednak, że świetliki to dusze zmarłych, którymi się tu opiekowano. Ériu decydowała, kto był gotów opuścić Zaświaty, a pozostałe siostry dbały o to, żeby nikt niepożądany się tu nie dostał.

– Wzdęte brzuchy? – zapytał chłopak. – Jesteście w ciąży?

– Nie, nie rodzimy – uśmiechnęła się Ériu. – Nie możemy zająć w ciążę, ale ostatnio, przez Akkę, miałyśmy sporo sprzątania... Zapełniałyśmy te wiecznie niepełne brzuchy, kiedy wysyłała do nas podobnych tobie biedaków. Jednak nigdy wcześniej nie skryła w człowieku niespodzianki. Poprzedni chłopcy zawsze próbowali uciec, zanim nawet zdążyłyśmy się do nich odezwać. To było przykre. – Królowa zachlipała bez łez. – Brzydzili się nas. Biedne, smakowite kąski.

– Zjadłyście ich szczątki?

– Tu nic się nie psuje. Tu można odetchnąć, przeczekać, płacąc za pobyt wspomnieniami. Musiałyśmy posprzątać.

– Czyli wypuszczałaś tylko te dusze, które już zdążyły zapomnieć o poprzednim życiu.

– Czasami się pomyliłam, Akka pewnie też się myli, ale wybacz, przy tylu zmarłych...

Dlatego niektóre dzieci pamiętają poprzednie wcielenia, zrozumiał chłopak.

– Nie macie kończyn. Ktoś na was napadł?

Tym pytaniem Nino poruszył trójcę. Zaczęły między sobą szeptać.

– Głód – odpowiedziała za nie Marawa ustami chłopca. – Ten sam, który dotknął latarni oraz dręczy Tarę. Królewska klątwa, jaka na nią spadła, dosięgła i waszej krainy. Zbyt blisko jesteście skoligacone, by Tara nie podzieliła się z wami przeogromnym głodem.

Siostry skinieniami głów podziękowały jej za informacje, zabrały się również do wyjaśnień.

– Dwa tysiące lat temu dopadł nas potworny głód, a tutaj nie ma co jeść, chłopcze. Wszędzie tylko szkło, a w trony się nie wgryziesz, z tych kości nie wysiesz szpiku! – Banba przyznawała się do prób. – Zaczęłyśmy od obgryzania paznokci, ale to nie wystarczyło.

– Musiało boleć...

– Bolało i boli, dlatego jesteśmy tak paskudne, również z charakterów, chociaż kiedyś błyskawicznie straciłbyś dla nas głowę. Głód zmienia cię, deprawuje. Ale dawał się zaspokoić mięsem.

– Niedużo trzeba – odezwała się Ériu. – Palec, by przetrwać rok, ale tych lat przybywało i przybywa. Akka pomogła, wysyłając tu kilkudziesięciu chłopców.

– Niezamierzenie! – Marawa stanęła w obronie Śmierci. – Pożarłyście posłańców. Oni mieli przekazać...

– Sami ginęli! – oburzyła się Banba. – Nikt ich nie zabijał! Na sam nasz widok pędzili na ścianę, ile sił w nogach! Zjadałyśmy ich trupy, takie soczyste...

– Co mieli nam przekazać? – zainteresowała się Fódla, wciąż drapieżnie wgapiona w chłopca.

– Opowiedzieć o głodzie i o pokonywaniu demonów przez mieszkańców karczmy, ostatnio wyjątkowo wyjątkowych. Uspokoić, potwierdzić przy tym informacje, które dla was zbierałam, plotąc te sieci w placówce, w karczmie, w przytułku. Zapewnić, że nowi mieszkańcy radzą sobie z demonami i Tara nie może powrócić tu do was. Jesteście bezpieczne. A Jacka porzucałam, ponieważ ciągle próbował mnie przechytrzyć – dodała dla jasności, by nie zraził się do niej najnowszy żywiciel. – Z Nino sprawy wyglądają inaczej.

– Dlaczego jej się boicie? – Głos przejął chłopak. – Nie możecie Tary ponownie wygnąć? Was jest trójka, ona jedna. Przynajmniej odblokowałyby po drodze to przejście dla dusz. Latarnię? – upewnił się, że dobrze zrozumiał.

– Odblokowałyby – przyznały siostry.

– Kiedy zmusiłyśmy ją do odejścia, kiedy otworzyłam dla niej drzwi, poczułyśmy, że kiedyś wróci, że zrobi wszystko, żeby się na nas zemścić – odparła Ériu. – A teraz jest głodna i taka kocia... Nie miałybyśmy żadnych szans. Ogłupiły nas instynkty i trwanie bez celu, kiedy Tara tylko ostrzyła pazury sprytu.

– Rozdeptywałyby dusze w latarni, zanim wróciłyby do nas. Aż do ostatniej... – dopowiedziała Banba. – A nas by pożarła. Pochłonęłaby ją czerń, bo nie ma większej zbrodni od duszobójstwa.

Fódlą miała najwidoczniej dosyć rozmowy, bo skuliła się jeszcze mocniej niż zwykle, po czym wystrzeżiła z tronu z węzową precyzją. Marawa nie zdążyła zareagować, chociaż uważała się za jedną z najszybszych istot we wszechświecie.

Szczęśliwie Ériu zdążyła. Otworzyła chłopcu pod nogami drzwi.

Wstał, ziewnął i podrapał się po pajęczynie, jaka pokrywała mu klatkę piersiową.

– *Merde!* – zaklął, o co trudno było mieć do niego pretensję. – Gdzie jesteś?! – zaczął krzyżeć, po czym szeptać, świadomy, że Sammy wraz z Polakiem już mogliby być w domu.

Nino nie chciał, żeby go takim oglądali. Do dziewczyny wciąż coś jeszcze czuł, przynajmniej pożądanie.

Doleciały do niego zapachowe słowa Akki:

– Nie skończysz tak jak Jack, obiecujemy. Potrzebujemy od ciebie tylko jednej maleńkiej przysługi. Później będziesz wolny, również od strachu.

Śmierć zawitała w jego progi, po czym przysiadła na brzegu łóżka. Piękna była, chociaż nie mógł ujrzeć jej oczu.

– Po co ta wstęga? – zapytał, chociaż domyślał się odpowiedzi.

– Nikt żywy nie może zajrzeć Śmierci w oczy. Chociaż wielu próbuje. – Zachichotała tak po dziewczęcemu, słodko.

– Czego oczekujesz? – Nino zrozumiał, że nie pozostawiono mu wyboru.

– Wpierw wytłumaczę, dlaczego zostałeś wybrany. Dlaczego wybrałam każdego z was.

– Sammy i Bart? – zdziwił się chłopak. – Amy także? – zwątpił, bo nie widział u nikogo pająka, a Sammy miała przecież długie włosy.

– Ściągnęłam was troje przeciwko kotce. Myślę, że wreszcie mamy szansę.

– Śnieżka? – zdziwił się Nino i zaczął podejrzewać u siebie co najmniej załamanie nerwowe, otrucie, a może nawet chorobę psychiczną. – Akko – klapnął obok niej na łóżku – mam już chyba dosyć.

– Posłuchaj, zanim się poddasz. – Śmierć położyła mu zimną dłoń na ramieniu. – Strach, który czułeś, ogromna większość ludzi przewycięża na wiele sposobów.

– Wiem. Religijne bzdury.

– Niekoniecznie. Zdziwiłbyś się, ilu ludzi mnie akceptuje bez magii wierzeń. Skupiają się na darze życia. Bardzo często na miłości do bliskich, nierzadko na karierze, na przyjemnościach lub na nieszczęściach.

– To, co mi pokazałaś, trąci szaleństwem. Kraina, gdzie przylatują dusze? – Nie ważył się podnieść na boginię głosu. – Tam tracą pamięć i jedna z królowych – zapomniał, jakie noszą imiona, tym bardziej że te nie należały do łatwych do zapamiętania – otwiera dla nich drzwi do powrotnego życia?

– To tylko procedura, Nino. Kreujemy rzeczywistość, a rzeczywistość kreuje nas. – Uśmiechnęła się bardzo ładnie, więc długo nie spuszczał wzroku z uśmiechu Śmierci. – Nie ma potrzeby, żeby mącić ci w głowie, ale zaakceptuj fakt, że otrzymałeś i ciało, i świeżutką duszę. Nie każdy ma tyle szczęścia. Pomóż mi przywrócić porządek w Zaświatach, a zobaczysz, że tamta kraina potrafi

zachwycać pięknem. Wszystko ma sens, chłopcze, a ja potrzebuję wsparcia. Nawet Marawa to zrozumiała, a należy do upartych bogiń. Nie możemy przez kolejne dwa tysiące lat trzymać świetlików na łąkach. Zbyt wiele z nich ginie bezpowrotnie. Straty są kolosalne. Dobijamy do kilkudziesięciu procent... Robię, co mogę, przywracam je do życia pojedynczo, płacząc nad każdą utraconą starą duszyczką.

– Jak pomóc?

– Pójdź do pracy punktualnie na poranną zmianę i zachowuj się przyjaźnie, jeżeli nic dziwnego nie rzuci ci się w oczy. Ubierz się ciepło i naładuj kieszenie strawą, tak na wszelki wypadek. W placówce zajrzyj do spiżarki, tam pod schodami. Wiesz gdzie?

Pokiwał głową.

– Jeśli nie uda ci się otworzyć drzwi, to znaczy, że spiżarka jest w użyciu i koszmar nie dobiegł końca. Wtedy poczekaj tuż przy niej, aż się wreszcie otworzy.

– Kłódka ma kod, a ja ten kod...

– Znasz, lecz nie o kłódkę chodzi. Nie będziesz w stanie otworzyć drzwi, dopóki nie wyjdą ci, którzy teraz tam przebywają. Wiem, że są bliscy opuszczenia strychnicy. – Zapomniała się i użyła słowa, które nieco zmyliło chłopca.

– Kto? Na kogo mam czekać?

– Na ludzi. A jak wyjdą, to upewnij się, że kotka poniosła karę. Niezależnie od przebiegu zdarzeń...

– A rezydenci? A Polak? – dodał z nadzieją w głosie; o Sammy wolał nie pytać.

– Rezydenci są niewinni. Zostali zmanipulowani przez wiedźmę, a Polakowi należy się tylko twój szacunek. – Tym jednym zdaniem zamknęła temat.

– Tarę, tak? – upewnił się Nino co do imienia więdźmy, na co Śmierć skinęła głową. – To ona chce wrócić do sióstr w Zaświatach. To ona jest zła. A ten karczmarz, to o nim mówiły siostry? To on nie przepuszcza świetlików?

– Wlazł tam i nie zechce zejść, przez to zablokował przejście – odparła w wielkim skrócie. – Uciekał, o co nie można mieć do niego pretensji, jednak złamał szereg reguł.

– Jakich? – Nino czuł, że zadaje zbyt wiele pytań, ale dzięki tej rozmowie przynajmniej wreszcie nie myślał o pajęczycy tkwiącej mu tuż pod czaszką.

Akka wyciągnęła zwitek skóry z oczodołu jednej z czaszek łańcucha. Rozwinęła rulonik, a ten powiększał się i powiększał, chociaż z początku wyglądał na zupełnie tyci. Śmierć kucnęła i skończyła rozkładanie go na podłodze.

Nino dostrzegł, że jest to skóra z ludzkich męskich pleców, gęsto wytatuowana słowami w języku, którego nie znał.

– Spisałam je na pierwszym zmarłym człowieku – przyznała z szarą łzą uronioną pod dymną opaską. – Wiedziałam wtedy niewiele więcej niż ty teraz.

– Kim byłaś?

– Pierwszą zmarłą kobietą.

– Ewą?

Akka pokręciła głową. Nie pamiętała swojego starego imienia.

13

Nino tkwił w szoku. Pierwsza kobieta i pierwszy mężczyzna – chociaż zaledwie kawałek skóry – dzielili z nim właśnie pokój!

– Adam i Ewa? – wydukał uparcie, czym rozbawił Akkę, która akurat lubiła ten katolicki mit. – Czy ta królowa z Zaświatów była wężem?

– Jeżeli wolisz, możesz nas tak nazywać, chociaż Fódli bym w to nie mieszała. Mój drogi, imiona naprawdę nie mają znaczenia.

– A te reguły? – Spoglądał na pokrytą tatuażami skórę, ale nic mu te słowa nie mówiły.

– Bez nich wszystko runie i nikt nawet nie zapłacze po człowieku. Nie będzie dusz i wskrzeszeń, nie będzie rajów, Zaświatów czy piekieł; wkrótce cierpliwość bogów się skończy, zostaniemy wypisani z równania. Nicość spadnie na świat.

– Znikniesz? – Nino tego nie chciał.

Wzruszył tym Śmierć, która czuła, że czas się kończy, zatem skierowała rozmowę na odpowiednie tory:

– Znikniemy, a wszechświat potoczy się dalej, wolnym od ludzkich pasażerów torem. Nie wiem, czy ktoś zajmie nasze miejsce, czy znaczymy tyle, co nic. Dlatego pomóż mi jak najszybciej odblokować latarnię.

– Kto ją postawił?

– Ja... – przyznała z zakłopotaniem. – Nie miałam wyjścia, bo Tara odnalazła łąkę, gdzie przelatywały do Zaświatów irlandzkie

dusze. Znalazła również sposób, by otworzyć przejście. Improvizowałam. Zaczęłam od postawienia schodów. Mogłam korzystać z tego, co miałam pod ręką. Kości i stal, czego nie brakowało.

– Nie potrafię zabijać. Poza tym dobrze wiesz, że jestem strachliwy.

Akka rozplynęła się w powietrzu, pozostawiając po sobie zapach ostatnich słów:

– Masz Marawę do pomocy, bohaterze. Idź do pracy i poczekaj przy spiżarce, jeśli wciąż będzie zamknięta. Jesteś moim planem awaryjnym, więc nie martw się, bo być może nie będziesz nawet potrzebny. Jeśli okaże się, że wyszli i drzwi stoją otworem, sprawdź, czy nie pozostawiono w środku trupów, chociaż zostaną zaalarmowana... Być może szczęście się do nas uśmiechnie i znajdziesz tam martwą kotkę, czyli wiedźmę Tarę. Może wyglądać jak piękna kobieta. Znajdź karczmarza oraz wiedźmę, jeśli jednak wyszli. W razie konieczności wyboru Tara stoi pierwsza w kolejce do śmierci! Tylko spójrz na nich, proszę, a resztą zajmie się pajęczycyca. Karczmarza nie zabijajcie, jeśli poszedł po rozum do głowy i nikomu już nie wadzi.

– Wyciągniesz ją później z mojej głowy? – zapytał Nino o Marawę, ale nie doczekał się odpowiedzi od Akki.

Marawa wystukała mu coś po wewnętrznej stronie czaszki. Zrozumiał przesłanie, zdziwiony poznaną właśnie kolejną formą komunikacji.

– Zostawię cię, jeśli dalej będziesz tego chciał, albo ofiaruję ci całe stulecia przygód. Proponuję symbiozę w miejsce pasożytnictwa.

Nino zaniemówił. Ubrał się, by zakryć pajęczyny. Zabrał ze sobą latarnię oraz nóż, które znalazł na stoliku obok telefonu, i włożył jeden z ulubionych kapeluszy na głowę. Latarnia sporo ważyła, ale i Nino nie brakowało ostatnio sił. Poza tym przyjemnie promieniowała ciepłem.

Telefon po namyśle zostawił. Przecież nie miałby do kogo zadzwonić. No i zostało jeszcze trochę czasu do dziennej zmiany, więc przysiadł na łóżku i porozmawiał sobie długo, przy czym szczerze, z Marawą. Tak od serca, jak to tylko się udaje z bogami.

DA DERGA



*Nie ma większego oszusta niż ten,
kto oszukuje sam siebie.*

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*,
tłum. Karolina Beylin

1

– Latarnia wywarła na ciebie wpływ, ptaszyno! – Da Derga zaczął od pouczeń. Czuł, że traci tę dwójkę, więc starał się przynajmniej odzyskać przychylność chłopaka. Sammy zniechęcił, a w tym nabrał wprawy. Odwrócił się twarzą do opiekuna. – Zostałem karczmarzem z miłości, kawalerze. Pragnąłem dziecka, służąc Tarze niewinnością równą twojej. Tylko ktoś niewinny mógł postawić tu dom! – oświadczył z dumą w głosie.

– Łzesz – rzuciła bez przekonania Sammy. – Tara nie jest zdolna do miłości ani do wchodzenia w podobne układy. Dziecko? Poważnie? – Dziewczyna zaczęła wątpić.

Latarnik odwrócił się tym razem do Niemki.

– Tara zaszła w ciążę. Miłości wystarczyło na stawianie kolejnych ścian.

– Powiedzmy, że ci wierzę. Mów, co z dzieckiem – poradziła dziewczyna.

Da Derga spojrział na Niemkę z pogardą.

– Tara, będąc już w zaawansowanej ciąży, pomogła mi przy budowie... – Karczmarz grał na czas, bo historia nijak mu się nie lepiła.

– Nie waż się teraz milczeć! – ostrzegła Sammy, kiedy ten przeciągał chwilę ciszy.

– Tynkowaliśmy ściany spizarki. Tara uparła się, żeby robić zaprawę, i widziałem, jak dosypywała cukier z butli! – Spojrział na

stłuczkę i doznał olśnienia. – Późnym wieczorem, kiedy praca dobiegła końca, położyła się na ziemi i oświadczyła, że rodzi. Bez niczyjej pomocy!

– Zdarzało się kobietom – prychnęła Niemka.

– Urodziła szybko, chociaż w ciągu dnia nawet się nie skrzywiła. Krew wsiąknęła w podłogę, którą obolała Tara posypała cukrem. Wreszcie spizarka przekrzywiła się trochę, zalewana z jednej strony ciemnością. Oprócz zdziwienia przyszło opamiętanie, że jeśli podłoga opada pod kątem, to co z maleństwem? Ale dziecka już z nami nie było! Tara wyglądała, jakby nigdy nie urodziła, a w spizarce coś błyskało słabiutkim światłem.

– Przykro mi... – Bart mówił niewyraźnie, jednak świetlik nie opuszczał jego ust. Polak uwierzył w każde słowo latarnika, przekonany, że ten nie ośmieliłby się kłamać o takich nieszczęściach.

– Tara? – dopytała Sammy.

– Niewzruszona otworzyła drzwi. Spróbowała przekroczyć wysoki próg, ale odpychała ją ziemistość podłogi. Stopa jej poczerniała, bo Tara nie miała wejścia do piekła! – Ten pomysł ze stopą jakże pięknie uwiarygadniał całość! – „Złożyłam dziecko w ofierze!”, zawołała i pojąłem, jakim narzędziem stałem się w jej rękach.

– Co z ucieczką przed demonami? – Sammy nie potrafiła uwierzyć karczmarzowi, przy czym obawiała się o Barta, któremu wysoka empatia nie pozwalała znowu w nic zwątpić.

– Demony wraz z królewską bitwą to późniejsze czasy. A dusza córeczki wybrała tatę, kawalerze. Kiedy tracisz dziecko, którego matka...

– Taki wstrząśnięty pobiegłeś z duszyczką w butli! – ironizowała Niemka. – Jeżeli otworzyliście przejście, to po cholere wiedźmie król?! Sam sobie zaprzeczasz! Chcesz przekonać do siebie Barta ckliwą historyjką! Nawet on nie jest tak głupi!

– Poczekaj! – nalegał gospodarz. – Tara zmieniła się w kotkę i skoczyła w stronę owada! Córcia wleciała do porzuconej butli, w ostatniej chwili umykając przed jej pazurami! Chwyć szkło i pognałem w czerń, gdzie nie mogła nas dopaść. Króla potrzebowała, żeby do nas dołączyć!

– Wieża powstała po bitwie. Z kości i stali. – Sammy podważyła wersję gospodarza. – Złapałam cię na kłamstwie.

Złapała, ale nie po to słynął z kłamliwości, żeby tak łatwo przegrać.

– Wydłużyła się jeno, ptaszyno! Ludzie tu umierali od zarania dziejów. W niejednej z bitew i od niejednego mordu. A wiedźma próbowała rozwiać czerń ścian wieży świetlikami, by dobrać się do demonów z piekła! A kiedy tego dokona, świat runie.

2

Bart pochylał się nad gospodarzem.

– Jesteś ofiarą – zaseplecił, a Sammy na te słowa opadły ręce.

– Wiedziałem, że jedno z was, jeśli nie oboje, zostało tu wysłane przez Tarę! – Da Derga bronił się jeszcze zacieklej. – Część waszych rozmów podejrzalem na ekranie. Poza tym wiem, co się działo w budynku, chociaż niczego poza klątwą nie słyszałem. Widziałem jeźdźców obmytych wraz z końmi krwią.

– Mogłeś nas zepchnąć... – Tego nie pojmowała Sammy.

Łzy stanęły w oczach latarnika.

– Dwójka biednych, przymuszonych młodych ludzi. Myślałem, że znajdziemy wspólny język – pomarudził na czepliwość Niemki. – Spychając, czym różniłbym się od Tary?!

Bart próbował pocieszyć mężczyznę.

– Akka – bąknął półgębkiem.

– Przynosiła prezenty, ale chciała coś w zamian. Nalegała – przyznał zgodnie z prawdą – żebym opuścił latarnię. Nie potrafiłem jej zaufać. – Karczmarz podniósł się ze stołka, by pomaszerować bliżej czerni, skąd przyniósł pełne garście skrzydełek. – Wysyłała świetliki! Do tego się posunęła! Zgniatąłem ciała, a te rozpadały się na pszczoły oraz motyle, które też zabijałem. Tara za wszystkim stała, ale ja...

Sammy nagle olśniło.

– Wiedźma czeka. I jeśli się nie doczeka, to... – Nie dokończyła, bo od schodów nadleciał pierwszy świetlik.

Świetlik, którego nie trzeba było łapać, ponieważ usiadł Bartkowi na ramieniu.

– Musi cię kochać, kawalerze, bo nie poleciał w stronę czerni – zdumiał się karczmarz.

– Myślałam, że Tara nie zabija, bo straci neutralność, o której pisała! – Złość ogarnęła Sammy. – Przestańcie wreszcie kłamać!

Da Dergę ubawiło podenerwowanie dziewczyny, ale walczył ze sobą, żeby się nie roześmiać. Rozumiał, że dla kogoś, kto analizuje fakty, dłuższa rozmowa z nim czy wiedźmą trąci koszmarem.

– Tara przygotowana jest na każdą okoliczność, ptaszyno. Dlatego zaprowadziła was do strychnicy! Zamierza wyrzucić presję na kawalerze, a poniekąd i na mnie. Jedno mówi, robiąc zazwyczaj coś zupełnie innego! Chce, żebyśmy zesli... Zaakceptuje i moją śmierć. Inaczej pozostali rezydenci stracą życie. Neutralnie ich pozabija.

Bart odwrócił się w stronę schodów, po czym rozpoczął marsz z rozświetlonymi ustami.

Latarnio, poprosił w myślach, opowiedz mi prawdziwą historię tej dwójki.

3

Fiona, Michael oraz John spoglądali na Tarę z przerażeniem w oczach. Kobieta ułamała z jednej z półek spory kawałek deski, popisując się siłą. Trzymała w ręku szpikulec długi na metr, z wystającymi w kilku miejscach ostrzami pokrytych rdzą gwoździ.

– Michaelu, przytrzymaj Fionę – zwróciła się do mężczyzny, który teraz nienawidził kobiet, więc z przyjemnością zabrał się do krępowania Fiony.

Fiona zyskała jednak na pewności siebie, poza tym sił jej nie brakowało, wywiązała się więc walka, która na wąskiej przestrzeni nie mogła porządnie rozgorzeć.

– Przestańcie – prosił John zbyt słabym głosem, by przedrzeć się przez okrzyki walczących.

– Ufasz mi, prawda? – Tara kucnęła przy Johnie, a ten uśmiechnął się do niej, bo przecież nie tylko jej ufał, ale wręcz zakochał się w wiedźmie! – Johnie, chwyć ten kijek i wbij sobie gwoździe w nogę, tu – pokazała na udo, gdzie pod skórą ciemniała tętnica udowa – i później tu. – Wskazała na drugie udo. – Bo sama nie mogę, nie tutaj, nie teraz. To pomoże Bartkowi. Sprowadzi chłopaka do nas. A rankami się od razu zajmę. Obiecuję.

John próbował, ale sił mu brakowało, dlatego Tara położyła deskę na sufitowej podłodze, gwoździami do góry. Dołożyła jeszcze dwie po bokach, dla podpórki (deski nadleciały od strony walczących).

– John, połów się na tym! – rozkazała. – Najlepiej szyją.

– Tak pomożemy?

– Tak – skłamała wiedźma. – Wtedy do nas wróci.

I rezydent położył się niczym na poduszce, chociaż bardzo go to bolało, a kiedy walczący spojrzeli wreszcie w jego stronę, na pomoc było za późno.

– Jakie nieszczęście! – zapłakała wiedźma, spoglądając na odlatującego w stronę schodów świetlika. – Dlaczego tak niefortunnie upadł?! Może został przez was uderzony? – Wskazywała na poczerwieniałe kawałki drewna.

I zabrała się do posypywania wylanej krwi cukrem.

4

Bart otworzył usta, by świetlik dołączył do duszy Johna. Robaczek przeszedł się po policzku, po czym zeskoczył na ramię chłopca. Od razu zrobiło się nieco jaśniej – coraz więcej światła biło też od opiekuna. Z mroku wyłoniły się pierwsze kształty: zarys karczmy, przy której stanął chłopak.

Światło słoneczne spowiło front budynku. Bartek przymrużył oczy, lecz nie ważył się odwrócić wzroku, tym bardziej że właśnie pojawił się Da Derga z Tarą, ubrani w poszarzałe szaty. Rozmawiali o czymś, lecz do uszu Polaka nie docierały dźwięki. Wiedźma wreszcie odeszła w pośpiechu, Vincent natomiast wbiegł do budynku, jakby goniły go demony.

Bartek przyjrzał się karczmie o dachu krytym strzechą. Wokół posesji rosło więcej krzewów oraz drzew niż za jego czasów, jakby wybudowano ją w lesie, a nie przy łące ze świetlikami. Kompletny brak asfaltowych dróg czy parkingów cieszył oko.

Dopiero po kwadransie podjechał pod karczmę mężczyzna na szarym koniu, więc chłopak skrył się w paskudnie kłujących krzakach o mokrych liściach i cuchnących żółtych kwiatkach.

– Irlandzki król – odgadł, kiedy pogodził się z niewygodami.

Jeździec zastukał w drzwi. Da Derga wyszedł i nie było mowy o służalczości. Karczmarz odebrał od przybysza miecz i objął gościa.

– Przyjaźnią się. Sammy miała rację, że latarnik kłamał – szepnął Bart do dusz.

Nagle opiekun poczuł drgania ziemi, a po chwili nadjechała armia wojowników z trójką rycerzy na czele. Bart wcisnął się w krzaki, ze strachu nieczuły na zadrapania.

Od razu rozgorzała walka. Wsłuchane w zachwyty opiekuna świetliki aż pojaśniały. Bart milkł czasami i patrzył na ogarniętego szałem króla. Trup ścielił się gęsto, a przecież mężczyzna walczył bez broni!

– Jak można go zdradzić? – Bart nie pojmował.

Król krzyknął w stronę Da Dergi. Karczmarz rzucił miecz w kierunku „przyjaciela”, któremu momentalnie wróciły siły. Kolejne setki padały trupem. Wreszcie irlandzki bohater spojrzał na Vincenta. Karczmarz pokiwał energicznie głową, by za moment wbiec do budynku i z budynku znów wybiec, alarmując przyjaciela, że skończyła się woda.

Vincent pognał do lasu, ani razu nie oglądając się za siebie. Ostatni wojownicy krzyżowali z królem miecze i do walki stanęli też bracia – spragniony heros słaniał się wręcz na nogach, przy czym wciąż obdarowywał wrogów śmiercią.

Da Derga powrócił z butlą mętnego płynu w momencie, w którym potoczyła się królewska głowa. Obraz znikł, zapadła ciemność, odpuściły drapieżne krzaki, za to pojawiły się wreszcie dźwięki.

– Niech zdradziecka wiedźma zazna głodu równego memu pragnieniu! – Klątwa rezonowała od ścian wieży, bo Bart znowu schodził po pętlach schodów. – Niech bracia toną we krwi, którą pragnęli rozlać! Niech wieża wzniesie się z kości, tarcz i mieczy poległych, odgradzająca wiedźmę od celu!

Bart wyczuł również zapachy tych słów, czyli Akka podpowiadała królowi treść klątwy.

Obraz wrócił, ucichł dźwięk. Bart obserwował zapadające się pod ziemię zwłoki poległych, znikające wraz z żelastwem, jakie ze sobą przynieśli. Poczuł drgania, kiedy z tej kościsto-metalicznej plechy raz jeszcze rosła latarnia. Na koniec ujrzał przerażonego Da Dergę wylewającego wodę z butli, po czym biegnącego do karczmy wraz ze szkłem – poszarzałego, zadymionego i wykrzykującego nieszczerze przeprosiny, byle umknąć jak najdalej od klątwy.

I tylko wiedźmy nie wypatrzyły, chociaż przypuszczał, że Tara gdzieś tam wciąż była, nagle drapieźnie głodna.

– W karczmie zamieszkają niewinni! – dorzucił król już bez wskazówek ze strony Śmierci. – Nie wejdzie się bez zaproszenia!

Głowa nagle zamilkła, oczy króla zakryły zasłony powiek, a z jego ucha wyleciał świetlik, kierując się wprost do karczmy.

Barta otuliła czerni. Ktoś chwycił chłopaka za rękę.

– Przepraszam – usłyszał głos Sammy. – Wiedźma... – Dziewczyna ścisnęła mu mocniej dłoń. – Chciałam jej uwierzyć, bo obiecywała wiele... Życie ze spektrum potrafi zbrzydnąć. Poranki nie są już tak słoneczne, a wieczory kojarzą się z wyczerpaniem. Każda rozmowa to bitwa, z której wychodzisz przegrany. Wiesz – odważyła się na szczerość – nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty. Pomagasz bezkompromisowo. Rozumiem, że masz żal do siebie za przysparzanie rodzicom zmartwień, ale wyrosłeś na dobrego człowieka.

– Obiecywała ci mądrość – odgadł Bart.

– Też – potwierdziła dziewczyna. – Teraz wiem, że nie ma w Tarze ani okruszyny dobra.

– Nikt nie jest do końca zły – zapewnił chłopak z charakterystyczną dla siebie naiwnością.

– Bart, powinniśmy uważać. Proszę, nie traktuj Tary ulgowo. Odpuść sobie z kredytem zaufania.

– Tu nie ma dobrych i złych stron – westchnął Bart, przekonany, że ma rację. – Wszyscy oszukują i nienawidzą. Nawet ty. Bracia mordują, przyjaciele zdradzają, a miłość mało znaczy. Ponoć podbierałaś mi jedzenie, a ja bym ci... – Spojrzał na nią z takim wyrzutem, że opuściła wzrok.

– Człowieku bez skazy – prychnęła Sammy z uznaniem. – Wysłano cię tu dla równowagi? Coś rodzicom zrobił, że zmieniłeś się w anioła?

– Nie doceniłem ich miłości – przyznał. – Sammy, nie chcę, żeby Da Derga tam utknął. – Bart zmienił temat. – Wiem, że kłamał i zdradził, ale zapłacił za przewinienia. On tam gnije od dwóch tysięcy lat.

– Dowiedzmy się lepiej, dlaczego się żrą, chociaż wcześniej – dziewczyna również uzyskała wgląd w wizję bitwy pod karczmą – współpracowali.

Bart nic nie odpowiedział. Schodzili po kolejnych schodkach, zamykając trzecią z pętli.

5

Dziewczynie nie chciało się teraz kłócić. Czuła, że zagrożenie nie minie po uratowaniu latarnika ani tym bardziej po odpuszczeniu wiedźmie.

– Da Derga winny jest głupoty, kłamliwości, ale daleko mu do wiedzy – przyznała, gestem powstrzymując kochanka od wypowiedzenia kolejnych pełnych wybaczenia zdań. – Nie dajmy się w nic wciągnąć. Pozostaje jeszcze kwestia Akki.

– Żadnych układów ze Śmiercią. – Bartka przeszedł dreszcz na samo wspomnienie koszmaru z trupem.

– Testowała cię, biedaku. Oby miała ku temu powody inne niż bezduszość. Ale uważajmy i na Akkę. Tara przewiduje posunięcia innych. – Dziewczyna kontynuowała ciąg poprzednich przemyśleń. – Domyśliła się, że karczmarz sprzeda nam bajkę i zapragnie opuścić więzienie. Co, jeśli obstawiała, że zezłoscimy się z powodu jego kłamliwości i rzeczywiście zrzucimy typa ze schodów wprost w jej ramiona?! – Mocniej ścisnęła chłopięcą dłoń. – Najważniejsze, że zdążyłam zmądrzeć, zanim zrobiłam coś głupiego.

– Nie przewidziała klątwy i wypiętrzenia się latarnianej wieży – pomógł w myśleniu Polak. – Ten świetlik to król, a nie żadna córka – dodał z dumą, chociaż sama się tego domyśliła.

– Czułeś Akkę, jak i ja czułam?

Skinął głową, po czym ścisnął jej rękę.

– Przejrzała wiedźmę!

– Vincencie! – krzyknął chłopak pewnym głosem. – Uwalniam cię – dodał, co zaskoczyło Sammy.

– Zdurniałeś?! Zostajesz w latarni?! – Niemka potrząsnęła chłopakiem, aż pociemniałe świetliki musiały na chwilę odlecieć od opiekuna. – Będziesz mordować dusze?!

Chłopak chwycił jej dłoń, pocałował, po czym postawił stopę na wyższym schodku.

– Wracam na górę. Przetrwamy tylko dzięki nieprzewidywalności. Albo dzięki głupocie najinteligentniejszego, choć słabego z historii nastolatka.

Latarnia ponownie darowała mu głodowy marsz.



AMY

Grzechu mój, moja duszo.

Vladimir Nabokov, *Lolita*, tłum. Michał Kłobukowski

1

Amy doskwierała samotność. Ostatnio przez użalanie się nad sobą traciła czujność, co niemal zawsze oznaczało kłopoty.

– Kiedyś znajdę sobie kobietę o sercu Fiony, sile Johna i namiętną jak Michael – powtarzała przed snem, który zwykł jeszcze długo nie nadchodzić, a kiedy już nadszedł, to ciężko go było nazwać snem.

Koordynatorka nie poddawała się jednak przygnębieniu, wiodąc aktywne życie, pomimo że od dawna zmagала się z otyłością. Wstawała bladym świtem, by sprawdzić dziesiątki maili, dzięki czemu zyskiwała czas na rozmowy z pracownikami oraz mieszkańcami placówki. Utrzymywała również kontakty – głównie online – z wieloma ludźmi o podobnie paranoicznym światopoglądzie, co przypominało w zasadzie pracę. Sprzątała swój dom na błysk, a w ogrodzie na tyłach roiło się od kwiatów oraz warzyw rozdawanych później sąsiadom lub przywożonym do *Teach Solais* zawsze w papierowych – nie cierpiała plastiku – torbach.

Wykonywała także masę ćwiczeń fizycznych, bo od dziecka żyła w przekonaniu, że kiedyś przyjdzie jej stanąć do walki – przed laty usłyszała od matki, że powinny być silne i odważne, dlatego jadła dwa obiady dziennie, nagradzając się zawsze deserem.

– Mogą się śmiać – powtarzała jej mama. – Drwić i wmawiać ci, że jesteś gruba, ale kiedyś mi podziękujesz, a oni podziękują tobie.

Amy miała taką nadzieję, bo czuła, że zbliżyła się do granicy skrajnej otyłości, przy której nie pomogą żadne ćwiczenia i pokona ją byle staruszek. Nie potrafiła jednak przejść na dietę. Strach wpojony przez matkę wygrywał z rozsądkiem, bo strach nie akceptuje porażek.

A wczoraj zbyt długo pracowała w ogrodzie, dlatego przed świtem obudził ją niemożliwy do zignorowania ból głowy. Popiła dwie tabletki paracetamolu wygazowaną colą, zrobiła sobie kawę i zagłębiła się w rozmyślaniach (sprawdziła przy tym telefon, czy aby na pewno nikt w nocy nie dzwonił, chociaż nigdy nie wyłączała dźwięku ani wibracji, a budził ją byle szum). Przejrzała wszelkie aplikacje służące do komunikacji, lecz nikt z placówki jej nie niepokoił. Wiadomości mailowych także otrzymała zaskakująco mało.

– Podejrzanie cicho – westchnęła. – Uspokój się, Bart kończy nockę – mruknęła nad kawą. – Ten chłopak to skarb.

Intuicja nie dawała jednak Amy spokoju. Koordynatorka wierzyła, że w placówce wydarzy się kiedyś coś poważniejszego niż śmierci rezydentów, o czym zapewniała ją matka. Dlatego kobiety z jej rodziny obserwowały od pokoleń to miejsce. I dlatego Amy ciężko pracowała i stroniła od związków.

Myśl, że opiekunowi coś się stało, uderzyła nagle z pełną mocą. Amy sięgnęła po telefon i zawahała się na moment.

– Dzwonić o szóstej rano? – westchnęła, po czym wybrała numer placówki.

Nikt nie odebrał, dlatego dwoma łykami dopiła gorącą kawę, zabrała klucze z szafki na buty i pojechała do pracy.

2

Tara wyczuła zmianę. Przemieniła się nawet w szarą kotkę o białej łapie, żeby dokładniej wybadać otoczenie wibrysami.

– Ktoś schodzi, ktoś wchodzi! – miauknęła z zadowoleniem. – Trzecia osoba się waha.

Rezydenci nie wiedzieli, co robić. Wpływ strychnicy nie pomagał im w ocenie sytuacji. John nie żył i przypuszczali, że ma to znaczenie, lecz zobojętnieli nawet na śmierć współmieszkańca.

– Chcemy wyjść. – Fiona wypowiedziała się za nich oboje, a Michael przełknął zniewagę, chociaż nienawidził decyzyjnych kobiet. – Zbyt długo mieszałaś mieszkańców tego domu w wasze sprawy.

Tara przemieniła się w kobietę.

– Nie jesteście już do niczego potrzebni! – Wiedźma czuła, że traci spryt, więc ponownie puściły jej nerwy. – Nie wyjdziecie, dopóki Da Derga nie stanie w tych drzwiach! – Wskazała na czerń schodów. – Wtedy wróćcie do łóżek i marnych żyć przygłupów z miasteczka. Aż pewnego dnia przybędą jeźdźcy... – Zdecydowała się z tych nerwów rzucić groźbą. – Wreszcie zwyciężą, chociaż przegrają, bo nie zdołają mnie dopaść. Tary już tutaj nie będzie... – rozmarzyła się niczym dziecko na widok tabliczki czekolady.

– Jeszcze zapłacisz za swoje grzechy! – dodał Michael, celując w kotkę palcem. – Sprawiedliwości stanie się zadość.

– Nigdy, nie w Zaświatach, kochanie. – Tara może by dopowiedziała coś obraźliwszego, lecz właśnie do strychnicy wkroczył karczmarz. – Nic się nie zmieniłeś – miauknęła z uznaniem. – Poszarzałeś, ale to normalne w otoczeniu kostno-metalicznej plechy. No i zabijałeś przecież dusze, prawda? Nie mów, że je tylko wyłapywałeś. Całe szczęście, że nie dopuszczałeś się tego na świętej ziemi Zaświatów – zadrwiła z miejsca, do którego tak bardzo pragnęła powrócić. – Być może zamiast ze sobą walczyć, powinniśmy ponownie współpracować? Stchórzyłeś, wybaczam, nie działajmy jednak zbyt pochopnie.

Tara nie zaatakowała, ponieważ Vincent ścisnął coś w garści; przypuszczała, że bezcennego dla niej świetlika. Sądziła, że wieża runie lub przynajmniej domknie się przejście, kiedy ta królewska duszyczka zostanie zgładzona. Da Derga uśmiechał się przy tym, choć wiedźma oczekiwała, że będzie raczej zupełnie wyczerpany wędrówką w głodzie i chłodzie. Nie przewidziała, że wieża odpuściła latarnikowi na prośbę niewinnego Bartka. Nie miała pojęcia, że z latarnią można w ogóle pertraktować.

– Schody mnie przepuściły – zaśmiał się Vincent. – Wysłałaś tego głupka i jakoś je przekabacił! A teraz rozdzielimy królewską duszę na dwoje! Poszukasz sobie innego przejścia na Ziemi!

– Nawet nie próbuj! – Tara ruszyła w stronę karczmarza. – Nie wiesz, czym to się może skończyć! Wszyscy...

Michael skorzystał z okazji, żeby zaatakować wiedźmę.

3

Amy wypatrzyła zaparkowany pod placówką rower, od tygodnia używany przez Sammy. Dziewczyna zadbała o pojazd aż miło, wymyła go i naoliwiła, odrdzewiając octem łańcuch. Stary składak wyglądał jak nowy, chociaż służył wolontariuszom placówki już od kilkunastu lat. Samantha wymieniła nawet opony, by po wszystkim przemalować ramę na biało. W dodatku nie poprosiła nawet o centa! Zapewniała, że ma oszczędności.

Koordynatorka zatrzymała peugeota pod ulubionym dębem rosnącym na skraju placyku i pobiegła do drzwi na tyle szybko, na ile pozwalała jej tusza. Z każdą sekundą dopadał ją większy głód, który jak zwykle zrzucała na stres i nawyki żywieniowe.

– Dzień dobry! – krzyknęła od wejścia, przełamując irytującą ciszę. – Bart?! – dopytała już mniej donośnie.

W odpowiedzi zadzwoniło Amy w uszach, co według matki przydarzało się często wojownikom w momentach bezpośredniego zagrożenia życia. Koordynatorkę zalała fala ciepła, kiedy adrenalina mieszała się z krwią; wzięła się w garść, po czym głęboko odetchnęła powietrzem pachnącym jedzeniem.

Amy skarciła się w myślach za głupotę, kolejne kroki stawiając odtąd w milczeniu. Miała nadzieję, że tym hałaśliwym wejściem nie zaszkodziła ani sobie, ani tym bardziej mieszkańcom placówki. Na szczęście nie usłyszała jej nawet wiedźma, a jeźdźcy nie zdołali się jeszcze kompletnie pozlepić po ostatniej porażce.

Koordinatorka poruszała się odtąd bezszelestnie, przy czym opuściła ją całkiem ślamazarność, ponieważ od dziecka przygotowywała się na konfrontację ze złem. Kobieta sprawdziła wpierw pomieszczenia na dole: salon, pokój do wydawania leków, łazienki, sypialnię Fiony i oczywiście kuchnię. Dopiero wtedy dopadł ją strach o Johna, cholerne przeczucie, niedające się zlekceważyć. Już zamierzała pobiec schodami, kiedy jej wzrok omiółł wejście do spiżarki, a raczej brak tego wejścia.

– Mamo... – Wreszcie uwierzyła w historie opowiadane przez rodzicielkę. – Myślałam, że byłaś chora.

Sceptycyzm koordynatorki nie pozwalał jej zauważyć wcześniejszych ostrzeżeń, jakich przecież nie brakowało. Już sama śmierć dwójki rezydentów powinna dać do myślenia, z drugiej strony powody znała, a ludzie w takich miejscach, z takimi schorzeniami umierają, umierali i umierać będą w sile wieku.

Amy podeszła o dwa kroki bliżej, żeby upewnić się, że to, co widziała, nie było jedynie przywidzeniem. W miejscu wcześniejszych drzwi stała różowawa ściana!

– Jeśli wariuję, to przynajmniej rodzinie. – Odetchnęła raz jeszcze, głęboko. – Och, mamo. Powinnam traktować cię nieco poważniej – szepnęła przytłoczona miłością, tęsknotą i wyrzutami sumienia. – I komu miałabym przekazać wiedzę? – zmartwiła się brakiem potomka, a raczej potomkini.

Koordinatorka wreszcie wzięła się w garść, właśnie z szacunku do matki. Nie spanikowała, nie uciekła w chmurze krzyków, wręcz przeciwnie, podrapała paznokciem tynk, po czym podsunęła palec pod nos.

– Mama mówiła, żeby wyczuć się na słodki zapach albo na zapach stali – przypominała sobie lekceważone tak często porady. – Szkoda, że tu wszystko pachnie słodkim żelastwem. Coś jeszcze mówiłaś o zapachu... – Czuła, że zapomniała o najważniejszym. O czymś związanym ze śmiercią.

Spokojnie przeszła jednak do biura, gdzie włączyła komputer, by wysłać e-maila do wcześniej przygotowanej grupy osób o adresach złożonych z przypadkowych ciągów liter i cyfr – do podobnych mamie paranoików. Amy wyłączyła komputer, upewniła się, czy wszystko w biurze stoi lub leży na swoim miejscu, po czym sięgnęła do szafy z segregatorami, aby ustawić na blokującej ją kłódce odpowiedni kod.

– Dwa, zero, zero, sześć – szeptała Amy, przygryzając czubek języka. – Wtedy nas opuściłaś, mamo. Być może to nie było samobójstwo... – Przestraszyła się wreszcie i o swój los, lecz miłość do podopiecznych pomogła kobiecie odzyskać odwagę.

Drzwiczki stanęły otworem, jednak koordynatorki nie interesowały dokumenty. Powyciągała segregatory o rezydentach, układając je na swoim biurku w stosik. Wyciągnęła także papierową teczkę z instrukcjami przeciwpożarowymi oraz grubaśny zbindowany pęk zasad BHP, kładąc te esencje nudy na obrotowym fotelu. Nie śpieszyła się, jakby odwlekała nieuniknione.

Przyglądała się przez moment półkowej pustce, a po policzku pociekła jej łza, bo Amy wciąż bała się trochę, nie o siebie, lecz o rezydentów. Rękawem wytarła wilgoć. Sięgnęła po zszywacz biurowy, którym zaczęła wyrąbywać dziurę w dykcie na tyłach szafy. Mocne uderzenia padały w sekundowych odstępach. Po chwili Amy wyciągnęła zza mebla miecz, niegdyś przynajmniej raz w tygodniu

doglądany przez matkę. Otarła kościstą rękojeść z pajęczyn oraz z pyłu, trzymając palce z daleka od połyskującego w świetle żarówki ostrza. I nie wywinęła nim żadnych młynków ani nawet nie wykonała pchnięć, tylko trzymała broń w gotowości przy lewym boku. Miała nadzieję, że do niczego się dzisiaj nie przyda.

Wciąż liczyła na to, że królewska klątwa, o której tyle się nasłuchiwała w ramach wieczornych opowieści matki przed snem, nikogo poważnie nie dotknęła, a wiedźma stanowiła jedynie wymysł schorowanego umysłu.

– Zostanę bez pracy – jęknęła i zaśmiała się szczerze, bo cała ta sytuacja należała do absurdalnych. – Obym została przy życiu. – Śmiech znikł z jej twarzy.

Koordinatorka raz jeszcze weszła do łazienki Fiony, gdzie poodkręcała kurki, ręcznikami blokując odpływ prysznicowy. Później pobiegła do kuchni, aby wypełnić wodą zlew. I czekała oparta o stół, poza sporadycznymi mrugnięciami w zasadzie bez ruchu, z mieczem u boku, z coraz bardziej podtapianymi podszwami butów.

Tak jak kazała mama.

4

Bart wrócił na górę i nawet nie poczuł, że minął się po drodze z Da Dergą, tak bardzo otuliła ich czerń – poza tym czarno-szary karczmarz zamarł bez ruchu wtulony w pleczę, kiedy tylko usłyszał kroki opiekuna. Latarnikowi przestało zależeć, od kiedy uwolniono świetlika. Nagle stracił kartę przetargową, zyskał za to odrobinę odwagi. Zdecydowanie nie miał już po co dłużej na górze siedzieć. Oferta wolontariusza spadła mu z nieba, chociaż nadleciała z dołu. Dzięki niej schody nie dręczyły karczmarza głodem – ten głód go przerażał wraz z wyimaginowaną ewentualną zemstą latarni (mężczyzna wierzył, że cały budynek czyha na jego życie); głód aż nadto kojarzył się z Tarą i porzuconym człowieczeństwem. Latarnik szedł na dół po raz pierwszy od dawna szczęśliwy.

Na górze chłopak usiadł na stołku, a dusze zleciały z jego ramion na podłogę, prawie nie emitując światła.

– Nie wiem, co was czeka za ścianą – westchnął; przemawiał wolno, spokojnie, z opuszczoną, opartą na dłoniach głową. – Nie powinniśmy wierzyć Da Derdze ani tym bardziej wiedźmie. Chyba mogę wam zaufać, prawda? Nie chcemy tu żadnych demonów.

– Po co wiedźmie demony? – Dołączyła do niego Sammy. Usiadła po turecku przy duszach i zarumieniła się tak uroczo, że nawet diabeł nie mógłby się długo na nią gniewać.

– Przyszłaś. – Chłopak się wzruszył, na co dziewczyna odpowiedziała uśmiechem i podzieliła się informacją o tym, że po

drodze minęła dziwnie rozmarzonego karczmarza, ale chyba jej nie widział.

Przyszła, chociaż przytłaczała ją niepewność. Dlatego wróciła do zadawania pytań.

– Pomyśl, po cholere Tarze demony z piekła?! To mi się od początku nie trzymało kupy. Pewnie nie istnieją żadne poza tymi oblanymi krwią króla. A co, jeśli świetliki powinny wzlecieć za ścianę?! Co, jeśli Da Derga z wiedźmą grają w sobie tylko znaną grę, pełną kłamstw lub przynajmniej niedopowiedzeń?! Może wypuścimy chociaż króla? – zasugerowała.

– Nie mogę zgadywać. Stawka jest zbyt wysoka. – Opiekun nie potrafił przestać myśleć o utracie przyjaciela, przyjmując odpowiedzialność za duszę Johna.

– Nawet z królem? – palnęła Sammy, zanim ugryzła się w język.
– Przepraszam, naprawdę nie chcę tu spędzić wieków, choćby i w twoim towarzystwie. Poważnie, nic nie wyjdzie z naszej miłości i tylko zaczniemy się nienawidzić.

Bart wstał, by podejść do czerni ściany. Sammy obserwowała go po swojemu, bez większych emocji, analitycznie. Chłopak po chwili wahania wyciągnął dłoń i dotknął konstrukcji.

Nie wydarzyło się nic szczególnego.

– Twarde, solidne – meldował. – Chłodne, grube, czarne lub ciemnoszare. Namacalnie kościsto-metaliczne. Nie brudzi palców. – Sprawdził, korzystając z bijącego od niego światła, po czym powąchał opuszki. – Raczej bezwonne.

– To nie ma sensu, to całe pieprzenie o mgłę. – Sammy się podniosła. – Jak niby świetliki przelecą przez ścianę?

– Zobaczymy? – Bart odwrócił się do owadów.

Te skinęły do niego łebkami.

5

Vincent wierzył w pecha, ponieważ nie tylko wylądował w latarni na wieki, ale i zadawał się zawsze z nieodpowiednimi – może poza królem, którego zdradził – ludźmi. Nawet teraz stanął w drzwiach w momencie, w którym Tara najwidoczniej zamierzała się rzucić na Fionę, by wreszcie własnymi dłońmi dokonać zbrodni. Pomyślał, że wiedźma kompletnie zdziczała.

Tara po krótkiej wymianie nieprzyjemności rzuciła się na wroga z pazurami, z wyszczerzonymi zębami, z kocią furią. Pechowy Da Derga zdębiał, szczęśliwie dla niego Michael wybił Tarę z rytmu i całą czwórką zaczęli turlać się po mokrej podłodze. Vincent krzychał o ryzyku zgniecenia króla, ale nikogo to nie powstrzymywało przed agresją.

Wreszcie dopadło ich zrozumienie. Zaprzestali walki, wsłuchując się w skapujące z sufitu krople.

– Tego nie przewidziałaś. Ktoś rozpuszcza twój cukier! – Karczmarz zdążył się zaśmiać, zanim ich mikroświat stanął ponownie na głowie.

Poobijali się, pokaleczyli, przynajmniej rezygnując chwilowo z dalszej walki.

– Witam – usłyszeli głos Amy wypełniający spizarkę. – To które z was jest zdrajcą, a które wiedźmą? – Koordynatorka ujrzała zwłoki Johna. Zbladła. – Oj, mamó, spóźniłam się – jęknęła, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

Tara spoglądała to na koordynatorkę, to na wiszącą u jej boku broń, kompletnie zaskoczona metamorfozą tej zwykle ignorowanej przez siebie kobiety. Wraz z odwróceniem się strychnicy powrócił do wiedzy spryt, co tylko pogorszyło sprawę. Pojęła, że w ten stary konflikt zaangażowanych było więcej stron.

Zaślepiły mnie głód i pragnienie, pomyślała.

– To wypadek. – Wskazała na ciało Johna, a z oczu polały się jej jeszcze nieco szare łzy. – Fiona świadkiem, że upadł na deskę z gwoździem! – Na Michaela postanowiła nie liczyć.

Fiona okręciła kosmyk wokół palca, rzucając:

– Kłamie. Kłamią.

Amy nie potrzebowała niczego więcej. Krzyknęła z wściekłości i żalu.

6

Sammy podeszła do Barta, by także obmacać ścianę, wpięrow niepewnie, a z czasem dość natarczywie, z uderzaniem piąstkami o twardą plechę włącznie.

– Tylko nie kop! – Bart przypomniał dziewczynie o nadwerężonej kostce.

– Świetlik miałby przez to przelecieć?! – Dziewczynę dopadała irytacja. – Pięknie! Będziemy łapać wysyłane przez wiedźmę dusze, nie wiedząc nawet, czy to ma sens? Wracajmy – poprosiła, a raczej zażądała. – Nie zniżmy się do takiego bestialstwa.

Oboje wrócili na środek pomieszczenia, przyglądając się jaśniejącym robaczkom świętojańskim.

– Nie nadlatują, a na pewno ktoś w tym czasie w Irlandii umarł, czyli Śmierć gdzieś te duszyczki trzyma.

– John, jeśli mnie słyszysz! – Bart nie słuchał Sammy; nachylił się nad najbliższym świetlikiem, chociaż nie był pewien, czy nie przemawia do króla. – Powiedz, czy powinienem cię puścić? Sammy mówi, że kiwnęliście łebkami... Chcesz tam polecieć? – Wskazał za siebie palcem.

Świetlik skinął główką, wzleciał w powietrze pachnące perfumami Sammy, a po chwili dołączył do niego drugi robaczek świętojański. Leciąły powoli, lecz prosto do czarnego celu. W połowie drogi dało się słyszeć zawodzący krzyk Amy, jaki wydała z siebie na widok zwłok Johna.

Skołowany Bart skoczył przed siebie, a Sammy nie pozostała daleko w tyle. Złapali owady wystarczająco blisko ściany, by ta zdążyła zafalować czernią.

– Widziałaś? – Bart zastygł w bezruchu. – Czy tylko mi się wydawało?

Sammy mruknęła potwierdzająco. Według niej cały budynek zafalował, ale nie zamierzała straszyć opiekuna.

– Słyszałeś? – Wstrząsnął nią dreszcz. – Amy nas ostrzega. Skąd wiedziała, że właśnie ich wypuściliśmy?

– Nie rozumiem. – Polakowi brakowało już sił. – Dlaczego John polecał, jeżeli to pułapka? Przed czym Amy ostrzega, jeśli nigdy tu nie była?

– A może to nie pułapka? – Sammy podeszła bliżej ściany, która ponownie zafalowała, kiedy tylko dziewczyna rozchyliła palce i świetlikowe światło padło na czernią. Sammy spojrzała na Barta, zamykając dłonie. – Nie zgadniemy. Pytanie jest proste: czy zaufamy Johnowi, królowi, Amy czy Da Derdze z wiedźmą? Ci ostatni robili sobie na złość. Przecież Vincent pokazał kupkę skrzydełek, ale przez dwa tysiące lat tych irlandzkich dusz powinno być krocie! Śmierć zadbała o dusze, jak mówiłam. – Samantha sięgnęła po logikę. – Trafiła kosa na kamień, a my obrywamy iskrami. Król przeklął wiedźmę oraz braci, tyle wiemy. Zrzucił na Tarę głód, a ona wpompowała go w wieżę, z wieży znowu wylewa się na wyspę. Podzieliła się z każdym, kto wspinał się po schodach lub wszedł do tego domu. Amy tu utyla, ja pożeram słodczyce, Nino kanapki serowe wielkości bochenków chleba, a ty ciągle gotujesz, chociaż nie obzerasz się jak inni, panie doskonały.

Bart nie wziął tego do serca, zbyt był przejęty świetlikami oraz rewelacjami dziewczyny. Głód, który spadł na wiedźmę, musiał być ogromny, jeśli dorównywał pragnieniu króla. Tara związała się nim z tym miejscem, bo nie miała wyjścia. Głód musiał wyciekać przynajmniej na okolicę!

– Dusza króla poleciała tu od razu po śmierci, widziałeś? Nie leciałaby ot tak sobie, bez celu – ciągnęła Sammy. – Schwycił ją latarnik.

– Wiesz co? – Bart podniósł wzrok na dziewczynę i pozwolił, żeby odżyły uczucia. – Wierzę, że świetliki pokonają ścianę i stanie się coś pięknego. Wcześniej zwlekały, dlatego martwię się, że...

– Stanie się nam krzywda – odgadła dziewczyna. – Wieża runie, klątwa zniknie, być może znikniemy i my.

– Ewentualnie zostaniemy tu uwięzieni, bo na drugą stronę trafiają umarli, nie żywi – doprecyzował Bart. – Chyba że umrzemy pod gruzami wieży. Wiesz – dodał po namyśle – nie widzi mi się wizyta w Zaświatach. Zbyt mi się spodobał seks.

Zaśmiali się długo i szczerze. Sammy ścisnęła dłoń Bartka z miłością.

7

Amy wytargała Da Dergę na zewnątrz, jakby był szmacianą lalką. Rzuciła mężczyznę o ziemię niemal pod wejście do kuchni, nie przejmując się jego krzykami, przy tym przez cały czas w wolnej dłoni trzymała miecz. Zmęczonym rezydentom pozwoliła w spokoju opuścić pomieszczenie, a ci skierowali się do sypialni, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co się wydarzyło (znowu byli sobą, z ciężącym im poczuciem winy oraz straty z powodu śmierci Johna).

Amy przerzuciła zwłoki podopiecznego przez ramię i wolnym krokiem pomaszerowała do kuchni, wciąż lekceważąc obecność wiedźmy. Ta prychała po kociemu.

– Ty! – podniosła głos, wchodząc za koordynatorką do kuchni, lecz powstrzymała się od inwektyw. W pomieszczeniu stała grupka osób, a każda wyglądała współcześnie, jednak z małym wyjątkiem, z jakimś zadbanym reliktem wplecionym w garderobę, ostro wytartym od ciągłego czyszczenia. Tu jakaś spinka, tam kłamra czy część prymitywnej zbroi. Dzierżyli i miecze, ale nie tak wspaniałe jak ten Amy, chociaż na swój sposób piękne – drogie i kunsztownie wykonane japońskie katany.

Podłogi świeciły czystością; kurki pozakręcano, czyli wyglądało na to, że trochę tu sobie na nich poczekali. W pokoju do wydawania leków wiedźma zauważyła kilka wiader i schnących mopów.

– Rozlej w spiżarni trochę krwi i posyp ją grubo cukrem, ale zostań na zewnątrz, niech wejście odwróci się bez ciebie, bo pewnie

utknęli tam wolontariusze. – Amy zwróciła się do najbliższego ze znajomych, a ten bez słowa pobiegł do strychnicy. Koordynatorka miała nadzieję, że młodym nic się nie stało, bo nie mogłaby sobie tego wybaczyć. Wreszcie spojrzała wiedźmie w oczy, a ta nie wytrzymała tego spojrzenia. Opuściła wzrok.

Z koordynatorką czworo, Tara policzyła wrogów w myślach. Zalali dół placówki, żeby roztopić mój cukier. Zdążyli posprzątać, więc oprócz siły dysponują szybkością. Niewinni, skoro zdołali tu wejść.

Goście wyglądali na zdeterminowanych, jakby od dawna czekali na to spotkanie, chociaż na twarzach dało się dostrzec i smutek – szczególnie kiedy spojrzenia zawieszano na położonym na stole ciele Johna.

– Spóźniliśmy się, zrodzeni z grzechu. – Amy przemawiała do Tary, mimo że stała odwrócona do wiedźmy plecami. Koordynatorka pogłaskała ciało Johna po głowie, po czym odwróciła się do wiedźmy, która nie wiedziała, czy zmienić się w kota i uciec, czy stanąć do walki.

– Widywałeś mnie każdego dnia. – Tara spróbowała zyskać na czasie. – Nigdy nie napełniłeś mi miski. Nie jest z ciebie wcale taka dobra duszyczka, kruszynko!

– Śnieżka... – Koordynatorkę dopadło zrozumienie. – Czyli spadłeś z Zaświatów. Co zrobiłeś, że nie chcieli cię tam oglądać? – Spojrzała na poczerniałą stopę rozmówczynie. – Zabijałeś dusze – odgadła.

Tarze odechciało się rozmów.

– Zatrudniłam się w *Teach Solais* po odejściu poprzedniej koordynatorki, mojej mamy. – Amy zaczęła zatem opowiadać

znajomym o sobie. – Wybaczcie, że nie rozgryzłam zagadki. Bo widzisz – tym razem zagadała do Tary – monitorujemy takie miejsca w zasadzie od śmierci króla. Zatrudniamy się tam, gdzie za budynkami stoi historia. Na całym południu wyspy.

– Jakie miejsca? – pomyślała na głos Tara. Chciałyby wiedzieć, czy w okolicy istnieją podobne przejścia. Siostry mogły otworzyć kolejne; dusze musiały któreś przelatywać!, dumiała, bo nie wiedziała o łąkach pełnych świetlików i sumienności Śmierci.

– Gdzie mógłby zginąć niewinny król, zrodzony z grzechu – odpowiedziała Amy. – Pracujemy w domach opieki czy szpitalach, które adaptowały do swoich potrzeb stare budynki. Długo cię szukaliśmy.

– Dlaczego?! – Tara nie wytrzymała, wciąż nieco skołowana przebywaniem w strychnicy. – Co wam do śmierci króla?

Czwórka ludzi parsknęła delikatnym z szacunku dla zwłok Johna śmiechem.

– Nie masz pojęcia – przemówiła Amy. – Tu jesteś tylko kotką, która pożarła duszę.

8

Młodzi podjęli decyzję, a raczej Sammy odciągnęła wreszcie Barta od ściany. Położyli świetliki na stołku, przyglądając im się z natarczywością szalonych naukowców. Polak rozpoczął przemowę, chociaż czuł się niepoważnie, pochylony nad owadami.

– Nie śpieszcie się – poprosił. – Opuścimy latarnię i polecicie do Zaświatów. Pragnę się tylko pożegnać. Dużo mnie nauczyliście i będzie mi was brakować. W życiu nie miałem wspanialszego przyjaciela – dodał, zwracając się do Johna. – Postaram się być tak dzielny, jak wy.

Sammy chwyciła chłopaka pod ramię i pociągnęła za sobą w stronę schodów. Nie wypuściła ukochanego aż do ostatniego stopnia, odpłacając wsparciem za wcześniejsze grzechy. Głód ich nie atakował, obyło się bez projekcji przeszłości, ale smutek odbierał opiekunowi chęci do życia.

– Wieża nam sprzyja. – Sammy dopingowała Barta, który coraz wyraźniej opadał z sił. – Musimy iść! Dla Johna!

Sammy pocałowała chłopca, kiedy pozostawili za sobą ostatni schodek, po czym wydukała przeprosiny, wgryzając się w jego usta. Bart krzyknął, ale nie odważył się odepchnąć dziewczyny, póki ta sama od niego nie odeszła.

– Wybacz i pochyl się, proszę – szepnęła, by krople krwi skapywały na sufitopodłogę. – Zagoi się – oceniła szkody, cmoknęła chłopaka w policzek, na co ten pokiwał tylko głową. – Nie widzę

Tary, ale ktoś zrobił nam przysługę i raz jeszcze odwrócił strychnicę.
– Znalazła na półce trochę cukru, którym posypała krew.

– Pewnie Tara.

Sammy spojrzała na Barta z politowaniem. Postanowiła go chronić, bo zmieniać kogoś tak dobrego byłoby zbrodnią.

– Obstawiam, że Tara walczy gdzieś z latarnikiem. Ktoś inny nam sprzyja – zdecydowała bez cienia wątpliwości. – Pomyśl, co by było, gdybyśmy natknęli się tu na nią... – Dziewczynie załamał się nagle głos. Uklęła, schowała twarz w lepkich dłoniach. – Zeszliśmy bez żadnego planu. – Zaczepnęła powietrza raz i drugi, dzięki czemu uspokoiła się trochę. – Mam nadzieję, że to nie pułapka. – Wskazała przed siebie w tym samym momencie, w którym góra przetasowała się z dołem.

Pokój uległ obróceniu, poobijali się trochę, szczególnie Bart, a za drzwiami zamiast schodów dostrzegli korytarz, który pokonywali wielokrotnie podczas swoich zmian. Poza tym usłyszeli głosy z kuchni.

– Spróbujmy pokonać wiedźmę – szepnęła Sammy, jakby takie rzeczy robiło się ot tak sobie. – Zaatakujmy z zaskoczenia.

– Powinniśmy uciec. – Bart przeszedł przez próg, tracąc wiarę w swoje siły. – Wezwiemy pomoc.

– Co powiemy policji? Że w placówce zamieszkała wiedźma i przemienia się w kota? Trzeba ją zabić – zdecydowała Sammy. – Biorę to na siebie, niewiniątko. – Puściła do kolegi oko.

Dziewczyna pobiegła w stronę kuchni, a za nią poczłapał Bart, przekonany, że idzie na pewną śmierć, lecz nie potrafił pozostawić Sammy bez opieki.

– John... – westchnął. – Przepraszam, przyjacielu.

Akka zapachniała mu słowami wsparcia, od których trochę go zemdliło.

9

Sammy stanęła w drzwiach kuchni, gotowa popełnić mord na kotce gołymi rękami.

– Poczekaj! – Amy powstrzymała ją samym autorytetem koordynatorki, chociaż obecność uzbrojonych ludzi wybiła dziewczynę z rytmu.

– Zajmiemy się wiedźmą – zapewnił jeden z mężczyzn na widok wchodzącego do kuchni Barta. – Odejdźcie. Doceniamy, co zrobiliście.

Chłopak nie spuszczał wzroku z uśmiechającej się zalotnie Tary. Zażenowany spojrzał na stół, na ciało Johna. Smutek powalił Barta na kolana.

– Zajmiemy się wiedźmą. – Tym razem zapewniła pracowników Amy. – Miałam co do ciebie dobre przeczucia i nie zawiodłeś mnie ani tym bardziej Johna. – Pomogła opiekunowi wstać; w zasadzie szarpnięciem postawiła go na nogi. – Sprawdź, czy reszcie rezydentów nic nie dolega. No leć! – ponagliła. – Pewnych rzeczy nie powinieneś oglądać.

– Oglądałem demony... – mruknął pod nosem, a koordynatorka spojrzała na niego z troską.

– Zajmiemy się wiedźmą – padło po raz trzeci. – Dziewczyna może zostać. – Amy podjęła interesującą decyzję. – Zaopiekujemy się Sammy – zapewniła Bartka, zamykając przy tym kuchenne drzwi od środka.

Vincent przesuwiał się coraz bliżej wyjścia na ogródek.

– Mam nadzieję, że nigdzie się nie wybierasz, tchórze! – Podniesiony głos Tary wystarczył, by strachem spętać mężczyźni nogi.

– Nie wychodziłabym jeszcze– zgodziła się z wiedźmą koordynatorka. – Tam czeka cię pewna śmierć, tutaj najwyżej odrobina cierpienia.

Da Derga oparł się o blat, wgapiony w zlew, w połyskującą czystością kurki, byle tylko nie oglądać Tary.

– Kocicą targało pragnienie powrotu do Zaświatów. – Koordynatorka przeszła do wyjaśnień. – Podwójnie mocne, ponieważ pożarta przez nią dusza zasłużyła na nagrodę, skoro za niedawnego życia tyle wycierpiała, głównie od innych ludzi.

– Wiesz, czyją duszę połknęłam? – Zaskoczona wiedźma opuściła gardę.

Koordynatorka w odpowiedzi skinęła głową.

– Króla zrodzono z grzechu, ale grzechem napiętnowano również jego matkę. To ona zawędrowała w te strony, by z żalu... – Amy załamał się głos.

– Doszło do samobójstwa – dopowiedział jeden z mężczyzn. – Matka zabiła się kilkanaście lat przed bitwą syna.

– Wykorzystywana, gwałcona, wyśmiewana, poniżana – zabrała głos druga ze zrodzonych z grzechu kobiet, smutna trzydziestoparolatka dorównująca urodą Sammy. – Śmierć kogoś tak czystego otworzyła wrota do krainy bohaterów leżącej tuż za ścianą Zaświatów, gdzie ci decydują, czy wrócić od razu do życia, czy pozostać w raju.

– Niestety, po raz kolejny zabrakło jej szczęścia – westchnęła Amy.

– Mess Búachalla, matka króla, córka króla i ofiara. – Tym razem najwyższemu z mężczyzn załamał się głos. Odetchnął szybko, zacisnął pięści i wrócił do relacjonowania pradawnych zdarzeń: – Stary król Eochu Airem miał niewybaczalną słabość do swojej córki. Obrzydlistwo. – Ten prostolinijny i dobry człowiek wzdrygnął się.

– Ponoć został oszukany. – Amy stanęła w obronie władcy, który sam nie mógł już nic powiedzieć. – Myślał, że kładzie się do małżeńskiego łóżka, u boku królowej Étaín.

– Amy. – Mężczyzna spojrzał koordynatorce w oczy, po czym przeniósł wzrok na twarz Sammy, skoro to do niej kierowali wyjaśnienia. – Jeżeli Eochu spłodził z córką dziecko, a to dziecko zostało później matką króla, to zapomnijmy o pomyłce. Dwukrotnie się tak pomylił?

Dziewczyna zbladła. Długo potrwało, zanim wydusiła z siebie słowa:

– Jakiś koleżka zgwałcił córkę, zrobił jej dziecko, czyli wnuczkę, którą także zgwałcił?!

– Tak, nie poprzestał na pierwszej córce, ale poczekał, aż wnuczkocórka podrośnie. Dobrał się do Mess Búachalla i spłodził tym razem syna. Tak oto Conaire Mór wkroczył na historyczną scenę. Król zrodzony z podwójnego grzechu.

– Wiedźma nie mogła sobie wymarzyć lepszego kandydata na rozlanie tu krwi... Biedna kobieta. – Sammy miała na myśli Mess, chociaż Tary również zrobiło się jej żal, bo była boginią drapieżnikiem z Zaświatów, co spadła na Ziemię w kociej postaci, po

czym pożarła duszę spragnionej krainy bohaterów kobiety. – Jak zakończymy ten koszmar?

Amy uniosła miecz i spojrzała wiedźmie w oczy.

– Wiele zależy od ciebie, niekochana. Sporo od Vincenta, jak i od każdego z nas.

Karczmarz, gdy jeszcze wybrzmiewały te słowa, odwrócił się wreszcie od zlewu i ruszył biegiem w stronę wiedźmy.

W dłoni ścisnął nóż.

10

Zebrani pozwolili Da Derdze doskoczyć do Tary, skoro nawet największej fajtlapie może się poszczęścić i skoro zasłużył na taką próbę. Wiedźma broniła się szybkością, więc ciosy nie osiągały celu. Wkrótce wyczerpany Vincent padł na kolana, wpatrzony w upuszczone na płytki podłogowe ostrze.

– Nie powinienes... – Amy jakby czytała mu w samobójczych myślach. – Ale możesz. Zrozumiemy.

– Że co?! – Sammy nie wytrzymała. – Pozwalacie mu się zabić?!

Niemka podeszła do Vincenta i serwując mężczyźnie uspokajające sentencje, odsunęła nóż poza zasięg dłoni karczmarza.

Zrodzeni w grzechu skinęli do siebie głowami. Niższy z mężczyzn zabrał głos:

– Dorostaś do ról, jakie przyjdzie ci pełnić. – Drażnił Sammy tym zadęciem. – Zyskaliśmy pewność, że wyzwoliłaś się spod wpływów wiedźmy. Możesz pozostać w placówce.

– Mogę?! – Sammy wstała, pomagając Vincentowi się podnieść.

Dziewczynie puszczały nerwy, na co zareagowała Amy. Podbiegła i uderzyła ją tak szybko, że w oczach Tary zagościł na moment strach, od razu przegnany przez wyrachowanie.

Niższy z mężczyzn zaniósł półprzytomną dziewczynę do salonu, gdzie położył ją na sofie. Bez słowa wrócił do kuchni, żeby nic nie stracić z kolejnych wydarzeń.

– Samantha troszeczkę pośpi dla naszego dobra – wytłumaczyła się koordynatorka głównie przed Vincentem. – Uderzyłam w splot słoneczny, więc krew napłynęła do przepony i... – Pokiwała głową, po czym zaczerpnęła głęboki oddech na uspokojenie. – Uderzyłam relatywnie lekko, żeby nie wyrządzić małej większych krzywd. Karczmarzu, pójdź i zaopiekuj się dziewczyną. W końcu zawdzięczasz jej życie, a kto wie, czy nie wolność. Twoje grzechy – nachyliła się nad latarnikiem – biorą się z głupoty, a na głupotę nie ma lekarstwa.

– Kim jest wiedźma? – zapytał jeszcze pomimo strachu.

– Mama mówiła, że wiedźma jest królową. Boginią Zaświatów.

– Dlaczego żyje, pochodząc stamtąd? – dopytał Vincent. – W Zaświatach nie trzeba być martwym?

– Nie, jeżeli jesteś boginią – odpowiedziała Amy z uśmiechem, ale nic już więcej na ten temat nie dodała. – Szybkość Tary w niczym nie pomogła, kiedy uciekłeś do karczmy – zmieniła temat – bo król wykrzykiwał klątwę.

– Dotarłem do połowy schodów, gdy królewski świetlik usiadł mi na dłoni... – Da Derga spoglądał z szacunkiem na swoje rozedrgane ręce, jakby robaczek świętojański wciąż tam siedział. – Wylałem wodę i pozwoliłem mu zamieszkać w butli, chociaż bałem się, że umrę z pragnienia.

– Nie kłam – zaleciła ze spokojem Amy. – Przyjąłeś rolę ofiary, bo mitomania dotyka osoby o rozchwianej psychice, zagubione. Straciłeś wiarę w siebie i starałeś się wytrzymać sam ze sobą, tam na górze, dzięki kłamstwom. Nie jesteś ofiarą. Jesteś tylko głupim, tchórzliwym nieudacznikiem.

– Złapałem królewskiego świetlika, żeby mieć kartę przetargową, gdyby dopadła mnie ukochana – przyznał wreszcie latarnik.

– Tara z pewnością próbowała do ciebie wejść. Stała na pierwszym stopniu i odpędził ją głód. Prawdopodobnie wtedy obumarła jej stopa...

– Kłamstwo! Stopa obumarła mi od rozgniatania dusz na tej ich świętej ziemi! – prychnęła Tara, zanim pojęła, że dała się podpuścić, żeby zebrani zrozumieli, z kim mają do czynienia.

– Wieża urosła, a wiedźmę dopadła klątwa głodu, który nie zmieścił się w kimś, kto nie był w pełni człowiekiem. Wiedźma – czubek miecza wskazywał Tarę – wkrótce nauczyła się sobie z tym radzić. Prawda?

– Promieniował na wyspę, gdy stawał się nie do zniesienia – odpowiedziała Tara szczerze. – W końcu to irlandzki król, więc i irlandzka klątwa.

Po tych słowach zapadła dłuższa cisza.

– W jaki sposób młodzi podołali wspinaczce? – odezwał się nagle wyższy z mężczyzn.

– Bart nie myśli jedynie o sobie – wyjaśnił mu kolega. – Rezydenci także by weszli, ale chyba im na to nie pozwoliłeś – zwrócił się do latarnika.

– O czym miałbym z chorymi rozmawiać? – Vincent nie skrywał swojego stosunku do rezydentów. – Pewnie nic by nie zrozumieli, tylko skoczyliby z rękami.

– Schroniłeś się na szczycie latarni, a mimo to wiedźma nie dała za wygraną? – Amy pociągnęła karczmarza za język.

– Przylatywały świetliki. Musiała zabijać. Droczyła się nie tylko ze mną, ale i z przejściem.

– Przylatywały, a ty je likwidowałeś, z głupoty. – Amy posmutniała. – Mam nadzieję, że Śmierć przywróci je do obiegu, kiedy wszystko wróci do normy...

Wyższy z mężczyzn położył Amy dłoń na ramieniu. Przejął rolę wypytującego.

– Nie miałeś pojęcia, karczmarzu, dokąd otwarto przejście, i nie rozważałeś żadnej innej, poza piekielną, opcji. Siedziałeś tam na górze, robiąc w portki przed Tarą i demonami z piekła. Prowadziłeś rozmowy ze Śmiercią, ale byłeś zbyt strachliwy, żeby jej uwierzyć.

Wiedźma bawiła się przednio. Najwidoczniej ta garstka ludzi zamierzała sobie jedynie pogadać, ewentualnie odsądzić ją od czci i wiary.

– Długo będziecie się jeszcze uzalać nad królem? – zadrwiła.

– Conaire Mór przybył tutaj – Amy spokojnie odpowiedziała Tarze – ponieważ ujrzał w twoich oczach duszę matki. Niestety, zabrakło ci szlachetności, również tej kociej. Kierowałaś się tylko pragnieniem.

– To nie pragnienie powrotu do Zaświatów mi tak dokucza ani głód, który dzieliło ze mną tak wielu. To ta ludzka dusza, nią się strułam – jęknęła wiedźma. – Tylko tam, na górze, zdołam się uwolnić od człowieczeństwa.

11

Zrodzeni z grzechu patrzyli na Da Dergę z mieszaniną politowania i odrazy. Tara podeszła do kuchennej ławy, by usiąść obok starego znajomego.

– Dawno temu zląkłeś się gadającego kota. Życie w ciągłym strachu przypomina śmierć, dlatego dałam ci cel i nauczyłam korzystać ze skłonności do kłamstwa. Wreszcie odżyłeś.

Amy nie mogła tego tak zostawić.

– Taro, doprowadziłaś do śmierci króla, a wcześniej pożarłaś duszę jego matki. W Zaświatach rozdeptywałaś ludzkie dusze, a teraz pragniesz powrotu, by w dalszym ciągu rozdeptywać świetliki.

– Koordynatorkę zmęczyła już ta rozmowa, a sztywniejące ciało Johna nie pozwalało zapomnieć o najmroczniejszej stronie charakteru wiedźmy. – Aż doszczętnie szerniejesz.

– Koty czasami pożerają dusze – zabrał głos wyższy z mężczyzn.

– Zwykle nie sprawia to większego problemu.

– Stąd wzięło się przekonanie o ich wielokrotnych życiach – doprecyzowała druga z kobiet zrodzonych z grzechu. – Tym razem przydarzyło się to bohaterskiej duszy, a pożarcia dokonała jedna z bogiń Zaświatów. Nie mamy nawet do ciebie o to pretensji, Śnieżko – zapewniła. – Zadziałały zwierzęce instynkty. Siostry cię wypędziły i pokarały kocią przemianą. Przynajmniej tyle mogły dla ciebie zrobić, zgodnie z charakterem, jakim się tam wykazywałaś... Stałaś się kotem, więc zostań kotem i przestań uciekać od śmierci czy

marzyć o powrocie tam, gdzie nikt nie pozwoli ci wrócić. Miałaś pecha, że trafiłaś na duszę jednej z najdzielniejszych kobiet w historii świata. Pożarłabyś moją i nic by się nie stało, najwyżej pożyłabyś dłużej i umarła jako nieszczęśliwy, wygłodniały zwierz.

Tara podniosła się, by stanąć twarzą w twarz z koordynatorką.

– Za to mnie macie? – zapytała, kontrolując nerwy. – Za zwierzę, które niegdyś nadeptywało świetlikom na odciski?! Liczy się tylko ta pożarta przeze mnie dusza królewskiej matki?! – ryknęła, po czym miauknęła tak donośnie, jakby była lwem nemejskim, a po chwili dało się słyszeć tętent koni.

– Próbowaliśmy przemówić ci do rozsądku, ale rodzice nas ostrzegali! – Amy odwróciła się do towarzyszy. – Wiecie, co robić! – zakończyła wszelkie rozmowy.

Wiedźma zaśmiała się nerwowo. Przyjęła kocią postać i czmychnęła z kuchni.

Akka, nie rzucając się nikomu w oczy, pobiegła jej śladem. Woląa mieć Tarę na oku.

12

Mężczyźni zrodzeni z grzechu popędzili przodem, trzymając katany ostrzami przy ziemi. Kobieta pozostała nieco z tyłu, a Amy nie opuściła domu.

– Odwołaj ich! – zawołała koordynatorka, dając wiedźmie ostatnią szansę.

Kotka mignęła jej gdzieś przy spiżarce.

– Pozwolę ci odejść! – miauknęła w odpowiedzi. – Ale zakochani zostaną! Zanoszą mnie na górę, biorąc na siebie głód!

– Odwołaj jeźdźców, wypluj duszę i odejdz jako kot, bez głodu i pragnień!

– Pozostawię otwartą latarnię i będę wracać do twojego świata!

– Tara postawiła na szczerłość, tak bardzo irytowało ją to przemądrzałe babsko. – Kiedy tylko zatęsknię za deszczem, za wiatrem, za cudzym życiem – dodała ciszej od porannego miauknięcia. – I będzie się was rodziło coraz mniej, bo nie odpuszczę świetlikom!

Kocia łapczywość, pomyślała Amy, zwracając twarz ku wydarzeniom na zewnątrz.

*

Bartek posłuchał Amy i opuścił kuchnię, chociaż martwił się o Sammy. Poszedł zatopiony w tym zmartwieniu na sam koniec korytarza, do sypialni Fiony, gdzie rezydentka spała w najlepsze, otulona kołdrą po same uszy. Pochrapywała cichutko.

– Przepraszam – szepnął – za niebezpieczeństwa, przed którymi nie zdołałem was ochronić. Przepraszam, że zaufałem wiedźmie.

Fiona chrapnęła głośniej, po czym przewróciła się na drugi bok. Spała głęboko, bo w życiu nie czuła się tak wyczerpana, chociaż od dzieciństwa toczyła boje z przemęczeniem.

– Śpij. – Chłopak przesunął wzrokiem po martwych twarzyczkach lalek, po grzbietach książek o krajach, w których Fiona nigdy nie była, chociaż zawędrowała prawie do Zaświatów. – Już nigdy was nie zawiodę – obiecał, opuszczając sypialnię. – Zamieszkać tu z wami na lata.

Opiekun poszedł na górę, do sypialni Michaela. Nie zapukał, tylko wszedł po cichu i długo spoglądał na śpiącego rezydenta. Michael uśmiechał się przez sen, a pościel rozkopał tak okrutnie, jakby wcześniej śnił mu się koszmar co najmniej z demonami w rolach głównych. Wyglądał niewinnie, tak słodko, że nie dało się go nie kochać.

Bart sprawdził, czy okna są zamknięte, starając się przy tym nie hałasować. Skontrolował jeszcze, czy w pokoju została jakaś woda: naliczył pod łóżkiem trzy butelki, czyli Sammy nie próżnowała na dziennej zmianie i pomimo strachu o jego zdrowie przyniosła mu to, czego pragnął.

Okrył Michaela i przeprosił równie szczerze jak Fionę, po czym usiadł na podłodze, bo nie wiedział, co ze sobą zrobić. Ci ludzie w kuchni wyglądali na zdeterminowanych, a Bart nie mógłby walczyć z wiedźmą, skoro daleki był od zabijania.

Chłopak zatonął w rozmyślaniach. Minęły długie tygodnie, odkąd opuścił Wieszczyzyn z Poznaniem, gdzie wszystko było przewidywalne do bólu, skażone w jego przypadku nauką,

religijnością bliskich oraz rodzinną biedą. W Irlandii Bartek czuł się lepiej niż w domu. Pasowało mu mieszkanie na odludziu, natomiast wyspiarski chłód czy wilgoć, wcześniej nie do zniesienia, teraz przypominały opiekunowi o sile życia. Orzeźwiały w zaspane poranki lub koły nerwy uderzeniami kropel o szyby. Dla równowagi ludzie tu byli ciepli. No i zakochał się. Prawdopodobnie z wzajemnością.

Bart tęsknił jednak za rodzicami. Tęsknota dopadła go z pełną mocą odstawionej na boczny tor miłości.

– Mama. – Zapłakał cicho na wspomnienie jej chudych, wiecznie spracowanych dłoni. – Tata – dopowiedział rozedrganym głosem, a przed wzrokiem wspomnień pojawił się mu szeroki uśmiech ojca, z wiekiem coraz rzadziej widziany.

Podniósł się z podłogi, po czym otrząsnął ze smutku, ponieważ zamierzał jeszcze pójść do sypialni Johna i zamknąć obchód. Pragnął przeczytać wspólnie któryś z tomów *Harry'ego Pottera*, a później pomodlić się do Boga, który był mu coraz mniej obcy. Na koniec życzyć sobie wzajemnie dobrej nocy. Marzył, by podreptać do sypialni dla opiekunów i odpocząć z poczuciem, że w tym domu troszczy się o siebie nawzajem grupa pięknych ludzi.

– John – westchnął Bart, pozwalając łzom kreślić ścieżki na policzkach.

Z rozpaczki wyrwało go rzenie koni.

– Wróciliście. – Chłopak zacisnął pięści i w bojowym nastroju pobiegł do kuchni.

13

Konie padły przed domem na przednie kolana, ułatwiając zbrojnym zsunięcie się z ich lepkich grzbietów.

Wciąż osłabieni jeźdźcy szli bez strachu na spotkanie z nowymi przeciwnikami. Przecież w przypadku przegranej i tak się odrodzą. A kto wie, czy nie uda się wygrać i dopaść wiedźmy – już przed wiekami zostawiła dla nich wysoce kuszącą wiadomość wyciętą pazurem na korze jednego z dębów; obietnicę oddania im karczmy, jeśli przybędą na jej donośne wezwanie.

– Myślałam, że cię nienawidzą. – Amy z odrazą spoglądała na demony. – Zakończ ich udręki. Przestań tym biedakom cokolwiek obiecywać.

– Walczcie, a wyjdę do was bez żadnych sztuczek! – ryknęła Tara tak głośno, że przebudzili się rezydenci i od razu podeszli do okien. – Zwyczajni ludzie nie mają z nimi szans – miauknęła do koordynatorki. – Podejrzewam, że twoi przyjaciele coś potrafią. Rozpoznaję nawet twój miecz, a i fanatyzm bywa groźny. Te stare przedmioty pochodzą od króla, prawda? – Nie doczekała się odpowiedzi. – Jeśli wygracie, wrócimy do rozmowy – dodała i czmychnęła, a za nią Śmierć.

Fionie zachciało się pomóc tym chyba nowym opiekunom, którzy nie zdawali sobie sprawy z siły przeciwników. Michael odsłonił okno i raczej bezrefleksyjnie spoglądał przez szkło. Sądził, że wciąż śpi, bo często z trudem przychodziło mu oddzielanie jawy od snu, kiedy wiele tutejszych przygód odpowiadało koszmarom.

Rezydent przeszedł na korytarz, co robił często, by zwinąć skądś po cichu dodatkową butelkę z wodą lub zajrzeć do Fiony, czy aby nie śpi. Tym razem podreptał do kuchni, gdzie przypomniał sobie o śmierci Johna.

Amy, której ufał bezgranicznie, krzyczała zawzięcie na cały dom:

– Patrz, co się wydarzy! – rozkazywała wiedźmie. – Podjęłaś decyzję, więc oglądaj, a nie uciekaj przed nami!

– Przestań! – prosił Michael, któremu zrobiło się szkoda kotki. – Nie krzycz na Śnieżkę.

– Wracaj do łóżka – rozkazała Amy. – Ty też, Fiono – dodała na widok zerkającej zza framugi rezydentki. – Później wam wszystko wytłumaczę... – dodała o wiele ciszej.

– Nie możesz ich wyganiać. – Opiekun stanął w obronie dwójki, wkraczając obok Michaela do kuchni. – Są gospodarzami. My tu jedynie gościmy.

Koordynatorka skinęła głową, po czym skupiła wzrok na wydarzeniach za oknem, gdzie pierwszy z kolegów Amy podbiegł do demona, stając o krok przed wrogiem. Jeździec próbował podnieść miecz, jednak brakło mu sił. Ostrze drapało ziemię, zgrzytało o kamienie, szurało o kamyczki, grzęzło w piachu.

Kotka zakwiliła na jednym z parapetów ze złości, ale stało się coś, o czym nie miałyby śmiałości zamarzyć! Zrodzony z grzechu mężczyzna odłożył katanę na ziemię, klęknął przed demonem, po czym pomógł mu unieść miecz, pozwalając ciężkiemu ostrzu opaść na swoją szyję! Kotka pobiegła do kuchni, by przyjrzeć się temu z bliska.

– Oj, siostry, niedługo się policzymy! – miauknęła radośnie.

– Nie sędzę – zapachniały słowa Akki, ale na te wiedźma, zbyt daleka od człowieczeństwa, pozostawała nieczuła.

W tym czasie za oknem toczyły się dalsze parodie bojów. Podobnie do poprzednika zachował się niższy ze zrodzonych z grzechu mężczyzn oraz kobieta, najbardziej przestraszona z całej trójki – w czym nie pomagał widok toczących się po podwórku głów. Padła przed ostatnim z jeźdźców na kolana, unosząc ostrze w poranionej dłoni.

Fiona zapłakała, bo żal jej było każdego życia, a Michael z Bartkiem stali osłupiali, szczególnie ten pierwszy coraz bardziej przekonany, że jednak śni.

Trzecia z głów potoczyła się najbliżej kuchennych drzwi i przemówiła jako pierwsza, tak cicho, żeby usłyszało ją tylko wszędobylskie powietrze.

– Zdejmuję klątwę z królewskich braci oraz z Tary. Dostajecie szansę, by odejść w pokoju.

Kotka przestała odczuwać głód, chociaż nie od razu zdała sobie z tego sprawę. Wciąż skołowana, spragniona powrotu do Zaświatów, wyczuła wreszcie utratę czegoś, co przez przeszło dwa tysiące lat było jej codziennością.

Czerwień demonów zakrzepła, zbrązowiała, by na koniec skruszyć się i rozwiać na wietrze. Jeźdźcy padli nagle przy ciałach ludzi. Wysychali na wiór, aż obrócili się w pył, łącznie z kośćmi. Konie pociemniały, zrzuciły z siebie ostatnie krople krwi, po czym odgalopowały w dal z żywym, radosnym rzeniem.

– Zostałaś sama – szepnęła Amy do kociego ucha.

Tara nie odważyła się choćby miauknąć. Wywinęła się jednak kobiecie i wskoczyła ponownie na kuchenny parapet, by mieć lepszy

wgląd w wydarzenia w placówce. Nie bała się już koordynatorki, bo czuła, że nic jej nie grozi, że Amy ma jakiś plan i zbyt dobre serce, by mordować zwierzęta. Spoglądała na odcięte głowy znajomych koordynatorki. Ich usta również wprowadzono w ruch magią zrodzonych z grzechu, podejrzewała.

Rozmyślenia przerwał jej ruch na kuchennym stole. Zwłoki Johna ożyły, po czym nieco otyły rezydent próbował zejść z niewygodnego blatu. Zajął mu dłuższą chwilę, zanim zdołał się w ogóle obrócić. John zamarudził pod nosem – rzucił coś o połknięciu owada, ale nikt nic nie zrozumiał, skoro wszyscy zbyt zajęci byli tym, co się działo za oknem, żeby zauważyć nadlatującego od strony strychnicy świetlika.

– Czas na czytanie – zarządził, nie pozwalając wydarzeniom ostatnich godzin wpłynąć na solidnie już naruszony harmonogram dnia.

Tara główkowała, co takiego zażyczyła sobie zatem ostatnia, trzecia z głów, jeśli druga zezwoliła świetlikowi na powrót do ciała. Jakie pragnienie czy jaką klątwę wyrzekła.

Na odpowiedź nie musiała długo czekać.

Z pyszczka – w czym pomogła pieruńsko szybka koordynatorka, silnymi palcami rozwierając kocie szczęki – wyleciał świetlik. Owad skierował się w kierunku strychnicy, by tam dołączyć do robaczka świętojańskiego króla.

Koordynatorka położyła Śnieżkę na podłodze. Czerń zaczęła zniknąć z łapy zwierzęcia, jakby wiele zostało kotce wybaczone. Śnieżka po raz trzeci wskoczyła z miauknięciem na parapet, czekając, aż ktoś otworzy jej okno. Zrobiło się w niej nagle mniej Tary. Kocia natura zdominowała boską.

Bart pierwszy poczuł potrzebę niesienia pomocy i uwolnił Śnieżkę, obiecując, że napełni jej później miskę. Miał nadzieję, że z pełnym brzuszkiem zaprzestanie polowań na insekty.

– Mamy troszeczkę sprzątanina – uśmiechnęła się koordynatorka przez łyzy. Żałowała przyjaciół zrodzonych z grzechu, którzy oddali życie, chociaż i ona gotowa była na takie poświęcenie, gdyby wiedźmę odnaleziono w którejś z pozostałych części Irlandii i gdyby tam również postanowiła przywołać jeźdźców. – Akko – rzuciła w powietrze. – Zdecyduj o dalszych losach Tary. Nie zrzucaj decyzji na nas. – Matka często opowiadała jej o Śmierci, której powinno się pozostawiać ostatnie słowo.

– Już zdecydowałam. – Poczuli słowne zapachy. – Kotka może żyć. Pilnuj przejścia.

Amy miała zatem zostać strażniczką! Przekazywać tę rolę kolejnym pokoleniom, czyli postarać się o partnerkę z dzieckiem, a może o adopcję.

Kobieta już miała wysłać Barta po łopatę do szopy na tyłach domu, kiedy budynek drgnął, jakby waliła się wieża...

– Przeszli. – Amy uroniła kolejną łzę. – Matka z królewskim synem! Przelecieli przez Zaświaty i trójca bogiń otworzyła im przejście do krainy bohaterów – rozmarzyła się, bo nie mogła tego wiedzieć na pewno. – Zaświaty wrócą do normy. Życie wróci do normy... – Posmutniała, bo przypomniała sobie o matce.

– Po co wam były miecze, skoro nie stanęliście do walki? – zapytał Bart, gotowy zebrać niebezpieczne dla rezydentów ostrza.

Koordynatorka spojrzała na niego z politowaniem, trochę w stylu Samantha.

– Jesteśmy strażnikami, kochany. Mieliśmy za zadanie chronić mieszkańców przed demonami oraz wiedźmą, chociaż wygląda na to, że z jeźdźcami sobie radzili. Niestety, nie odkryliśmy, w którym z obserwowanych przez nas miejsc doszło do śmierci króla. Teraz należało zrealizować najczarniejszy ze scenariuszy przewidzianych przez naszych rodziców i oddać życie dla dobra kraju, a może i świata, chociaż nie wiem, czy gdzieś indziej dusze również trafiają do Zaświatów. No i na wypadek, gdyby Tara nie wezwała jeźdźców – odpowiedziała Amy, bo zrozumiała, że Bartek zapytał o tę szczególną sytuację, kiedy było już wiadomo, że trzeba powstrzymać wiedźmę i zakończyć ten przydługi koszmar. – Szczególnie katany nadają się do samobójstw. Wiedźma zrobiła jednak wiele, żeby przybyli. Nawet za życia łakomili się na jej obietnice, a te składała każdemu, od zawsze.

– Musieli umrzeć? Twoi przyjaciele? Nie mogliśmy zabić kotki?

– To pytanie, chociaż niepasujące do Bartka, musiało paść.

– Tak i nie, chociaż nie liczyliśmy na to, że Tara odda duszę matki króla bez walki. Co najmniej dwójka z nas szykowałą się na śmierć, a nie miałam pewności, czy wszyscy się zjawią... Trzecia osoba zginęła, żeby przypodobać się Akce i odzyskać Johna żywego. Wypadało to dla niego zrobić, kiedy zawiedliśmy. Walka toczyła się nie tylko z wiedźmą, lecz i z klątwą. Należało przekonać do nas wszystkich Śmierć i przeprosić za szereg niedopatrzeń.

– Bez jeźdźców... – Barta dopadło zrozumienie. – I tak byście się zabili.

– Na co dzień broniliśmy placówek, podopiecznych, pacjentów poprzez dbanie o ich dobro i wypatrywanie niebezpieczeństw. Dlatego uczyliśmy się władać mieczem. Wiedzieliśmy jednak,

choć traciłmy wiarę – przyznała raczej za siebie – że i ten sądny dzień nadejdzie, skoro żadnemu z nas nie dopisywało od pokoleń szczęście i miejsce śmierci króla pozostawało zagadką. Od dziecka wierzyliśmy, że jeśli wreszcie dojdzie do upolowania wiedźmy, to ktoś zostanie strażnikiem, a reszta zginie. Po cichu liczyliśmy, że nam, z naszej okolicy, uda się przeżyć, a Tara ujawni się gdzie indziej, może w Clonmel, może w Kilkenny. Marzyliśmy też, by kotka poszła po rozum do głowy, jednak nikt na to tak naprawdę nie liczył.

– Wystarczyło wypuścić świetliki do Zaświatów, żeby ściągnąć klątwę. Wystarczyło zabić kotkę. Samobójstwo to chyba coś złego.

Koordynatorka spojrzała na Barta z politowaniem, ale nie miała już sił na długą rozmowę.

– Tego nigdy się nie dowiemy – westchnęła wyczerpana pytaniami. – Tara przybyła z Zaświatów, kochany. Mordowanie bogini niesie za sobą nieprzewidywalne konsekwencje. Złożyliśmy ofiarę Śmierci. Zrozum, postawiliśmy na poświęcenie się, a nie na kolejną w tej okolicy zbrodnię. Zrozum i nie gdybaj – poprosiła, nagle bardzo zmęczona.

Zrozumiał.

14

– Nie otwierajmy spiżarki, a najlepiej zawieśmy na niej solidną kłódkę, kochani – zdecydowała Amy, kiedy miecze wylądowały za półkami, a segregatory przysłoniły dziurę. – Na dniach najemę kogoś i zamurujemy drzwi. Naopowiadam budowlańcom bzdur o wymogach placówki.

– Uwierzą? – zdziwił się rozbawiony, ale i piekielnie zmęczony Bart.

– Jasne, bo co ich to obchodzi? Nikt w Irlandii nie kłóci się ze zleceniodawcą. No i potrafię być stanowcza.

– Wiesz może coś więcej o krainie, do której trafiły dusze rodziny królewskiej? – zapytał chłopak, pytaniami odreagowując ciąg szokujących wydarzeń.

– Opowiem ci o niej kiedy indziej. Zresztą kto wie, czy sam tam kiedyś nie trafisz. Co o tym myślisz, karczmarzu?! – zawołała do Da Dergi, który powoli, kroczył za kroczkiem, podchodził do drzwi wyjściowych. – Porozmawiaj z nami jeszcze przez momencik! Nalegam.

Da Derga wyprostował się i wypuścił powietrze.

– Latarnia najprawdopodobniej runęła, a wy nie musicie już nikogo zakopywać – rzucił na zgodę, kiedy dołączyli do niego w kuchni. – Kości zapadły się pod ziemię, widziałem. Polegli zaznają spokoju. – Wskazał za okno, gdzie ciała zrodzonych z grzechu otuliła właśnie gleba. – Przejście domknięto, czyli nasza strychnica jest

jedynie spiżarką wymagającą remontu. Nie musisz jej zamurowywać, o pani. Skułbym jednak tynki – dodał ze smutkiem, chociaż chciał powiedzieć to jako żart.

– Masz rację, karczmarzu, nie potrzebujemy kłódki ani budowlańców. – Koordynatorka podeszła do pierwszego gospodarza placówki, by mieć go na wyciągnięcie ręki. – Dziękujemy za podzielenie się wiedzą i za wybudowanie tego miejsca. – Ukłoniła się lekko mężczyźnie.

– Co zrobisz? – zapytał Bart Da Dergę. Bał się, że koordynatorka zechce karczmarza ukarać, co według opiekuna byłoby niesprawiedliwe po wiekach spędzonych w więzieniu. – Chcesz z nami zostać?

– Odejdę. – Vincent uśmiechnął się do wolności i wreszcie zrzucił z siebie lwią część strachu wraz z odrobiną poczucia winy.

– Dużo się zmieniło. – Obolała Sammy przysła z salonu, z lekkim wyrzutem spoglądając na koordynatorkę, ale i ze zrozumieniem, bo wiedziała, że z jej autystycznym uporem tylko by przeszkadzała. – Zostań na trochę. Postaram ci się wytłumaczyć większość ze zmian, jakie przydarzyły się światu. W końcu sam przyznałeś, że nie należę do głupich. I wtedy na spokojnie podejmiesz decyzję.

– W moim przypadku każda ze zmian będzie na lepsze. – Tym razem Da Derga podziękował ukłonem. – Nawet nagła śmierć tuż za rogiem. W końcu czuję się wolny. Nawet nie wiem, jak mógłbym wam za to podziękować.

Bart nie potrafił tak tego zakończyć. Kazał latarnikowi usiąść przy Johnie (średnio zadowolony rezydent odpuścił sobie popisy agresji, skoro przyjaciel tak zarządził), po czym przyniósł tablet i

klapnął po drugiej stronie podopiecznego. Wspólnie obejrżeli klipy z YouTube'a, a opiekun wyjaśniał karczmarzowi niemalże każdy kadr. Mówił, czym są samochody, samoloty, sam internet. Karczmarz nie zląkł się tabletu, ponieważ przyzwyczyił się do podglądania placówki przez podobne ekrany na szczycie latarni oraz sporo wiedział dzięki regularnym rozmowom ze Śmiercią, która dbała o to, by mężczyzna nie zwariował z samotności oraz by nadążał za zmianami języka czy obyczajów, czyli również życzyła mu wolności.

– Dobrze, zostanę jeszcze dzień czy dwa... – wykrztusił z siebie po godzinie. – To jest dość przerażające.

Amy przydzieliła karczmarzowi pokój po Jasonie oraz wydelegowała Sammy do pomocy. Rozczuliła ją troska Barta, dlatego zabrała się do sprzątanía, żeby nie wylewać łez. Głównkowała też nad załatwieniem karczmarzowi jakichś dokumentów, chociaż tutaj, na odludziu, i tak nie będzie się rzucał w oczy, a jakby co, to powie się, że jest wolontariuszem z zagranicy albo kontrolującym ich pracownikiem Erasmusa, ewentualnie nowym podopiecznym, a tych się przecież o dokumenty nie pyta.

Noc rzedniała, a Amy zamierzała mieć dom przygotowany na przybycie dziennej zmiany, czyli na przyjście Nino oraz pracowników z agencji.

– W przyszłym tygodniu dostaniecie kilka dni wolnego – obiecała opiekunom. – Dwa dni, powiedzmy, kochani – opamiętała się szybko z powodu braków kadrowych. – Wyjedźcie gdzieś najlepiej.

– Ale w rozpisce mam pięć nocek z rzędu... – zdziwił się Bart.

– Biorę je na siebie – zapewniła Amy. – Inaczej będę siedziała w domu, rozmyślając o odejściu strażników.

Milczeli przez dobrą minutę, ponieważ w obliczu śmierci nawet najmądrzejsze słowa rzucały się na wiatr.

– Byłeś w Galway? – Sammy pierwsza zaproponowała miejsce, które od dawna zamierzała zwiedzić. – Pochodzimy po plaży, zobaczymy Klify Moheru i...

– Z przyjemnością! – przerwał jej Bart. – Z tobą pojedę nawet na koniec świata!

– Jednego końca świata byliśmy blisko – zaśmiała się Amy, ale młodzi nie zwracali już na nią uwagi, wpatrzeni w siebie bez choćby mrugnięcia.

– A kto pomoże Vincentowi? – Bart martwił się o przyszłość Da Dergi.

– Ja – mruknął John bez entuzjazmu, chociaż z uśmiechem, z którym było mu do twarzy. – Zepchnął mnie ze schodów – dodał, ale z szacunkiem oraz groźbą w głosie. – Posiłujemy się.

– Musiałem... – kręcił Vincent, po czym od razu przeprosił, skoro postanowił więcej nie kłamać. – Źle cię oceniłem – przyznał. – Boimy się tego, czego nie znamy, a nigdy nie rozmawiałem z nikim z zespołem Downa. Nie wiedziałem, że widzicie więcej od innych. I że jesteście od wielu mądrzejsi – dodał szczerze.

John skinął głową, co musiało wystarczyć za wybaczenie.

– I my pomożemy. – Do kuchni przyszli widocznie rozgrzani Fiona z Michaelem. – Fiona powie o miastach. Ja o kobietach.

– Niczego nie widziałam. – Amy złapała się za głowę, po czym chwyciła wiadro z mopem i przeszła do salonu.

Bartek podrapał się za uchem, po czym zabrał się do gotowania. Przecież jak kotka wróci, to będzie głodna.

15

Kotka nie wróciła. Wybiegła oknem w świat, jak najdalej od tego niebezpiecznego miejsca. Nie myślała jej się już sprawnie, postawiła więc na ucieczkę. Niestety, pragnienie powrotu do Zaświatów wciąż grało w jej kocim serduszku pierwsze skrzypce i zmuszało do wolniejszego stawiania łapek. Tara uwięziona przez siostry w kocim ciele nie potrafiła odpuścić.

– Śnieżka?

Kotka natknęła się na Nino tuż przy skřęcie z polnej drogi w pierwszą uliczkę miasteczka. Chłopak szedł na dzienną zmianę, mając świeżo w pamięci rozkazy Akki.

– Co ty tu robisz?

Tara straciła ostrożność. Zamierzała nawet coś odpowiedzieć, przestraszyć tego młokosa, skoro na pozostałej dwójce tak bardzo się zawiodła, ale nie zdołała wykrztusić słowa. Bez duszy królowej skazana była na kocią formę. Spróbowała transmutować, ale i o tym musiała zapomnieć.

Siostry wiedziały, co robią, pomyślała, jeszcze bardziej ich nienawidząc.

Podirytowana ograniczeniami postanowiła zapolować na świetliki. Pożreć tyle dusz, ile zdoła, by z ich pomocą powrócić wreszcie w progi Zaświatów. Stanąć do drugiej rundy, choćby równie długiej, ale nie poddać się, nie przegrać!

– Idziesz w złym kierunku, kociaku. – Nino kucnął przy kotce, na szczęście nie zabierał się do głaskania, bo Tara gotowa była teraz kogoś ugryźć. – Niczego tutaj nie upolujesz. Dusze, a ich szukasz, będą przecież lecieć w stronę przejścia. Nawet jeśli upadła latarnia – Akka poinformowała chłopaka o najnowszych wydarzeniach w placówce – to zapach Zaświatów wciąż przyciągnie świetliki. Królowe dogadały się ze Śmiercią i przeniesiono przejście gdzie indziej, na jedną z łąk, której nigdy nie znajdziesz, bo zabraknie ci na poszukiwania czasu.

Wiedźmę zdziwiła wiedza opiekuna. Do tej pory uważała go za bezużytecznego dzieciaka, ślepo zapatrzonego w rumianą Niemkę. Przyjrzała się mu wnikliwiej i wreszcie dostrzegła szereg zmian, które powinny ją wcześniej zaalarmować – gdyby nie była aż tak wytrącona przez Amy z równowagi.

– Wreszcie mnie widzisz – ucieszył się Nino. – Akka wysłała mnie po ciebie.

Francuz złapał kotkę, chociaż ta gryzła i drapała, aż ręce chłopaka zaczęły wyglądać na ulepione z mięsa mielonego. Wciąż jednak trzymały ją zaciśnięte na ciałku kości i mocno pokaleczone mięśnie.

– Wielkie koty, niedźwiedzie, krokodyle, hieny. – Nino odezwał się głosem tak spokojnym, jakby nie tylko nie robiono mu właśnie miazgi z dłoni, ale wręcz wcierano w nie balsam. – Słoń morski albo mój ulubiony tygrys syberyjski. To są drapieżniki! – Ścisnął kotkę tak mocno, że ta ledwo łapała oddech.

Zapomniała nagle o atakach i poddała się oprawcy. Starła się przeżyć.

– Czy o czymś zapomniałem? – dodał, w tym czasie przechodząc wraz ze zdobyczą w pobliskie krzewy, chociaż o tak wczesnej porze i tak nikt się tam nie kręcił. – O dinozaurach, ale te wymarły. – Ścisnął Tarę coraz mocniej, a z tyłu głowy powoli wysuwała już spod czaszki swoje odnóża Marawa. – Siostry nie będą zadowolone, ale i je odwiedzimy, jeśli nie doprowadzą się do porządku, jeśli nie poddadzą się rządóm Akki. Zbyt długo wam pobłażaliśmy.

Tara miauknęła cicho, jakby starała się ubłagać Nino, a może i samą Śmierć. Jej niegdyś czarna łapka zaczęła konwulsyjnie drgać.

Rozmowa nie miała dalszego końca. Pajęcza bogini otrzymała wreszcie zapłatę za usługi, pod postacią smakowitego kąska. Marawa jadła rzadko, ponieważ pożerała ofiary tylko najwyższej jakości. Te, które zagrażały światom.

– Dziękuję – zapachniała Akka słowem. – Jak zwykle mogłam na was liczyć. Potrzebujesz chłopaka? – dopytała Marawę, decyzję pozostawiając pajęczycy.

– To zależy, czy on mnie potrzebuje.

Śmierć ucieszyła ta odpowiedź.

Nino przysłuchiwał się oraz przywłuchiwał rozmowie w ciszy. Wydarzenia ostatnich dni zmieniły jego światopogląd. Wydorósł. Wreszcie przestał się bać, odkąd miał za znajome aż tak potężne boginie. Nie czuł już bólu, strachu czy zmęczenia. Nawet teraz, chociaż krew lała się z jego zmasakrowanych dłoni.

– Dałoby się z tym coś zrobić? – zapytał, by zyskać odrobinę czasu, zanim podejmie decyzję.

Dało się. Marawa doskoczyła do niego i wprawiła w ruch kądziółki przedne, tylnymi odnóżami plotąc opatrunek. Akka znowu zapachniała jakimiś zaklęciami, dzięki czemu – wytłumaczyła

chłopakowi – tkanek nie zaatakują martwica, wręcz przeciwnie, zabiorą się ostro do regeneracji.

– Czym się zajmiemy? – Nino zwrócił się do kobiet, za które miał obie boginie. – Siostrami Tary?

– Tak, musimy je zdyscyplinować – wystukała odpowiedź Marawa. – Później zabawimy się życiem i śmiercią.

– Ze wskazaniem na śmierć – zaśmiały się obie, Akka słodko, a Marawa wyjątkowo nawet jak na nią rytmicznie. – Wpierw przywrócić w Zaświatach porządek. Królowym należy się lekcja pokory. Przez całą ich czwórkę miałam pełne ręce roboty.

Akka opowiedziała o tym, jak wyglądała jej praca od czasu zamknięcia Zaświatów i ile spoczęło na jej barkach. Wcześniej wystarczyło dopilnować, by dusze zmarłych pożegnały się z życiem na owadzych skrzydłach oraz by powróciły w odpowiednich dla nich rodzinach, w dogodnym czasie. Mogły odetchnąć w krainie królowych, gdzie nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, wręcz przeciwnie, zaznawały tam jedynie spokoju. Przez Da Dergę Śmierć zmuszono, aby powstrzymywała świetliki od przylotu w placówkowe strony, co nie zawsze się udawało – dusze ciągnęło do latarni niczym kotkę. Trzeba je było trzymać na okrytych kopułami z gęstej siatki łąkach, równomiernie rozrzuconych po kraju – szczęśliwie Akce udało się zdobyć kosztem zaledwie kilkunastu koszarów wsparcie finansowe oraz chętnych do pomocy ludzi...

Na łąkach dusze zapominały i czekały w coraz dłuższej kolejce na wskrzeszenie. Niekiedy ginęły całymi setkami, czy to z zimna, czy przez drapieżniki, którym udawało się jakoś na łąki dostać. Bogini śmierci zamieniła się w przepracowanego farmera, doglądając dusznych zbiorów, licząc straty, przywracając te najstarsze

pojedynczo do życia i mając nadzieję, że rachunki komuś jeszcze się zgadzają. Czuła, że czyjaś cierpliwość się kończy, a wraz z nią kredyt zaufania, jakim ją obdarzono. Bo ktoś ją przecież stworzył i wysłał do pracy w Irlandii, skąd nie mogła się wyrwać ani na milimetr, chyba że w ludzkich snach i tylko u tych, którym przyjdzie lub przyszło przebywać na Zielonej Wyspie.

Czy ten stwórca mógł ją... wyłączyć? Zlikwidować? Chociaż zawałiła tylko przez ostatnie bagatela dwa tysiące lat (swoje narodziny umiejscowiłaby przeszło dziesięć milionów lat temu). Ostatnio o niczym innym nie myślała. Przypuszczała nawet, że ten, kto ją stworzył, tkwił teraz w monecie w kieszeni chłopca. Interesowało ją również to, jak radzili sobie ze śmiercią w innych miejscach na Ziemi. Czy miała siostry albo braci? Czy gdzie indziej pozwalano ludzkim duszom na powrót do życia, czy może czekała na nie jedynie pustka? Czy to zależało od lokalnych wierzeń? Czy pierwszych zmarłych wszędzie zaciągano do pracy? Nawet z Marawy nie zdołała słowa wycisnąć, nie chcąc przy tym pokazać, jak bardzo jej na tej wiedzy zależy, bo Śmierci dokuczała samotność.

– Ta kotka musiała żyć całe wieki... – Coś jeszcze nie dawało chłopakowi spokoju. – Nikogo to nie zdziwiło. Koty to chyba tyle mogą pociągnąć, co psy.

– Zazwyczaj była kobietą – zapachniała słowami Akka. – Ładną, a taka przy odrobinie sprytu zawsze sobie poradzi. Z kocią naturą pogodziła się dopiero niedawno, kiedy karczmę przerobiono na placówkę. Śnieżkę wpuszczali, ludzkokształtna Tara musiałaby się nająć do pracy.

– Nie w jej stylu – wystukała radośnie Marawa.

– A ten król tam nie trafił? Do Zaświatów? – zdziwił się Nino. – Słaba nagroda za cierpliwość.

– Oj nie, on trafił gdzie indziej, chociaż niedaleko. Tam też pozwolę wam zajrzeć. Zasłużyliście.

Marawa wypuściła z odwłoka powietrze i wróciła na swoje miejsce, tuż pod czaszkę Francuza. Po uczcie z Tary dokuczało jej trochę pragnienie, ale wiedziała, że minie i wreszcie po wiedźmie nie zostanie nawet ślad łapy.

Nino podrzucił diabelską monetę, po czym schował ją z powrotem do kieszeni. Miał przeczucie, że będą jej jeszcze potrzebować, bo są takie problemy, z którymi można się zgłosić jedynie do diabła. Cofnął się o kilkanaście kroków, żeby podnieść pozostawioną tam latarnię – ta oświetli im każdą drogę, ale to już inna historia, niewykluczone, że z licznymi demonami.

– Marawo, podjąłem decyzję. – Uśmiechnął się, na co pajęczycza odpowiedziała stuknięciami pełnymi miłości.

Na dniówkę nie dotarł. Przyszło mu na dłuższy czas zapomnieć o bożym świecie, a Śmierć miała nadzieję, że wreszcie dowie się, skąd wzięły się zasiadające na tronach Zaświatów wiedźmy, a może i czegoś więcej o samej sobie.

Epilog

– Synku. – Matka przytuliła króla, jakby ten był znowu chłopcem. – Witaj w Tír Tairngire, w krainie obiecanej bohaterom. Miałam nadzieję, że kiedyś wreszcie się tu spotkamy.

– Przepuściły nas dalej – zdziwił się Conaire. – Czy ty je także widziałas? – pytał o siostry Tary i o ich przerażający wygląd.

– Boginie Matki wkrótce odżyją i nabiorą urody. – Kobieta uspokoiła króla, tym bardziej że widziała również ciągnący się za nimi rząd świetlików, jakie wpuszczała do Zaświatów opróżniająca łąki Akka. – Nie myśl o tym. Dla najdzielniejszych przygotowano ciekawsze miejsca i zdecydowanie mniej trosk na głowie. Dlatego przepuściły nas dalej.

Kobieta opowiedziała synowi pokrótce o pochodzeniu Tary oraz o jej siostrach, które powariowały z racji pozbawienia Zaświatów dusz. Wiedzę czerpała głównie ze wspomnień wiedźmy, skoro ta długo posługiwała się jej duszą. Mężczyzna sceptycznie podchodził do jej rewelacji, w które zaangażowała nie tylko podróże kosmiczne, ale i te w czasoprzestrzeni.

– A co, jeśli nie zechcą przywrócić Zaświatom blasku? Jeśli...

– Nie martw się tym, chłopcze. Głód już im odpuścił, kiedy ściągnięto z winnych twoją klątwę. Zmądrzeją, a jeśli nie, to zostaną pożarte przez Marawę, która pozakładała zapobiegawczo tam u góry sieci na świetliki. Marawa jest wspaniałą boginią i w razie czego godnie zastąpi siostry. Marawa zrodziła się z wierzeń, podobnie jak

Akka, czyli jest w nich sporo z człowieka. Pajęczycy zajmie się przepuszczaniem dusz z powrotem na Ziemię, ale te najpodlejsze pożre, bo Marawa nigdy nie robi niczego bez uczciwej zapłaty. Zaufajmy jej oraz Śmierci. Odpocznijmy.

Conaire nie chciał nic więcej wiedzieć, a i matka darowała sobie szczegóły dotyczące pajęczycy czy samej Akki. Ten dzielny mężczyzna przeżył zbyt wiele koszmarów na jawie, żeby jeszcze bardziej opóźnić wkroczenie do krainy. Mess Búachalla przytuliła się do niego jeszcze mocniej, wręcz z całych sił.

Skołowany wojownik dopiero po dłuższej chwili odpowiedział na uścisk, za to jak już objął matkę ramionami, to nie zamierzał jej z nich wypuścić. Drżał cały, roniąc łzy, a te wsiąkały w kobiece włosy.

– Chodźmy dalej, synku – zaśmiała się królowa. – Wszystko będzie dobrze. Zostaniemy razem tak długo, jak zechcesz.

Conaire doszedł do siebie, więc uwolnił kobietę z objęć. Nogi mu wciąż drżały i z trudem łapał równowagę, bo od dawna nie przebywał duszą w ludzkim ciele – bohaterom przywracano cielistość, by zdołali w pełni nacieszyć się urokami krainy. Brał się jednak szybko w garść, jak na irlandzkiego bohatera przystało.

Mess Búachalla pozwoliła synowi ochłonać. Przebywanie w szklanej butli na szczycie latarni, zaledwie o kilka machnięć skrzydełkami od rajy, musiało być wyczerpujące. Żałowała, że zarzuciła go opowieściami o Zaświatach zamiast...

– A gdzie trzecia dusza? – Król przypomniał sobie o Johnie. – Czy już tu przyleciał?

Mess Búachalla tylko pokręciła głową.

– John Cusack, synku. Poznałam go, kiedy byłam częścią kociej wiedzy. – Machnęła dłonią, jakby odganiała niegodziwości, jakich

dopuściła się Tara. – Wrócił do życia dzięki poświęceniu innych, ale kiedyś tu do nas dołączy – zapewniła, bo pamięć Tary należała i do niej. – John jest bohaterem. Tak jak i jego przyjaciele, których nie zdążyłeś poznać. Walczą dzień w dzień oraz każdej nocy.

– Z potworami?

– Tak – odpowiedziała matka, mając na myśli ludzi.

– A ten chłopak? Ten bardzo pomocny?

– Otrzymał już swoją nagrodę... – Mess Búachalla pomyślała tym razem o Sammy, ale nie chciała tłumaczyć synowi miłosnych zawiłości placówki *Teach Solais*. – A wiesz, że pomogli nam ludzie zrodzeni z grzechu, jak ty czy ja? Każdy z nich zadbał o jakąś część twojej zbroi. Zaczęło się tuż po twojej śmierci, a nad całością czuwała Akka.

– Grzech dotykał tych rodzin przez pokolenia?

– Nie, zwykle raz, gdzieś wśród bezpośrednich przodków, ale bez tego grzechu i oni nie przyszliby na świat.

– W takim razie każdy jest zrodzony z grzechu... – podsumował król, a matka pomyślała, że chociaż zawsze stronił od kłamstwa, to chyba nigdy jeszcze nie powiedział niczego prawdziwszego.

– Żałujesz? – zapytał Conaire, wrywając мамę z zadumy.

– Bycia poniekąd wiedźmą? – upewniła się, wybuchając po chwili śmiechem. – Nie miałam za wiele do powiedzenia w żadnej z podejmowanych przez Tarę decyzji. Zresztą wylałam już cały żal, którego nie powinno się nosić w sercu, bo wtedy twój świetlik przyciąga koty.

– Nie jesteś na nią wściekła?

– Nie, chociaż wpierw targała mną złość, a z czasem przytłumił ją głód wraz z pragnieniem ciem lecących do światła. Stałam się

częścią więdźmy. O niczym innym nie potrafiłam myśleć, za to myślało mi się świetnie, z tym pazurem drapieźcy oraz boskością Tary. Wreszcie nie byłam ofiarą...

– Nikt nie będzie obarczał Mess Búachalla winą! – zdecydował król, czym ubawił matkę, która najwidoczniej o wiele lepiej znała się na ludziach.

– Najważniejsze, że wreszcie tu dotarliśmy. Słyszałeś kiedyś o tej krainie?

– Nieuchwytna, nadprzyrodzona sfera, w której panują wieczna młodość, piękno, zdrowie, obfitość i radość. – Conaire rzucił fragmentem legendy dobrze znanej wojownikom z jego czasów.

– Miejsce dla bogów i dla bohaterów. – Matka spowaźniała. – Trąci piekłem.

– To tego tak pragnęliśmy?

– Zawsze możemy wrócić. Taka jest nagroda za męstwo. Nikt za ciebie nie decyduje. Ani królowe Zaświatów, ani Akka z Marawą.

– Tak, ale będziemy musieli się pożegnać. Pewnie wyrzuci nasze dusze gdzieś w różnym czasie, w nowych ciałach, bez pamięci.

– Odnajdziemy się. Los nam sprzyja. I boginie sprzyjają.

– Pozostańmy tu na zawsze – zaproponował Conaire, chociaż przerażała go wieczność, skoro spędził tysiąclecia w szkle. – Czuję się tu szczęśliwy. – Wybrał najodpowiedniejsze słowo. – Nie trzeba tu z nikim walczyć.

– Wieje nam irlandzki wiatr, pachnie morze, zieleni się trawa pod stopami i nawet niebo nie jest szare. – Matce również spodobało się w bohaterskim raju. Wyciągnęła do syna dłoń, którą król chwycił, przybierając przy tym postać dziecka. – Rozejrzyjmy się, kochanie –

zapropowała coraz młodsza mama. – Zasłużyliśmy przynajmniej na kilka wieków odpoczynku.

– Mamo – zagadał chłopczyk zrodzony z grzechu. – A bohaterowie, którzy pozostali w karczmie, nie potrzebują nas?

– Cichutko, skarbie... – Mess Búachalla uspokoiła dziecko. – Odwiedzą nas, zobaczysz. A ci, którzy oddali życie, byśmy wreszcie zaznali wolności, na pewno już tu są.

– Znajdziemy ich?

– Jeśli tylko tego zechcą. – Matka się uśmiechnęła, po czym ruszyli w głąb wyspy lekkim, dla matki wolnym, dla chłopca szybkim krokiem.

Nie odczuwali pragnienia ani głodu, a do ich uszu docierały coraz wyraźniejsze odgłosy świętowania.

– Słyszysz? – Mess Búachalla nachyliła się nad malcem. – Czekają na nas. – Kobieta puściła rękę chłopca, żeby ten pobiegł przodem.

Pierwszy raz od dawnych narodzin nie zagrażało mu wreszcie żadne niebezpieczeństwo.

Od autora

Strychnicą pragnę podziękować wspaniałym ludziom, z którymi przyszło mi pracować w jednej z irlandzkich placówek opieki nad osobami specjalnej troski, podczas długich zawirusowanych miesięcy, które złożyły się w całość dwóch lat.

Zwykle znajdziecie mnie w Callan, w Ośrodku Nauki i Sztuki KCAT – otwartym dla każdego, w czasie pandemii błyskawicznie zamkniętym. Aby jednak uniknąć rozmyślań nad wirusologią, zgłosiłem się na nocki do zbliżonej do opisanej powyżej placówki. Pracowaliśmy ciężko, w niesamowitej atmosferze i nikt mi nie wierzył, że można o tym napisać powieść... Podpuścili mnie i mają za swoje! Oby nie tłumaczono *Strychnicy* na angielski...

Ważne: Podobieństwo bohaterów powieści do mieszkańców placówki czy do pracowników jest przypadkowe, co nie znaczy, że nie są oni równie wspaniałymi ludźmi.

A Śnieżka biała jest niczym jej imię, tylko nie zamienia się, przynajmniej nie przy mnie, w nagą piękność. Bez jej mruczenia nie przetrwałbym nocek.

Przez dziesięć lat pracy w zawodzie opiekuna medycznego kilkunastokrotnie przyjrzałem się śmierci z bliska. Brakuje mi rezydentów, którzy odeszli, ich waleczności oraz tego szczerego uśmiechu, przybieranego na przekór losowi. W dalszym ciągu dzielą się ze mną siłą.

Lecz kiedy wchodzisz do sypialni nagle zupełnie martwych, chociaż wcześniej rozbrzmiewały śmiechem czy chociażby czyjąś złością, to przytłoczony ciszą przemijania podbiegasz do okna, by chwycić się ramy. Świat wokół wiruje, sufit przetasowuje się z podłogą, a ty wgapiasz się w glony, które poczerwieniły beton parapetu na zewnątrz.

Nawet łóżko nie odważy się skrzypnąć; do ciemnego, bezdusznego pokoju nie wlatuje żadna mucha, ćma czy żaden świetlik.

Wyłączam komputer i jadę z gitarą na nocną zmianę, życząc Wam miłości.

Marek Zychla

Callan/Grangemockler, październik 2020 – styczeń 2023

Czytelniku, któryś niestrudzenie pożerał kolejne strony powieści, dziękuję.

Lista zasłużonych strychnicznej sprawie: obie Agnieszki Zychle, Marian oraz Andrzej, Monika z Sebastianem, Daisy.

Jakub, Ela, Hugo i Franek Standerowie, Cliff oraz Alice Bennettowie. Dorothee Beniers, Janice de Broithe, Declan Kennedy, Noel Proctor, Caroline Loughman.

Marzena z Mariuszem Rzeszutkowie.

Agnieszka Osikowicz-Chwaja, Magdalena Paluch, Przemysław Ryba, Dominika Świątkowska oraz zdecydowanie Mirosław Śmigielski, bez którego nie byłoby *Strychnicy*.

Mariusz Wojteczek, Joanna Czarkowska, Janusz Stankiewicz, Wiktoria Czyżycka, Krzysztof Korsarz Biliński, Krzysztof Piersa,

Erich Zann, Maciej Pokrywka, Elżbieta Antoniewicz, Pia Merkel, Maurice Caplice, Kasia Neudek, Herbert Zychła, Aleksandra Czarkowska, Bogdan Zychła, Wiktor Zychła, Paulina Wiśniowska, Aga Kuchmister, Kosma Stander, Kuba Bielawski, Wojtek Gunia, Marta Krajewska oraz autorzy wydawnictwa Vesper.

Bartosz Zujewski, którego imię oraz część osobowości zapożyczyłem. Robert Pięta, Cyprian Wieczorek, Artur i Kwapol.

Dawid „Blodek” Boldys, który stworzył okładkę piękniejszą od słów.

Dziękuję: Marcie Kucharz, Agu Czajkowskiej, Piotrowi Mące, Leggo Libri, whiteorblack_book, opowiem_ci, Suspense_books, markowe_booki, littlesuzann, pachnace_cynamonem, Alicya w Krainie Słów, czytam.bo.moge, elfie_uszy, ajakarek, her_moewjesty_reads, ogród.ksiazek, magical_bookcase, bookreviewsbyanita, uncelek, czytakacha, wilkvirginia, RFOS, ananke144, otwarte_ksiegi, Innekarta, kilkazdano, w_witrynach_horroru, pani_ka_czyta, czytampod16, madame_lichon, czerwona_kaja, pop.books, ann.recenzuje, aelirenn_czyta, asia_bookasia, artemiabook, czytajakamewa, m.oniska_czyta_, jeszcze_strona_albo_sto, ratowniklektur, czytaniejestpodroza, kinga_psy_i_ksiazki, booki_eci, coven_of_skulls, zapach_stron, Karola_pod_lasem_czyta, judith.reads, book_w_mkiesie, biblia_horroru i wielu innym twórcom z rodzimego bookstagramu.

Na koniec pragnę gorąco podziękować patronom medialnym oraz całej załodze Wydawnictwa Mięta, szczególnie Magdalenie Matuszewskiej, redaktorce Dorocie Pacyńskiej oraz korektorce Justynie Żebrowskiej, które pochyliły się nad każdym powieści

zdaniem. Bez nich prawdopodobnie nie dobrnęlibyście do tego miejsca.